FRANCYA DAWNIEJSZA.

I. L'ancien regime et la révolution par *Alexis de Tocqueville*. Paris Michel Lévy fréres, libraires - éditeurs, 1866.

II. Les origines de la France contemporaine par *H. Taine*. L'ancien régime. Paris, librairie Hachette et C-ie, 1876.

W jednym z pierwszych poszytów niniejszego czasopisma, w samychże nieledwie początkach naszego współpracownictwa dla *Ateneum*, znaleźliśmy się pod wrażeniem przeczytanych co dopiéro ostatnich trzech tomów wielkiéj historyi francuskiéj Michelet'a, istnie w stanie moralnéj konieczności dania wyrazu oburzenia na widok rozgłośnego pisarza, rozgłośnego i sławnego niemniéj w swoim własnym kraju jak zagranicą, nadużywającego przecież swego imienia do bezczeszczenia historyografii swego narodu równą liczbą herezyi przeciw patryotyzmowi francuskiemu, co przeciw wszelkim przykazom i wymaganiom nauki. Ocenienie téj fałszywo-brylantowéj znakomitości olśniewającéj, rzecz dziwna, mimo swéj gruntownéj nicości, dotąd jeszcze, nie mniéj opinią własnego kraju, jak pewną część i *naszéj* publicystyki, naprowadziło nas daléj na rzecz o historyografii francuskiéj *w ogóle*, wśród któréj Lanfreyom, Charrasom, Wiktorom Hugo, Quinetom, nie wymieniając z imienia i nazwiska innych reprezentantów historycznego krytycyzmu epoki obu Napoleonów, niepodobna nam było przyznać kwalifikacyi badaczy, któryby wolni od stronniczych przesądów, przywidzeń i namiętności umieli się wynieść na stopień konieczńéj, jeśli komu, to historykom, swobody naukowéj i przedmiotowości. Smutne by téż rzeczywiście przedstawiała dzisiejsza historyografia francuska widowisko, gdyby po za ową *publicystyką* strojącą się w szatę i nazwę historyi, szukają-

cą kozłów ofiarnych tam, gdzie jedynym winnym jest sam naród francuski, upływu i upustu dla politycznych niechęci i żalów, wśród nadużywania dziedziny, którąby celom podobnym nigdy służyć nie powinna, nie miało być *na prawdę* naukowych powag, uczonych i myślicieli głębiéj patrzących, zdolnych wynagrodzić moralną i naukową szkodę, wyrządzoną czci i powadze własnego narodu przez pierwszych. Do takich dodatnich objawów nowoczesnéj historyografii francuskiéj zaliczymy najsamprzód zasobny szereg monografij, jakie się ukazują ostatniemi czasy na widok publiczny, rozświecając epokę Henryka IV i Ludwika XIII, czasy Frondy lub Ludwika XV, w wyższym może jeszcze stopniu coraz liczniejsze studya nad politycznym, społecznym i ekonomicznym stanem dawnéj Francyi. Zwrot pod *tym* względem właśnie zasługuje na bliższe nieco zastanowienie, jest, jeśli się mocno nie mylimy, symptomem i wyrazem równocześnie bardzo zbawiennéj reakcyi w zbiorowém usposobieniu i zapatrywaniu się na własną przeszłość narodową.

Dość choćby najpowierzchowniéj tylko przypatrzéć się Francyi *we* Francyi saméj; dość rozpatrzéć się nieco w publicystyce francuskiéj; dość przysłuchać się mowom parlamentarnym francuskim; dość wpatrzéć się w zbiorowe oblicze literatury francuskiéj, aby przyjść do przekonania, że z całéj téj sumy objawów publicznego i duchowego życia Francyi przebija w gruncie rzeczy jakoby bałwochwalcza cześć, pewne *noli me tangere* dla rewolucyi, jéj wyobrażeń zasadniczych, jéj organicznych utworów. Data roku 1789 stanowi kopiec graniczny, po za który wyobraźnia i pamięć francuska cofać się nie lubią, od któréj liczą i poczynają Hegirę swego nowoczesnego bytu. Wśród owego nawału mniéj lub więcéj wartości mających *historyi rewolucyi francuskiéj*, wśród owego tylokrotnie głoszonego dogmatu nieomylności prawd roku 1789, trudno, coraz trudniéj wychylić się obliczu przedrewolucyjnéj Francyi z tém wszystkiém, co reprezentowała złego czy dobrego. Mimo wszelkiego uznania, jakie można i należy wyznawać dla humanitarnych zasad i nabytków owéj wiekopomnéj daty, mimo wszelkiego daléj podziwu dla wszystkiego, co epoka rewolucyjna zdołała stworzyć i zbudować w organicznéj sferze dla Francyi, niepodobna przecież *nie* przyjść do przekonania, jak dalece podobne stanowisko w zapatrywaniu się dzisiejszéj Francyi na Francyą przeszłości, jest, co najmniéj, jednostronném. Francya dawna *była* i *żyła* a nie wszystko, czém była i żyła, zasługuje na bezwzględne potępienie, nie wszystko też daléj, czém była i żyła, odrzuciła i zarzuciła faza organiczna, wynurzająca się z pośród powodzi i kataklizmu rewolucyjnego.

Rozpoczyna się tedy, jak powiedziano wyżéj, przeciw podobnéj jednostronności nader zbawienna reakcya, która przekraczając rezolutnie mur chiński daty roku 1789, zaczyna się troskliwie i sumiennie rozglądać w budowie społecznéj i politycznéj Francyi *„de l'ancien régime.“* Z pomiędzy sporego już dzisiaj zasobu publikacyj, poświęconych temuż przedmiotowi, nietrudno wyróżnić *dwóch* prac pierwszorzędnéj w swoim rodzaju wartości: dzieła znakomitego pisarza i męża stanu, autora rozgłośnego dzieła: *O demokracyi w Ameryce* Aleksego de Tocqueville, pod tytułem: *L'ancien régime et la Révolution*; dzieła daléj niemniéj znakomitego, choć inaczéj uzdolnionego i z innego stanowiska na przeszłość Francyi zapatrującego się pisarza H. Taine'a, pod tytułem: *Les origines de la France contemporaine. L'ancien régime.* W obec wyboru i opracowania przez obu autorów nieledwie jednego i tego samego przedmiotu, nasuwa się naturalnie myśl ich paraleli. Niżéj pozwolimy sobie wskazać z jednéj strony wspólność, z drugiéj różnicę *zasadniczych* rezultatów, do jakich w swych studyach dochodzą. Tymczasem niechaj nam będzie wolno zwrócić uwagę na różnicę *formy* w dziełach obu pisarzy. Tocqueville jest badaczem, któremu forma jest rzeczą podrzędną, koniecznym tylko i niezbędnym przyborem wydobytéj po długich poszukiwaniach i ślęczeniu treści. Najlepiéj ocenia autor *sam* naturę i charakter swéj pracy. „Postanowiłem sobie“, mówi, „wniknąć w samo serce owego *starego rządu*, tak bliskiego nam liczbą lat, którego oblicze jednakże rewolucya zasłania. Mogę powiedzieć, jestem przekonany, bez zbytniego samochwalstwa, że książka, którą obecnie ogłaszam, jest płodem *wielkiéj* pracy. Jest nie jeden rozdział dosyć na pozór krótki, który mnie kosztował więcéj niż roku poszukiwań. Byłbym mógł przepełnić przypiskami spód mych stronic; wolałem zamieścić takowe w małéj liczbie i odesłać je na koniec książki ze wskazaniem stronic tekstu, do których się odnoszą. Znajdą się tamże przykłady i dowody. Mógłbym dostarczyć wiele innych, gdyby książka niniejsza zdawała się ich komukolwiekbądź potrzebować jeszcze.“ Tocqueville jest więc pisarzem, podającym ostateczne wyniki swych mozolnych poszukiwań w formie ścisłéj, może suchéj nawet, powiedzielibyśmy. Inaczéj Taine. Jeśli Tocqueville przypomina swym sposobem traktowania rzeczy Niemca lub Anglika, pozostaje *forma* Taine'a najszczérzéj i najwyłączniéj *francuską.* Przemaga w niéj, zauważmy, bez szkody rzeczy, żywioł malowniczości i obrazowości a skréślone na podstawie nie mniéj mozolnych i źródłowych poszukiwań szkice życia, czy to feodalnych panów, czy kłopotów wiejskiego ludu, czy kawalkad dworskich, no-

szą na sobie piętno i cechę wrażeń naocznego niemal świadka. Po tym wstępie przystąpmy do rzeczy.

„Nic“, mówi Tocqueville, rozpoczynając swój przedmiot, „nie jest właściwszém do przypominania filozofom i mężom stanu obowiązku skromności, od historyi naszéj rewolucyi. Nigdy bowiem nie było wypadków większych, sięgających z większéj oddali, lepiéj przygotowanych a mniéj przewidzianych.“ Wyszedłszy z podobnéj podstawy, zauważywszy, iż ostatecznym celem rewolucyi nie było ani zniszczyć powagi religijnéj, ponieważ prowadziła wojnę właściwie tylko przeciw polityczno-przywilejowéj władzy kościoła, ani zdeorganizować władzy politycznéj, ponieważ ją wznosiła na nowo wśród odmiennych tylko warunków, kładzie autor przedewszystkiém przycisk na ogólny, kosmopolityczny charakter rewolucyi francuskiéj, którego sławny Burke gruntownie nie rozumiał, stawiając do niéj pretensyą, by sobie wzięła za przykład angielską. Jakże odmienne, jakże niepodobne sobie tymczasem w niczém charaktery obu tych wstrząśnień! Angielska wypłynęła ze źródła miejscowego, z politycznéj natury zatargu między władzą królewską a reprezentacyą narodu. Zrzucona głowa Karola I rozstrzygała tu istotnie cały spór, nie przenosząc go na szerszą widownię. Rewolucya francuska tymczasem wytrysła ze źródła krytycyzmu politycznych i społecznych instytucyi, które były wspólnemi całéj zachodniéj Europie. Ztąd to jéj uniwersalny charakter w ogóle, ztąd owo sympatyczne echo, jakie znajduje wszędzie, tak daleko, jak sięga sieć instytucyi, które się starzeją i kruszą a mimo to ciążą przecież na piersiach europejskiéj ludzkości. Mimo to, mimo ogromnych rezultatów, jakie sprowadziła dla Francyi i Europy, zmieniła przecież rewolucya w *wewnętrznym* organizmie Francyi *saméj* mniéj daleko aniżeli ogólnie mniemają. „Wszystko“ mówi Tocqueville, „co poprzedza, ma tylko na celu wyjaśnić przedmiot i ułatwić rozwiązanie kwestyi, którą położyłem z góry: Jaki był prawdziwy cel rewolucyi? Jakiż jest nakoniec jéj właściwy charakter? W jakimże celu się spełniła? Cóż zdziałała? Rewolucya nie wybuchnęła jak sądzono, aby zniweczyć panowanie przekonań religijnych. Była ona rzeczywiście mimo wszelkich pozorów, rewolucyą społeczną i polityczną a w obrębie instytucyi *tego* rodzaju nie miała zamiaru uwieczniać nieładu, zrobić go pod pewnym względem trwałym, *umetodyzować* anarchią, jak to powiedział jeden z głównych jéj przeciwników, ale raczéj zwiększyć władzę i prawa powagi publicznéj. Nie miała zmienić charakteru, który cywilizacya nasza dotąd nosiła, jak niejedni myśleli, nie miała powstrzymać jéj postępu ani nawet zmienić w ich treści któregobądź z praw fundamentalnych, na

których spoczywają społeczeństwa ludzkie naszego zachodu. Kiedy się ją oczyści z wszystkich przypadkowości, które chwilowo zmieniły jéj fizyonomią w różnych krajach i epokach, by się jéj przypatrzéć tylko saméj w sobie, widać wyraźnie, że rewolucya miała tylko za skutek zniesienie tych instytucyj politycznych, które przez kilka wieków panowały niepodzielnie wśród wszystkich prawie narodów europejskich a które oznaczają zwykle mianem instytucyj feodalnych, aby je zastąpić porządkiem społecznym i politycznym, jednolitszym i prostszym, mającym *równość* za podstawę.“ Mimo to, mimo że owe instytucye feodalne, ciążące na małéj własności francuskiéj podwójnym ciężarem przywilejów arystokracyi świeckiéj i kościoła, wywołały we Francyi właśnie więcéj rozdrażnienia i więcéj opozycyi, niż gdziekolwiekbądź indziéj w całéj Europie, że zniesienie ich i usunięcie stawało się we Francyi właśnie esencyonalniejszym warunkiem życia narodowego, niż pośród wszystkich innych społeczeństw i narodów europejskich, wprowadziła przecież rewolucya mniéj istotnie zmian natury politycznéj i administracyjnéj, aniżeliby się po gwałtowności rewolucyjnego wybuchu spodziewać było można.

Zresztą rozpoczęła się według autora powolna dezorganizacya feodalizmu wraz ze swemi następstwami już za czasów monarchii, a mianowicie Ludwika XIV. Prowincya i wieś znajdują się już wtedy opuszczonemi przez szlachtę i panów, zjadających swe dochody w Paryżu lub Wersalu, bądź to w usługach dworu, bądź w hołdzie modzie a wśród oddawania się zabawie i wesołemu życiu. Podczas téj ich *nieobecności* zastępuje monarcha władzę wykonywaną przez *nich* zamianowanymi ze swego ramienia, tak zwanymi *intendentami królewskimi* w liczbie trzydziestu na całą Francyą, którzy stanowią rzeczywisty rząd kraju, nie inaczéj, jak go stanowią dzisiaj prefekci, a zarazem reprezentują już w owéj epoce dawnéj monarchii to, co uchodzi za winę czy zasługę rewolucyi i Cesarstwa dopiéro, ową podziwianą tylokrotnie *centralizacyą administracyi francuskiéj*. Nie dość na tém, wskazuje autor wszelkie naturalne i logiczne konsekwencye owéj centralizacyi, jako działalność znaną i praktykowaną już przez „*ancien régime*“. Owa opieka administracyjna nad krajem, w szczególności nad ubogimi, nad komunikacyami publicznemi; owa sprawiedliwość administracyjna, emancypująca kraj na coraz obszerniejszą skalę z pod kompetencyi sądownictwa feodalnych panów, owa odpowiedzialność urzędnicza, są to wszystko pojawy, które, jakkolwiek przypisywane inicyatywie rewolucyjnéj, istnieją już przecież w epoce dawnéj monarchii a w imię rozszerzenia zakresu jéj władzy, na ruinach rozpadającego się coraz bardziéj gmachu

feodalizmu. Rewolucya zbiera żniwo podobnéj roboty obu ostatnich Ludwików, XIV i XV, nie potrzebując *administracyjnie* zmieniać wcale organizmu Francyi.

„Zrekapitulujmy teraz,“ mówi autor pod koniec swego poglądu, „cośmy powiedzieli w trzech ostatnich, poprzedzających rozdziałach. Instancya jedyna, mieszcząca się w sercu państwa, regulująca administracyą publiczną całego kraju. Ten sam minister kierujący prawie wszystkiemi sprawami wewnętrznemi; w każdéj prowincyi *jeden* reprezentant władzy, trudniący się ich szczegółami; nie ma korporacyj administracyjnych podrzędnych lub instancyj, mogących samodzielnie postępować bez poprzedniego upoważnienia; są trybunały wyjątkowe, które sądzą sprawy, mające interes dla administracyi i zakrywają wszystkich swych urzędników. Czémże to jest, jeżeli nie *centralizacyą*, którą *my* znamy? Formy jéj są mniéj wyraźne, aniżeli dzisiaj, jéj postępowanie mniéj regularne, lecz jest to ten sam organizm. Odtąd nie było mu można dodać ani odjąć nic esencyonalnego; dość usunąć to, co się wznosi *około* niego, aby się objawił takim, jakim go widzimy dzisiaj. Większa część instytucyj, które skreślam, były naśladowane w stu różnych miejscach; natenczas jednakże były właściwe Francyi a zobaczymy zaraz, jak wielki wpływ miały na rewolucyą francuską i jéj następstwa. Jakże przecież instytucye owe nowéj daty mogły się utrwalić we Francyi pośród szczątków społeczeństwa feodalnego? Było to dziełem cierpliwości, zręczności i długości czasu więcéj daleko, aniżeli siły i pełni władzy. W chwili, kiedy rewolucya nastała, nie zburzono nic jeszcze prawie ze starego gmachu administracyjnego Francyi; zbudowano zeń, jeśli tak wolno powiedzieć, inny z drugiéj ręki. Nic nie dowodzi, aby w celu wzniesienia téj trudnéj pracy, rząd dawnéj monarchii był się trzymał planu głęboko obmyślanego z góry. Powierzył się tylko instynktowi, skłaniającemu wszelki rząd do zawiadowania z własnéj ręki wszelkiemi sprawami, instynktowi, który pozostał zawsze tym samym w obec różnicy organów. Pozostawił dawnym władzom starodawne ich nazwy i zaszczyty, lecz odebrał im powoli ich znaczenie. Nie wypędził ich, lecz wyprowadził z ich dziedziny. Korzystając z bezczynności tego, z egoizmu tamtego, aby zająć ich miejsce; korzystając z wszystkich ich przywar, nie starając się nigdy takowych naprawić, ale raczéj je usunąć, skończył na zastąpieniu ich wszystkich prawie w rzeczywistości, *jednym* organem, *intendentem*, którego nazwiska nawet nie znano, gdy nastał. Władza sądowa tylko przeszkadzała mu w wielkiém jego zadaniu; lecz i tam nawet skończył na pochwyceniu istoty władzy, pozostawiając cień jéj tylko swym przeciwnikom. Nie wyłączył parlamentów ze sfery

administracyjnéj, rozsiadł się w niéj stopniowo w taki sposób, że ją wypełnił prawie całkiem. W niektórych przypadkach nadzwyczajnych i przemijających, w czasach głodu np., kiedy namiętności ludu przedstawiały punkt oparcia w obec ambicyi urzędników, pozwalał rząd centralny chwilowo rządzić parlamentom i robić wrzawę, która często znajdowała odgłos wskróś dziejów. Wkrótce jednakże odzyskiwał po cichu swe miejsce i kładł znowu swą rękę dyskretnie na wszystkich ludzi i wszystkie sprawy, Skoro się zechce zwrócić uwagę na walkę parlamentów przeciw władzy królewskiéj, przychodzi się do przekonania, że się spotykają prawie zawsze na polu polityki a nie administracyi. Nieporozumienia rodzą się zwykle przy sposobności nowego podatku, czyli że dwaj przeciwnicy nie kłócą się o władzę administracyjną, lecz prawodawczą, któréj sobie przywłaszczać ani jeden, ani drugi nie mieli prawa. A tak dzieje się coraz bardziéj, im bardziéj się zbliżamy do rewolucyi. W miarę jak namiętności ludowe poczynają się rozpalać, miesza się parlament coraz więcéj do polityki, a gdy równocześnie władza centralna i jéj agenci stają się doświadczeńszymi i zręczniejszymi, trudni się tenże sam parlament coraz to mniéj *administracyą* we właściwém znaczeniu tego wyrazu; staje się coraz to mniéj *administratorem*, coraz więcéj *trybunem*. Czas zresztą otwiera bez ustanku centralnemu rządowi nowe horyzonty działalności, gdzie trybunały nie mają dość ruchawości, by iść za nim; chodzi bowiem o nowe sprawy, w których nie mają praktyki i które są obce ich rutynie. Społeczeństwo, znajdujące się w wielkim postępie, rodzi co chwila nowe potrzeby, a każda z nich jest dlań, dla rządu centralnego źródłem nowém władzy; on sam bowiem tylko jest w stanie je zadowolnić. Kiedy sfera administracyjna trybunałów jest nieporuszalną, jest jego dziedzina ruchomą i rozszerza się bez ustanku z samąż cywilizacyą. Rewolucya, która się zbliża i poczyna wstrząsać duchem wszystkich Francuzów, naprowadza go na tysiączne nowe idee, które on sam jest w stanie urzeczywistnić. Przed wywrotem rozwija rewolucya rząd centralny. On sam doskonali się, jak wszystko inne. Uderza to szczególnie, skoro się bada jego archiwa. Kontroler generalny i intendent z roku 1790 nie są już podobni do intendenta i kontrolera generalnego z roku 1740. Administracya jest zreformowaną. Agenci jéj są ci sami, lecz inny duch nimi rządzi. W miarę jak się staje więcéj szczegółową, obszerniejszą, staje się téż regularniejszą i uczeńszą. Zmodyfikowała się, kończąc na ogarnieniu wszystkiego. Rządzi mniéj, prowadzi więcéj. Pierwsze usiłowania rewolucyi zniszczyły ową wielką instytucyą monarchii, została zrestaurowaną w roku 1800. Wtedy to i późniéj nie zatryumfowały,

jak tylokrotnie powtarzano, zasady roku 1789 w dziedzinie administracyi publicznéj, lecz wręcz przeciwnie, powróciły natenczas do życia zasady dawnego rządu i utrzymały się nadal. Jeżeli może zapytają, jak owa cząstka dawnego rządu mogła być w ten sposób przeniesioną od razu w nowe społeczeństwo i w niém się zagnieździć, odpowiem, że, jeżeli centralizacya nie zaginęła w rewolucyi, stało się to dlatego, iż była sama początkiem téj rewolucyi i jéj znakiem. Dodam zaś, że skoro naród jakibądź zniszczył w swém łonie arystokracyą, zdąża do centralizacyi jakoby samo przez się. Trzeba natenczas mniéj daleko usiłowań, aby go popchnąć na tę pochyłość, aniżeli, aby go na niéj powstrzymać. We wnętrzu swém wszystkie władze zdążają naturalnie ku jedności a jedynie tylko z dołożeniem troskliwéj zabiegłości można dojść do tego, aby je utrzymać w stanie rozdziału. Rewolucya demokratyczna, która zniszczyla tyle instytucyj dawnego rządu, miała przeznaczenie skonsolidowania owéj jedności, a centralizacya znalazła tak naturalne miejsce w społeczeństwie utworzoném przez rewolucyą, iż ją można było wziąć za jedno z jéj dzieł."

Obszerny ustęp ten powtórzyliśmy umyślnie z dzieła znakomitego pisarza francuskiego jako wyraz zasadniczéj jego treści, jako ostateczne jego wyznanie wiary w ocenieniu wpływu rewolucyi francuzkiéj na przemianę społeczeństwa francuskiego. Rzuciwszy w ten sposób zasadniczą podstawę zapatrywania się na charakter i fizyonomią tejże społeczności, nie mniéj *przed* katastrofą rewolucyjną, jak po niéj, przychodzi autor w dalszych swych poszukiwaniach do rezultatu, iż owych *niepodobieństw* społecznych i administracyjnych mniéj daleko w ogóle między *Francyą przedrewolucyjną* a *Francyą porewolucyjną*, niż ogólnie przypuszczano dotąd. Wyższa i niższa administracya francuska *przedrewolucyjna* przypomina we wszystkiém, tak w traktowaniu obowiązków swego urzędu, jak w stylu oficyalnym, jak w stosunkach z podwładnymi i publicznością, administracyą nowoczesną, porewolucyjną swego kraju. Niedość na tém, jest wręcz inaczéj, niż na całéj reszcie ówczesnego ucywilizowanego świata, *stolica*,—*Paryż*, podobnie jak dzisiaj, owém centralném ogniskiem, do którego się zbiegają w sposób absorbujący wszelkie promienie, wszelkie ożywcze soki narodowego życia, z wysuszeniem i ubezpłodnieniem prowincyi, skonfiskowaniem jakoby całéj sumy moralnéj i duchowéj istności narodowéj na rzecz jednego, wielkiego miasta. *Równość* daléj owa, która miała być tak wyłącznie zasługą rewolucyi, która wyszła nawet na jéj dewizę obok godeł *wolności* i *braterstwa*,—tworzy się także i dokonywa długo jeszcze przed wstrząśnieniem, które ją miało uświęcić pieczęcią prawodaw-

czą. Dwór i Paryż streszczają w sobie i absorbują, jak co dopiéro powiedziano, całą sumę narodowego życia. Szlachcic prowincyonalny ubożeje, mieszczanin bogaci się,—ich stanowiska wyrównywają się powoli społecznie i towarzysko, by ostatecznie złożyć się na fakt owéj *równości*, którą rewolucya uznaje, ale któréj nie tworzy jednym zamachem i jednym pociągiem pióra. Jeśli zaś owa tworząca się i wyradzająca powoli z powodów ekonomicznych *równość* doznawała pewnéj przeszkody, to źródło jéj leżało, jak się autor wyraża, w pewnym *indywidualizmie korporacyjnym*, w owéj sztucznéj kastowości *szlachty*, *mieszczaństwa* i *ludu*, w owych ciążących na każdym z tych żywiołów społeczeństwa narodowego *inaczéj* podatkach i obowiązkach, w służących każdemu z nich *inaczéj* przywilejach i swobodach, w rozmaitéj wreszcie możności korzystania z zaszczytów i świecidełek parafialnych, zadowalniających lub drażniących na przemian próżność i miłość własną ludzką. Otóż to tysiączne *przegrody*, jeśli tak wolno powiedziéć, rozdzielające społeczeństwo przedrewolucyjnéj Francyi na również tysiączne, odosobnione od siebie, inaczéj *prawnie* uposażone indywidualizmy,—które przecież w *obrębie* owych odosobniających i zamykających kratek są sobie najdoskonaléj podobne i równe.

W obec stwierdzenia tylu a tak uderzających rysów podobieństwa między Francyą *przedrewolucyjną* a *porewolucyjną*, nasuwa się bardzo naturalnie pytanie, dlaczego owa dawna monarchia, ów *ancien régime* Francyi upadł ostatecznie a upadł wśród gwałtownéj i straszliwéj katastrofy, jakiéj dzieje ludzkości na innych widowniach i w innych czasach nie zapamiętały przedtém? *Pierwszą* przyczyną, jaką badacz przeszłości francuskiéj w odpowiedzi na to ważne zapytanie odnajduje, jest—zniszczenie wolności politycznéj i podział warstw społecznych,—grzech, którego się monarchia bez różnicy swych mniéj lub więcéj dobrych na tronie reprezentantów przeciw narodowi francuskiemu, już od XV wieku, całemi szeregami lat, postanowień i specyalnych faktów dopuszczała. W kłopotach finansowych, w jakich się dawna monarchia nigdy prawie znajdować nie przestała, mogła dla niéj, według autora, jak dla każdego rządu znajdującego się w podobném położeniu, przedstawiać jedyną rękojmię bezpieczeństwa i regularnego funkcyonowania, *swoboda polityczna* narodu, czyli powołanie jakichbądź jego organów do wspólnéj rady, *jak* owym kłopotom w skuteczny sposób zaradzić. Tymczasem nie ma monarchia XV wieku odwagi sięgnąć po środek opodatkowania *szlachty*, jako warstwy narodowéj mogącéj z nią skutecznie rywalizować. Za to woli w porozumieniu i w spółce z nią zwalić ów ciężar na mieszczan i ludność wiejską,—ale *téż* zarazem,

z biegiem i postępem czasu uśpić istnienie i działalność *takiéj* nawet politycznéj reprezentacyi kraju, jaką były tak zwane Stany Generalne. Z tego źródła płynie dwojakie złe: *nasamprzód* rozdział i rozstrój społeczeństwa francuskiego na warstwy, którym różnica ciężaru przypomina wiecznie w sposób drażniący i wyzywający niesprawiedliwą różnicę ich położenia, *następnie* straszliwa arbitralność w nakładaniu owych ciężarów, nadwerężająca prywatne prawa, psująca publiczną moralność, pozostawiająca w gruncie rzeczy skarb państwa w ustawicznych kłopotach a niemożliwa najzupełniéj, gdyby organizacya funduszów publicznych była zależała od narad jakiéjbądź publicznéj korporacyi, gdyby była ulegała jakiéjbądź publicznéj kontroli, gdyby, słowem, była cząstką dziedziny swobody politycznéj. Dość sięgnąć pamięcią w epokę przedrewolucyjną, kiedy po śmierci Ludwika XV choroba owa, któréj przyczyny nagromadziły grzechy i błędy kilku wieków poprzednich, przyszła do ostatecznego, zgubnego rozkwitu, aby przyjść do przekonania, do jakiego stopnia pomściła się owa wiekowa nieobecność swobody politycznéj na *tym* właśnie ostatnim monarchii francuskiéj reprezentancie, który przez Turgotów i Neckerów, przez zwołanie Stanów Generalnych w roku 1789, grzech pierworodny swych poprzedników chciał leczyć. Wśród podobnego zaś stanu rzeczy, wśród stanu pod którym miasta i prowincye straciły wszelkie swe komunalne prawa, pod którym dziesięciu szlachciców nie mogło się naradzać nad jakąbądź publiczną sprawą bez wyraźnego pozwolenia królewskiego,—nie wystarczała owa wolność protestująca niekiedy, choć bezskutecznie, bądź to ze strony kościoła, bądź ze strony mieszczaństwa, bądź, co najważniejsza, ze strony sprawiedliwości, która,—nawiasowo powiedziawszy, dzięki swéj nieskazitelności moralnéj i obywatelskiéj odwadze, stanowi jeden z najdodatniejszych pierwiastków „*starego rządu*" a zarazem pozostaje dowodem, że wszelka dążność, że wszelka chęć swobody politycznéj nie zamarła jeszcze pośród narodu francuzkiego...

Postępując daléj w badaniu przyczyn rewolucyjnego wybuchu, wskazuje autor obok owéj *nieobecności swobody politycznéj*, jako pierwszéj, położenie wieśniaka francuskiego jako drugą. Już od czasów Henryka IV, mówi, daje się spostrzegać ogólna jakoby ucieczka szlachty z prowincyi na dwór i do Paryża. Jeżeli na wsi zostaje jeszcze szlachcic, jest nim tylko biedak, któremu smutne położenie materyalne na dopełnienie tego coraz ogólniejszego zwyczaju nie pozwala. Wieśniak jest tedy opuszczony, porzucony najzupełniéj przez wszystkie wyższe oświatą i stanowiskiem warstwy i żywioły, pozostawiony sam sobie, choć nie uciskany ani przez feodalnego

pana, ani przez rząd a jedynym *gentlemanem*, jakby powiedział Anglik, jest dlań obecny jeszcze w wiosce *proboszcz*. „W XVIII wieku,“ mówi autor, „jest wieś gminą, któréj wszyscy członkowie są ubodzy, ciemni i grubych obyczajów; urzędnicy ich są równie ciemni i równie wzgardzeni, jak oni sami. Ich syndyk nie umie czytać; jego poborca nie może własną ręką ułożyć rachunków, od których zależy majątek jego i sąsiadów. Dawny jego pan nie ma nie tylko prawa rządzić nim, lecz przyszedł do uważania jako rodzaju poniżenia wdawać się w jego rządy. Urządzać podatki, wybierać rekruta, regulować pańszczyznę,—zatrudnienia niewolnicze, dzieło syndyka. Władza centralna jeszcze tylko trudni się nim a ponieważ mieści się bardzo daleko i nie ma się niczego do obawiania ze strony tych, którzy wieś zamieszkują, trudni się władza centralna nią o tyle tylko, o ile z niéj ciągnie zyski. Pójdźcie zobaczyć teraz, co się dzieje z warstwą opuszczoną, któréj nikt nie ma chęci tyranizować, lecz któréj nikt nie stara się oświecać i prowadzić. Najtwardsze ciężary, które feodalny system nakładał na mieszkańca wsi są usunięte lub złagodzone bez wątpienia. Co nie jest jednakże rzeczą dostatecznie znaną, to że owe pierwsze są zastąpione innemi, uciążliwszemi może. Wieśniak nie przechodził wszystkiego złego, lecz był wystawiony na utrapienia, których ojcowie jego nie znali nigdy.“ Utrapienia owe przedstawiały się w rozmaitéj postaci. Przedstawiały się w nieobliczalnym nigdy naprzód ciężarze podatków, zmiennym odpowiednio do zmieniającego się według widzenia rzeczy administracyjnych urzędników stanu majątkowego opodatkowanych. Przedstawiały się następnie w wyłącznie ponoszonym ciężarze utrzymywania dróg i komunikacyj krajowych, przedstawiały się wreszcie w dostarczaniu rekruta do służby wojskowéj, niesłychanie przez wieśniaka znienawidzonéj. Cała, słowem, suma ciężarów i udręczeń, które swego czasu i polskiego wieśniaka cisnęły a które *jemu* ci i owi lubią przedstawiać dzisiaj jako specyalny grzech przeszłości polskiéj. We Francyi staje się podobne położenie wieśniaka jednym z materyałów palnych rewolucyjnego wybuchu, a autor ocenia w sposób następny jego genetyczną stronę:

„Szlachta francuzka upiera się w trzymaniu się zdala od innych warstw; kończy na usunięciu się po większéj części od ciężarów publicznych, które na niéj spoczywają; wyobraża sobie, iż zachowa swą wielkość, zrzucając z siebie te obowiązki a początkowo zdaje się, iż tak jest istotnie. Wkrótce jednakże wewnętrzna i niedostrzegalna choroba zdaje się być przywiązaną do jéj położenia, które upada powoli w swém znaczeniu, jakkolwiek go nikt nie tyka. Ubożeje w miarę, jak jéj wolności od ciężarów się mnożą. Mieszczań-

stwo, z którém się szlachta obawiała połączyć, bogaci się przeciwnie i oświeca się obok niéj, bez niéj i przeciw niéj. Nie chciała mieć mieszczan jako towarzyszów i współobywateli, ma w nich znaléść niedługo współzawodników, następnie nieprzyjaciół, nakoniec panów. Władza obca uwolniła ją od ciężaru prowadzenia, protegowania, wspierania jéj poddanych; lecz ponieważ równocześnie pozostawiła jéj prawa pieniężne i honorowe przywileje, uważają, iż nic nie straciła. Ponieważ idzie w pierwszym rzędzie, rozumié, iż prowadzi jeszcze a rzeczywiście ma ciągle około siebie ludzi, których w aktach publicznych nazywa swymi *poddanymi*, inni nazywają się jéj wazalami, dzierżawcami, zastawnikami. W rzeczywistości nikt za nią nie postępuje, pozostaje odosobnioną, a gdy nareszcie zabierają się ją zgnieść, pozostaje jéj tylko ucieczka.“

Po téj charakterystyce stosunku szlachty do mieszczaństwa ze stanowiska samegoż mieszczaństwa, następuje charakterystyka stosunku ich obojga do ludu, faktu, którego istnienia świadomość dowodzi tylokrotnie przez nowszych historyozofów francuskich powtarzanéj prawdy, iż rok 1789 ze swemi zasadami i wybuchem znaczy tryumf trzeciego stanu bez właściwéj korzyści dla warstwy społeczeństwa będącéj i nazywającéj się *ludem*. „Jakkolwiek,“ mówi autor, „przeznaczenie szlachty i mieszczaństwa różniło się bardzo, godziły się obie warstwy w *jednym* punkcie a mieszczanin skończył również na życiu odosobnioném od ludu podobnie jak sam szlachcic. Daleki od zbliżenia się do ludu, unikał zetknięcia się z jego nędzą. Zamiast złączyć się ściśle z nim, by wspólnie walczyć przeciw wspólnéj nierówności, usiłował stworzyć tylko nowe niesprawiedliwości na swoję korzyść. Widać go równie gorliwym w poszukiwaniu wyjątkowości, jak szlachcica w utrzymywaniu przywilejów. Ci wieśniacy, z których szeregów wyszedł, stali mu się nietylko obcymi, lecz, jeżeli tak wolno powiedziéć, nieznanymi a dopiéro gdy im oddał broń w rękę, spostrzegł się, że obudził namiętności, o których nie miał nawet pojęcia, które był równie bezsilnym powstrzymać, jak prowadzić a których się stał ofiarą, wywoławszy je poprzednio. Dziwić się będą po wszystkie wieki, spoglądając na ruiny tego wielkiego gmachu Francyi, który zdawał się rozciągać na całą Europę. Ci jednakże, którzy czytać będą uważnie jego dzieje, pojmą bez trudu jego upadek. Prawie wszystkie wady, prawie wszystkie błędy, prawie wszystkie zgubne przesądy, które co dopiéro skreśliłem, zawdzięczają w rzeczywistości, bądź to swój początek, bądź swe trwanie, bądź swój rozwój sztuce praktykowanéj przez większą część naszych królów *dzielenia* ludzi, aby nimi absolutnie rządzić. Lecz gdy mieszczanin był najdoskonaléj odsobniony

od szlachcica a wieśniak od szlachcica i mieszczanina; gdy w praktykowaniu odpowiedniéj roboty w łonie każdéj warstwy społeczeńskiéj zosobna, potworzyły się we wnętrzu każdéj z nich zosobna drobne organizmy szczegółowe, prawie równie odosobnione od siebie, jak sameż warstwy społeczeństwa między sobą, pokazało się, że całość tworzy jednolitą masę, któréj pierwiastki jednakże nie były z sobą związane. Nic nie było zorganizowanego, aby przeszkodzić rządowi, nic także, aby go wspierać. W ten sposób mógł się cały gmach wielkości monarchii zawalić od razu i w jednéj chwili, odkąd społeczeństwo służące mu za podstawę zaczęło się chwiać. A ten lud wreszcie, który sam jeden zdawał się ciągnąć korzyści z błędów i przywar wszystkich swych panów, jeżeli w rzeczywistości usunął się z pod ich panowania, nie mógł się usunąć z pod jarzma fałszywych idei, błędnych zwyczajów, złych skłonności, które mu dali lub któremi mu pozwolili się przejąć. Widziano go niekiedy przenoszącego ulubienia niewolnika w sameż praktykę wolności, równie niezdolnego do prowadzenia samego siebie, jak się okazał twardym dla swych nauczycieli.“

W podobnie strupieszały, próchniejący i rozkładający się organizm społeczny wsiąka systematycznie, powoli, istną siłą chemicznego płynu wpływ współczesnéj literatury. Wpływ ten, ograniczający się gdzieindziéj na wyższe, na oświeceńsze społeczeństwa warstwy, ogarnia we Francyi masy, użyznia je, jeśli tak wolno powiedziéć, rewolucyjnie, staje się ich natchnieniem, reformuje nawet styl ich korespondencyi z władzami. Cóż zaś naturalniejszego, cóż zrozumialszego, jak że, jeśli propaganda *literacka* dotyka owéj zewnętrzności i powierzchni narodu francuskiego, jeżeli daléj sięga w sferę instytucyj politycznych i organizmu społecznego, nie pomija bardzo naturalnie i sfery pojęć religijnych, w obrębie których szerzy zgubny krytycyzm. W pomoc przychodzi mu owa wstrętna społeczności francuskiéj strona feodalno-polityczna kościoła, rozdrażniająca i żywiąca namiętności ludowe, przygotowująca materyał do wulkanicznego wybuchu, który *dlatego* właśnie z tą większą nastąpił gwałtownością. Co zaś w przygotowaniach doń i w nim samym najwięcéj uderza, to zupełna nieobecność żywiołu właściwéj wolności politycznéj. Rewolucya i rewolucyjne namiętności nie domagają się tyle udziału w rządach i kierownictwie nawy państwa, ile raczéj reform społeczno-ekonomicznych. Otóż to charakter zasadniczy wielkiéj katastrofy, który się mimo wszelkich pozorów inaczéj może świadczących, przemienić nie da.

„Szczególna,“ mówi autor, „owa forma tyranii, którą nazywają despotyzmem demokratycznym a o którym wieki średnie nie miały

nawet pojęcia, jest już ekonomistom owéj epoki świadomą. Nie ma już dla nich hierarchii społecznéj ani klas jéj wyraźnych, ani stopni oznaczonych. Naród złożony z indywiduów prawie podobnych i zupełnie równych, ta masa zmieszana, uznana w charakterze jedynéj prawéj władzy, lecz troskliwie pozbawiona wszystkich kwalifikacyj, któreby mogły jéj pozwolić kierować swym rządem a nawet choćby go tylko kontrolować. Ponad nią jedyny pełnomocnik, upoważniony robić wszystko w jéj imieniu bez zasiągania jéj rady. Aby kontrolę nad nim wykonywać, racya tylko publiczna bez organów; aby go powstrzymać, rewolucya a nie prawa; *prawnie* podrzędny agent, *faktycznie* pan. Nie znajdując około siebie nic, coby mogło odpowiadać podobnemu ideałowi, biegną go szukać w głębi Azyi. Nie przesadzam twierdząc, że nie ma pomiędzy nimi nikogo, coby w jakiéjbądź części swych pism nie przedsiębrał entuzyastycznéj pochwały Chin. Można być pewnym, czytając ich książki, iż się u nich napotka przynajmniéj *to*, a ponieważ Chiny są jeszcze bardzo mało znane, nie ma żadnego rodzaju niedorzeczności, którychby na rachunek ich publiczności nie opowiadali. Niedołężny ten i barbarzyński rząd, który garstka Europejczyków trzyma na wodzy według upodobania, zdaje im się najdoskonalszym wzorem, któryby wszystkie narody świata mogły naśladować. Są oni dla nich tém, czém się stały późniéj Anglia a nareszcie Ameryka dla wszystkich Francuzów. Czują się wzruszonymi i jakoby zachwyconymi na widok kraju, którego pan absolutny, lecz wolny od przesądów, uprawia raz do roku ziemię własnemi rękami, aby uczcić użyteczne zatrudnienie; gdzie wszystkie miejsca zyskują się przez współzawodnictwo literackie; który za religią ma tylko filozofią a za arystokracyą literatów. Rozumieją, że wywrotne teorye, które są za dni naszych oznaczone mianem *socyalizmu*, mają świeży początek; jest to omyłka. Teorye owe są współczesne pierwszym ekonomistom. Kiedy jedni używali rządu wszechwładnego, jaki marzyli, do zmiany kształtu społeczeństwa, przywłaszczali sobie inni tenże sam rząd, aby niszczyć jego podstawy. Czytajcie *Code de la nature* Morellego a znajdziecie z wszystkiemi doktrynami ekonomistów o wszechwładztwie państwa i jego nieograniczonych prawach, niektóre teorye polityczne, które przeraziły Francyą najwięcéj ostatniemi czasy a które, według pozoru, powstały dopiéro za naszych czasów i wspólność dóbr, prawo do pracy, absolutną równość, jednolitość we wszystkich sprawach, mechaniczną regularność we wszystkich poruszeniach indywiduów, regulaminową tyranią i zupełne wsiąknienie osobistości obywateli w ciało społeczne.“

Otóż to rzut charakterystyczny światła na ówczesne usposobie-

nia Francyi, na ruch dążeń i umysłów, wywołany przez współczesne teorye politycznych pisarzy, zmierzający w ostatecznéj sumie wszystkich swych programów raczéj ku reformie społecznéj, aniżeli ku urzeczywistnieniu swobody politycznéj kraju. Co zaś nie najmniéj może ciekawe w owéj genetycznéj fazie rewolucyi francuskiéj, to że, jeżeli owo pragnienie reform bez swobód politycznych i właściwego swych pojęcia, pragnienie natchnione głównie względami i potrzebami *materyalnéj* jedynie tylko doniosłości,—jest najznamienitszym czynnikiem katastrofy rewolucyjnéj; staje się nim właściwie *anachronicznie* wtedy, kiedy potrzeba jego i powód ustają. Ludwik XVI i jego rządy naprawiają rzeczywiście w bardzo znacznéj części, jeszcze w epoce przedrewolucyjnéj, zło nagromadzone wiekami przez swych poprzedników. Ciężary rozkładają się słuszniejszą miarą sprawiedliwość wykonywa się szybciéj i lepiéj; dobrobyt kraju wreszcie wzrasta i staje się jakoby właściwością niższych warstw społeczeństwa, dotąd upośledzonych. Ludwik XVI mawiał nie daremno, iż on tylko i Turgot kochają prawdziwie lud Francyi; nieszczęsny król mówił prawdziwie w wilią śmierci jeszcze, iż nie było dnia i godziny w ciągu jego panowania, którychby nie był poświęcił myśli i trosce o dobru Francyi. Panowanie jego jest właśnie datą odżycia dobrobytu Francyi, epoką zabliźnienia się, jeżeli tak wolno powiedzieć, ran dwóch panowań poprzednich. Jednakże ten właśnie dobrobyt stosunkowy owo zaspokojenie materyalnych potrzeb ludu, daje możność pomyśléć o otrząśnieniu się z ciążących mu praw, postanowień, urządzeń natury społeczno-ekonomicznéj i przyspiesza rewolucyą.

„Rząd,“ mówi autor, „który rewolucya obala, ma zawsze prawie większą wartość od rządu, który go bezpośrednio poprzedzał a doświadczenie uczy, że chwilą najniebezpieczniejszą dla złego rządu jest właśnie chwila jego reformy.“ Co zaś jeszcze właśnie ze strony owego rządu pragnącego się reformować było najnieszczęśliwszém i najniepraktyczniejszém w owéj przejściowéj epoce, to *polityka reformy*, to istny stos galwaniczny najrozmaitszych sprzeczności, ktore do niczego innego, jak do katastrofy doprowadzić nie mogły. Nasamprzód tworzy owa administracya Ludwika XVI i Turgota stan tymczasowości w dziedzinie administracyi, urządzeń ekonomicznych, sprawiedliwości,—nie wznosząc energiczną ręką żadnéj trwalszéj i zgodniejszéj we własnych swych szczegółach z sobą samą budowy. Niedość na tém, mówi owa administracya przez cały czas prawie swego istnienia do ludu i o ludzie, jakby go wcale nie było i jakby głosu jéj nie był w stanie dosłyszéć. Zamiast reformować i ulepszać drogą lakonicznych postanowień i konsekwent-

nych z niemi faktów, odzywają się ówczesne edykty królewskie, ówczesne rozporządzenia ministeryalne językiem pełnym humanitarnych deklamacyj o cierpieniach ludu, o ciężarach, jakie *sam* dotąd ponosi z krzywdą i szkodą własną ku uldze warstw wyższych i zamożniejszych. Słowem, zamiast złemu drogą czynu zaradzić, zostawia się je w znacznéj części nietkniętém, ale rozdraźnia się lud, uprzytomniając mu ciągłemi frazesami i deklamacyami jego doniosłość i dolegliwość. „Turgot“ mówi autor, „kładł przedewszystkiém, podobne słowa w usta królewskie. Większa część jego następców nie czyni inaczéj.“ Gdy w roku 1780 król oznajmia swym poddanym: że powiększenie podatków będzie dotąd poddane publicznéj procedurze zaregestrowania, nie zaniedbuje dodać w kształcie dopisku obowiązani do opłacania podatków, już pokrzywdzeni przykrościami doznawanemi przy ich wybieraniu, byli nadto wystawieni aż dotąd na ich niespodziane powiększenie, tak, że haracz najuboższéj części naszych poddanych wzrastał w stosunku daleko wyższym w porównaniu z wszystkimi innymi. Kiedy król, nie ośmielając się jeszcze uczynić wszystkich ciężarów równemi, zamierza przynajmniéj ustanowić równość pobierania tych, które są już wspólnemi, mówi: Jego Królewska Mość spodziewa się, że osoby bogate nie będą się uważały skrzywdzonemi, skoro, sprowadzone na równy stopień, będą się uiszczały równiéj z ciężarów, jakie oddawna winny były być rozdzielonemi.

Równocześnie zaś, gdy w ten sposób otacza się ów lud podobną opieką, gdy się doń przemawia językiem tyle humanitarnym a tak dobrze przecież dosłyszalnym, mówią, czy to zgromadzenia prowincyonalne, czy rozporządzenia tegoż samego Turgota „o nieokrzesaności i gburostwie tegoż ludu“ a co gorsza postępują z nim sobie bezceremonialnie i arbitralnie trybunały wyjątkowe, ile razy tylko interes *państwa* wchodzi w jakibądź zatarg z interesem *jego.* „Mogę powiedziéć,“ mówi autor, „ponieważ odpowiednie fakta mam w ręku, iż wielka część praktyk używanych przez rząd rewolucyjny znajduje wzory i przykłady używane w postępowaniu w obec niższego ludu, w czasie dwóch ostatnich wieków monarchii. Rząd dawnéj monarchii dostarczył rewolucyi niektórych z jéj form; *ona* dodała im tylko okrucieństwo swego usposobienia.“ Obok podobnego zarzewia rzuconego niebacznie w łono przedrewolucyjnego społeczeństwa, uwieńczyła sama wreszcie monarchia, dokonaną w roku 1787 reformą administracyjną stos nagromadzonego do zbliżającéj się katastrofy palnego materyału. Dotychczas był reprezentantem władzy królewskiéj na całą prowincyą tak zwany *intendent*. Z rokiem 1787 dodają owemu *intendentowi* do boku zgromadzenie pro-

wincyonalne, w charakterze rady pomocniczéj. Zgromadzenie owo jednakże nie ogranicza swéj działalności na *radzie*, lecz podciąga pod swą kompetencyą *decyzye* w najważniejszych zagadnieniach administracyjnych, wreszcie wywołuje w łonie swém burze między reprezentantami różnych warstw społeczeńskich, będące niezłym wzorem tego, co miało nastąpić późniéj w tak zwaném zgromadzeniu narodowém.

Tak to wychowały z jednéj strony *błędy*, z drugiéj strony *pokuta* monarchii, w ostatnich chwilach jéj istnienia, ową rewolucyą, przygotowaną przez najoświeceńsze, wykonaną przez najciemniejsze, wychodzące ze stanu niewoli i ucisku warstwy społeczeństwa, dla tego téż tak piękną była w teoryach, tak krwawą i okrutną w praktyce. Powodowały nią, jak w ogóle całém społeczeństwem, odtąd aż do obecnéj chwili, *dwa* prądy, często bijące i krzyżujące się z sobą: prąd równości społecznéj, prąd wolności politycznéj. Generacya roku 1789 podjęła zadanie pogodzenia obu prądów, późniejsze erupcye rewolucyi francuskiéj udaremniły je doszczętnie.

„Gdy ta energiczna generacya,“ mówi autor, „która rozpoczęła rewolucyą, została wyniszczoną lub ubezwładnioną, jak się to dzieje każdéj generacyi, która podobne przedsięwzięcia podejmuje; gdy podług naturalnego biegu wypadków tego rodzaju, zamiłowanie wolności straciło odwagę i znużyło się pośród anarchii i dyktatury ludowéj a naród zakłopotany począł szukać jakoby macaniną pana, znalazł rząd absolutny, by zmartwychwstać i stanąć silnie, cudowne ułatwienia, które odkrył bez trudu geniusz *tego*, który miał być równocześnie dalszym ciągiem rewolucyi i jéj pogromcą. Rząd dawnéj monarchii obejmował w rzeczywistości cały zapas instytucyi nowéj daty, które nie będąc przeciwne równości, mogły zająć łatwo miejsce w nowém społeczeństwie, a które przecież despotyzmowi przedstawiały szczególne dogodności. Szukano ich pośród szczątków wszystkich innych i odnaleziono. Instytucye te wywoływały niegdyś zwyczaje, namiętności, pojęcia mające dążność trzymania ludzi w odosobnieniu i posłuszeństwie. Powołano je do życia i posłużono się niemi. Podjęto centralizacyą pośród jéj ruin i przywrócono ją; ponieważ zaś równocześnie, kiedy się podnosiła, wszystko, coby ją mogło było dawniéj ograniczać, było zniszczoném, spostrzeżono z samegoż łona narodu, który co dopiéro obalił królewskość, wychodzącą od razu władzę obszerniejszą, szczegółowszą, absolutniejszą od władzy wykonywanéj kiedy bądź przez naszych królów. Przedsięwzięcie zdawało się być niezmiernie śmiałém a powodzenie jego niesłychaném, ponieważ myślano tylko o tém, na

co patrzano a zapomniano, co wiedziano dawniéj. Monarcha panujący upadł, lecz co było najistotniejszém w jego dziele, pozostało nietkniętém. Po upadku jego rządu, pozostała jego administracya przy życiu, a ile razy usiłowano późniéj zrzucić rząd absolutny, ograniczano się stawiać głowę wolności na ciele serwilistyczném. Kilkakrotnie, odkąd rewolucya się rozpoczęła aż do dni naszych, widać gasnącą namiętność wolności, późniéj odradzającą się, późniéj gasnącą raz jeszcze, następnie znów powstającą. A tak będzie czyniła długo, zawsze niedoświadczona i źle uregulowana, skłonna stracić odwagę, dać się ustraszyć i zwyciężyć, powierzchowna i przemijająca. Współcześnie właśnie ogarnia namiętność równości zawsze grunt serc, które opanowała piérwsza; trzyma się tamże uczuć, które nam są najdroższe. Kiedy pierwsza zmienia bez ustanku wejrzenie, zmniejsza się, zwiększa, utwierdza się, osłabia stosownie do wypadków,—pozostaje druga ciągle tą samą, ciągle przywiązaną do tegoż samego celu, z tym samym upartym i często ślepym zapałem, gotowym wszystko poświęcić na rzecz tych, co jéj pozwalają się zadowolnić a dostarczyć rządowi, co ją popiera i jéj schlebia, obyczaje, idee, prawa, których despotyzm do swych rządów potrzebuje.“

Na tych ogólnych spostrzeżeniach kończy autor swą anatomią wewnętrznych dziejów i społeczeństwa przedrewolucyjnéj Francyi, analizę, z któréj wypływa, że jedyną i wyłączną przyczyną społeczno-politycznéj katastrofy, jaką była rewolucya francuska, było nie co innego, jak zupełna nieobecność idei i warunków swobody politycznéj; że zaś, co się tyczy *organicznéj* strony gmachu wyrastającego z pośród rewolucyjnych ruin a mającego, według upowszechnionego mniemania, być zasługą rewolucyi, gmach ów powstał *administracyjnie* na podstawach, które dawna monarchia, „*l'ancien régime*,“ stworzyła i które przez ciąg całego istnienia swego wiernie praktykowała.

Tak daleko Tocqueville.

O ile mieliśmy sposobność poznać go z powyższego sprawozdania, jest to treściwy, suchy może nawet nieco historyozof społeczno-polityczny, który ze skarbca mozolnie i pracowicie nagromadzonéj wiedzy wydobywa ostateczne rezultaty, by je podawać w ścisłéj i treściwéj formie ku wiadomości czytelnika. Dzieło Tocqueville'a to sumienne i logiczne *rozumowanie*, w które się trzeba uważnie i cierpliwie wczytać, aby pojąć jego konkluzye, aby zrozumieć jego założenia. Diametralnie *innym*, choć mu nie *przeciwnym* jest drugi znakomity pisarz francuski, poświęcający pióro swe temuż samemu przedmiotowi, *Taine*. Jeżeli dzieło Tocqueville'a nazwaliśmy *rozu-*

mowaniem, nie możemy dziełu Taine'a dać stosowniejszego i charakterystyczniejszego miana od nazwy *obrazu*. Istotnie jest to barwny i jaskrawy obraz przeszłości Francyi, obraz, na jakiby się mógł zdobyć chyba tylko naoczny świadek wypadków i życia społeczeństwa, którego fizyonomią skreśla. Owa Francya staréj monarchii „*de l'ancien régime*" przedstawia się oku czytelnika w całéj swéj prawdzie, z wszelkiemi swemi dodatniemi i ujemnemi stronami, a z przedstawionéj w podobnie obrazowy sposób fizyonomii społeczeństwa dawnéj Francyi, wynika dla uważnego czytelnika jak na dłoni logiczna konieczność katastrofy, która je spotkała. Autor; by scharakteryzować ogólnie i wstępnie treść dzieła jego, skupia główne pociągi swego pęzla około społeczeństwa francuskiego XVIII w. *przed* rewolucyą francuską, kiedy *przeszłość* i *przyszłość téj* właśnie epoki występują na drugim planie jego obrazu. Wpatrując się weń, w obraz ów nie mniéj w swoim rodzaju jaskrawy i wyrazisty od mistrzowskich utworów Matejki, czy Siemiradzkiego, niepodobna oprzéć się wrażeniu *dwóch* prawd: *pierwszéj*, że społeczeństwo spoczywające na *tego* rodzaju podstawach w obec postępu czasu a co ważniejsza ze stanowiska niewzruszonych praw moralnych, ekonomicznych i politycznych, katastrofy ujść *nie mogło*; *drugiéj*, że gdy owa katastrofa nad niém zawisła, nie znalazło w sobie, nie mogło znaléść moralnego zasobu do stawienia jéj czoła.

Zapisawszy w ten sposób z góry wrażenie wyniesione z przeczytania Taine'owego dzieła, przystąpmy do treściwego i krótkiego zeń sprawozdania. Zakreśliwszy w przedmowie swe stanowisko, wypowiedziawszy słuszne dla każdego historyka zdanie, iż tylko siła przekonania politycznego może być badaczowi przeszłości swego kraju i narodu jakoby pochodnią światła w ocenieniu i rozumieniu jéj warunków, tłómaczy autor, nie inaczéj od Tocqueville'a, genezę swéj książki. Podobnie jak jego poprzednik wnikał w odleglejszą swego kraju przeszłość, podobnie jak *on* rozczytywał się nietylko w jego kronikach, w pomnikach dawnego jego prawa i instytucyj społecznych, ale nadto również, nie inaczéj od Tocqueville'a, rozpatrywał się w rękopiśmiennych zabytkach, dostarczających tyle ważnego i ciekawego materyału do rozświecenia stosunków socyalnych i administracyjnych monarchicznéj Francyi. Od *jéj* to początków podejmuje autor swe opowiadanie, od owego X wieku, w którym po wygaśnieniu rodu Karlowingów, po dokonanym podziale wielkiéj monarchii Karola, osobna monarchia francuska poczyna się wyrabiać i wyróżniać z pośród plemienno-politycznego organizmu średniowiecznéj Europy. Autor jak wszędzie, tak i tutaj obrazowy, skreśla widoki owéj leśnéj puszczy, wśród któréj siekiera, czy

to feodalnego pana, czy opatów lub biskupów wyrębuje jasne przestrzenie, by w nich stawiać, bądź to wspaniałe zamki, bądź zaludniające się mnichami klasztory. Lud okoliczny jest im podległy, odrabia im wśród mniéj lub więcéj ciężkich warunków pańszczyznę; miasta tworzą się i rządzą na osobnych prawach. Ogromne obszary krajowéj ziemi pozostają w posiadaniu szlachty i duchowieństwa, których przeciętną liczbę w epoce średnich wieków, autor podaje na 250.000 głów, dzielących między siebie faktyczne panowanie nad Francyą. Skreślając obraz ówczesnéj zewnętrznéj fizyonomii kraju, opowiadając dzieje społecznego władania owych feodalnych panów, biskupów, opatów, moralnych ich rządów, oświaty rozchodzącéj się z łona klasztorów, poświęca zarazem autor szerokie ustępy swéj pracy szczegółom dotyczącym położenia *ludu*, mianowicie stosunków jego do naczelnéj rządzącéj nim warstwy panów feodalnych i duchowieństwa.

Z licznych owych zestawionych przez autora umiejętnie szczegółów, przebija mimo wszelkiéj sympatyi jego dla żywiołu, co się nazywa i jest „*ludem*,“ nie mniejsze, może nieco artystyczno-romantycznéj natury uznanie dla jego ówczesnych panów, dla owéj feodalnéj szlachty, dla biskupów i opatów, dla pałaców, klasztorów i kościołów, których zbiorowa postawa nie dowodzi niczém, aby byli istotnie twardym i dla ludu, i aby lud czuł się pod ich władzą nieszczęśliwym. Prawda to zresztą, na którą się i Tocqueville zgadza, zapisując charakterystyczne spostrzeżenie, że wieśniak francuski miał prawo czuć się daleko swobodniejszym i szczęśliwszym w wieku XIV i XV aniżeli późniéj, pod rządami na pozór postępowszemi, w pierwszéj połowie XVIII wieku. Cobyśmy autorowi w *tym* może właśnie ustępie jego znakomitego dzieła mieli do zarzucenia, to pewien pośpiech w traktowaniu dziejowego przestworu, stanowiącego pomost między ową epoką średniowiecznego dobrobytu a późniejszą nędzą XVIII wieku. Autor spieszy ku XVII wiekowi, pomijając niedlewie całkiem powolnie dopełniającą się metamorfozę dolnych warstw społeczeństwa francuskiego w ciągu obu wieków poprzednich.

Metamorfoza owa spełnia się dzięki pasorzytnéj atrakcyi dwóch ściągających wszystko do wspólnego mianownika żywiołów: *dworu* i *stolicy*. *Z jednéj* strony streszcza w sobie wszystko Wersal czyli dwór. Szlachta, którą tylko jakokolwiek na to starczy, opuszcza swe zamki, pozostawia zarząd majątków intendentom, grupuje się około osoby królewskiéj w najrozmaitszych, mniéj lub więcéj ważnych rolach, jakie każdemu zosobna odgrywać przychodzi. *Z dru-*

giéj strony ściąga w tym samym stosunku wszelkie podnioślejszego znaczenia, wszelkie wyższego polotu pierwiastki nieszlachectwa, *de la roture*, wszelkie znakomitości przemysłowe, finansowe, literackie czy naukowe—*Paryż*. Rezultat podobnéj absorbcyi dla *całości* kraju i dla prowincyi aż nazbyt naturalny i łatwo przewidzialny. Intelektualnie, cywilizacyjnie, finansowo, z obrazą wszelkiéj równowagi wyrastają *dwór* i *stolica*, olśniewają Europę, stają się podziwem cudzoziemców, kiedy kraj cały, kiedy prowincya przedstawiają obraz ciemnoty i opuszczenia, kiedy wieśniak pozbawiony zetknięcia się z warstwą światlejszą jest ciemnym i zabobonnym, kiedy środki komunikacyjne wewnątrz kraju zaniedbane, kiedy większe miasta, nawet stolice prowincyi, pozbawione wszystkiego, co dzisiaj nazywamy *komfortem*, nie mają związku między sobą i ze stolicą, nie cieszą się nawet posiadaniem gazet. Nie mniéj łatwo pojąć daléj, że prowincya opłaca krwawo, kosztem swych rąk i zasobów, zaszczyt posiadania świetnego dworu i błyszczącéj stolicy. Majątek prowincyi idzie rok rocznie, pozostawiając na miejscu ponurą nędzę, płacić królewskie *splendory*, świetność Paryża. Tu wkracza autor znów w dziedzinę właściwéj swemu pióru obrazowości i skreśla wymownie a jaskrawo światłocień, jaki przedstawiają naówczas z jednéj strony *dwór* i *stolica*, z drugiéj zbiedzona i wyniszczona *prowincya*. Odzywające się już wówczas głosy filozofów i ludzi pióra, sentymentalizmy Jana Jakóba, nic i w niczém smutnéj téj prawdy nie przeinaczają. Opisy turysty angielskiego zwiedzającego naówczas Francyą, Artura Younga, zapiski członków parlamentu, wypędzanego raz po raz rozporządzeniami królewskiemi na prowincyą, stwierdzają jednozgodnie fakt smutnego, opuszczonego stanu kraju, którego nędzę wprzódy razem z autorem poznać trzeba, aby z tém większém uczuciem wstrętu spoglądać na fałszywo-brylantową świetność dworu i stolicy. *Administracyjnie* panuje tu, jak już Tocqueville spostrzega, centralizacyjny system wykonywany z ramienia króla przez *trzydziestu* na całą Francyą intendentów. Społecznie i ekonomicznie ciążą nad nią dwa żywioły wyższe: duchowieństwo i szlachta. Jedno i druga posiadają niezmierne obszary ziemi. Wyższe duchowieństwo cieszy się ogromnemi dochodami, kiedy niższe cierpi niemal nędzę porówno z ludem. Szlachta korzysta z nie mniéj ogromnych dochodów, zjadanych swoją drogą u dworu i w stolicy i z licznych synekur. Kraj przygnieciony ciężarem podatków, wyniszczony w dodatku, jak autor malowniczo się wyraża, „dla zwierzyny i przez zwierzynę,“ któréj wieśniakowi zabijać nie wolno, która pustoszy jego pola a któréj *tykalność* jest wyłącznym przywilejem szlacheckim. Prócz tych dwóch wciągających w siebie naj-

żywotniejsze soki narodu i kraju pasorzytów, istnieje jeszcze trzeci, *dwór*, którego życie, organizm i charakter, autor ze szczególném skreśla zamiłowaniem.

Dość zapoznać się z zewnętrzną fizyonomią dworu, jak ją autor przedstawia, aby odwrotnie pojąć całą zgrozę nędzy i ubóstwa kraju, ciężar jego długów, stopień rozpaczliwości jego położenia. Posłuchajmy w tym względzie opowiadania autora. „Ponieważ,“ mówi, „szlachta jest ozdobą tronu, jest rzeczą tego, co go dzierży, wynagradzać ją, ile razy tego trzeba. Kilka cyfr i anegdot w téj mierze wziętych z pomiędzy tysiąca są rzadkiéj charakterystyczności. Książę de Pons miał 25.000 liwrów pensyi z łaski królewskiéj, poczém jeszcze J. Kr. Mość zechciała dodać 6.000 Pani de Marsan, jego córce, kanoniczce z Remiremont. Rodzina przedstawiła królowi zły stan interesów księcia de Pons, poczém J. Kr. Mość zechciała nadać księciu Kamillowi, jego synowi, 15.000 liwrów pensyi, wakującéj po zgonie jego ojca i 5.000 liwrów dodatku Pani de Marsan. P. de Conflans żeni się z Panną de Portail. Na rzecz tego małżeństwa postanowił król łaskawie, aby z pensyi 10.000 liwrów służącéj Pani prezesowéj de Portail, przypadło 6.000 Panu de Conflans po śmierci Pani Portail. P. de Sechelles minister ustępujący miał 12.000 liwrów dawnéj pensyi, którą król mu zachowuje. Ma nadto 12.000 liwrów pensyi jako minister a król daje mu prócz tego jeszcze 40.000 liwrów pensyi. Niekiedy są powody podobnych łask podziwienia godne. Wypada pocieszyć Pana de Rouillé, że nie uczestniczył w traktacie Wiedeńskim. Dlatego to dają jego siostrzenicy Pani de Castellane pensyą 6.000 liwrów a drugą wynoszącą 10.000 liwrów jego córce, Pani de Beuvron, bardzo bogatéj. P. de Puisieux użytkuje rentę wynoszącą około 60.000 do 70.000 liwrów z łaski królewskiéj. Prawda, że ma znaczne dobra, lecz dochód ich jest niepewny, składając się po większéj części z winnic. Udzielają pensyą 10.000 liwrów markizie de Lède, ponieważ się nie podobała Pani Infantce i trzeba, aby ustąpiła. Najbogatsi wyciągają ręce i biorą. Obliczono, że w ostatnim tygodniu rozdano sumę 128.000 liwrów na pensye dla dam dworskich, kiedy od dwóch lat nie dano najmniejszéj pensyi oficerom. 8.000 liwrów księżnéj de Chevreuse, któréj małżonek ma 4—500.000 liwrów renty, 12.000 Pani de Luynes, aby nie była zazdrosną, 10.000 księżnéj de Beaucas, 10.000 owdowiałéj księżnéj de Beaucas, matce poprzedzającéj i t. d. Na czele tych pijawek są książęta krwi. Król daje milion 500.000 franków księciu Conti na zapłacenie długów, z których milion pod pretekstem wynagrodzenia go za krzywdę sprzedaży hrabstwa Orange a 500.000 z łaski. Książę Orleanu

miał dawniéj 50.000 talarów pensyi jako ubogi i wyczekujący sukcesyi po swoim ojcu. Stawszy się przez ten wypadek bogatym i posiadając trzy miliony renty, zrzekł się swéj pensyi. Późniéj jednakże przedstawił, iżby był zmuszony wydawać ponad swoje dochody a król wrócił mu jego 50.000 talarów. W dwadzieścia lat późniéj, w roku 1780, kiedy Ludwik XVI chciał ulżyć skarbowi, podpisuje wielką reformę rozchodów dworskich (de la bouche), dają ciotkom królewskim 600.000 liwrów na utrzymanie ich stołu; otóż to, co ograniczając się, kosztują tylko publiczność owych trzech dam obiady. Dla dwóch braci królewskich 8.300.000 liwrów prócz dwóch milionów renty w apanażach. Dla Delfina, jego siostry, P. Elżbiety i ciotek królewskich 3.500.000, dla królowéj 4 miliony; otóż rachunek Neckera z roku 1784. Dodać do tego należy datki z ręki do ręki, przyznane lub tajne, 200.000 franków Panu de Sartines, aby mu pomódz do spłacenia długów, 200.000 Panu de Lamoignon wielkiemu pieczętarzowi, 100.000 Panu de Mirosmenil na koszta urządzenia, 160.000 wdowie de Maurepas, 400.000 księciu de Salm, 1.200.000 księciu de Polignac za zastaw hrabstwa Fenestranges, 754.337 ciotkom królewskim, aby zapłacić Bellevue. P. de Calonne, mówi Augeard, świadek kompetentny, zaciągnął, wstąpiwszy zaledwie w urząd, pożyczkę 100 milionów, z których czwarta część nie dostała się do skarbu królewskiego. Reszta została zjedzona przez osoby dworu. Obliczają, co dał hrabiemu d'Artois, na 56 milionów; część starszego brata królewskiego wynosiła 25 milionów. Dał księciu Condé w zamian 300.000 liwrów renty, 12 milionów na raz płatnych i 600.000 liwrów dożywotniéj renty i skłonił państwo do robienia najuciążliwszych nabytków, zamiana, któréj szkoda wynosiła więcéj niż 500 na 100. Nie zapominajmy, że przy dzisiejszéj taksie wszystkie te datki, pensye, renty, wynosiłyby cenę podwójną. Otóż to zatrudnienie wielkich figur przy władzy centralnéj. Zamiast uczynić się reprezentantami publiczności, chcą być faworytami panującego i strzygą trzodę powierzoną swéj pieczy."

Król sam i dwór *strzygą ową trzodę* w stosunku odpowiednim dworakom i książętom krwi. Otoczenie króla, mianowicie króla w podróży, składa się na armią 15.000 ludzi, kosztujących rok rocznie 45 milionów liwrów, w co się nie liczy długu, nie kończąca się prawie litania summ listy cywilnej wypłacanych monarsze, jego małżonce, książętom krwi. Każda zaś najmniéj pokaźna i na pozór najskromniejsza potrzeba owych osób ma w *ogólnéj* liście cywilnéj swą pozycyą *specyalną*. Nie ma zaś tak wyniosłéj, nie ma dość aureolą świętości czy męczeństwa otoczonéj osobistości, którąby pod tym względem nie figurowała tamże cyfrą, będącą równoczesną miarą

cierpień i udręczeń społeczeństwa, które się na sumę owych wszystkich cyfr swą pracą, mieniem i dobytkiem składało. Tak np. figuruje tysiącami franków *orżada* i *limonada* w liście cywilnéj siostry Ludwika XVI, ofiary rewolucyi, „*Pani Elżbiety*.“ Świadomość wartości pieniędzy ginie najzupełniej dla tego społeczeństwa. Królowa Marya Antonina kupuje sobie za 200.000 liwrów sanki, „ponieważ jej Król-małżonek nie na to przecież zrobił podobny podarunek, aby go zostawić bez odpowiedniego użytku.“ Książę Conti każe ścierać na piasek brylant wartości kilkunastu tysięcy liwrów, by nim posypać słodki bilecik, przeznaczony dla kochanki.

Wśród tego wszystkiego zaś pozostaje *królewskość* sama jakoby uwięziona i ubezwładniona w sidłach męczeńskiego ceremoniału i zabijającej etykiety. „Pozostaje,“ mówi autor, „ostatni przywilej, najogromniejszy z wszystkich przywiléjów króla; ponieważ w tym składzie dziedzicznéj szlachty jest on naczelnym wodzem dziedzicznym. W rzeczywistości nie jest jego stanowisko synekurą, jak jego godność; lecz ponosi niedogodności równie ciężkie a pokusy gorsze. Dwie rzeczy są zgubne dla człowieka, brak zatrudnienia i brak wędzidła; ani próżniactwo, ani wszechwładztwo nie są odpowiednie jego naturze a absolutny monarcha, który może wszystko czynić, podobnież jak rozpróżniaczona arystokracya, która nic nie ma do roboty, kończy na tém, iż się stają bezużytecznemi i szkodliwemi. Niepostrzeżenie, obejmując wszystkie władze, wziął król na siebie wszystkie obowiązki; ciężar ogromny przechodzący siły człowieka. Nie rewolucya bowiem, lecz monarchia zagnieżdżała we Francyi centralizacyą administracyjną. Pod dyrekcyą rady królewskiej, trzech naczelnych urzędników, na czele kontroler generalny, w każdej generalności intendent, w każdym okręgu wyborczym subdelegat, kieruje wszystkiemi sprawami, ustanawia, rozdziela i wybiera podatek i rekruta, zakreśla i każe wykonywać drogi, używa policyi, rozdaje wsparcia, reguluje uprawę roli, narzuca parafiom swą opiekę, traktuje jak lokajów urzędników municypalnych. Wieś, mówi Turgot, jest tylko zbiorem domów, chat i mieszkańców, równie biernych, jak one. W. K. Mość jesteś zobowiązaną rozstrzygać wszystko sama lub przez swych pełnomocników. Każdy wyczekuje jéj specyalnych rozkazów, aby się przykładać do dobra ogólnego, aby szanować prawa innych, niekiedy nawet, aby używać swoich własnych. Stosownie więc do tego, mówi Necker, jest Francya rządzona z łona biór. . Urzędnicy zadowoleni ze swego wpływu, nie omieszkują nigdy przekonywać ministra, że nie może się pozbawić obowiązku nakazywania wszelkich szczegółów. Biórokracya centralna, arbitralna, wszędzie wyjątki i fawory,—otóż sens moralny całego syste-

mu. Subdelegaci, urzędnicy kierujący wyborami, dyrektorowie, poborcy, kontrolerowie *dwudziestek* (vingtiémes), komisarze i poborcy podatków, pomocnicy ich wszelkiego rodzaju, — wszyscy ci ludzie służby poborczéj, każdy według swego stanowiska, poddają swéj małéj władzy i ogarniają swą umiejętnością fiskalną osobistości opodatkowanych, ciemne i niezdolne poznać się, gdy je oszukują. Centralizacya pospolitego rodzaju, bez kontroli, bez jawności, bez jednolitości, ustanawia na całym obszarze Francyi małych baszów, którzy w charakterze sędziów rozstrzygają spory, w jakich są stronami, rządzą przez delegatów a którzy, by nadawać pozór prawny swym grabieżom lub uciskom, mają zawsze w ustach imię króla zmuszonego pozostawić im swobodę działania. Istotnie téż dzięki swéj komplikacyi, nieregularności, ogromowi, machina owa usuwa się z pod możności jego kontroli. Fryderyk II wstający o czwartej z rana, Napoleon dyktujący część nocy lub w kąpieli i pracujący ośmnaście godzin dziennie, nastarczyliby tu zaledwie. Rządy takie nie ruszają się z miejsca bez uwagi ciągle wytężonej, bez niezmordowanej energii, bez nieomylnego sądu, bez surowości wojskowej, bez wyższego geniuszu; pod takiemi to tylko warunkami można zamienić 25 milionów ludzi na automatów i postawić własną wolę wszędzie światłą, wszędzie konsekwentną, wszędzie obecną, w miejsce *zbiorowej* woli, którą obala. Ludwik XV pozwala „*dobrej machinie*“ iść saméj a sam zamyka się w swéj apatyi. „*Tak chcieli*.“ „*myśleli, iż to dla dobra kraju*,“—taki to sposób mówienia, gdy czynności ministrów się nie powiodły. Gdybym był zawiadowcą policyi, mawiał jeszcze, zakazałbym kabrioletów. Poczyna rozumiéć dobrze, że machina się rozkłada; nie może temu w niczém zaradzić. W razie nieszczęścia ma swoję prywatną rezerwę, swoję osobną kieszeń. Król, mawiała Pani de Pompadour, podpisałby bez zacięcia assygnacyą na milion do skarbu publicznego a dałby zaledwie 100 lujdorów ze swej prywatnej szkatuły. Ludwik XVI usiłuje przez niejaki czas usunąć kilka niepotrzebnych kółek, zaprowadzić w ich miejsce lepsze, złagodzić ścieranie się reszty. Części tej machiny są jednakże zbyt zardzewiałe, zbyt ciężkie. Nie może ich uprościć, pogodzić, utrzymać na miejscu; ręka opada mu bezwładna i znużona. Poprzestaje na oszczędności dla siebie samego. Zapisuje w swym dzienniku naprawę zegarka a pozwala, aby wóz państwa, w rękach Calonna, napełniał się nowemi nadużyciami ku wejściu w dawną koléj, z któréj wyjdzie, by się tylko złamać. Bez wątpienia, zło, które wyrządzają sami lub które wyrządzają w ich imieniu, nie podoba im się i martwi ich; w gruncie jednakże sumienie ich nie jest zaniepokojoném. Mogą mieć współczucie dla ludu, lecz nie czują się win-

nymi względem niego, ponieważ są jego monarchami a nie pełnomocnikami. Francya jest dla nich własnością podobną, jak pierwsza lepsza włość, a pan nie grzeszy przeciw honorowi, skoro jest rozrzutnym i niedbałym. Marnotrawi *swój* majątek a nikt nie ma prawa żądać odeń za to sprawy."

Nic naturalniejszego przecież, jak że wśród podobnego ogromu *nieodpowiedzialności*, wśród podobnej dalej *nieograniczoności* władzy, wśród podobnego marnotrawstwa krajowego mienia, równie *reprezentacya* dawnej monarchii francuskiej, jak najbliższe jej otoczenie składające się z całej niemal arystokracyi kraju, popadają w stan próżniaczéj bezmyśli, której blichtr formy i zewnętrznego poloru nadaremnoby pokryć i zamaskować usiłował. Owo podwórze wersalskiego zamku przepełnione długim sznurem nieprzeliczonych powozów, owe komnaty zamkowe, zaludnione tłumem wyelegantowanych dygnitarzy, z których każdy od rana do wieczora czeka na spełnienie osobnéj funkcyi przy osobie królewskiéj, bądź to, by przy *petit lever* królewskim podać monarsze *robdeszan*, bądź by mu prezentować miednicę, bądź by służyć ręcznikiem, bądź, by stać wreszcie za nim w namaszczonej postawie, gdy klęczy i odmawia pacierze. Podobny ceremoniał przy śniadaniu, nie inny przy obiadach, wieczerzach, recepcyach i balach dworskich. Drogie godziny mijają na podobnych zatrudnieniach, rozpróżniaczają i rujnują arystokracyą, ale z drugiéj strony zamieniają i króla samego na męczennika, odbierając mu wszelką swobodę osobistą, pozbawiając go możności pracy dla kraju, choćby się jéj nawet chciał na prawdę oddawać. Fryderyk II, kazawszy sobie wyłożyć i wytłómaczyć kodeks etykiety na dworze francuskim, powiedział, iż pierwsza rzecz, którąby uczynił, będąc królem Francyi, byłaby nominacya osoby mającéj obowiązek pełnić zań wszelkie szczegóły i szykany ceremoniału, jakiemu arcychrześciański monarcha poddawać się jest zniewolony. Dodajmy do tego, że w stosunku do dworu ma każdy z książąt krwi, ma każdy dygnitarz kościelny i świecki, ma każdy magnat urządzony swój dom „*sa maison*," czy to książę Conti, czy książę de Levis, czy tyle słynny później z processu o naszyjnik królowéj kardynał de Rohan w alzackiém miasteczku Saverne; że każdy z nich ma swe „*petits levers*," swe recepcye, swe wieczerze i obiady, swe kochanki i swe partye polowania czy gry, a odpowiemy sobie łatwo na nasuwające się samo przez się pytanie: czy Francya mogła w podobnym stanie rzeczy trwać dłużéj i dlaczego dawna monarchia, dlaczego „*l'ancien régime*" rozsypał się w proch, nim jeszcze siekiera rewolucyjna w gmach jego uderzyła.

Nicość i *próżnia*, *blichtr* i świecące *próchno*, — otóż co podobne

życie i podobne instytucye tworzą w *tych* właśnie sferach społeczeństwa, które są powołane krajem rządzić. Król ginie w szykanach ceremoniału, w zabawach, w praktykach pobożnych na przemian. Ludwik XVI roznamiętnia się, co najwięcéj, do polowania, a najświetniejszym dowodem jego inteligencyi pozostanie zapisek w dzienniku z dnia 15 Lipca 1789, nazajutrz po szturmie Bastylli: „*Bonne chasse. Quatorze pièces tuées...*“ Arystokracya więdnie w tym samym stosunku i marnieje intelektualnie; wszystko obraca się na zewnętrzność i formę, dzieci wychowanie zaniedbane, lub co gorsza systematycznie psute, małżonkowie stronią nawzajem od siebie, tytułując się „*Monsieur*“ i „*Madame*;“ uczucie patryotyzmu zamiera, piosnka, *la chanson* odzywa się równie na klęskę pod Hochstädt, jak na klęskę pod Rosbach. Doniosłość niepowodzeń i nieszczęść narodowych mierzy się wartością ułożonych na upamiętnienie ich „*chansonetek*.“

Natomiast, co rozwinięte, rozwinięte do olbrzymiego, zapomnianego już dzisiaj i zagubionego najzupełniej stopnia, to—zmysł i umiejętność życia i zabawy. Spoglądając na skreślony przez autora pod tym względem obraz francuskiego społeczeństwa w ostatnich latach trwania dawnéj monarchii, nasuwa się mimowolnie paralela ze współczesném *naszém* a zarazem przychodzi się do przekonania, iż owa dewiza epoki drugiego Sasa: „*jedz, pij i popuszczaj pasa*,“ że orgie z czasów Stanisława Augusta dotrzymujące, rzecz dziwna, podobnie jak we Francyi, równego kroku usiłowaniom i pomysłom reformy,—nie były wyłączném *privilegium odiosum* Polski, że owe zapusty starego świata, mającego umrzéć z końcem XVIII wieku, były *wspólne* całemu społeczeństwu europejskiemu przed wielkim postem, jaki mu zgotował wybuch rewolucyi francuskiéj. Toczy się w ten sposób owo życie błyszczące i okazowe, o którem Talleyrand powiedział swego czasu, że kto nie znał społeczeństwa francuskiego z przed roku 1789, ten nie wié w ogóle, co to jest i co się zowie *życiem*.

„Czyż było się w ogóle starym w owym czasie?“ mówi w swych pamiętnikach Georges Sand. „Rewolucya dopiéro wprowadziła starość w świat. Twój dziad, moja córko, był pięknym, wesołym, eleganckim, troskliwym około siebie, wyperfumowanym, pełnym gracyi, równego humoru aż do godziny śmierci. Umiano żyć i umierać naówczas; nie miano niewczesnych słabości. Jeśli miano podagrę, zmuszano się mimo to do chodzenia na wszelki sposób bez wyrażenia bólu, ukrywano go ze względu na dobre wychowanie. Nie miano tych zatrudnień i interesów, które psują wnętrze duszy a czynią umysł ciasnym. Umiano się rujnować bez zwrócenia niczyjéj

uwagi, jak dobrzy gracze, którzy przegrywają bez okazywania niespokojności i niesmaku, kazano się nosić na partyą polowania w pół umarłym. Znajdowano, iż lepiéj umrzéć na balu lub na komedyi, aniżeli w łóżku pomiędzy czterma świecami i brzydkimi czarnymi ludźmi. Było się filozofem, nie udawano surowości obyczajów; posiadając ją niekiedy, nie pokazywało się jéj. Gdy się było mądrym, było się nim przez dobry smak i bez udawania pedantyzmu lub cnoty. Korzystano z życia, a gdy przyszła godzina jego utraty, nie starano się odstraszać odeń innych. Ostatniém pożegnaniem mego starego męża było zawezwanie mnie do długiego życia po nim i uczynienia go sobie przyjemném. Z kobietami nadewszystko nie wystarcza być grzecznym, trzeba być uprzejmym. U księcia Conti w Isle-Adam, każda zaproszona dama znajduje powóz i konie na swe rozkazy, jest panią dawania codziennie obiadów swemu osobnemu towarzystwu w swoim pokoju. Gdy Pani de Cevrac jest zmuszoną jechać do wód, biorą na siebie przyjaciele obowiązek bawienia jéj podczas podróży. Wyprzedzają ją o kilka poczt a we wszystkich miejscach, gdzie nocuje, dają jéj małą wiejską ucztę, przebrani za wieśniaków, mieszczan, z włodarzem, sołtysem i innemi maskami, które śpiewają i mówią wiersze. Pewna dama w wigilią uroczystości w Longchamp, wiedząc, że wicehrabia de P. ma dwa powozy, prosi go o jeden. Rozporządził nim, lecz strzeże się tłómaczyć z tego a natychmiast każe kupować karetę najwyższéj elegancyi, by ją pożyczyć na trzy godziny. Jest zbyt szczęśliwym, iż *chcą* odeń cośkolwiek bądź pożyczyć, a jego rozrzutność zdaje się uprzejmą, ale nie zadziwia. To téż kobiety są naówczas królowemi a rzeczywiście w salonie mają prawo być niemi. Otóż dla czego w XVIII wieku, pod każdym względem nadają ton i regułę. Ułożywszy kodeks zwyczajowy, rzeczą naturalną, iż go ułożyły na swoję korzyść i dokładają starania, aby wszelkie jego przepisy były zachowywane. Pod tym względem taki i owaki salon dobrego towarzystwa jest najwyższym trybunałem, gdzie sądzą w najwyższéj instancyi. Marszałkowa de Luxembourg jest powagą. Nie ma przyzwoitości, któréjby nie umiała wytłómaczyć w sposób pełen dowcipu. W skutek jednego słowa, w skutek przepomnienia jednego zwyczaju, popełniwszy najmniejszy pozór pretensyonalności lub trywialności, można się wystawić na jéj naganę bezapellacyjną i jest się zgubionym na zawsze w pięknym świecie. Dzięki jednemu trafnemu spostrzeżeniu, dzięki milczeniu, dzięki jednemu „o!“ wyrzeczonemu stosownie, zamiast „ah!,“ otrzymuje się od niéj, jak się to zdarzyło Panu de Talleyrand, patent najdoskonalszéj umiejętności życia, będący początkiem sławy i fortuny. Pod taką „*guwernantką*“ jest rzeczą jasną, że posta-

wa, gest, język, każda czynność lub bierność światowego życia, staje się, jak obraz lub poemat dziełem prawdziwéj sztuki, to jest nieskończonéj delikatności, zarówno wygodnéj, jak uczonéj a tak harmonijnéj we wszystkich swych szczegółach, że doskonałość pokrywa jéj trudność. Wielka dama wita dziesięć osób, kłaniając się naraz a dając głową lub wzrokiem każdemu, co mu się należy, to jest charakteryzując różnicę względów właściwą każdéj odmianie stanu, znaczenia i urodzenia. Ma do czynienia ciągle z miłościami własnemi, łatwemi do podrażnienia, tak że najmniejszy błąd miary byłby natychmiast pochwyconym. Nigdy jednakże nie myli się, ani waha w tych subtelnych różnicach; z taktem, ze zręcznością, z modulacyą głosu niezrównaną kładzie stopnie swego przyjęcia. Ma je dla kobiet stanowiska, dla kobiet znaczenia, dla kobiet dworu, dla kobiet tytułowanych, dla kobiet imienia historycznego, inny dla kobiet wielkiego urodzenia osobistego, lecz połączonych z mężem niższego rodu, inny dla kobiet, które zmieniły przez swe małżeństwo imię swe pospolite na imię świetne, inny jeszcze dla kobiet dobrego nazwiska w urzędowości, inny wreszcie dla tych, których główném odznaczeniem jest dom, wydający wiele i odznaczający się dobremi wieczerzami. Cudzoziemiec spogląda z osłupieniem podziwu, jak pewnym i zręcznym krokiem obraca się wśród tylu drażliwych próżności, nie narażając się niczém i nie dotykając nikogo. Umié wyrażać wszystko przez sposób swego szacunku, sposób rozmaity, objawiający się przez trudne do pochwycenia różnice, począwszy od towarzyszenia *jedném ramieniem* będącego prawie impertynencyą, aż do owego ukłonu szlachetnego i pełnego szacunku, który tak mało kobiet, nawet dworskich umié robić, owo pochylenie powolne, oczy spuszczone, postawa prosta i umiejętność podniesienia się, spoglądając wtedy skromnie na osobę, o którą chodzi i rzucając całe ciało w tył; wszystko to wyrachowańsze, delikatniejsze od słowa, lecz bardzo wyraźne jako środek objawienia szacunku.“

Otóż to życie owych warstw społeczeństwa francuzkiego, od którego zależały rządy kraju, życie próżniacze, powierzchowne, obliczone jedynie tylko na zewnętrzny okaz, na zachowanie reguł dobrego tonu, przeciw któremu zgrzeszyć jest większym występkiem aniżeli dopuścić się rzeczywistego grzechu. Niezaprzeczenie, jak powiada autor, następuje przeciw niemu reakcya głosu natury za inicyatywą Rousseau'a, pod wpływem jego *Emila*, pod wrażeniem jego *Wyznań* i *Nowéj Heloizy*. Wtedy to staje się w owych sferach powrót do natury modą, modą nie inną od dawniejszego „*bon ton*“ a będącą *afektacyą* natury, wśród któréj tenże sam „*bon ton*“ zmartwychwstaje, choć w odmiennéj postaci. Co zaś najciekawsza

to że ów dogmat wyższych sfer francuskiego życia nie zmienia się w gruncie rzeczy pod huraganem nawet późniejszéj rewolucyi. „*Bon ton*“ nie pozwala nigdy, w niczém i w obec nikogo zgrzeszyć przeciw regułom przyzwoitości, przez co zarazem ubezwładnia możność obrony, gdy się rewolucya przez swych sankiulotów poczyna czepiać *osób* dawnéj monarchii. Żaden arystokrata dawnéj Francyi pochwycony za kołnierz, by być pociągnionym do więzienia a ztamtąd najprostszą drogą pod gilotynę, niezdolny odpłacić się Jakobinowi równą monetą, odpowiedziéć na jego brutalną zaczepkę pięścią lub pistoletem. Idzie „*przyzwoicie*,“ z zachowaniem „*dobrego tonu*“ do więzienia, by późniéj nawet w obliczu śmierci, pod nożem gilotyny pozostawić opinią nienaruszalnego przestrzegania owego kodeksu życia, który obliczony na zewnętrzność, stał się przecież treścią i duszą francuskiego społeczeństwa z ostatnich lat dawnéj monarchii.

Przedstawiwszy w ten sposób, w barwnym i żywym obrazie naczelne i wyższe warstwy społeczeństwa francuskiego, czyli właściwiéj powiedziawszy to, co było wówczas i co reprezentowało Francyą, przechodzi autor w analizie swéj genezy rewolucyi francuskiéj do zbadania i ocenienia owych pierwiastków Francyi *nowéj*, która nagle, niespodzianie, niepostrzeżenie jakoby, miała wysadzić w powietrze starą, a która kiełkowała, podnosiła się, wzrastała pod próchniejącą, rozpadającą się i strupieszałą skorupą wierzchnią. Na poród, pod ową starą, *nowéj* Francyi, składa się mnóstwo, nie mniéj materyalnych, jak moralnych czynników. Pominąwszy pierwsze, których doniosłości najlepszą miarą jest obraz życia dworu i arystokracyi z owéj epoki, zwróćmy się wraz z autorem pokrótce do poznania i ocenienia drugich. Są one przedewszystkiém ogólnéj natury, charakteru kosmopolitycznego, niemającego żadnéj cechy specyalnie i wyłącznie narodowéj. Mamy tu na myśli postęp nauk przyrodzonych, znamienity pod koniec XVIII wieku we wszystkich ich gałęziach, naturalnego bardzo wpływu na wszelkie pojęcia w dziedzinie wiary, filozofii i stosunków społecznych. Wpływ ów staje się widocznym i panującym w literaturze filozoficznéj XVIII wieku, nadaje jéj osobne piętno a zarazem nie omieszkuje w specyalném zastosowaniu do Francyi, nadać jéj usposobieniu duchowemu i moralnemu charakteru, który dopiéro w rewolucyi i przez rewolucyą staje się zrozumiałym i zyskuje swój właściwy sens moralny. *Niewiara* w sferze duchowéj, *socyalizm* w sferze materyalnéj, otóż podwójne żniwo, jakiego nie wydać nie mogły z jednéj strony korrupcya i próżnia warstw wyższych, z drugiéj budzący się naturalnie ich krytycyzm.

Tém samém wchodzi autor w sferę ocenienia literatury przedrewolucyjnéj, czynnika, jak nie potrzeba powiadać, nieobliczonéj wagi w mającéj nastąpić katastrofie. Uznając jéj wagę, nie jest przecież autor bynajmniéj bezwzględnym wielbicielem jéj wartości. Co w niéj przedewszystkiém uderza, to przymusowy pewien klasycyzm, to brak swobody i natury. Porównywając literaturę francuską owéj epoki, Florianów, Marmontelów, Rousseau i Voltaire'ów nawet, z literaturami współczesnemi, mianowicie angielskiego narodu, zauważy autor, iż literatury innych narodów przedstawiają naturalne typy, że dają jasne wyobrażenie o ówczesném społeczeństwie swojém, kiedy francuska kreśli postaci i sytuacye abstrakcyjne a nadto ginie w sielankowości i sentymentalizmie, przedstawiających regularnie prosty lud, choćby nawet i dzikich wysp Spokojnego Oceanu z idealnéj strony. Ów brak prawdy i natury, mimo niezaprzeczonego talentu a większéj jeszcze wpływowości pisarzy francuskich, udziela się wszelkim ich utworom, nie wyjmując teatru.

„Zdaje się,“ mówi autor, „czytając ich, że klimaty, instytucye, cywilizacya, które zmieniają umysł ludzki zupełnie, są dlań prostą zewnętrznością, przypadkowemi osłonami, które dalekiemi będąc od dotknięcia jego głębi sięgają zaledwie powierzchni. Zadziwiająca różnica, dzieląca ludzi dwoma wiekami lub dwiema rasami, uchodzi ich uwagi. Starożytny Grek, chrześcianin pierwszych wieków, zdobywczy German, człowiek feodalny, Arab Mahometa, Niemiec, Anglik epoki odrodzenia, purytanin, ukazują się w ich książkach prawie jak w ich rycinach i na ich naczółkach, z pewnemi różnicami ubioru, lecz z temi samemi ciałami, z temi samemi twarzami, z tą samą fizyonomią, wydelikatnieni, zamazani, przyzwoici, zastosowani do ogłady współczesnéj. Sympatyczna wyobraźnia, za pomocą któréj pisarz przenosi się w istotę kogoś innego i odtwarza w samym sobie system zwyczajów i namiętności przeciwnych swoim, jest talentem, na którym zbywa najwięcéj XVIII wiekowi. W drugiéj połowie jego przebiegu, z wyjątkiem Diderota, który się nią źle i na chybi—trafi posługuje, zaciera się zupełnie. Przypatrzmy się równolegle w tymże samym peryodzie, we Francyi i Anglii, dziedzinie literatury, w któréj znajduje najszersze swe zastosowanie, romansowi, rodzajowi ruchomego zwierciadła, które można przenieść wszędzie a które jest najwłaściwsze do odbijania wszelkich oblicz natury i życia. Gdy czytałem seryą romansopisarzy angielskich, Foëgo, Richardsona, Fieldinga, Smolleta, Sternego i Goldsmitha aż do Miss Burney i Miss Austen, znam Anglią XVIII wieku. Widziałem duchownych, gentlemenów wiejskich, właścicieli folwarków, oberżystów, żeglarzy, ludzi wszelkich stanowisk, wysokich i niskich; znam

szczegóły majątków i zatrudnień, wiem co się zarabia, co się wydaje, jak się podróżuje, co się je i co się pije. Mam w ręku szereg szczegółowych biografij, obraz zupełny o tysiącu odmian całego społeczeństwa, najzupełniejszy zbiór skazówek, by się ich trzymać, skorobym chciał skreślić historyą tego minionego świata. Gdy natomiast czytam seryą odpowiednią romansopisarzy francuskich, Crebillona syna, Roussea, Marmontela, Duclosa, Restifa de la Brétonne, Louveta, Panią de Stael, Panią de Genlis i resztę, doliczając Merciera aż do Pani Cottin, nie mam prawie nic do spamiętania. Małe, pozytywne i pouczające fakta są opuszczone, widzę grzeczności, uprzejmości, galanterye, żarty, rozmowy towarzyskie, ale na tém koniec. Nie powiedzą mi nic ani o piéniądzach, ani o cyfrach; nie opowiedzą mi małżeństwa, procesu, zarządu ziemi; nie znam położenia księdza, pana wsi, zawiadowcy, rządcy. Wszystko co się dotyczy prowincyi i wsi, mieszczaństwa i kramu, armii i żołnierza, duchowieństwa i klasztorów, sprawiedliwości i policyi, interesu i gospodarstwa, pozostaje nieokreślonėm lub staje się fałszywém. Aby ztamtąd wydobyć cośkolwiek, trzeba się zwrócić do tego cudownego Voltaire'a, który, skoro zrzucił swą odświętną szatę klasyczną, ma pewną swobodę i powie wszystko. O organach najżywotniejszych społeczeństwa, o regułach i praktykach mających wywołać rewolucyą, o prawach feodalnych i sprawiedliwości panów, o rekrutowaniu i wnętrzu klasztorów, o urzędach celnych prowincyj, korporacyach i stowarzyszeniach, o dziesięcinie i podatku, literatura nie nauczy mnie niczego. Zdaje się, że dla niéj są tylko salony i literaci. Reszta nie istnieje; po za obrębem dobrego towarzystwa, które rozmawia, Francya zdaje się próżną. Skoro przyjdzie rewolucya, odosobnienie staje się jeszcze większém. Przebiegnijmy mowy trybuny i klubów, sprawozdania, motywa praw, pamflety, tyle pism natchnionych przez wypadki obecne i dolegające a nie znajdziemy żadnéj idei o istocie ludzkiéj, jaką się ma przed oczyma, na polach i na ulicy. Wyobrażają ją sobie zawsze jako prosty automat, którego mechanizm jest znany. U pisarzy była ona zawsze pozytywką o frazesach; dla polityków jest teraz pozytywką do głosowania, którą dość poruszyć palcem w stosownėm miejscu, aby ją skłonić do dania potrzebnéj odpowiedzi. Nigdy nie ma tu faktów, same tylko abstrakcye, szeregi sentencyi o naturze, rozumie, narodzie, tyranach, wolności, rodzaje balonów nadętych i uderzających się bez celu w przestrzeniach. Gdyby się nie wiedziało, że wszystko to steruje do skutków praktycznych i straszliwych, możnaby myśléć o grze logiki, o ćwiczeniach szkolnych, o paradach akademii, o kombinacyach ideologii. Rzeczywiście też, ideologia, ostatni

płód wieku, nada duchowi klasycyzmu ostateczną formułę i ostatnie słowo.“

Otóż ogólny sąd autora o literaturze francuskiéj XVIII wieku, która przecież mimo to, mimo swéj frazesowości, mimo swéj deklamacyjności, mimo ustępów złego smaku czy to w *Emilu*, czy w *Nowéj Heloizie* Rousseau‘a, mimo socyalistyczno-absolutystycznych porywów w jego *Contrat Social*, ogarnia swym wpływem coraz szersze koła i coraz głębsze warstwy społeczeństwa francuskiego. Co dzięki dziełom Voltaire‘a, Rousseau‘a, Montesquieu‘go, Diderota, było pod koniec panowania Ludwika XV właściwością i własnością najwyższych sfer społeczeństwa francuskiego, salonów i arystokracyi, staje się w drugiéj połowie panowania jego następcy własnością ulicy. Każdy filozofuje, każdy rozprawia o składzie społeczeństwa, o formie rządu, ubolewa nad cierpieniami „*ludu*,“ reformuje świat według układu społecznego Rousseau‘a lub sentymentalizuje nad niesprawiedliwością organizacyi towarzyskiéj stylem Floriana.

Co zaś najlepsza, to że reprezentanci owego świata nowych idei są uprzywilejowanym przedmiotem czci i owacyj *tych* właśnie sfer, przeciw którym się głównie zwracają, dworu i arystokracyi. Arystokracya francuska tonie w objawach czci dla pisarzy współczesnych, król szwedzki Gustaw III ma sobie za zaszczyt, gdy go Rousseau odwiedza. Duch humanizmu zaczyna wnikać w instytucye i praktykę polityczną, *Bastylla* w dzień swego szturmu liczy ze wszystkiém *siedmiu więźniów*, między którymi ani *jednego* politycznego. Wybuch rewolucyjny spotyka ową abdykującą dobrowolnie, ustępującą z placu arystokracyą niepotrzebnie i niezasłużenie, torując drogą władzy, przewadze i panowaniu mieszczaństwa. Co się *jego* tyczy, widać je pod koniec panowania Ludwika XVI wszędzie. Nie pragnąc wywrotu, domaga się tysiącem głosów reformy, któraby wyłącznie i jedynie wypadła na *jego* korzyść. Przejmując się nie inaczéj od arystokracyi i szlachty wyobrażeniami, wychodzącemi z łona nowéj literatury i filozofii, usiłuje widocznie praktycznie ich zastosowanie ograniczyć na swéj własnéj sferze, zrównać się społecznie i politycznie ze szlachtą, nie dopuszczać jednakże, by czasem *wszelkie* przegrody dzielące społeczeństwo miały być zniesione i aby masa tego, co się nazywa ludem, miała się zmieszać w zdobywanych swobodach z pretendującém do równości ze szlachtą mieszczaństwem. Podobnie jego egoistyczna ambicya przebija się nawet w pamiętnym pamflecie Sieyèsa: *Qu‘est-ce qu‘est le tiers-état?* a co najcharakterystyczniejsza dla ocenienia doniosłości tak ogro-

mną wagę w dziejach Francyi i ludzkości mającéj cyfry roku 1789, odnosi zwycięztwo i dochodzi do urzeczywistnienia swego programu.

Rewolucya francuska, pominąwszy jéj wybryki gwałtowne, jéj stronę dramatyczną na wewnątrz, epopejową na zewnątrz, jest społecznie i politycznie wziąwszy, wypadkiem sankcyonującym panowanie mieszczaństwa we Francyi, faktem wielce podobnym do owych secessyi *plebsu* w dziejach Rzymu, sprowadzających w rezultacie zrównanie i zmieszanie w *jeden* naród *patrycyatu* i *plebsu*, z pozostawieniem mściwości Spartaków i Vindexów na boku. Jest to zresztą prawda, którą bardzo trafnie dostrzegł Ludwik Blanc w swych dziejach rewolucyi francuskiéj.

Pozostaje w ocenieniu i poznaniu czynników i żywiołów przedrewolucyjnéj Francyi *jeden* jeszcze *pierwiastek*. Jest nim *lud* we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Autor, przystępując do téj części swego zadania, skreśla ponury obraz położenia ludu francuskiego z pierwszych lat panowania Ludwika XV i ostatnich jego poprzednika. La Bruyère pisze na sto lat przed rokiem 1789. „Widać jakieś dzikie zwierzęta, samców i samice, rozrzucone po wsiach, czarne, żółte, spalone od słońca, przywiązane do ziemi, którą uprawiają i przerabiają z niezwyciężoną wytrwałością. Mają jakoby głos wyrażający różnicę tonów a gdy wstają na nogi, pokazują twarz ludzką i w rzeczywistości są ludźmi. W nocy chronią się do chat, gdzie żyją czarnym chlebem, wodą i korzonkami. Oszczędzają innym ludziom pracy zasiewu, uprawy i zbierania do życia a w ten sposób zasługują, aby im nie zbywało na chlebie, który zasiali.“ Autor przytacza według swego zwyczaju więcéj podobnych, współczesnych świadectw, potwierdzających tylko w gruncie rzeczy czarny obraz La Bruyèra. Jakżeż to mimowolnie przypomina, co współcześnie o wieśniaku naszym powiadają Kitowicz, Stefan Garczyński autor *Anatomii Rzeczypospolitéj*, Staszic wreszcie, i jakimże to dowodem, iż nie jeden tylko w Europie współczesny *polski* wieśniak znajdował się w stanie wymagającym reformy, nie mniéj w interesie ludzkości, jak w samymże interesie cierpiącego na jego nędzy państwa, jakiż to daléj światłocień z owym polorem arystokracyi, blaskiem słonecznym dworu, owym brylantowym proszkiem księcia Conti na liściku do kochanki! Już choćby tylko w prostém zestawieniu podobnie jaskrawych przeciwieństw leży naturalne rozwiązanie zagadki późniejszego wybuchu rewolucyjnego!

Autor odbywa istną pielgrzymkę po wszystkich prowincyach ówczesnéj Francyi, a stan wieśniaka przedstawia mu się wszędzie smutnym, opłakanym, ponurym z powtarzającą się straszliwie monotonnością, z tém samém piętnem nędzy na twarzach, z tym samym

czarnym, owsianym chlebem, czy to na południu, czy na północy. Jako przyczynę owéj nędzy wskazuje autor straszliwy ciężar podatków. Zestawiwszy szereg bardzo wymownych pod tym względem cyfr, przychodzi do następnéj konkluzyi: „Podobne cyfry są straszliwie wymowne a mniemam, że je mogę objąć *jedną*. Jeśli się weźmie razem Normandyą, Orleans, Soissons, Szampanią, Ile de France, Berry, Poitou, Auvergne, Lyon, Gaskonią i Wyższą Guyenne, krótko powiedziawszy główne prowincye, znajdzie się, że na sto franków czystego dochodu, podatek bezpośredni odbierał poddanemu takowemu 53 franki czyli więcéj, niż połowę. Jest to prawie pięć razy tyle, co dzisiaj.“ Po téj uwadze, będącéj nie mniéj konkluzyą dotychczasowych, jak wstępem nowych pod tym względem zastanowień, skreśla autor tysiączne owe udręczenia, którym podlegał wiejski lud Francyi ze strony fiskalnéj. Tu podatek monopolu solnego, tam podatek od uprawy wina, tam ciężar załogi wojskowéj nakładany choćby najbiedniejszemu, bądź to w naturze, bądź w piéniądzach. Rezultatem tego wszystkiego razem nędza, zbrodnia, stan moralny, który nie ma nic wspólnego z sielankowemi obrazami, jakie sentymentalny humanizm współczesnéj literatury francuskiéj poświęca idealnie temuż samemu ludowi. Lud Francyi, wśród owéj nędzy, owego ucisku, owéj ciemnoty dziczeje, wydaje masy włóczęgów, żebraków, bandytów. Mandrin wypowiadający za Ludwika XV wojnę społeczeństwu, prowadzący istną kampanią na wschodzie Francyi z armią celników i żandarmów, staje się jego ideałem. Gorsza może jeszcze od tego, iż staje się ponuro podejrzliwym, nie wierzy dobroczynnym intencyom, jakie się wówczas w interesie jego dobra na prawdę budzić poczynają, że swą wrogą i zaczepną w obec stanów wyższych postawą, zapowiada wcale niedwuznacznie, *nie* pasterza Florianowego, lecz reprezentanta grozy i gwałtu z czasów późniejszéj rewolucyi. Istny to ów historyczny szaleniec zburzonéj Bastylli, który nie rozumiejąc swych oswobodzicieli, zabiera się własnemi kajdanami roztrzaskać im czaszkę.

O repressyi zaś, o możności powściągnienia wybryków, którym się tenże lud coraz więcéj oddaje, nie ma na prawdę mowy. „*La marechaussée*,“ żandarmerya, przedstawia jeszcze pewien element wykonawczéj siły w ręku władzy; armia za to, znajdująca się pod względem materyalnym w nie lepszém położeniu od ludu, nurtowana temi samemi, co on wpływami, rozkłada się i rozwięzuje powoli, jak wszystkie organiczne pierwiastki przedrewolucyjnéj Francyi. Żołnierz płatny licho, żywiony chudo, bity kijami, nie może naturalnie stanowić środka skutecznéj działalności w ręku rządowym.

Ztąd to tłómaczy się owa dziwna łatwość późniejszego rewolucyi zwycięztwa, ztąd również ów pogrom armii *przedrewolucyjnéj* przez wojska koalicyjne. Nowa dopiéro idea tworzy nowe siły i nową energią. Tak to wobec upadającéj z całym swym przyborem organicznym dawnéj monarchii „*de l'ancien régime*," pozostaje na placu jako jedyna władza: siła brutalna w usługach radykalnego dogmatu. „Są one," mówi autor, „następcami i zatracicielami staréj monarchii, a gdy się patrzy na sposób, w jaki *ona* je zrodziła, wychowała, wyżywiła, intronizowała, wywołała, nie można się oprzéć uważaniu jéj historyi jako długiego samobójstwa, podobnie jak człowieka, któryby wstąpiwszy na szczyt ogromnéj drabiny podciął pod swemi nogami stopnie, co go podtrzymują. W podobnym przypadku dobre intencye nie wystarczają; nie zda się na nic być liberalnym a nawet szlachetnym, zapuszczać się w połowiczne reformy. Przeciwnie, zarówno przez swe przymioty, jak przez swe błędy, przez swe cnoty, jak przez swe wady pracują uprzywilejowani nad swym upadkiem, a zasługi ich przyczyniły się do ich upadku równie dobrze, jak ich grzechy. Będąc twórcami społeczeństwa, zyskawszy niegdyś korzyści przez swe usługi, zachowali swój stopień, nie pełniąc jego obowiązków. W rządzie miejscowym, jak w rządzie centralnym, miejsce ich jest synekurą a przywileje ich stały się nadużyciami. Na czele ich król, który stworzył Francyą, poświęcając się dla niéj, jak dla swéj własnéj rzeczy, kończy na używaniu jéj jako własnéj rzeczy. Piéniądz publiczny jest jego piéniądzem kieszonkowym a namiętności, próżności, słabości osobiste, przyzwyczajenia zbytku, pieczołowitości familijne, intrygi metress, kaprysy małżonek rządzą państwem 26-milionowém z dowolnością, niedbalstwem, rozrzutnością, nieprzezornością, niekonsekwencyą, niedającemi się tłómaczyć nawet w zarządzie prywatnego majątku. Król i uprzywilejowani odznaczają się pod *jednym* tylko względem, umiejętnością życia, dobrym smakiem, dobrym tonem, talentem reprezentacyi i przyjmowania, darem rozmowy z gracyą, delikatnością i wesołością, sztuką przemiany życia na ucztę zajmującą i świetną, jak gdyby świat był salonem wymuskanych próżniaków, gdzie wystarcza być dowcipnym i przyjemnym, kiedy tymczasem jest cyrkiem, gdzie trzeba być silnym do walki, i pracownią, w któréj trzeba nie ustawać, by być użytecznym. Przez to przyzwyczajenie, przez tę doskonałość i ten wpływ umiejętnéj konwersacyi, nadali duchowi francuskiemu formę klasyczną, która skombinowana z nowemi zdobyczami naukowemi, wydaje filozofią XVIII wieku, poniewierkę tradycyi, pretensyą przetopienia wszelkich instytucyj ludzkich według samegoż rozumu, zastosowanie metod matematycznych do polityki

i moralności, katechizm praw człowieka, wszystkie dogmaty anarchiczne i despotyczne *Społecznego układu*. Skoro się chimera raz narodziła, przyjmują ją u siebie jako rozrywkę salonową; bawią się z małym potworem, jeszcze niewinnym, owitym wstążkami, jak owieczka z bajki. Nie wyobrażają sobie, że się może stać kiedyś wściekłém i straszliwém zwierzęciem, żywią go, pochlebiają mu, następnie pozwalają mu ze swych pałaców zstąpić na ulicę. Tam, u mieszczaństwa, które rząd drażni, szkodząc jego majątkowi, które obrażają przywileje, powściągając jego ambicye, które nierówność dotyka, raniąc jego miłość własną, bierze teorya rewolucyjna wzrost szybki, czerpie siłę a po upływie kilku lat znajduje się niezaprzeczoną panią opinii. W téj to chwili i na jéj wezwanie powstaje inny kolos, potwór o milionowéj głowie, masa ślepa i rozwścieklona, cały naród gnębiony, rozdrażniony i nagle rozkiełznany przeciw rządowi, którego podatki odzierają, przeciw przywilejom, których prawa go ogładzają; kiedy po wsiach opuszczonych przez naturalnych opiekunów, nie napotyka się żadnéj pozostałéj władzy, kiedy w prowincyach poddanych mechanicznéj centralizacyi nie ma korporacyi niezależnéj; kiedy w tém społeczeństwie rozstrojoném przez dospotyzm nie mogą się utworzyć ogniska inicyatywy i oporu; kiedy w téj wyższéj klasie rozbrojonéj przez własną swą ludzkość, nie ma polityka wolnego od iluzyi a zdolnego czynu; kiedy tyle dobrych woli i pięknych inteligencyj nie może się bronić przeciw dwom nieprzyjaciołom wszelkiéj wolności i wszelkiego porządku, przeciw zarazie marzenia demokratycznego, które zamąca najlepsze głowy i przeciw wybrykom brutalności ludowéj, która wywraca najlepsze prawa. W chwili, kiedy się rozpoczynają Stany Generalne, bieg wyobrażęń i wypadków jest nietylko oznaczony, lecz jeszcze dostrzegalny. Z góry i mimowiednie niesie każda generacya w sobie saméj swoję przyszłość i swoję historyą; *téj* właśnie długo przed jéj rozwiązaniem, można było przepowiedzieć jéj losy a gdyby szczegóły podpadały naszym jasnowidzeniom równie dobrze, jak całość, możnaby wierzyć fikcyi następnéj, którą La Harpe nawrócony wymyślił pod koniec dyrektoryatu, układając swoje wspomnienia.“

Tutaj opowiada autor znane dobrze, powtarzane tylokrotnie, przypisywane mistycznemu Cazotte‘owi proroctwo kończące się przepowiednią, że ostatnim człowiekiem ginącym w imię filozofii, któremu pozostawią spowiednika, będzie król Francyi....

Na tém kończymy sprawozdanie nasze z dwóch dzieł dwóch równie znakomitych pisarzy francuskich, z których każdy ze swego stanowiska wziął na siebie zaszczytne nie mniéj, jak trudne zada-

nie zbadania przedrewolucyjnéj Francyi, ku tém skuteczniejszéj analizie *genezy* rewolucyi francuskiéj. Wielka w tém zasługa a zadanie, powtarzamy, trudne, ponieważ według dotychczasowéj metody historyografii francuskiéj, owa rewolucya wyskakiwała nagle i gotowo na widownię dziejową, istnie jak Pallas-Atene z Jowiszowéj głowy, ponieważ nadto starano się jakoby umyślnie przerwać i zagubić moralne, polityczne i społeczne nici, jakie ją logicznie wiązały z przeszłością. Obu pisarzom należy się zasługa, nowa na polu francuskiego dziejopisarstwa, wydobywania na wierzch naturalnego związku między katastrofą rewolucyjną a całą warstwą jéj przeszłości. Suchy i logiczny Tocqueville wykazuje, jak mało *społecznie* i *administracyjnie* wstrząśnienie rewolucyjne zdołało przeinaczyć i odróżnić Francyą dawnéj monarchii od Francyi przychodzącéj do ładu *po* rewolucyi, jak dalece centralizacya administracyjna dawnéj monarchii, *nieobalona* przez rewolucyą, zdołała przetrwać do dni naszych. Taine wykazuje jak na dłoni swém obrazowém, malowniczém opowiadaniem, logiczną konieczność katastrofy. Przeciwbiegunowe przeciwieństwa świetnéj i błyszczącéj arystokracyi z jednéj, żyjącego czarnym chlebem, udręczonego podatkami, ciemiężonego fiskalnością rządową ludu z drugiéj strony, nie mogły nie skończyć w dziejowym przebiegu i postępie krwawém z sobą starciem, jak dwie lokomotywy pędzące ku sobie z przeciwnych stron niepowstrzymanym pędem. Wybuch rewolucyjny i jego charakter stają w opowiadaniu obu pisarzy w mniéj idealnéj niż dotąd postaci. Dotąd idealizował każdy z pisarzy francuskich olbrzymią katastrofę ze swego szczególnego stanowiska, Thiers ze stanowiska pojęć i programu zgromadzenia narodowego z roku 1789; Lamartine ze stanowiska Żyrondy; Blanc ze stanowiska „*ofiar Thermidora*;“ Michelet ze stanowiska „*Góry*“ (de la Montagne). Tocqueville i Taine rzucają na bok ideały, dają natomiast ścisłą anatomiczną analizę przyczyn, sprężyn i powodów rewolucyjnego wybuchu. Traci na tém poezya, zyskuje *prawda* historyi. *Potrzeba* jéj zaś Francyi, potrzeba, jeśli zdolna jeszcze regeneracyi a godna wielkiego stanowiska w składzie narodów europejskich na przyszłość, ponieważ dotąd nie mniéj w historyi, jak w polityce żyła *frazesami*. Rozstając się z nią, mówiąc nieosłonioną ani przesądem tradycyjnym, ani próżnością narodową *prawdę*, spełniają obaj pisarze równie czyn patryotyzmu, jak *dopełniają* nowego zadania na polu narodowéj historyografii, która, postępując torem wyłamanym wśród owych pierwszych lodów, może oddać niespożytą usługę duchowi, usposobieniu i charakterowi swego narodu *niekoniecznie* i *niewyłącznie* w naukowéj tylko sferze.

K. Jarochowski.

WYCHOWANIE PUBLICZNE W ANGLII

WEDŁUG ŹRÓDEŁ ANGIELSKICH I NIEMIECKICH

opracował

Teofil Krasnosielski.

(Dokończenie).

IV.

Daty statystyczne.—Urządzenie wewnętrzne i zewnętrzne szkoły.—Przedmioty wykładowe. — Metody nauczania. — Zadania domowe. — Postępy uczniów.—Szkoły wyższe, niższe, parafialne, prywatne.—Trades-i Birbeck-schools.—Infant-schools.—Scientific-institutions. Szkoły wieczorne.—Szkoły niedzielne.—Workhous-Pauper - i Charityschools. Industrial - i Ragged-schools. Penal-schools.

Ciekawą bez wątpienia byłaby dokładna statystyka szkolna W. Brytannii i Irlandyi z ostatnich dziesiątków lat, podająca ilość i jakość szkół (szkoły codzienne i niedzielne, dzienne i wieczorne, z programem zupełnie elementarnym i z wyższym, rządowe i wolne), ilość uczniów i uczennic w szkołach rozlicznych kategoryj, ilość nauczycieli, seminaryów i seminarzystów, stosunek uczących się do ogólnéj liczby ludności oraz dzieci pobierających naukę do niepobierających, ilość indywiduów nieumiejących czytać i pisać oraz stosunek tychże do ogólnéj ludności, wydatki łożone przez państwo, gminy i korporacye na oświatę ludową itd. Takiéj dokładnéj statystyki jednakże dotąd nie ma; tylko wiadomości o szkołach rządowych są dosyć pewne i dokładne. Dlatego téż ograniczamy się do kilku ważniejszych wiadomości.

Subwencya rządowa, która w r. 1833 wynosiła dla Anglii i Walii tylko 20.000 f. w r. 1839 30.000 f., poczęła szybko wzrastać od r. 1850, kiedy wynosiła 125.000 f., w roku 1860 blizko 725.000, w 1870 przeszło 900.000, a w r. 1876 1.707.055 f. Ogół wydatków na wychowanie elementarne w całéj W. Brytannii i w Irlandyi był w r. 1875: z kasy państwa (tj. z ogólnych podatków) : 2.228.470 f., z podatku szkolnego 846.065 f., z opłaty szkolnéj 1.198.098 f., ze składek dobrowolnych 897.858 f., z fundacyj szkolnych 118.545 f., razem 5.289.036 funtów szterlingów czyli 31.734.216 rs. (licząc funt. szterl. po 6 rs.).

Ilość szkół zostających pod inspekcyą rządową (inspected schools) była w Anglii i Walii w r. 1875: 14.067, w Szkocyi —2.890.

Ilość dzieci, mogących uczęszczać do szkoły była w Anglii i Walii w r. 1875 3.229.111; z tych zapisanych było w listy szkolne: 2.273.721, lecz rzeczywiście uczęszczających albo chodzących regularnie było tylko: 1.863.176, czyli 56 procent wszystkich dzieci. W Szkocyi w tymże roku cyfry odnośne były następujące: 407.002—357.668 i 312.346, czyli 76 proc. (1).

Urządzenie zewnętrzne szkół elementarnych jest w Anglii bardzo rozmaite. Niejedna szkoła pod względem obszerności, wykwintności i wygody nie pozostawia nic do życzenia, podczas gdy inne mieszczą się w nędznych chatach wiejskich lub w jakim zaułku wielkiego miasta. Dawniéj budynki szkolne były w ogólności w bardzo złym stanie, dopiéro w ostatnich czasach, dzięki zabiegliwości Rad i towarzystw szkolnych, poczęto stawiać lub przerabiać domy szkolne odpowiednio do wymagań pedagogiki, porządku i hygieny.

Szkoły budowane na stary sposób przebudowują i rozszerzają się, przyczém tak Wydział edukacyjny jak i towarzystwa szkolne chętnie dostarczają kosztorysów. Książki, karty, a nawet ławki, katedry itp. nabywają się w składach głównych tegoż wydziału lub towarzystw po cenach jak najniższych.

Przedewszystkiém zwraca się uwagę na zdrowe położenie: plac przeznaczony na szkołę powinien obejmować przynajmniéj 1.200 łokci kw. po 3 stopy ang. na łokieć, ażeby oprócz gmachu szkolnego i budynków gospodarskich pomieścić na nim jedno lub dwa podwórza, przeznaczone do zabaw i gimnastyki. Sala szkolna powinna mieć przynajmniéj 12 stóp wysokości, dobrą wentylacyą i dobre światło.

---

(1) Nie należy zapominać o tém, że jest tu mowa tylko o szkołach rządowych.

Jest ona zwykle podługowata, wzdłuż jednéj ściany stoi 3 lub 4 rzędy ławek, wznoszących się coraz wyżéj od wnętrza sali ku ścianie i oddzielonych jedna od drugiéj osobném przejściem. U przeciwległéj ściany w środku znajduje się katedra nauczyciela; pomiędzy nią a ławkami jest tyle miejsca, że z łatwością tamże pomieścić się mogą grupy uczniów około nauczyciela lub którego z jego pomocników, czytając przed nim, lub wydając lekcyą, podczas gdy inni uczniowie siedzą w ławkach, zajęci pisaniem, rysunkiem lub czémś podobném. Następnie dzieci zmieniają miejsce: ci co stali powracają, śpiewając i maszerując w porządku do ławek, tamci zaś idą przed katedrę. Lekcye trwają krótko, zwykle tylko półgodziny; w odstępach pomiędzy lekcyami w celu odświeżenia umysłu i ciała dzieci na komendę prostują się i wyciągają, albo téż śpiewają krótką piosenkę, w dłuższych pauzach wybiegają na podwórze, bawią się, gimnastykują. Lekcyj codziennie jest przed południem 2—3, po południu 1½—2 godzin, oprócz środy i soboty, w które to dni po południu zwykle jest rekreacya.

Urządzenie wewnętrzne szkoły odpowiada tylko w części takiemuż urządzeniu na stałym lądzie. Uczniowie dzielą się jak wszędzie na klasy według wiadomości, nie według wieku. Kilka klas, albo oddziałów (częstokroć 6—8) mieści się w jednéj sali, niekiedy jednakie pojedyncze klasy bywają oddzielone od siebie kotarą, parawanem itp. Takie pomieszczenie kilku klas w jednéj sali jest w Anglii bardzo zwyczajném, mianowicie w szkołach wyższych. Chłopcy i dziewczęta zwykle zupełnie są oddzieleni albo téż, zwłaszcza w szkółkach dla drobnych dzieci, uczą się wspólnie. Główny nauczyciel, albo nauczycielka, prowadzi nadzór nad wszystkiemi dziećmi, uczy sam jednę klasę, podczas gdy pomocnicy prowadzą naukę w innych klasach.—Planu normalnego dla wszystkich szkół nie ma; każdy nauczyciel uczy według planu, przyjętego w szkole wzorowéj tego seminaryum, w którém się kształcił, i używa książek przepisanych przez odpowiednią władzę.—Karność podtrzymuje się oprócz zwykłych pedagogicznych środków także i użyciem kary cielesnéj; z drugiéj znów strony istnieją nagrody za pilność i dobre obyczaje. W wielu szkołach przyjęty jest system przesadzania w czasie lekcyj, tj. uczeń dobrze odpowiadający otrzymuje wyższe miejsce lub zajmuje miejsce tego, który źle odpowiadał; w innych znów wcale nie przesadzają, lecz jako odznaczenie udzielają uczniowi karteczki pewnego koloru; gdy zaś uczeń otrzyma pewną ilość karteczek, natenczas wymieniają mu takowe na karteczki innego koloru, mające wyższe znaczenie itd. Tak np. za 10 białych karteczek uczeń otrzymuje jednę czerwoną, za 5 czerwonych—jednę niebieską, a pod ko-

niec roku uczniowie najwięcéj odznaczeni otrzymują nagrody w książkach i w pieniądzach. Obejście się z dziećmi pomimo istniejącéj jeszcze kary cielesnéj, zresztą rzadko używanéj, jest w ogóle liberalniejsze aniżeli w innych krajach. Jak w szkołach wyższych, tak i w początkowych, dzieciom pozostawiona jest wielka swoboda: są one przeto śmiałe i ożywione, ale téż swawolne i nieukrócone.

Przedmioty wykładowe są bardzo rozmaite. W Anglii nie ma tak jak u nas ścisłéj różnicy pomiędzy szkołą niższą a wyższą lub średnią, elementarną a uczoną. Dlatego to są np. szkoły elementarne z tak obszernym programem, jak u nas gimnazya, nie wyłączając języków starożytnych, nawet w szkołach dla dziewcząt. Jednakże takich szkół jest niezmiernie mało; po większéj części zaś ograniczają się do właściwych przedmiotów elementarnych, jakiemi są: religia, czytanie, pisanie, rachunki, niekiedy jeografia, języki nowożytne, rysunki, śpiew, robótki dla dziewcząt, mechanika dla chłopców itp. W szkołach rządowych obowiązkowe przedmioty są: czytanie, pisanie i rachunki, lecz pozostawia się zwierzchności szkolnéj według potrzeby i odpowiednio do kwalifikacyi nauczyciela rozszerzyć program szkoły. O wykładzie religii już wyżéj była mowa.

Wyrobienie najodpowiedniejszéj *metody* nauczania jak wszędzie tak i w Anglii okazuje się rzeczą najtrudniejszą. Trudność mianowicie zasadza się na tém, ażeby przy nauczaniu znacznéj ilości dzieci utrzymać uwagę tak całéj klasy jak i każdego ucznia zosobna. Dla przełamania téj trudności, pierwotnie używano w Anglii systemu monitorów, tj. dzielono klasę na małe oddziały, z których każdy był powierzony jednemu ze starszych zdolniejszych uczniów. Ponieważ jednakże monitorzy zadanie swe spełniali niedostatecznie, przeto (około r. 1830) w szkołach elementarnych w Anglii i Szkocyi weszła w użycie tak zwana *metoda jednoczesnego mówienia* (simultaneous method), któréj wynalazcą był Dawid Stow w Glasgowie (o nim por. niżéj). Według téj metody cała klasa, albo oddział, uważa się jako jedność, pojedyńczy zaś uczeń prawie zupełnie się ignoruje, tak iż np. cała klasa czyta razem, albo odpowiada na pytanie nauczyciela wspólnym okrzykiem. Tym sposobem utrzymuje się uwaga całéj klasy przez to, że się od niéj żąda wspólnego objawu myśli, nadto zyskuje się na czasie i w ogóle albo przez konsekwentne zastosowanie téj jednéj metody, albo przez połączenie z drugiemi otrzymuje się na pozór świetne rezultaty. Jednakże niedostatki téj metody są widoczne. Pomijając już to, że organa mowy u każdego indywiduum są odmienne i powinny być indywidualnie kształcone, że dzieci

przywykają mówić monotonnie i śpiewająco, najważniejszy niedostatek téj metody jest ten, że wspólna czynność całéj klasy prawie zawsze będzie tylko mechaniczną, tj. że tylko kilku uczniów zdolniejszych, czyli przywódcy klasy rozumieją to, co czytają lub mówią, reszta zaś tylko mechanicznie potakuje, albo nawet tylko rusza wargami. „Najważniejszym rezultatem nauczania jest rozwinięcie samodzielności umysłu i zaufania w swoje własne siły; metoda zaś jednoczesnego mówienia wprawdzie rozwija energią wspólnego wydawania dźwięków, lecz, oprócz u przywódców klasy, wywołuje u pojedyńczych uczniów tylko niepewność i wahanie. Żołnierzy ćwiczy się masami, ponieważ późniéj będą działać masami; lecz uczniów należy jak najściśléj przysposobić do działania indywidualnego.“ Takie zdanie wydał o téj metodzie przed laty dwudziestu p. Laurie, inspektor szkół (1). Pomimo to metodę tę można bardzo dobrze zastosować, jeżeli chodzi o to, ażeby nadać przedmiotowi wykładanemu charakter liturgiczny, albo gdy chodzi o rzeczy czysto pamięciowe, np. o tabliczkę mnożenia lub alfabet.

Obecnie więcéj jest w użyciu tak zwana *metoda indywidualna*, według któréj nauczyciel zawsze ma do czynienia tylko z jednym uczniem, przyczém naturalnie starać się powinien o utrzymanie uwagi całéj klasy, albo oddziału. Metoda ta jest niezaprzeczenie racyonalniejszą od poprzedniéj, lecz i znacznie trudniejszą, wymaga bowiem od nauczyciela większych zdolności i większego doświadczenia pedagogicznego. Na szczęście dzisiejsi nauczyciele elementarni w Anglii (a mamy tu na myśli nauczycieli wykwalifikowanych) posiadają jedno i drugie w daleko wyższym stopniu, aniżeli ich koledzy przed trzydziestu lub czterdziestu laty. W ogólności dzisiejsi nauczyciele dążą do tego, ażeby wyrugować wszelkie mechaniczne nauczanie, a natomiast starają się prawidłowo kształcić umysł, uczucie i wyobraźnię dzieci. Czasami jednakże wpadają w przeciwny błąd, posuwają się za daleko i, zamiast uczyć, czytają jakby prelekcye, nie umieją się zastosować do pojęcia uczniów lub zbytecznie obciążają ich pamięć. Wyrównanie tych ostateczności, jak również racyonalne połączenie dwóch powyższych metod należy jeszcze w Anglii do niedalekiéj przyszłości.

Metoda poglądowa albo „lekcye przedmiotów“ (lessons on objects), jak ją w Anglii nazywają, nie znalazła jeszcze w szkołach angielskich takiego rozpowszechnienia, jak np. w Ameryce lub

---

(1) Por. Wagner: das Volksschulwesen im England 1864, str. 162.

niektórych krajach w Europie. Metoda ta w Anglii głównie używa się w szkółkach dla drobnych dzieci, których umysł rozwija się i wiadomości wzbogacają się przez pokazywanie i objaśnienie przedmiotów pod zmysły podpadających.

Rzeczą stosunkowo nową, są w szkołach angielskich *zadania domowe.* Dawniéj kontentowano się, byle tylko dzieci przychodziły do szkoły i zajmowały się w szkole; dzisiaj uważają za stosowne, zadawać im także do domu, o ile na to pozwala położenie rodziców. Dla uniknięcia dyktowania i oszczędzenia przez to czasu i pracy, w wielu szkołach używają drukowanych karteczek zadaniowych, których zbiory, systematycznie ułożone do wszystkich przedmiotów szkolnych, są do nabycia w handlu księgarskim. Takie karteczki naklejone na papkę dają się dzieciom do domu. Zawierają one przykłady arytmetyczne, kawałki do czytania lub przepisywania, pytania z różnych przedmiotów do odpowiedzi ustnych, nawet małe wzory rysunkowe itd.

Postępy uczniów zależą od dłuższego lub krótszego, więcej lub mniej regularnego uczęszczania do szkoły, a także od zdolności nauczycieli i od używanej przez nich metody. Najlepsze postępy i w ogóle najlepsze szkoły elementarne są tak zwane „wyższe szkoły" (Upper schools, zwane także Commercial schools), których zresztą jest niewiele. Są to albo połączone ze seminaryami nauczycielskiemi szkoły wzorowe, albo téż inne szkoły miejskie, do których uczęszczają przez lat kilka (zwykle 6) dzieci rzemieślników i zamożniejszych robotników. W takich szkołach program jest następujący. Nauka religii (w szkołach wyznaniowych): czytanie i uczenie się na pamięć biblii, katechizmu, wyjątki z liturgii i historya kościelna. Nauka czytania: z początku na tablicach do czytania, następnie na elementarzach, wreszcie na książkach do czytania, w których pomieszczone są biografie i opowiadania historyczne; z nauką czytania połączona jest elementarna gramatyka języka angielskiego i opowiadania przeczytanych ustępów. Nauka pisania: kaligrafia, przepisywanie z książki, krótkie ćwiczenia na temat poprzednio przeczytany lub objaśniony, wreszcie rysunki. W arytmetyce dochodzą do ułamków i do reguły procentu prostego i spółki. Tak zwana nauka „ustna" jest to jeografia, zwłaszcza W. Brytannii i kolonij, oraz objaśnienie różnych przedmiotów z życia codziennego, z nauk przyrodzonych, z techniki i t. p. przy pomocy rysunków i metody poglądowéj. Starsi uczniowie uczą się także śpiewać z nut i śpiewają w kościele na chórze. Cel tych szkół, który téż w większéj części osiągają, jest: gruntowne, praktyczne i zaokrąglone wykształcenie elementarne.

Jednakże zupełnie inne rezultaty bywają w zwyczajnych albo

„niższych szkołach“ (lower schools), których jest daleko więcej jak poprzednich. Są to także szkoły miejskie, lecz uczęszczane przez dzieci biedniejszych robotników, i mają program właściwie taki sam jak poprzednie, lecz w skutek krótkiego i nieregularnego uczęszczania do szkoły, oraz w skutek ustawicznego przechodzenia z jednéj szkoły do drugiéj (w wielkich miastach fabrycznych w ciągu roku cały skład szkoły prawie zupełnie się zmienia) uczniowie nabywają tylko powierzchownych wiadomości, i po wyjściu ze szkoły, umieją zaledwie jako tako czytać, pisać i cokolwiek rachować. W ostatnich latach jednakże stan tych szkół zaczyna się polepszać, mianowicie też uczęszczanie do szkoły stało się dłuższém i regularniejszém w skutek energicznych środków, przedsięwziętych przez Rady szkolne.

Oprócz „wyższych“ i „niższych“ istnieje mnóstwo innych szkół elementarnych pod rozmaitemi nazwami. Najliczniejsze z nich są szkoły wiejskie, tak zwane „parafialne“ — Parish — albo Parochial-schools, t. j. szkoły utrzymywane przez parafią anglikańską i zostające pod bezpośrednim nadzorem proboszcza anglikańskiego. W szkółkach tych najbiedniejsze dzieci otrzymują bezpłatnie naukę, a po części i odzież, inne zaś wnoszą opłatę szkolną. Różnica pomiędzy Parish — a Parochial-schools jest ta, że pierwsze utrzymują się głównie z podatku szkolnego rozłożonego na gminę, drugie zaś— z dobrowolnych składek i z kolekty zbieranéj w kościele.

Oto co o tych i im podobnych szkołach pisze Schöll *): „Wartość szkoły częstokroć zależy od tego, jak dalece duchowni lub władze miejscowe interesują się zakładem powierzonym ich pieczy, jak dalece swym wpływem umieją dostarczyć dostatecznych funduszów do pomyślnego stanu szkoły. Liczne szkoły, mające od 200 do 400 dzieci, z dobrym nauczycielem głównym i z pomocnikami (zwykle 1 na 40 dzieci) okazały się daleko lepszemi od mniejszych szkółek, w których jeden nauczyciel uczy do 80 dzieci. Szkoły, w których chłopcy oddzieleni od dziewcząt, są lepsze aniżeli mieszane. Dziewczęta lepiéj uczą się pod kierunkiem nauczycielek, które umieją i karność szkolną utrzymać z równą łatwością i pewnością jak mężczyzni. Dzieci wiejskie pojmują w ogóle prędzéj i robią większe postępy w przedmiotach interesujących (jak jeografja i nauki przyrodzone), ale zwykle nie nabywają tak gruntownych wiadomości jak dzieci miejskie, obejmujące naukę wolniéj ale gruntowniéj. Czytanie po większéj części idzie gorzéj od innych przed-

*) Encyklopaedie des gesammten Eriehungs- und Unterrichtswesens herausgegeben von K. A. Schmid—w artykule „Grossbritannien und Irland“ tom III, str. 104.

miotów, ale prawie bez wyjątku lepiéj u dziewcząt niż u chłopców. Inspektorzy rządowi często skarżą się na to, że uczniowie nie rozumieją tego co czytają, lub czego się nauczyli, że nauka zwłaszcza historyi i jeografii często jest zbyt mechaniczną, że dzieci więcéj się tresują jak wychowują. Jednakże we wszystkiém tém pokazuje się obecnie wielki postęp w porównaniu z przeszłością. Natomiast trudno zaradzić największemu złemu, t. j. krótkiemu i nieregularnemu uczęszczaniu do szkoły; naznaczano nagrody za regularne uczęszczanie do szkoły (capitation grants albo payement by results), ale bezskutecznie. Niezamożni rodzice są prawie zmuszeni, posyłać dzieci jak najwcześniej na zarobek, a ponieważ, zwłaszcza w okolicach fabrycznych i w wielkich miastach, nadarza się do tego wiele sposobności, przeto dzieci opuszczają szkołę po większej części w wieku lat 10 lub 11. Ponieważ zaś program szkoły obrachowany jest na lat kilka, w przybliżeniu do 13 roku życia, to przy najlepszym programie i przy najlepszym nauczycielu nie osiąga się żądanego rezultatu."—Do tych słów, pisanych przed 18 laty, a więc dzisiaj nieco przestarzałych, dodajmy to, co i poprzednio, a mianowicie, że od tego czasu wiele się poprawiło, zwłaszcza też uczęszczanie do szkoły, w skutek środków przedsięwziętych przez parlament i przez rząd, stało się o wiele dłuższém i regularniejszém.

Zbytecznėm prawie zdaje się nadmienić, że każda z powyższych i innych szkół, jeżeli zechce i jeżeli wypełni warunki żądane przez rząd, może otrzymywać wsparcie rządowe, i w takim razie zaliczoną jest do „inspected schools," t. j. do szkół zostających pod inspekcyą rządową. Jeżeli szkoła należy do zarządu towarzystwa narodowego lub brytańskiego, nazywa się National albo British-school; tak samo szkoła utrzymywana przez inne towarzystwo szkolne nosi nazwę tegoż.

Wszystkie powyższe szkoły można nazwać publicznemi w tém znaczeniu, że są utrzymywane przez gminy lub korporacye, z podatku i opłaty szkolnéj, ze składek dobrowolnych i legatów, a nadto przeważnie większa część ich korzysta ze wsparcia rządowego. Oprócz tego istnieją jeszcze szkoły zupełnie prywatne i zupełnie „wolne," t. j. nie otrzymujące wcale wsparcia rządowego. Takich szkół jest bardzo wiele, albowiem w Anglii istnieje nieograniczona swoboda w otwiéraniu zakładu naukowego, zupełnie jak w otwiéraniu handlu, warsztatu lub fabryki. Pomimo ograniczenia przez kontrolę Rad szkolnych, o któréj wyżéj była mowa, szkoły prywatne liczą znaczną ilość uczniów z zamożniejszych klas ludności (opłata bowiem w nich jest dosyć wysoka), głównie dlatego, że zwykle z wychowaniem elementarném kombinują średnie i wyższe, przez

co dają sposobność nabycia wykształcenia, potrzebnego do zawodów praktycznych. Wartość ich jest bardzo rozmaita: zależy to głównie od kwalifikacyi i dobréj woli zwierzchnika, oraz od środków, jakiemi rozporządza, od tego, jakich nauczycieli posiada itp. Na szczególniejszą wzmiankę zasługują ze szkół prywatnych tak zwane „Trades-schools“ (szkoły handlowe i rzemieślnicze odpowiadające niemieckim wyższym „Bürgerschulen“) i tak zwane „Birbeck-schools.“ Ostatnie otrzymały nazwę od Dr. Birbecka, który przed 20 laty pierwszy podał myśl do założenia takich szkół. Wyróżniają się one od innych zupełną bezwyznaniowością (entirely secular education); mają być szkołami elementarnemi, lecz jak to często bywa w Anglii, przechodzą po za program elementarny i są raczéj szkołami przygotowawczemi do zakładów technicznych.

Ważną rolę w uzupełnieniu wychowania elementarnego lub w przygotowaniu do tegoż stanowią różne szkoły i instytucye pomocnicze.

Do ostatnich zaliczyć winniśmy szkoły dla drobnych dzieci (Infant-scools) (1). Szkółki te albo istnieją samodzielnie, albo połączone są z innemi szkołami elementarnemi, są zaś prowadzone przeważnie przez kobiéty, rzadko przez mężczyzn, niekiedy przez mężczyznę i kobiétę. „Rzecz zadziwiająca,“ powiada Voigt (2), „jak wcześnie posyłają dzieci do tych szkółek. W szkole St. Martin (w Londynie) widziałem dzieci ośmnastomiesięczne! Najmłodsze z nich, które jeszcze nie mogły brać udziału w nauce, gdyż dopiéro od skończonego trzeciego roku zaczynają się uczyć, siedziały spokojnie przy kominie. Były to po większéj części dziewczęta, z których jedna trzymała na kolanach malutkie dziecko płaczące. Dzieci te po to tylko posyłają się do szkoły, ażeby się nauczyły spokojnie siedziéć i przyzwyczaiły się do porządku. Lecz gdy nauczycielka drugim dzieciom kazała śpiéwać (a śpiéwały one wcale nieźle), to i gromadka siedzących przy kominie wtórowała.“ Cel tedy tych szkółek jest: przyzwyczaić dzieci do porządku i czystości, a nadto nauczyć ich pierwszych początków nauk i tym sposobem

---

(1) Założycielem tego rodzaju szkółek był Robert Owen (1771—1858), znany reformator społeczny, który w roku 1816 założył pierwszą Infant-School w New-Lanark w Szkocyi, poczém szkółki te z zadziwiającą szybkością rozpowszechniły się nietylko w Anglii i Szkocyi, lecz także i w wielu krajach stałego lądu. W ostatnich znów czasach metoda Froeblowska licznych znalazła zwolenników, importowane „ogródki dziecięce“ przyjęły się w Anglii wraz z nazwą niemiecką, są tedy i „kindergarten schools“ i „kinderg. teachers“ i „kinderg. examinations,“ a nawet istnieje także „Froebel society.“

(2) Mittheilungen über das Schulwesen Englands und Schottlands (1863), str. 384.

przygotować do właściwych szkół elementarnych. Metoda poglądowa, systematyczność w objaśnianiu i nauczaniu, zasadzająca się na przechodzeniu od rzeczy najłatwiejszych do trudniejszych, gry, ruch i ćwiczenia fizyczne utrzymują dzieci w świeżości umysłu i ciała. Do siódmego roku życia dzieci uczą się w tych szkółkach czytać, po części także pisać i śpiewać, obznajmiają się z liczbami, uczą się na pamięć wyjątków z biblii, nabywają pewnych wiadomości z nauk przyrodzonych i z historyi biblijnéj. Z takiém przygotowaniem wstępują następnie do właściwéj władzy elementarnéj, w któréj do 11 lub 12 roku życia mogą nabyć tyle wiadomości, iż późniéj z łatwością uzupełniają swoje wykształcenie.

Instytucyj mających na celu uzupełnienia wychowania elementarnego istnieje obecnie w Anglii bardzo wiele. Są to stowarzyszenia, noszące różne nazwy, jak Scientific—Mechanic, albo Literary institutions (niemieckie „Fortbildungsvereine“). Członkowie takich stowarzyszeń otrzymują za pewną opłatę książki i gazety do czytania, słuchają prelekcyj miewanych dla nich przez specyalistów, uczą się języków nowożytnych, matematyki, historyi, rysunków i t. d. Najlepszą instytucyą tego rodzaju jest założone w Londynie w roku 1854 „kolegium dla ludzi pracujących“ (Workingmen‘s college), prawdziwa akademia dla klas pracujących, w któréj wykładają się przedmioty w zakresie wyższych szkół realnych, a nawet niektóre przedmioty filozoficzne.

Dla ludzi nieposiadających żadnego albo niedostateczne wykształcenie elementarne, przeznaczone są szkoły wieczorne (Evening-schools albo Evening-classes) (1), w których uczą czytać, pisać i rachować, w niektórych także gramatyki, jeografii, historyi, matematyki, buchhalteryi, nowych a nawet starożytnych języków.

Obecnie nie ma prawie miasta w Anglii, któreby nie posiadało przynajmniéj jednéj z powyższych szkół lub stowarzyszeń, a wszyscy ludzie zamożni chętnie zaopatrują takowe w mapy, rysunki, aparata i t. p. nieodzowne przedmioty; istnieją nawet komitety egzaminacyjne (prywatne), przed którémi uczniowie takich szkół zdają egzamin i od których otrzymują świadectwa.

Obszerniejsza wzmianka należy się szkołom niedzielnym (Sunday-schools), najprzód dla tego, że jakeśmy wyżéj widzieli, dały one pierwszy popęd do powszechnego wychowania elementarnego

---

(1) Zwyczajne szkoły, w których lekcye odbywają się wśród dnia, nazywają się ogółowo „dziennemi“ (day schools).

w Anglii, a powtóre dlatego, że i dziś jeszcze są niezbędnemi. W szkółkach tych uczono dawniéj tylko religii, od lat kilku zaś w niektórych także i innych przedmiotów; a ponieważ mimo nadzwyczajnego rozkrzewienia się szkół codziennych i powiększenia liczby uczących się, znaczna ilość dzieci jednakże nie pobiéra żadnéj nauki, przeto dla tych ostatnich szkoła niedzielna jest jedyną ucieczką i jedyném źródłem oświaty i moralności. Następnie, ponieważ w wielu szkołach codziennych nie uczą wcale religii, a ma to miejsce głównie w szkołach dyssydentów, przeto dzieci, uczęszczające do takich bezwyznaniowych szkół, byłyby pozbawione nauki religii, gdyby w szkółce niedzielnéj nie miały łatwéj sposobności obeznania się z zasadami swéj wiary. Tym sposobem szkoły niedzielne są łącznikiem pomiędzy kościołem a szkołą i zostają zwykle pod nadzorem duchownego oraz rady wybieranéj z pośród gminy. Wyraźnie zaznaczyć wypada, że każda szkoła niedzielna ma charakter ściśle wyznaniowy, t. j. że służy przedewszystkiém interesom *jednego* wyznania, chociaż dzieci innych wyznań mogą do niéj także uczęszczać. Najwięcéj krzątają się około rozwoju szkół niedzielnych dyssydenci, gdyż dla nich są one ważnym łącznikiem jedności religijnéj.

Rzecz zastanawiająca, że właśnie od czasu i w miarę mnożenia się szkół codziennych liczba szkół niedzielnych nie tylko się nie zmniejszyła, lecz przeciwnie znacznie wzrosła; jak zaś bez assocyacyi nic się nie dzieje w Anglii, tak i na tém polu skromnéj, lecz nadzwyczaj pożytecznéj pracy prawdziwie zdumiewającą widzimy działalność. Już w r. 1803 powstało towarzystwo pod nazwą „Zjednoczenie szkół niedzielnych" (Sunday-school-union), działające w tym samym duchu co towarzystwo brytańskie, t. j. służące interesom dyssydentów. To „zjednoczenie" prowadzi znaczny handel książkami, wydaje 8 czasopism miesięcznych, rozchodzących się w przeszło 100.000 egzemplarzy, nakłada książki podręczne, udziela wsparcia szkołom niedzielnym i każe je wizytować przez członków zarządu. Kościół anglikański posiada także od r. 1844 swoje stowarzyszenie pod nazwą „Church of England Sunday-school-institute;" tak samo i Weslejańczycy mają osobne szkółki niedzielne i osobny zarząd tychże.

W ostatnich czasach zwrócono głównie uwagę na przysposobienie nauczycieli do szkół niedzielnych; w tym celu towarzystwa urządzają nie tylko zebrania nauczycieli w celu zobopólnych narad, lecz także i rodzaj seminaryów w ten sposób, że wieczorem w dzień powszedni zbiérają się nauczyciele dla wysłuchania lekcyi wzo-

rowéj danéj przez doświadczonego nauczyciela, lub prelekcyi o metodzie nauczania. Nauczyciele zaś szkółek niedzielnych są to młodzi ludzie, należący po większéj części do klas pracujących, dobrowolnie i bezpłatnie przyjmujący obowiązki nauczania w dni świąteczne. Takich dobrowolnych nauczycieli było już w r. 1860 w saméj Anglii 318.000, cyfra zaiste zdumiewająca i przykład godny naśladowania. Obecnie zaś liczba ta bez wątpienia znacznie się jeszcze powiększyła. Na każdego nauczyciela przypada 7 do 8 uczniów, lub uczennic.

Szkoła odbywa się każdą niedzielę w kościele, albo w domu na ten cel najętym lub własnym. Dzieci i nauczyciele zbiérają się dwa razy, rano i po południu. Rozpoczynają śpiewem, następnie czytają biblią, mówią wspólną modlitwę, potém słuchają zadanych na pamięć lub (dla nieumiejących czytać) wyuczonych na poprzedniéj lekcyi wyjątków z biblii, objaśniają wybrane miejsca z katechizmu, pod koniec ma miejsce krótka przemowa duchownego, wreszcie śpiew i modlitwa. Oprócz dzieci uczęszcza nieraz do szkół niedzielnych i młodzież dorosła, a nawet ludzie starsi.

Wpływ szkół niedzielnych na moralność ludu jest, bez przesady mówiąc, ogromny. Najprzód bowiem nauczyciele nie oddając się w dni świąteczne zgubnemu próżniactwu i szkodliwym rozrywkom, lecz spędzając czas na pożytecznéj i przyjemnéj pracy, stają się sami poważniejszymi i moralniejszymi członkami społeczeństwa. Następnie dzieci z najniższych warstw ludności nabywają w szkole niedzielnéj pojęcie o religii i moralności, obznajmiają się z biblią, uczą się szanować prawo i obowiązek. Wreszcie i sami rodzice stają się lepszymi, najprzód przez swoje dzieci a powtóre i przez wpływ nauczycieli, którzy, nie ograniczając się na kształceniu młodego pokolenia, odwiedzają rodziców, zawiązują z nimi stosunki przyjaźni, są dla nich radą i pomocą. To téż zarówno rodzice umieją cenić dobrodziejstwo świadczone ich dzieciom i przyjmują żywy udział w losach szkoły, jak i dzieci po opuszczeniu szkoły zachowują czułą wdzięczność dla niéj, częstokroć wpisują się w poczet nauczycieli téjże i przyjmują udział we wszystkich uroczystościach, urządzanych przez szkołę, do któréj uczęszczali.

Szkoły niedzielne nie wyczerpały jeszcze dobroczynności i ofiarności Anglików; nie zapomniano także o najnieszczęśliwszych, o małoletnich żebrakach, włóczęgach i przestępcach.

Pierwsi otrzymują wraz z rodzicami utrzymanie i wychowanie w przytułkach dla biédnych, przy których istnieją szkółki (Workhous-schools). Dzieci biédnych rodziców, otrzymujących jałmużnę od swéj parafii, wychowują się bezpłatnie w tak zwanych „Pauper-

schools.“ Tak zwane „Parochial-charityschools“ istnieją w wielkich miastach (jak np. wielka szkoła tego rodzaju pod nazwą „St. Nicolas charity school“ w Londynie); w nich biédne dzieci otrzymują bezpłatnie naukę, a po części i utrzymanie.

Małoletni włóczęgi, których mianowicie w Londynie są legiony, zwani „City Arabs“, znajdują schronienie i naukę w „szkołach pracy“ (Industrial-schools), albo w „szkołach dla obszarpańców“ (Raggedschools). Najznakomitszą instytucyą opiekującą się tego rodzaju szkołami jest założone w r. 1844 w Londynie towarzystwo pod nazwą „Ragged-school union,“ które posiada obecnie w stolicy kilkaset szkółek, kilkadziesiąt tysięcy uczniów (z których jedni pobiérają naukę we dnie, inni wieczorem), kilkuset stałych nauczycieli, tyleż monitorów i kilka tysięcy dobrowolnych nauczycieli, uczących w niedzielę i wieczorami. Chłopcy, uczęszczający przez rok z pożytkiem do szkoły, otrzymują nagrody lub jakie miejsce za pośrednictwem towarzystwa. Za największą nagrodę wszakże uważają sobie malcy przyjęcie do „towarzystwa czyścicieli obuwia“ (Shoeblack-society), którzy podzieleni na 9 „brygad“ i umundurowani we dnie pełnią swoje czynności na ulicach Londynu, wieczorem zaś powracają do szkoły dla dalszéj nauki.

To samo towarzystwo utrzymuje także domy schronienia dla całkiem osieroconych lub opuszczonych dzieci, oraz noclegi dla dorosłych włóczęgów obojéj płci, którzy za przytułek i pożywienie muszą słuchać nauki w szkole wieczornéj. „Jest to dziwny widok, gdy się w tym samym lokalu widzi dzieci, napół obdartych mężczyzn i starców, dziewczęta i kobiéty w małych grupach siedzące naokoło panów i dam, zajmujących się z poświęcenia dla tych nieszczęśliwych ich nauczaniem. Te szkoły są to jakby gałganiarki, zgarniające z ulic i zaułków wszystko to, co w innych szkołach nie może lub nie chce znaléźć przytułku. O pożyteczności tych zakładów panuje tylko jeden głos, tym więcéj, że często zgłaszają się do tychże i matki opuszczonych dzieci, na naukę religii i robót ręcznych oraz po radę w sprawie porządnego prowadzenia domu, przez co i na życie domowe najbiédniejszéj ludności wywiera się dobroczynny wpływ.“

Małoletni przestępcy, wskazani przez sądy, bywają posyłani do zakładów poprawy (Reformatories), odpowiadających naszym osadom rolnym, przy których znajdują się szkoły zwane „Penalschools.“

Wreszcie na wzmiankę zasługują szkoły dla dzieci marynarzy, żołnierzy itp.

V.

Stan nauczycielski.—Pierwsze seminaryum nauczycielskie w Battersea. - Statystyka seminaryów.—Kształcenie do zawodu nauczycielskiego: pupil-teachers, assistant-teachers, principal - teachers.—Seminarya: stypendya, zarząd, nauczyciele; zewnętrzne urządzenie, metoda, program, egzamina.— Klasy i oddziały nauczycieli; uposażenie, dodatek rządowy, awans.—Emerytura, towarzystwa wzajemnéj pomocy i pedagogiczne. — Czasopisma pedagogiczne.

Przechodzimy teraz do *stanu nauczycielskiego.*

Szkoła opiéra się przeważnie na nauczycielu; nauczyciel jest duszą szkoły—o téj prawdzie przekonali się Anglicy dosyć późno. Przed laty kilkudziesięciu nie było jeszcze w Anglii stanu nauczycieli elementarnych; ci co wówczas pełnili te obowiązki, zarówno mężczyzni jak kobiéty, były to zwykle indywidua ciemne, zdemoralizowane, wykolejone; przed laty 40 nie było jeszcze w całéj Anglii i Szkocyi ani jednego seminaryum nauczycielskiego, a jeszcze w r. 1851 w szkołach dla dziewcząt przeszło 700 nauczycieli i nauczycielek nie umiało pisać!

Dopiéro w ostatnich dziesiątkach lat wytworzył się inteligentny i ze wszech miar zasługujący na szacunek stan nauczycielski, dzięki współdziałaniu osób prywatnych, towarzystw szkolnych i rządu. Pierwsze usiłowania w celu przygotowania dobrych nauczycieli wyszły od wielkich towarzystw, brytańskiego i narodowego, przez wprowadzenie systemu monitorów, następnie przez założenie w r. 1836 „towarzystwa szkółek dla drobnych dzieci (Home and colonial Infant-school society), którego celem było przygotowanie nauczycieli do takich szkółek, a następnie w ogóle do szkół elementarnych. Lecz pierwsze wzorowe seminaryum nauczycielskie założyli dwaj ludzie prywatni z własnych funduszów, a mianowicie: Kay Shuttlerworth i Tuffnel, z których pierwszy znany jest jako pisarz i jako człowiek bardzo zasłużony w szkolnictwie angielskiém. Pierwsze to, po dziśdzień ze wszech miar wzorowe seminaryum, założone zostało w Battersea, o półtory mili od Londynu w r. 1840, a w r. 1843 przeszło pod zarząd towarzystwa narodowego.

Od tego czasu poczęto skwapliwie zakładać seminarya dla obojéj płci; tak przedewszystkiém towarzystwo narodowe, za niém brytańskie, Weslejańczycy i katolicy, przyczém rząd chętnie dopomagał, naturalnie zastrzegając sobie prawo inspekcyi. Te towarzystwa i sekty, które jak np. Independenci nie chcą poddać się kontroli rządowéj, nie otrzymują subsydyów. Obecnie w Anglii i Szkocyi

istnieje 45 seminaryów nauczycielskich, z których 38 pod inspekcyą rządową; z tych ostatnich 15 dla nauczycieli, 16 dla nauczycielek, 7 dla obojéj płci. Urządzenie tychże kosztowało 445.977 fst., któréj to sumy trzecią część pokrył rząd. W 38 seminaryach znajduje się około 3.000 alumnów; samo utrzymanie jednego alumna kosztuje rocznie około 50 f., lecz w ogólnéj sumie (utrzymanie nauczycieli, lokalu itd.) jeden wychowaniec kosztuje rocznie 150—160 f. Rząd dokłada rocznie przeszło 120.000 f. W siedmiu seminaryach niezależnych od rządu w r. 1871 miało być 3.261 (?) alumnów.

Przez długi czas, jakeśmy widzieli, obywano się w Anglii w braku nauczycieli tak zwanymi monitorami systemu Bella i Lankastra, lecz system ten, który w swoim czasie nabrał wielkiego rozgłosu nie tylko w Anglii, lecz także i na stałym lądzie, nie mógł się utrzymać i dziś zaledwie tu i owdzie jeszcze jest w użyciu. Najprzód bowiem taki monitor nigdy nie zastąpi nauczyciela; następnie zaś przekonano się, że—gdy zdolniejszy uczeń przez nauczyciela został przysposobiony na pomocnika—wkrótce opuszczał szkołę, szukając zarobku w fabryce lub w pracy około roli. W szkołach liczących kilkuset uczniów i uczennic różnego wieku z jednym tylko nauczycielem musiano naturalnie używać do pomocy monitorów, przysposabiając ustawicznie nowych, w razie ubytku poprzednich; lecz w szkołach mniéj licznych, nauczyciel wolał obywać się bez nich, aniżeli tracić czas i pracę na mozolne i mało pożytku przynoszące kształcenie tychże. W takim stanie rzeczy wspomniany wyżéj Kay Shuttlerworth wpadł na szczęśliwą myśl udoskonalenia systemu monitorów przez zastosowanie tegoż do przygotowania nauczycieli elementarnych. System jego, przyjęty w całéj Anglii i aprobowany przez rząd, okazał się w praktyce bardzo pożytecznym tak, iż dzięki temu systemowi przygotowanie do zawodu nauczycielskiego jest dziś w Anglii racjonalniejszém i praktyczniejszém jak w innych krajach. System ten jest następujący.

Młodzieniec lub dziewczyna w wieku lat 13—15, pragnący poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu, wstępuje na pięcioletnią praktykę do nauczyciela lub nauczycielki, posiadających odpowiednią kwalifikacyą. Taki kandydat lub kandydatka do zawodu nauczycielskiego nazywa się „pupil-teacher,“ w Szkocyi „apprentice-teacher,“ tj. nauczający uczeń albo uczeń—nauczyciel; z jednéj bowiem strony sam uczy się i nabiéra doświadczenia pedagogicznego, z drugiéj zaś strony jako udoskonalony monitor pomaga głównemu nauczycielowi (Principal-teacher) w uczeniu dzieci. W ciągu pięcioletniéj praktyki, w dobréj szkole i pod okiem doświadczonego nauczyciela można należycie przekonać się, czy kandydat posiada zdol-

ności i zamiłowanie do obranego zawodu; jeżeli posiada, natenczas dla dalszego kształcenia wstępuje do seminaryum, w przeciwnym razie lub gdy sam nie pragnie zostać nauczycielem, poświęca się innemu zawodowi, przy czém wiadomości nabyte zawsze dadzą się spożytkować. Tym sposobem tylko rzeczywiście powołani poświęcają się zawodowi nauczycielskiemu.

Jednakże nie każdy nauczyciel posiada prawo przyjmowania na naukę kandydatów, lecz tylko w następnych warunkach: nauczyciel powinien mieć patent (certificated-teacher), szkoła powinna być kilkoklasowa i posiadać przynajmniéj 50 uczniów, winna być dostatecznie zaopatrzoną w książki i w środki materyalne, tak iżby istnienie jéj na czas praktyki kandydata było zapewnionèm, karność w szkole powinna być ściśle utrzymywaną, lecz środkami łagodnemi, nauczycielowi lub nauczycielce nie wolno jest mieć innych pensyonarzy na stancyi a kandydatów nie więcéj nad 4; nauczyciel może przyjmować tylko chłopców, nauczycielka tylko dziewczęta. Kandydaci zaś, albo kandydatki, zanim zostaną przyjęci na praktykę, winni przed inspektorem rządowym zdać egzamin w zakresie szkół elementarnych, oraz odbyć lekcyą próbną w jednéj z najniższych klas, powinni być zdrowi i bez ułomności fizycznych. Gdy wszystkie warunki tak z jednéj jak z drugiéj strony zostaną wypełnione, następuje układ pomiędzy nauczycielem a rodzicami lub opiekunami kandydata bez pośrednictwa inspektora rządowego; poczém kandydat uważa się za stypendystę rządowego i otrzymuje w pierwszym roku stypendyum w wysokości 10 f., oprócz tego 3 f. wynagrodzenia za własną pracę nauczycielską, w każdym zaś następnym roku przeszło 2 f. więcéj tak, iż w ostatnim roku otrzymuje 20 f. Nauczyciel zaś za udzielanie kandydatom osobnych lekcyj (półtory godziny dziennie pięć razy na tydzień) otrzymuje od rządu za jednego kandydata rocznie 5 f., za dwóch 9, za trzech 12, za czterech 15 f.; oprócz tego osobne wynagrodzenie za lekcye rysunków od 1 do 3 f. rocznie za każdego kandydata.

Pod koniec roku szkolnego kandydaci zdają egzamin przed inspektorem rządowym z tych samych przedmiotów, z jakich zdawali w egzaminie wstępnym, lecz naturalnie w coraz obszerniejszym zakresie. Po upływie lat pięciu kandydat powinien umieć: czytać płynnie i ze zrozumieniem rzeczy, posiadać znajomość gramatyki i prozodyi angielskiéj, napisać wypracowanie na temat pedagogiczny, w matematyce pierwsze cztery księgi Euklidesa albo początki algebry, albo też praktyczną znajomość niwelacyi, w jeografii objaśnienie globusa, albo jeografią W. Brytannii i Europy, w religii gruntowną znajomość biblii, liturgii i katechizmu, nadto początki muzy-

ki; wreszcie wymaga się od kandydata, aby w jednéj z wyższych klas był w stanie wykładać. Corocznie kandydat powinien przedstawić inspektorowi świadectwo nauczyciela, że był posłusznym, pilnym i sumiennym, oraz świadectwo duchownego lub dozoru szkolnego, że wypełniał gorliwie obowiązki religijne.

Jeżeli po upływie lat pięciu i po złożeniu egzaminu nie życzy sobie zaraz wstąpić do seminaryum, to może w jednéj ze szkół zostających pod inspekcyą rządową zostać „pomocnikiem“ nauczyciela (Assistant-teacher), za co otrzymuje 25 f. rocznéj pensyi, a po upływie lat trzech zostaje bez egzaminu przyjętym do seminaryum, naturalnie jeżeli dobrze wypełniał swoje obowiązki. Inni znów kandydaci, otrzymawszy po pięcioletniéj praktyce chlubne świadectwo o swych zdolnościach i sprawowaniu, poświęcają się innym zawodom, np. kupiectwu, służbie kancelaryjnéj u adwokatów i t. p.

Większa część jednakże wstępuje do seminaryów nauczycielskich, zwanych w Anglii „Training-colleges“ a w Szkocyi „Normal-schools,“ do których zresztą i inni kandydaci po ukończeniu 18 lat mogą być przyjęci. Przy wstępie do seminaryum znowu wszyscy kandydaci muszą zdawać egzamin, prawie w niczém nie różniący się od egzaminu złożonego pod koniec pięcioletniéj kandydatury. Kandydaci, którzy zdali egzamin, otrzymują, o ile jest wakans, stypendyum rządowe (Queens-Scholarship; stypendyści nazywają się Queen's Scholars), przyczém 90 proc. wszystkich wakansów przeznaczonych jest dla „pupil-teachers,“ a tylko 10 proc. dla innych kandydatów. Stypendyści według złożonego egzaminu dzielą się na stypendystów pierwszéj, drugiéj i trzeciéj kategoryi: stałe stypendyum rządowe wynosi 25—30 f. dla stypendystów, około 20 f. dla stypendystek; oprócz tego stypendyści pierwszéj kategoryi otrzymują dodatek osobisty. Zarząd seminaryum otrzymuje także od rządu stałe wynagrodzenie za każdego seminarzystę (około 20 f.), bez względu czy jest stypendystą lub nie tak, iż stypendyum i wynagrodzenie pobiérane przez zarząd prawie wystarczają na utrzymanie stypendysty; niestypendyści zaś pokrywają brakującą resztę wydatków z własnych funduszów, albo otrzymują wsparcie od władz miejscowych lub stypendyów prywatnych. Wszyscy seminarzyści albo „studenci“ (students), jak ich nazywają, otrzymują mieszkanie i stół w seminaryum.

Zarząd seminaryum należy do komitetu, którego prezydentem w seminaryach anglikańskich jest biskup, w innych jaka osoba wpływowa. Kierunek zakładu należy do rektora (Principal) i do wice-rektora (Vice-principal), zwykle teologów z powołania lub w ogóle ludzi, którzy skończyli uniwersytet. Ciało nauczycielskie

składa się z „nauczyciela wzorowego“ (Normal-master) i z kilku nauczycieli pomocniczych, ludzi z gruntownem wykształceniem uniwersyteckiém, którzy nie tylko z pożytkiem wykładają powierzone im przedmioty, lecz nadto umieją wpoić w swych wychowańców przekonanie o ważności ich powołania. Każdy z nich oprócz stałéj pensyi, otrzymywanéj z funduszów seminaryum, pobiéra dość znaczny zasiłek rządowy.

Kurs nauk jest obrachowany na trzy lata, lecz zwykle po dwóch latach, czasem nawet po roku, wychowańcy opuszczają seminaryum. Lekcyj bywa przecięciowo 30 na tydzień, oprócz zajęć mechanicznych i gimnastyki. Z każdém seminaryum połączoną jest szkoła wzorowa, w któréj seminarzyści odbywają praktykę nauczycielską.

O urządzeniu zewnętrznêm, metodzie, programie i egzaminach w jedném z najlepszych seminaryów angielskich w Battersea pisze Voigt (str. 374): „Każdy seminarzysta posiada mały, lecz we wszystko nieodzowne zaopatrzony pokój sypialny. Oprócz tego jest kilka pokoi przeznaczonych do nauki, wielka sala popisowa i jadalna. Co do nauki panuje zasada, aby nie uczyć zbyt wiele, a natomiast wyuczyć pewne rzeczy bardzo gruntownie (non multa sed multum), zasada, któréj trzymają się także w szkołach wyższych i w uniwersytetach angielskich. Przedewszystkiém uczą biblii i katechizmu. Z biblią muszą uczniowie zapoznać się gruntownie, a niektóre ewangelie, dzieje apostolskie i niektóre epistoły muszą w najdrobniejszych szczegółach i krytycznie przestudyować. W historyi kościelnéj żądają ogólnéj znajomości całego obszaru i szczegółowéj aż do soboru Chalcedońskiego, oraz czasów reformacyi. Téj saméj zasady trzymają się w literaturze angielskiéj i żądają np. ażeby uczeń gramatycznie i krytycznie przestudyował jeden dramat Szekspira i dwie księgi Raju utraconego Miltona, oprócz tego ażeby przeczytał i inne utwory tychże poetów, oraz najlepsze książki, traktujące o literaturze angielskiéj. Tak samo ma się z matematyką, jeografią, historyą i rysunkami. Wiele dbają także o muzykę, lecz nauka gry na organach nie jest obowiązkową, gdyż każda parafia posiada osobnego organistę. Nie obowiązkowemi przedmiotami są także: chemia, fizyka, psychologia, języki nowożytne i starożytne (łacina). Ci, którzy zamyślają osiedlić się w księstwie Walii lub na wyżynach szkockich, uczą się nadto języka walijskiego lub gelijskiego. Egzamina odbywają się w obecności inspektora rządowego, pod koniec każdego roku szkolnego, ze wszystkich przedmiotów, w tym czasie wykładanych. W końcu pierwszego i drugiego roku za przedmioty

obowiązkowe uważają się: religia, czytanie, gramatyka i wypracowanie angielskie, kaligrafia, arytmetyka, jeografia, pedagogika (organizacya karność i zarząd szkół elementarnych), muzyka, rysunki; przedmioty nieobowiązkowe w pierwszym roku: matematyka według pierwszych czterech ksiąg Euklidesa, algebra, łacina; w drugim roku: fizyka, wyższa matematyka, łacina. Przedmioty obowiązkowe w końcu trzeciego roku: biblia, obrona wiary chrześciańskiéj (Evidences of Christianity), zarząd szkół, muzyka, rysunki; przedmioty nieobowiązkowe: psychologia w związku z wychowaniem, nauki przyrodzone z eksperymentami (zwłaszcza w zastosowaniu do przemysłu i rolnictwa), wyższa matematyka, języki nowożytne albo starożytne jako środki ćwiczenia umysłu (intellectual discipline), historya powszechna. Oprócz tego egzaminowany odbywa lekcyą próbną w szkole wzorowéj, przyczém zwracają uwagę na modulacyą głosu, wymowę, zachowanie się, energią i zdolność utrzymania uwagi i zajęcia klasy, nie robiąc wiele hałasu; nadto zważa się na to, czy objaśnienia są płynne i zrozumiałe, czy dają się z pomocą rysunku lub w inny sposób, czy wykład jest systematyczny, jasny, zastosowany do pojęcia dzieci, tak iżby z niego wiele korzystać mogły, czy egzaminowanie dzieci odbywa się żywo, zrozumiale i cierpliwie.“

Seminarzyści, którzy zdali egzamin, otrzymują świadectwo lub patent z ukończonego kursu nauk (certificate; certificated-teachers). Według rezultatu egzaminu bywają podzieleni na 3 klasy, a w każdéj klasie jeszcze na 3 oddziały, a więc właściwie na 9 grup. Do najniższéj czyli trzeciéj klasy zaliczają się ci, którzy zdali egzamin z jednorocznego, do drugiéj ci, którzy zdali z dwu lub trzyletniego kursu, do trzeciéj ci, którzy tak w egzaminie piśmiennym jak i w późniejszéj praktyce nauczycielskiéj szczególniéj się odznaczyli; w każdéj znowu klasie oddziały formują się według bardzo dobrego, dobrego lub dostatecznego rezultatu egzaminu.

Nauczyciel opatrzony patentem posiada pierwszeństwo przed wszystkimi innymi, nawet przed ludźmi z uniwersyteckiém wykształceniem; dlatego téż z łatwością otrzymuje dobrą posadę, z pewném stałém wynagrodzeniem od zarządu téj szkoły, od któréj otrzymał nominacyą, lecz dodatek do pensyi od rządu może otrzymać dopiéro po upływie przynajmniéj 15 miesięcy lub dwóch lat, gdy inspektor rządowy przekona się o jego zdolnościach i gorliwém wypełnianiu obowiązków. W obec zarządu szkoły rząd czyni zależną wypłatę dodatku od pewnych warunków, z których najważniejszy ten, ażeby nauczyciel pobiérał pewne minimum stałéj pensyi, oraz

dodatek do pensyi ze składek dobrowolnych gminy, stosownie do klasy i oddziału, do których należy. Tak np. nauczyciel należący do trzeciego oddziału trzeciéj klasy, a więc najmniéj wykwalifikowany, powinien stałéj pensyi rocznéj otrzymywać minimum 30 f., ze składek dobrowolnych przynajmniéj 15 f., czyli razem 45 f.; nauczyciel zaś pierwszego oddziału pierwszéj klasy, czyli najwięcéj wykwalifikowany, powinien otrzymywać 60 i 30 f., razem 90 f. Rząd dopłaca połowę stałéj pensyi, tak iż najgorzéj uposażony nauczyciel otrzymuje z powyższych trzech źródeł: 30 + 15 + 15 = 60 f., najlepiéj: 60 + 30 + 30 = 120 f., nie licząc naturalnie mieszkania i ogrodu, osobnego wynagrodzenia za przysposobienie kandydatów do stanu nauczycielskiego (pupil-teachers) lub dochodu z utrzymania pensyonarzy, wynagrodzenia za wypełnianie obowiązków jakiego urzędu gminnego i t. p. pobocznych dochodów. Inspektor rządowy ustanawia dodatek do pensyi na 5 lat, a po upływie tego czasu nauczyciel może awansować z jednego oddziału do drugiego lub z jednéj klasy do drugiéj, stosownie do opinii inspektora; lub też, jeżeli na to nie zasługuje, pozostaje w téj saméj klasie lub oddziale, a nawet może całkiem postradać dodatek rządowy. W szkołach zupełnie dobrze uposażonych nauczyciele żadnego dodatku nie otrzymują.

Oprócz nauczycieli opatrzonych w patent, także i inni nieposiadający takowego mogą otrzymywać mały zasiłek rządowy, jeżeli na to zasługują, tak np. nauczyciele, częściéj nauczycielki szkółek przeznaczonych dla drobnych dzieci, dla biédnych, szkół wieczornych i t. d.

Nominacyą na posadę nauczycielską nie udziela rząd, lecz bezpośrednia zwierzchność szkolna. Emeryturę otrzymują (od rządu) tylko nauczyciele szkół zostających pod inspekcyą rządową, a mianowicie ²/₃ stałéj pensyi, jeżeli wysłużyli przynajmniéj 15 lat i w skutek słabości zdrowia niezdolni są do dalszéj służby. Oprócz tego istnieją pomiędzy nauczycielami towarzystwa wzajemnéj pomocy, wspierające członków w chorobie i w starości, a także wdowy i sieroty po nauczycielach.

Istnieją także towarzystwa pedagogiczne, posiadające biblioteki i urządzające zjazdy, na których czytają prelekcye i odbywają się narady pedagogiczne.

Czasopism pedagogicznych wychodzi obecnie w Anglii nie tak wiele, jakby się spodziéwać można po kraju, w którym prasa tak ogromne posiada znaczenie. Pochodzi to głównie ztąd, że najznakomitsze czasopisma literackie (jak Edinburgh Review, Quarterly Review, Athenaeum i t. d.) wiele zajmują się sprawami szkolnemi

i pomiędzy nauczycielami i profesorami licznych mają czytelników. Z czasopism ogólnie pedagogicznych najznaczniejszém jest „The Educational Times,“ miesięcznik wydawany w Londynie od lat 30, zajmujący się głównie szkołami średniemi i wyższemi, lecz niewyłączający i szkół elementarnych. „The english journal of education and educational guardian,“ miesięcznik wydawany w Londynie, istnieje od 36 lat, jest organem dla szkół średnich i elementarnych. „The Museum,“ kwartalnik wydawany w Edynburgu od r. 1861, zamieszcza artykuły treści ogólnie pedagogicznéj, pisane przez najznakomitszych pedagogów angielskich, oraz recenzye dzieł pedagogicznych i przeglądy pedagogiczne za każdy ubiegły kwartał. Z czasopism poświęconych specyalnie szkołom elementarnym zasługują na uwagę miesięczniki lub kwartalniki wydawane przez towarzystwa brytańskie, narodowe i przez „Home and colonial society,“ poświęcone głównie sprawom towarzystwa, lecz mieszczące także artykuły i wiadomości treści ogólniejszéj. „The pupil teacher,“ miesięcznik wychodzący w Londynie od lat 20, jest organem kandydatów do zawodu nauczycielskiego, po części nawet przez nich samych pisanym. Oprócz artykułów pedagogicznych zamieszcza dyspozycye lekcyj w szkołach elementarnych, pisane przez kandydatów i krytykowane przez doświadczonych nauczycieli, nadto korespondencye, zadania z różnych przedmiotów, oraz rozwiązania tychże i t. d. W ostatnich czasach powstało jeszcze kilka innych czasopism pedagogicznych, jak „The journal of education,“ połączony z dawniejszym „Educational reporter“ i „Scholastic advertiser.“

VI.

Szkoły elementarne w Szkocyi.—Szkoły parafialne, miejskie i średnie.—Brak jednolitego programu w szkołach szkockich i usiłowania towarzystwa szkolnego i rządu w tym względzie.—Stosunek rządu do szkół szkockich.—Urządzenie szkół.—Porównanie z Anglią.—Stan nauczycielski.—Fundacye na rzecz szkolnictwa: Heriot's Hospital, Madras College, Dick bequest.—Szkoły moralno-wychowawcze Dawida Stowa.—Szkoły elementarne w Irlandyi.—Stan tychże do r. 1830.—National system i stosunek stronnictw religijnych do tegoż.—Towarzystwo szkolne anglikańskie.—Bezwyznaniowość szkoły i stosunek duchowieństwa katolickiego do téjże i do rządu.—Daty statystyczne.—Uwagi o stanie szkół irlandzkich.

Wypada nam jeszcze kilka słów powiedzieć o szkołach elementarnych w Szkocyi i Irlandyi.

W *Szkocyi* daleko wcześniéj aniżeli w Anglii poczęto troszczyć się o oświatę ludową. Gdy bowiem w Anglii dopiéro w bieżącem stuleciu na seryo pomyślano o szkołach ludowych, to w Szkocyi zakładano takowe jeszcze w czasach reformacyi, głównie za staraniem reformatora Knoxa; w r. 1696 postanowiono, ażeby w każdéj parafii presbyteriańskiéj znajdowała się szkoła, zostająca w ścisłym stosunku i pod dozorem panującego kościoła presbyterjańskiego i mająca być utrzymywaną przez właścicieli dóbr oraz z podatku szkolnego. To postanowienie ściśle było zawsze wykonywane i dotąd się wykonywa. Tenże Knox uznał potrzebę założenia szkół średnich czyli „colleges“ (gimnazyów), mających wypełnić lukę pomiędzy szkołą elementarną a uniwersytetem. Lecz ta część jego programu szkolnego nie była dostatecznie wykonaną, tak iż dotąd jeszcze brak w Szkocyi średnich zakładów naukowych, a w skutek tego szkoła parafialna, która powinna być tylko elementarną, zastępuje zarazem i szkołę wyższą i może kształcić nawet do uniwersytetu.

Ztąd to we wszystkich szkołach parafialnych w Szkocyi po dziś dzień oprócz zwykłych przedmiotów elementarnych uczą także i łaciny (chociaż naturalnie nie jest to przedmiot obowiązkowy), w niektórych wykładają nawet język grecki, matematykę, fizykę, technologią, a nawet frenologią! „Tym sposobem,“ powiada Wiese (II, str. 73), „szkoły elementarne przechodzą w zakres szkół wyższych, a ostatnie są zarazem ogólnemi szkołami ludowemi.“ Tenże autor przytacza następujący ciekawy fakt. „Pewien inspektor szkolny opowiadał mi, że gdy zwiedzając jednę szkołę parafialną w części górzystéj Szkocyi, zapytał się, czy też niektóre dzieci uczą się języków starożytnych, powstało z miejsca kilku chłopców i dziewcząt; jedna dziewczynka, która była boso, przetłómaczyła dobrze rozdział z Cezara i trafnie rozwiązała zadanie z jeometryi; następnie nauczyciel posłał po swego najlepszego ucznia, który wówczas za jego pozwoleniem był zajęty w polu: chłopiec przybył ze śladami pracy rolnéj na rękach i nogach, nauczyciel podał mu Wirgiliusza i Anabazis Ksenofonta, chłopiec przetłómaczył nieźle miejsca wskazane przez inspektora. Podobne fakta napotykał pomieniony inspektor kilkakrotnie i w innych szkółkach wiejskich.“

„Takie rzeczy,“ dodaje Wiese, słyszymy i czytamy z przyjemnością, cieszymy się chęci do nauki ze strony dzieci, lecz z różnych powodów—a zwłaszcza dla dobra saméj szkoły—nie możemy tego pochwalić.“ Trudno nie zgodzić się na takie zdanie; albowiem szkoła, jak każda instytucya, która postawi sobie zbyt obszerne albo zbyt różnorodne zadanie, z pewnością żadnego należycie nie spełni.

Jednakże w samym kraju taki system albo „romantyczny nieporządek,“ jak go nazywa systematyczny Niemiec (Wiese), cieszy się wielką popularnością, gdyż wszystkim podoba się to, że i człowiek biédny nie jest pozbawiony wyższego wykształcenia, jeśli tylko jakimkolwiek sposobem może je nabyć. Zresztą niemałą rolę w utrzymaniu takiego stanu rzeczy odgrywa także spekulacya nauczycieli, którzy pragnąc zjednać szkole swéj wziętość wybiérają zdolniejszych uczniów, ażeby ich wykrzesać w wyższych naukach, przez co naturalnie zaniedbują innych uczniów; lepsi wszakże i sumienniejsi nauczyciele dla uczniów, których przygotowują aż do uniwersytetu. urządzają osobne „prywatne klasy,“ gdy innych uczą w szkole ogólnéj.

Czém dla wiosek są szkoły parafialne tem, dla miast są tak zwane szkoły „miejskie“ (Burgh-schools) i „średnie“ (Middleclass-schools, właściwie „szkoły dla klas średnich“). Jedne i drugie noszą taki sam niezdecydowany charakter, jak szkoły parafjalne: mają one być wyższemi szkołami elementarnemi, kształcącemi do różnych praktycznych zawodów, gdy tymczasém w większéj części z nich uczą łaciny i innych przedmiotów gimnazyalnych.

Jak dalece brak wszelkiéj jednostajności w całém szkolnictwie elementarném w Szkocyi i jakie ztąd wypływają niedogodności. o tém przekonywa najlepiéj następny ustęp z raportu jednego z inspektorów rządowych z r. 1875 (Wiese II, str. 74). „Do szkół parafialnych uczęszczają dzieci, które powinny chodzić do szkółek dla drobnych dzieci (Infant-schools), a do Infant-schools uczęszczają duże chłopcy i dziewczęta, które powinny chodzić do nieco wyższych szkół. Podobnież Burgh- i Middleclass-schools, które powinny być średniemi, kombinują najniższe, niższe i średnie wykształcenie. Częstokroć w tej saméj sali szkolnéj i pod kierunkiem tego samego nauczyciela znajdują się chłopcy i dziewczęta w wieku lat 15 i 16, czytający Homera, Wirgiliusza i Rasyna, a obok nich dzieciaki niżej 6 lat, uczące się liter i tabliczki mnożenia, lub młodzi ludzie mający 18—20 lat, którzy z przyczyny swego wieku powinni być w uniwersytecie. W całym kraju brak wszelkiej jednostajności i organizacyi, przeciwnie, nieraz szkoły zostały opuszczone (przez rząd) właśnie wtedy, gdy się podniosły, inną razą stare zmieszano z nowemi tak, iż ogólnym rezultatem jest pewien rodzaj bezładnéj łataniny (a sort of ill ordered patchwork)—a czemu najwięcej dziwić się należy, to temu, jak wiele jeszcze dobrego wychodzi z tego bezładu.“ [1])

---

[1]) Hippeau „Wychowanie publiczne w Anglii“ (przekład St. Bełzy. Warszawa 1874) str. 31 utrzymuje. „że w Szkocyi podobnie jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki, któ-

W takim stanie rzeczy o klasyfikacyi szkół elementarnych w Szkocyi według wewnętrznych kryteryów i mowy być nie może; możebnym jest tylko podział według zewnętrznych kryteryów, na szkoły stare i nowe. Stare szkoły, t. j. parafjalne i miejskie, założone zostały w większéj części w czasach dawniejszych za staraniem kościoła panującego (presbyterjańskiego); nowe szkoły powstały w ostatnich czasach za staraniem tak kościoła panującego, jako téż presbyterjanów dyssydentów czyli członków tak zwanego „wolnego kościoła (Freechurch), katolików, episkopalnych i t. d.

Jednakże w ostatnich latach tak ze strony prywatnéj jak i ze strony rządu usiłowano nadać szkołom elementarnym w Szkocyi więcéj odpowiedni i jednolity charakter. Tak np. założone niedawno „towarzystwo dla krzewienia wychowania średniego w Szkocyi," urządzone na wzór wielkich towarzystw angielskich, postawiło sobie za główny cel, zrobić wychowanie średnie i wyższe więcéj samodzielném, t. j. oddzielić je od elementarnego czyli wprowadzić większy ład w dotychczasowy chaos szkolnictwa szkockiego.

Tego samego systemu trzyma się rząd; w szkołach subwencyonowanych główny nacisk kładzie na przedmioty elementarne, w skutek czego nauczyciele, aby pozyskać większe wynagrodzenie, poczynają już teraz więcéj ograniczać program szkoły. W ogóle zaś stanowisko rządu w obec wszelkiego rodzaju szkół elementarnych

---

rych pierwsze instytucye najniezawodniéj powstały na wzór tradycyj presbyteriańskich, wyniesionych ze Szkocyi, wykształcenie narodowe obejmuje zarazem nauki początkowe i średnie, przedzielone dotąd u reszty narodów europejskich nieprzebytemi niemal zaporami." *Zasada* jest bezwątpienia ta sama w Ameryce jak w Szkocyi (po części także w Danii, Szwecyi, Szwajcaryi), lecz *zastosowanie* zupełnie odmienne. Amerykańskie bowiem szkoły „stopniowe" są niczém inném jak połączeniem pod jedną nazwą trzech zostających w związku, lecz niezależnych od siebie zakładów: szkoły początkowéj, szkoły gramatyki i szkoły wyższej, z których pierwsza jest elementarną, druga odpowiada mniéj więcéj niższym i średnim, a trzecia wyższym klasom naszych gimnazyów klasycznych i szkół realnych. Jedna szkoła jest zawsze w Ameryce ściśle oddzieloną od drugiej, chociaż niekiedy wszystkie trzy mieszczą się w jednym gmachu; często jednakże pomieszczone są nawet w oddzielnych budynkach; również i pojedyńcze klasy każdej szkoły zawsze są oddzielone (por. tegoż autora „Wychowanie publiczne w Ameryce północnéj," przekład St. Bełzy. Warszawa 1874, Rozdział III). Od takiego systematycznego ugrupowania szkół „stopniowych" w Ameryce jakże odmienną jest „bezładna łatanina" szkół szkockich, w których nieraz w jednéj izbie szkolnej dziecko siedmioletnie poci się nad sylabizowaniem a obok niego młodzieniec szesnastoletni wertuje klasyków greckich i łacińskich. Z amerykańskiemi szkołami stopniowemi, możnaby w Szkocyi porównać tylko tak zwane „Hospital-schools" (zob. niżej), w których zwykle mieści się jedna lub kilka klas elementarnych oraz szkoła wyższa czyli gimnazyum.

i seminaryów nauczycielskich jest zupełnie takie same jak w Anglii: jeżeli szkoła poddaje się inspekcyi rządowéj i jeśli odpowiada wszystkim warunkom postawionym przez rząd, otrzymuje wsparcie, w przeciwnym razie nie otrzymuje. Jednakże zwłaszcza szkoły głównych wyznań (presbyterjanie, wolny kościół, episkopalni, katolicy) powszechnie przyjmują zasiłek rządowy, który w r. 1876 wynosił 438.227 f. Ustawa szkolna angielska z r. 1870 wprowadzoną została w Szkocyi w r. 1872.

W stosunku do rządu centralnego w Londynie, Szkocya używa pewnéj autonomii, posiada bowiem swój własny komitet edukacyjny, rezydujący w Edynburgu, oraz osobnych inspektorów i Rady szkolne (School-boards); ostatnie zdołały w Szkocyi rozciągnąć swój wpływ nawet na niektóre szkoły wyższe. Zadanie Rady szkolnéj w Szkocyi jest odmienne jak w Anglii: tu głównie chodzi o rozbudzenie w ludzie zamiłowania oświaty, o powszechniejsze i regularniejsze uczęszczanie do szkoły, w Szkocji zaś, gdzie chęć do nauki od dawnych czasów jest wielka [1]), główna uwaga Rad skierowaną jest na urządzenie odpowiednich gmachów szkolnych, w których jeszcze dotkliwy brak czuć się daje.

O urządzeniu szkół nie da się nic stanowczego powiedzićć, gdyż w tym względzie panuje nadzwyczajna rozmaitość. Tak np. szkoły hojnie uposażone przez zapisy, jak również wiele szkół wspomaganych przez rząd, zwłaszcza w wielkich miastach i zamożniejszych okolicach południowéj i północnéj Szkocyi, urządzone są z uwzględnieniem wszelkich warunków pedagogicznych, hygienicznych, a nawet estetycznych, gdy tymczasem w biednych okolicach, np. w górzystéj części kraju lub na wyspach hebrydskich, są to nędzne lepianki, w których goła ziemia służy za podłogę, a kilka desek opartych na kamieniach za ławki szkolne.

W dwóch ważnych punktach system szkocki różni się od angielskiego: najprzód w tém, że w Szkocyi według starego zwyczaju panuje (jak w Ameryce) tak zwany „system mieszany“ (mixed-school-system), tj. chłopcy i dziewczęta zwykle mieszczą się w jednéj klasie; powtóre w tém, że w Szkocyi nauką kieruje głównie nauczyciel, gdy nauczycielka uczy tylko robótek lub zupełnie elementarnych przedmiotów. W ostatnich dopiéro latach poczęto odstępo-

---

[1]) W wieku 17 np. w niektórych szkołach w Szkocyi uczono do dziesięciu godzin dziennie.

wać od tego systemu, oddzielając chłopców od dziewcząt i powierzając wychowanie ostatnich kobiétom. Wreszcie ważną różnicę stanowi także powszechne w Szkocyi mieszanie programu szkół elementarnych z programem szkół wyższych; w Anglii jest także dosyć szkół niezdecydowanego charakteru, lecz w ogólności szkoły elementarne angielskie odpowiadają więcéj swemu przeznaczeniu i wytkniętym celom. Pod względem stosunku kościoła do szkoły pomiędzy Anglią a Szkocyą istnieje ta ważna różnica, że w Szkocyi, jakeśmy to wyżéj widzieli, pierwszy i wyłączny popęd do krzewienia oświaty ludowéj wyszedł od kościoła i dotąd szkoła znajduje się tamże w najściślejszym związku z kościołem; w Anglii zaś wpływ kościoła na szkołę elementarną powstał dopiéro w czasach nowszych i nie jest tak silnym jak w Szkocyi. Porównując jakość i rezultaty szkół elementarnych obydwóch królestw, przychodzi się do wniosku, że wbrew przyjętemu powszechnie mniemaniu, szkoły elementarne szkockie wcale nie przewyższają angielskich, chociaż w Szkocyi istnieje więcéj szkół, większą jest ilość dzieci uczęszczających do szkoły i więcéj ludzi umié czytać i pisać jak w Anglii.

Położenie *stanu nauczycielskiego* w Szkocyi jest również bardzo rozmaite. W biédnych miejscowościach nauczyciel jest nędznie płatny i ma liche mieszkanie, w okolicach bogatych lub przy szkołach hojnie uposażonych, jak zwłaszcza w trzech północno-wschodnich hrabstwach (o czém niżéj), ma 200—300 f. dochodu, piękny dom i ogród. Nic téż dziwnego, że miejsca źle uposażone zajmują nauczyciele niewykwalifikowani, o miejsca zaś dobrze uposażone dobijają się ludzie nawet z wykształceniem uniwersyteckiém, zwłaszcza teolodzy. Pierwsze i drugie dla szkoły jest niekorzystném. Pierwszemu niedostatkowi nawet rząd nie jest w stanie czyli nie chce zaradzić, albowiem jak w Anglii tak i tu nie chce odstąpić od swéj zasady, ażeby nauczyciel zdał egzamin (certificated teacher), czego tenże najczęściéj nie jest w stanie dokonać, oraz ażeby gmina płaciła minimum 25—30 f. uposażenia nauczycielowi, na co ta znowu zwykle zdobyć się nie może. W takim dylemacie biédne szkółki i biédni nauczyciele ledwie wegetują. Obsadzenie znów posad nauczycieli elementarnych przez ludzi z uniwersyteckiém wykształceniem jest niekorzystném pod dwoma względami: najprzód dlatego, że tacy nauczyciele zbytecznie rozszerzają program szkoły elementarnéj, powtóre że zwykle posadę swoję uważając tylko za przechodnią (wielu z nich otrzymuje posady duchowne, niektórzy zostają nauczycielami gimnazyalnymi a nawet profesorami uniwersytetu) nie oddają się swemu zawodowi z należytém zamiłowaniem, często

zmieniają miejsce lub każą się zastępować przez czas dłuższy ludziom mniéj uzdolnionym, podczas gdy sami przygotowują się lub zdają egzamina w uniwersytecie itp.

Dlatego to seminarya nauczycielskie (zwane w Szkocyi Normal-schools), które dopiéro od niedawnego czasu poczęto zakładać, okazały się w Szkocyi zarówno pożytecznemi jak w Anglii, gdyż one dopiéro poczynają wytwarzać właściwy stan nauczycieli elementarnych. Urządzenie tychże, metoda, egzamina itd. są zupełnie tak jak w Anglii, tylko że w Szkocyi zbytni jeszcze nacisk kładą na języki starożytne z powodów, które wyżéj wskazaliśmy. Również takie same są warunki przyjęcia do służby, kontrola, rozmiar wsparcia rządowego itd., tylko że w Szkocyi kandydat do stanu nauczycielskiego oprócz egzaminu przy ukończeniu seminaryum w obec inspektora rządowego, musi nadto zdać egzamin przed bezpośrednią władzą téj szkoły, przy któréj pragnie otrzymać posadę, a więc np. w szkołach parafialnych przed tak zwaném „presbyteryum,“ tj. zarządem kościoła presbyteryalnego.

Jak w Anglii tak i w Szkocyi, w dawniejszych i w nowszych czasach ofiarność prywatna wyświadczyła szkołom prawdziwie wspaniałe dobrodziejstwa.

W wieku 17 Jerzy Heriot (um. r. 1623), nadworny jubiler i bankier króla Jakóba VI i jego małżonki, zrobił znaczny zapis, składający się głównie z gruntów położonych pod Edynburgiem (ogólnéj wartości ówczesnéj przeszło 23.000 f.) na założenie w Edynburgu szkoły dla biédnych dzieci, która od założyciela nazwaną została *Heriot's Hospital* (1). Przez zapisy innych osób dla tegoż zakładu, a głównie w skutek tego, że od owego czasu wartość ziemi niezmiernie się podniosła (2), dochody fundacyi Heriotowskiéj doszły obecnie do 18.000 f. rocznie. Z tego funduszu utrzymuje się: właściwy „hospital“ i dziesięć szkół elementarnych, oraz udzielają się wsparcia wychowańcom zakładu, gdy po ukończeniu nauk oddają się jakiemu zawodowi, lub idą do uniwersytetu, a nawet wyznaczają się stypendya i takim młodym ludziom, którzy nie pobierali nauki w zakładzie. Właściwy „hospital“ jest to sześcioklasowy zakład naukowy, w którym 180 chłopców, biédnych sierot lub synów najbiédniejszych mieszkańców Edynburga, otrzymuje zupełnie bezpłat-

---

1) „Hospital“ znaczy po angielsku nie tylko zakład dobroczynny, t. j. przytułek dla biednych, lecz często także szkołę połączoną z tymże.

2) Na gruncie zapisanym przez Heriota obecnie stoi cała nowa dzielnica miasta, a właściciele domów opłacają znaczny czynsz fundacyi Heriotowskiéj.

nie naukę i całkowite utrzymanie. Pod względem charakteru naukowego odpowiada on naszym gimnazyom, przynajmniéj począwszy od trzeciéj klasy, w któréj zaczynają uczyć łaciny; w wyższych klasach uczą także języka greckiego, lecz słabsi uczniowie bywają uwolnieni tak od tego przedmiotu jak i od łaciny, tak iż i w tym zakładzie, jak wszędzie w Szkocyi, nie ma jednolitego kierunku kształcenia. Od r. 1836 za zezwoleniem parlamentu otwarto przy tymże zakładzie 10 szkół elementarnych, z których 3 są przeznaczone dla dzieci do lat 7 (Infant schools), 7 dla dzieci od 7 do 14 lat (Juvenil schools). W tych 10 szkołach pobiéra obecnie bezpłatnie naukę nie mniéj jak 3.000 biédnych dzieci płci obojéj. Przedmioty wykładowe są: religia, arytmetyka, kaligrafia, rysunki, buchhalterya, język angielski w połączeniu z jeografią i cokolwiek historyi, śpiewy i fizyologia, który to ostatni przedmiot zapewne oznacza popularną anatomią i hygienę. Rektor całego zakładu i nauczyciele tak we właściwym „hospital" jak i w szkołach elementarnych są dobrze płatni; lecz są téż to ludzie zdolni i pracowici, pod każdym względem w zupełności odpowiadający swemu zadaniu. Zarząd zakładu (Governors) stanowi rada miejska i duchowieństwo presbyteryańskie miasta Edynburga.

Takich dobroczynno-naukowych zakładów, zawdzięczających swe istnienie hojnym legatom, jest dużo w Szkocyi, mianowicie w większych miastach, jako to w Edynburgu: Watson's Hospital dla synów podupadłych kupców, Donaldson's Hospital z 200.000 f. kapitału; Fettes College zbudowane z wielkim nakładem w r. 1864 w bliskości Edynburga jest także „Hospital-school", lecz tylko gimnazyum bez szkoły elementarnéj; w Glasgowie: Hutcheson's Hospital itd. Oświatą mieszkańców wyżyn szkockich zajmuje się „Gaelic society", założone w r. 1811.

Ze szczególnych względów zasługuje na wzmiankę zakład naukowy w St. Andrews, mieście rodzinném Andrzeja Bella, wynalazcy systemu monitorów, zakład poświęcony wychowaniu gimnazyalnemu i elementarnemu, założony z funduszów zapisanych przez Bella (50.000 f.) i nazwany na pamiątkę dłuższego pobytu tegoż w Madras w Indjach Wschodnich—*Madras college*. Oprócz gimnazyum filologicznego znajduje się w tym zakładzie dobra szkoła elementarna, podzielona na kilka klas i oddziałów, mieszczących się w jednéj sali, jak to powszechnie jest w zwyczaju w Anglii i w Szkocyi. Do szkoły téj uczęszcza kilkaset biédnych dzieci płci obojéj, otrzymujących naukę albo bezpłatnie, albo za umiarkowaną opłatą; dla zamożniejszych urządzone są osobne „klasy prywatne," w których

opłata jest większa i program nieco wyższy nad elementarny, uczą bowiem w nich łaciny, nawet dziewcząt. Systemu monitorów pozostały w téj szkole tylko ślady: lepsi uczniowie w swoim oddziale dozorują (nie uczą) powierzoną im gromadkę dzieci, aby wypełniała gorliwie zadane im prace, sami przytém zajmując się zadaną im robotą.

Dla trzech północno-wschodnich hrabstw (Aberdeen, Banff, Moray) *James Dick* († 1828), bogaty spekulant zrobił zapis (Dick-bequest), wynoszący obecnie około 120.000 f. Dochody z tego zapisu (5.000—6.000 f. rocznie) bywają użyte według woli testatora *tylko* na wsparcie nauczycieli szkół parafialnych w trzech wyżéj wymienionych hrabstwach. Fundacyą zarządza kuratoryum złożone z 11 osób, które przez wizytatorów prowadzi ścisłą kontrolę nad szkołami i nauczycielami pobierającymi wsparcie. Nauczyciele, ubiegający się o takowe, muszą przed kuratoryum zdać egzamin nie tylko z elementarnych, lecz także i z wyższych nauk, tak aby mogli przygotować uczniów nawet do uniwersytetu. Oprócz tego jak rząd tak i kuratoryum udzielenie wsparcia czyni zależném od tego, aby nauczyciel otrzymywał pewne minimum stałéj pensyi od swojéj gminy, czyli raczéj od właścicieli dóbr i dzierżawców, którzy w Szkocyi głównie ponosić muszą ciężar utrzymania szkoły. Tym sposobem z jednéj strony do stanu nauczycielskiego garną się lepsze siły (obecnie większa część nauczycieli w tych hrabstwach posiada wykształcenie uniwersyteckie) a z drugiéj strony właściciele dóbr starają się podwyższyć pensyą, ażeby mieć lepszych nauczycieli. Roczna zapomoga wynosi 20—45 f.

Podobnych fundacyj jak Dicka jest w Szkocyi jeszcze kilka, a zwłaszcza w błogosławionych dla nauczycieli elementarnych trzech północno-wschodnich hrabstwach, a mianowicie: fundacya Dr. Jana Milne (przeszło 50.000 f.) dla religijnego i moralnego wychowania biédnych dzieci, oraz dla polepszenia bytu nauczycieli szkół parafialnych w hrabstwie Aberdeen; zaś Aleksander Milne przeznaczył 20.000 f. na utworzenie w hrabstwie Banff wielkiéj szkoły bezpłatnéj, oraz na wsparcia innych szkół przeznaczonych dla biédnych dzieci. Ze znacznego zapisu Jana Fergusona († 1856) korzystają pomiędzy innymi także nauczyciele.

Nieraz zdarza się, że nauczyciel pobiéra dochody z 6—8 rozmaitych źródeł, jakiemi są: stała pensya, wsparcie z jednego lub dwóch zapisów, wsparcie rządowe, honoraryum za sprawowanie jakiego urzędu gminnego i t. p., nie mówiąc już o obszerném mieszkaniu, pięknym ogrodzie i dochodzie z pensyonarzy, których powszechnie nauczyciele trzymają. Niektórzy nauczyciele, jak już

wyżéj napomknęliśmy, oprócz mieszkania i dochodu od pensyonarzy, mają 200—300 f. dochodu, t. j. około 1200—1800 rs.

Na oryginalną, lecz bardzo szczęśliwą myśl wpadł w r. 1816 *Dawid Stow* w Glasgowie. Wychodząc z zasady, że „nauczanie nie jest jeszcze wychowaniem a zapobieżenie (złemu) jest lepszém od leczenia tegoż“ (teaching is not training and prevention is better than cure), postanowił zakładać „szkoły moralno-wychowawcze“ (Moral training schools) dla dzieci, którym brak dobrego wychowania domowego. Myśl Stowa przyjęto ze współczuciem: w krótkim czasie powstało dość dużo takich szkół, przeznaczonych pierwotnie tylko dla biédnych dzieci, a następnie i dla dzieci zamożniejszych rodziców; założono nawet seminaryum (Normal seminary) w Glasgowie, mające kształcić nauczycieli do takich szkół. Cel tych szkół jest: „z jednéj strony zapobiegać tylko mechanicznemu uczeniu, a z drugiéj strony dać dziecku prawdziwie moralne wychowanie przez ćwiczenie dobrych obyczajów, wykorzenianie złych, przez wpływanie nie tylko na rozum, lecz także na serce i charakter. Dlatego w szkole takiéj zwracają pilną uwagę na ścisłe wypełnianie pewnych przepisów, tyczących się porządku i czystości; po za szkołą, jako to: na gimnastyce, przy pracy w ogrodzie, na ulicy przy widoku bliźniego w nieszczęściu i t. p. dają dziecku sposobność pokazania swych dobrych lub złych skłonności, ażeby przy tém bądź praktycznie zastosować naukę Chrystusa, bądź téż skarcić i odstraszyć od złego.“ Szkoły te zrobiły wiele dobrego, tak same przez się, jak głównie przez to, że zasady ich przyjęte zostały przez inne szkoły i seminarya, niemające tak wyłącznego zadania jak pierwsze. Według planu Stowa zostały także urządzone tak zwane Industrial-schools i Reformatories, w których najbiédniejsze dzieci otrzymują całkowite utrzymanie i oprócz nauk elementarnych uczą się także rozmaitych rzemiosł.

Szkoły wieczorne jak w Anglii przeznaczone są dla dzieci, które zbyt wcześnie opuściły szkołę dzienną. Istnieją także szkoły dla ludzi starszych nad 20 lat, oraz szkoły niedzielne, rzemieślnicze i t. d.

Zupełne przeciwieństwo do Szkocyi stanowi *Irlandya*.

Jak bowiem w Szkocyi reformacya była punktem wyjścia i początkiem rozkwitu szkół ludowych, tak przeciwnie w Irlandyi reformacya stała się źródłem przeszkód i trudności na polu wychowania elementarnego, trudności dotąd jeszcze nieprzezwyciężonych. I nie dziw: protestantyzm występował w Irlandyi w formie bardzo nienawistnéj dla mieszkańców, gorąco przywiązanych do swéj wiary i języka; nawracano przemocą i podstępem, dobra skonfiskowane

kościołowi katolickiemu oddawano duchownym i dostojnikom kościoła anglikańskiego, którzy częstokroć nie posiadając w swéj parafii ani jednéj owieczki, spożywali tłuste dochody po za granicami kraju. Naród irlandzki zubożał, stał się niechętnym i podejrzliwym dla wszelkich usiłowań rządu i kościoła anglikańskiego, zmierzających do krzewienia oświaty, albowiem wszystkie te usiłowania mniéj lub więcéj otwarcie zmierzały do pozbawienia Irlandczyków wiary i narodowości. Wszystkie téż towarzystwa, jakie od reformacyi aż do czasów nowszych powstawały w Irlandyi w celu szerzenia oświaty ludowéj, wszystkie szkoły, jakie założono w ciągu ostatnich stuleci, miały mało powodzenia dlatego, że językiem wykładowym był język angielski, niezrozumiały i nienawistny mieszkańcom, oraz dlatego, że w tych szkołach uczono katechizmu anglikańskiego, albo przynajmniéj czytano biblią protestancką. Irlandczycy woleli posyłać dzieci do swoich biédnych szkółek, mieszczących się częstokroć w stodole, lub gdziekolwiek pod płotem (Hedges-schools t. j. „szkoły pod płotem"), w których za nędzne wynagrodzenie uczyli nauczyciele irlandzcy, zostający pod kierunkiem duchownych katolickich.

Dopiéro około r. 1830 nastały dla szkół irlandzkich lepsze czasy. Rząd angielski przekonawszy się, że Irlandczycy, stanowiący $^{4}/_{5}$ ludności wyspy, żadną miarą nie dają sobie narzucić języka angielskiego i szkół protestanckich, zważywszy nadto, jak niebezpiecznie pozostawić kierunek szkół duchowieństwu katolickiemu, oraz widząc w protestantach, rozpadniętych na wiele sekt, bezsilność i niezaradność, postanowił chwycić się drogi pośredniéj, mającéj pogodzić sporne żywioły. W tym celu w r. 1829 została wyznaczoną komisya dla wprowadzenia w Irlandyi tak zwanego „systemu narodowego" (National-system) czyli tak zwanych „szkół narodowych" (National-schools), które to wyrażenia w Irlandyi mają inne znaczenie jak w Anglii i znaczą po prostu „system wychowania ludowego" i „szkoły ludowe." Szkoły narodowe miały być przystępnemi dla wszystkich bez wyjątku mieszkańców Irlandyi, miały być albo zreorganizowane ze starych, albo osobno założone, miały pobiérać wsparcie rządowe, naturalnie pod pewnemi warunkami (inspekcya rządowa i t. d.), przez co opłata szkolna mogłaby być zniesioną lub zmniejszoną, a zarazem byłaby pobudzoną gorliwość osób prywatnych, gmin, korporacyj i nauczycieli do zakładania nowych szkół i ulepszenia już istniejących.

Największą trudność w przeprowadzeniu nowego systemu stanowił i tu jak w Anglii wykład religii (religions difficulty). Rząd, ze względu na duchowieństwo anglikańskie, nie chcąc zaprowadzić

bezwyznaniowych szkół, proponował wprowadzenie jednego dla katolików i protestantów wyciągu z biblii, któryby mógł być przyjętym tak przez biskupów katolickich jak i przez duchowieństwo protestanckie. Lecz gdy, pomimo że ówczesny arcybiskup dubliński Dr. Murray zgodził się na taki wyciąg, inni biskupi katoliccy stanowczo się temu sprzeciwili, przeto zdecydowano się na zupełne oddzielenie nauki religii od innych przedmiotów i postanowiono wykładać takową osobno dla dzieci różnych wyznań.

Tą decyzyą rząd zjednał sobie katolików, lecz odstręczył duchowieństwo protestanckie, które nie mogąc rozstać się z tą myślą, że zadanie jego w Irlandyi zasadza się na krzewieniu protestantyzmu, obstawało przy tém, ażeby kościołowi protestanckiemu (tj. głównie anglikańskiemu) pozostawiono przeważny wpływ w szkole. Siedmnastu biskupów kościoła anglikańskiego w Irlandyi oświadczyło się przeciw systemowi narodowemu, z duchownych zaś tego wyznania zaledwie dwudziestu, a z presbyteryańskich tylko dziesiąta część oświadczyła się za nim. Rząd jednakże nie zważając na te protestacye, nie tylko zajął się organizacyą szkół narodowych, lecz nawet odjął szkołom protestanckim udzielane im dotąd wsparcie (w r. 1833), w skutek czego wiele ze szkół protestanckich nie mogąc się utrzymać przekształcone zostały na narodowe. Dostojnicy kościoła anglikańskiego, widząc swe szkoły zagrożonemi, założyli w r. 1840 towarzystwo w celach krzewienia oświaty ludowéj z wybitną tendencyą propagandy religijnéj (Church education society for Ireland). Towarzystwo to, nie otrzymując żadnego wsparcia od rządu, utrzymuje swe szkoły z dobrowolnych składek, oraz z zasiłku, jaki otrzymuje od londyńskiego „Hibernian society,“ którego celem jest krzewienie protestantyzmu w Irlandyi.

Tym sposobem powstały dwa główne rodzaje szkół: narodowe, których jest najwięcéj, prawie całkowicie utrzymywane przez rząd, uczęszczane przeważnie przez katolików, zostające wprawdzie pod kontrolą rządową, lecz pod bezpośrednim wpływem duchowieństwa katolickiego,—i szkoły anglikańskie, których jest daleko mniéj jak pierwszych, utrzymywane przez wyżéj wzmiankowane towarzystwo, uczęszczane przeważnie przez protestantów i zostające tylko pod kierunkiem kościoła anglikańskiego. Inne sekty protestanckie posiadają także swoje szkoły, lecz liczba tych jest bardzo nieznaczną; natomiast duchowieństwo katolickie, zwłaszcza téż zakonnicy i zakonnice utrzymują jeszcze dość znaczną ilość szkół wyłącznie na swój koszt i naturalnie pod wyłącznym swym wpływem i kierunkiem.

W ostatnich czasach katolicy okazali się także niezadowolonymi ze szkół narodowych: duchowieństwo katolickie, zwłaszcza dostojnicy kościoła usiłowali, chociaż bez skutku, usunąć zupełnie wpływ rządu na szkoły ludowe, pragnąc zapewnić sobie wyłączny kierunek nad temiż, w czém naturalnie wykład religii najważniejszą odgrywa rolę. Szkoły bowiem narodowe stały się z czasem zupełnie bezwyznaniowemi, przeciwko czemu duchowieństwo występuje z bardzo silną opozycyą; tak mianowicie na zjeździe biskupów, odbytym pod prezydencyą arcybiskupa dublińskiego Kardynała Cullena w r. 1869 w Maymooth, potępiono szkoły bezwyznaniowe, żądano wyznaniowych zakładów naukowych, nawet dla wykształcenia uniwersyteckiego, a kardynał Collen zagroził nawet odjęciem sakramentów tym rodzicom, którzyby dzieci swoje do szkół bezwyznaniowych posyłali. Na mityngu katolickim, odbytym w Dublinie w r. 1872 pod prezydencyą tegoż kardynała, powzięto rezolucyą nie tylko przeciw bezwyznaniowéj szkole, lecz także przeciw przymusowi szkolnemu, gdyż w ostatnim duchowieństwo widzi także niebezpieczeństwo dla kościoła.

Jak trudném jest położenie rządu w obec szkół ludowych w Irlandyi w ogóle, a w obec kościoła katolickiego w szczególności, można widzieć np. z zaciętych sporów, jakie rząd staczać musi w kwestyi suspendowania nauczycieli. Dozór nad szkołami katolickiemi mają wyłącznie duchowni, którzy przypisują sobie i faktycznie wykonywują prawo uwolnienia od obowiązków nauczyciela, jeżeli to okaże się potrzebném w widokach kościoła lub szkoły. Rząd, pragnąc zabezpieczyć los nauczycieli, zażądał od duchowieństwa gwarancyi co do samowolnego uwalniania tychże od obowiązków, a nawet (w r. 1872) zagroził odjęciem subsydyów w razie, jeśliby takowych nie dano; przeciwko czemu znów biskupi zebrani w Dublinie (w r. 1873) w energicznych rezolucyach zawarowali prawa duchowieństwa.

W takim stanie znajduje się obecnie sprawa wychowania elementarnego w Irlandyi. Przy tak rozlicznych i wręcz sprzecznych sobie interesach rządu, kościoła katolickiego, anglikańskiego i innych sekt, szkoły irlandzkie, rzecz naturalna, nie mogą znajdować się w kwitnącym stanie, pomimo ogromnych sum wyłożonych na nie w przeciągu ostatnich dziesiątków lat. Od r. 1833 do 44 wydał rząd na budowę i inne potrzeby szkół w Irlandyi blizko 300.000 f., z prywatnych zaś składek wpłynęło około 800.000 f. W r. 1842 szkół narodowych było 2721 i 319.792 uczniów, przyczém jednakże, jak i przy następnych cyfrach, należy pamiętać o tém, iż cyfra

uczniów jest tylko fikcyjną, tj. oznacza dzieci zapisane do list szkolnych, z których jednakże znaczna część do szkoły albo wcale, albo bardzo nieregularnie uczęszczała. W tym czasie stan tych szkół był jeszcze bardzo niski: tak np. komisya rządowa, wizytująca w r. 1844 szkoły narodowe, oprócz wielu innych krzyczących rzeczy, przekonała się, że wielu uczniów nie wiedziało, kto był Chrystus, a niektórzy sądzili, że to król rezydujący w Londynie! W r. 1858 w 5.408 szkołach narodowych miało być 803.610 uczniów (przy blisko 7 milionach ogólnéj ludności), jednakże rzeczywiście uczęszczało do szkoły zaledwie 250.000 a według raportów inspektorów rządowych 3.385 szkół znajdowało się w bardzo złym stanie. Kościół anglikański posiadał w r. 1859 szkół 1.615, uczniów 78.487 (51.963 anglik., 11.963 kat., 14.580 dyssyd.). W r. 1861 z 1.334.792 dzieci od 5—15 lat około 600.000 nie pobierało żadnéj nauki, z tych zaś, które chodziły do szkoły, 39 proc. chodziło tylko peryodycznie, najwyżéj dwa miesiące przez rok. W r. 1871 miało być wszystkich szkół elementarnych 6.941 i 1.021.700 uczniów, z których zaledwie 363.850 rzeczywiście uczęszczało dosyć regularnie. W r. 1877 według zapewnienia p. Beacha, sekretarza dla Irlandyi, w izbie niższéj angielskiéj (d. 16 Marca), z ogólnéj liczby dzieci 1.200.000 uczęszczało do szkoły około 400.000 czyli 33 proc., a według zapewnienia jednego z deputowanych irlandzkich w r. 1871 z siedmiomiljonowéj ludności było 33 proc. nieumiejących czytać ani pisać, gdy w r. 1861 było 39 proc., w r. 1851 zaś 67 proc. Z tego okazuje się, że oświata ludowa w Irlandyi, chociaż powoli, robi przecięż postępy, jak to zresztą na témże posiedzeniu potwierdził p. Beach i inny deputowany irlandzki, według którego od r. 1871 do 77 przybyło w szkołach irlandzkich 50.000 uczniów.

Rezultaty szkół elementarnych w Irlandyi, w porównaniu z krajami oświeconemi, nie są świetne, a to głównie w skutek braku dostatecznéj liczby uzdolnionych nauczycieli. Seminarya nauczycielskie, urządzone na sposób angielski, istnieją wprawdzie kosztem rządu, lecz jest ich za mało, kraj zaś przy swém ubóstwie nie jest w stanie przyjść rządowi z pomocą tak w zakładaniu seminaryów jak i w polepszeniu bytu nauczycieli, których średnia płaca wynosi tylko 25—30 f. rocznie. W większéj części szkół ograniczają się do najelementarniejszych przedmiotów, a i w tych postępy uczniów nie są zbyt świetne i gruntowne, już to w skutek nieudolności nauczycieli, już to w skutek nadzwyczaj nieregularnego uczęszczania dzieci do szkoły, którego to niedostatku przy ubóstwie ludu niepodobna usunąć. Z przyczyny też ubóstwa ludu o kooperacyi rządu z gmi-

nami i korporacyami, jak to ma miejsce w Anglii i w Szkocyi, nie może być mowy w Irlandyi. Ciężar utrzymania szkół elementarnych w znacznéj części spada na rząd, który obecnie wydaje na Irlandyą około 700.000 f. czyli 75 proc. kosztów ogólnych, reszta zaś pokrywa się podatkiem i opłatą szkolną, niewielkiemi ofiarami dobrowolnemi i dochodami z zapisów. Biédni otrzymują naukę bezpłatnie, zamożniejsi za niewielką opłatą.

GOETHE.

ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

(Dokończenie).

Hermann Grimm: Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin 1877. 2 tomy.
Hermann Hettner: Goethe und Schiller. 1876. 2 tomy.

CZĘŚĆ CZWARTA.

1806—1832.

Ostatnie 26 lat życia Goethego nie obfitują w wypadki natury indywidualnéj, któreby na rozwój twórczości poety ważny wpływ wywierały. Ciągłe interesowanie się literaturą i sztuką, przejażdżki do wód, odwiedziny znakomitych i małoznanych osób, obchody jubileuszowe lub rocznicowe, krótkotrwałe miłości (z Minną Herzlieb, z Maryanną Willemer), czynności wreszcie urzędowe: oto główniejsze pierwiastki, z których się tworzyła tkanina żywota Goethego w téj epoce tak burzliwéj a nieraz tak smutnéj... Poeta doszedł do tego kresu w rozwoju duchowym, kiedy przyzwyczajenia, nałogi, uczucia i przekonania bywają już ustalone na zawsze; kiedy nowe elementa nie wchodzą do umysłu, a jeżeli wchodzą, to się muszą bezwarunkowo przystosować do dawniejszych. Jeśli się mówi, że Goethe aż do końca życia wiecznie młodym pozostał, to należy wyrażenie to brać w znaczeniu względném, o ile się porównywa poetę niemieckiego z przeciętnym ogółem ludzi podeszłych. Istotnie Goethe aż do ostatniéj chwili zachował czerstwość zdrowia i świeżość umysłu niezwykłą; zajmował się wszystkiemi kwestyami naukowemi i artystycznemi prawdziwie po młodzieńcze-

mu; kochał się nawet gorąco choć krótko; pisał poezye miłosne, przypominając niekiedy pierwsze jego znakomite utwory liryczne; ale bądź co bądź, co do zasadniczych zagadnień, pozostał na dawném stanowisku z nader małemi modyfikacyami co się tyczé sztuki; a fantazya jego słabła powoli, ustępując miejsca refleksyi. Goethe był bezwątpienia zjawiskiem nadzwyczajném, musiał atoli, bądź co bądź, ulegać ogólnym prawom rozwoju umysłu ludzkiego.

Przy takim stanie rzeczy nie będziemy już śledzić stosunków życiowych poety z roku na rok; ale w kilku zarysach ogólnych skreślimy jego usposobienie i działalność naukowo-artystyczną w téj ostatniéj epoce.

I.

Rok 1806 w dziejach Europy.—Zupełna zmiana stosunków w Niemczech. — Goethe nie bierze udziału w troskach politycznych.—Jego usposobienie pod tym względem. — Konstytucya i Goethe.—Ideał społeczny późnych lat poety.

Rok 1806 zaznaczył się w dziejach Niemiec ciosem nader bolesnym, który „lud myślicieli“ z drzémki politycznéj obudził. Napoleon w kilku walnych bitwach obalił cały dawniejszy porządek rzeczy, zniszczył odrazu chwiejną zresztą budowę ś. Imperyum Rzymskiego, upokorzył dotkliwie dumę następcy Fryderyka II. Klęski te wywołały reakcyą ze strony pognębionych, przyczyniły się do rozwikłania ducha narodowego w kierunku politycznym, doprowadziły do walki o oswobodzenie się z pod jarzma Francuzów, zmusiły książąt do dania obietnicy, że się zrzekną władzy despotycznéj, nadając ludom konstytucyą. Obietnicy książęta nie dotrzymali, owszem przyswoili sobie względem ludów politykę metternichowską; ale ludy raz do życia politycznego powołane nie mogły zapomnieć chwil swobody i chwały: to też i w Niemczech istniały już teraz polityczne myśli i zachcenia, polityczna nienawiść, polityczny entuzyazm. W przeciągu lat kilkunastu zmieniła się z gruntu istota państwa, społeczeństwo, obyczaj i sposób myślenia.

Goethe był jakby obcym wśród tego świata nowego. Wychowaniec „oświeconego despotyzmu“ nie rozumiał on wcale ruchów ludowych, nic a nic na ich skuteczność nie liczył i odzywał się szyderczo, że on wié, co zrobiły potężne osobistości, ale wnukom chyba pozostawi wysławianie tego, co masy ludowe zdziałać potrafią. Rewolucya francuska znalazła w nim albo chłodnego obserwatora, który na polu bitwy robi spostrzeżenia nad zjawiskami natury,

albo niezbyt dowcipnego pamflecistę, który w sztukach teatralnych („der Bürgergeneral,“ „die Aufgeregten“) starał się ośmieszyć powstanie klas uciemiężonych przeciwko uprzywilejowanym i to ośmieszyć za pośrednictwem poddania ruchowi temu najtrywialniejszych motywów. Patryotyzmu niemieckiego, który się w walce z Napoleonem objawił, nie pojmował również, gdyż uważał siebie, podobnie jak Lessing, Herder i inni niemieccy pisarze, za obywatela świata, gdyż żył w tych czasach, kiedy Schiller, poeta najbardziéj niemiecki (der deutscheste Dichter, jak go historycy literatury nazywają), mógł napisać dwuwiersz następujący:

Deutschland! Aber *wo liegt es? ich weiss das Land nicht zu finden*,
Wo das gelehrte beginnt, hört das politische auf.

Z początku Goethe odczuł boleśnie skutki zwycięskiego pochodu Francuzów; wiekopomne dni pod Jeną i Auerstädt napełniły duszę jego przerażeniem i gniewem; rozkwaterowanie się oficerów francuskich w Weimarze zagrażało nawet jego życiu; książę Karol August, stojący po stronie Prus, musiał się lękać zemsty Napoleona. Poeta w rozmowie z Janem Falk'em w gorących wyrazach dał poznać swoje głębokie przywiązanie do księcia; powstawał gwałtownie przeciwko wrogom, najeżdżającym zuchwale na kraj spokojny i napastującym ludzi, którzy nic im nie zawinili; chciał nawet w razie ostatecznego nieszczęścia chodzić po wszystkich wsiach i po wszystkich szkołach, gdzie tylko nazwisko Goethego znaném było, i śpiewać pieśni dopóty, dopókiby książę jego na tron nie wrócił. Do tych pięknych słów i zamiarów pobudką było osobiste przywiązanie, osobista zażyłość z Karolem Augustem, a nie idea niemieckiéj ojczyzny. To téż kiedy sprawa niemiecka stawała się coraz zawikłańszą i coraz wątpliwszą, Goethe przywykał do nowego porządku rzeczy i zaniechał myśli błądzenia po wsiach i śpiewania pieśni wojennych. Cios następował po ciosie. Rosya i Francya zawarły sojusz i zamyślały o podziale wszechświatowego panowania; Napoleon stał na szczycie potęgi, odrodzenie się Niemiec samoistnych wydawało się niepodobieństwem. Zniskąd nie pokazywał się promień nadziei. Z jednéj strony demoniczna wspaniałość nieporównanego bohatéra, jego niewyczerpana genialność i siła woli, jego upajająca moc zwycięska, z drugiéj zaś strony najnędzniejsze tchórzostwo, dynastyczny egoizm, spotęgowany aż do obrzydliwéj wzajemnéj zdrady, brak wreszcie wszelkiego poczucia łączności wewnętrznéj.... Goethe z natury swojéj umysłowości został wielbicielem Napoleona, wierzył w niezmienność jego gwiazdy, uważał

go za „męża przeznaczenia.“ Wydawało się poecie, że kosmopolityczny ideał ogólnego „sojuszu ludzkości“ przejdzie w rzeczywiste wykonanie; starał się więc stanąć po nad właściwościami pojedyńczych narodów i nie zważając na stosunki faktyczne marzył o państwie wszechświatowém, o związku ludów pod przewodnictwem Francyi. W tym duchu napisał poemat, który w Lipcu 1812 roku ofiarował w hołdzie cesarzowéj francuskiéj. „Co zaplątały tysiące, to rozwiązuje jeden—powiada w nim, o czém stulecia dumały w pomroku, to on w najjaśniejszém świetle ducha pojmuje, kto wszystko chcieć może, chce także pokoju.“

To zapatrywanie się nie pozwoliło Goethemu ocenić znaczenia walki o oswobodzenie. Rzecz długo oczekiwana miała przyjść do skutku, gwiazda Napoleona ciemniała, dumne jego wojsko skostniało w Rosyi, lud niemiecki poczuł w sobie iskrę zapału, który stworzył „bohatérów Maratonu i Salaminy.“ Goethe pozostał zimny i nieporuszony, żartował ze swoich rodaków porywających się na niepokonanego olbrzyma jak niewolnicy na swego pana, synowi swemu, który z młodzieńczą energią rwał się do walki, zabronił brać w niéj udział. O wielkich owych wypadkach od pożaru Moskwy aż do Waterloo Goethe ani słowa w listach swych nie wspomina, a kiedy wreszcie Napoleon upadł i Niemcy odetchnęły swobodniéj, to poeta, nie mogąc odmówić urzędowemu wezwaniu, napisał chłodną, na allegoryach zbudowaną sztukę, p. n. „Obudzenie się Epimenidesa“ (1815), która głęboko oburzyła spółczesnych.

Goethe nie wierzył w żywotność bytu politycznego Niemiec, a w upadku Napoleona widział jedynie wzmocnienie się potęgi Rosyi. O przyszłości Niemców nie wątpił wprawdzie, ale odsuwając ją w czasy odległe, o ich ówczesnym stanie, pessymistyczne miał pojęcie. Niedojrzałość polityczną za tak wielką w Niemczech uważał, iż pierwsze pokuszenia się konstytucyjne za niedorzeczne poczytywał. Karol August był jedynym księciem niemieckim, co się stale trzymał ideału silnych i stale zjednoczonych Niemiec, a za najwyższe prawidło rządowe podawał wierność i poddanie się spólnéj niemieckiéj ojczyźnie jako téż każdemu prawnie ustanowionemu zgromadzeniu narodowemu. Był on téż pierwszym z książąt niemieckich, co uroczyste przyrzeczenie nadania ludowi konstytucyi na seryo traktował i starał się ją zaprowadzić w swém państwie na podstawie równości w obec prawa i na równomiernym podziale korzyści i ciężarów pomiędzy poddanymi swymi. Goethe pod względem liberalizmu nie dotrzymał kroku opiekunowi swemu. Rozumiał on wprawdzie potrzebę, a nawet konieczność ściśléj jedności Niemiec pod względem ekonomicznym i militarnym, marzył o federa-

cyjném państwie niemieckiém, ale życie konstytucyjne było mu wstrętne. Widział w niém jedynie „nowostkę zagraniczną,“ albo poprostu błazeństwo. Stanom weimarskim odmówił zdania rachunku ze swojego zarządu, a stany te, z osobistych dla Goethego względów, o tyle były dobroduszne, że prawa swego, konstytucyą zapewnionego, nie dochodziły wcale. Kiedy w Jenie zaczęła się w prasie pojawiać opozycya, bardzo naturalna w kraju, gdzie lud przypuszczony jest do zajmowania się sprawami ogólnemi, Goethe stanął w rzędzie najbardziéj stanowczych przeciwników wolności druku. A kiedy nastały owe smutne czasy, o których sławny Schleiermacher mówił na kazalnicy, że nieraz niewinni i uczciwi ludzie doznawali prześladowań nie za swoje czyny, ale za dowolnie wmówione im zamiary, kiedy Arndt stracił swój urząd, kiedy znakomity gimnasta Jahn poszedł do więzienia, kiedy rozpoczęły się niegodziwe łowy na „demagogów,“ pozbawiające każdego prawa wolności osobistéj, to Goethe nie wypowiedział ani jednego słowa nagany lub niechęci, owszem jednemu z najgorszych reakcyonistów, radcy stanu Schultzowi, oświadczał się z najczulszemi wyrazami przyjaźni dlatego, że sam radca stanu był zwolennikiem jego teoryi barw. Względem osób wyżéj położonych coraz pilniéj formalności się trzymał. O uroczystości urodzin swoich 28 Sierpnia 1827 pisał do dwu przyjaciół oddzielnie także mniéj więcéj jednobrzmiące, sprawozdanie: „Miała mię spotkać niespodzianka, która mię niemal *przytomności* pozbawiła, a w każdym razie zostawiła takie wrażenie, jakbym *nie dorósł* do takiego wypadku. Jego Królewska Mość król bawarski raczył mię uczcić Najwyższą swoją obecnością, właśnie kiedym się znajdował wśród swoich drogich i kochanych, udzielił mi wielki krzyż orderu zasługi korony bawarskiéj i raczył okazać się w ogóle tak spółczującym, tak świadomym mojego dotychczasowego bytu, działania i dążenia, żem nie potrafił tego z dostateczną wdzięcznością podziwiać i uczcić. Obecność mego najłaskawszego pana, Wielkiego Księcia, nadała temu tak niespodzianemu stanowi ostateczne ubłogosławienie, a teraz kiedy zjawisko już znikło, muszę sobie dopiéro naprawdę przypominać, co i jak miało miejsce i wyrzucać sobie, żem w obec tego egzaminu lepiéj się nie popisał!“ Tak mówił sławny, 80 letni blisko poeta. O tym dniu opowiadają niezłą anegdotę. Kiedy Goethe, chcąc uzyskać potrzebne pozwolenie na noszenie obcego orderu, zwrócił się z prośbą do Wielkiego księcia, mówiąc: „jeżeli Książę mój Pan pozwoli;“ Karol August roześmiał się i powiedział: „Ej stary smyku, nie róbże głupstwa!“....

W listach i rozmowach unikał Goethe najstaranniéj i z najwyraźniejszym zamiarem wszelkiéj o polityce wzmianki. Czytanie gazet

poczytywał za próżne marnowanie czasu i za zajęcie filistrów. W roku 183o będąc 81 letnim starcem zajmował się niezmiernie żywo sporem przyrodniczym, jaki prowadzili w Paryżu Cuvier i Geoffroy Saint-Hilaire w kwestyi jedności organizmów zwierzęcych. Jednocześnie z wiadomością o tym sporze akademickim nadeszła do Weimaru wieść o rewolucyi Lipcowéj. Soret odwiedził starca-poetę. „No—zawołał tenże—co Pan myślisz o tym wielkim wypadku? Wulkan wybuchnął, wszystko znajduje się w płomieniach, to już nie rozprawa przy drzwiach zamkniętych!“ A kiedy Soret sądząc, że trafi w myśl Goethego, zaczął mówić o straszliwém zdarzeniu, o wygnaniu rodziny królewskiéj, pokazało się, że poeta wcale nie o tém myślał, ale zupełnie o innych rzeczach, bo o sporze obchodzącym nauki przyrodzone.....

Bądź co bądź jednak wielkie wypadki nie pozostały bez wpływu, jeżeli nie na praktyczną działalność Goethego, to przynajmniéj na ukształtowanie jego ideałów. W „Latach wędrówki Wilhelma Meistra“ (z r. 1821) wyprowadził poeta bohatéra swego na szerszą widownię świata i zerwał ciasne szranki, w jakich się dawniéj obracać musiał. W dziele tém, pod względem artystycznym bardzo słabém, mamy przedstawione teoretyczne pojęcia Goethego o ustroju społeczeństwa. Najwyższém prawem tego nowego ustroju ma być dokładne wykształcenie w jakimś zawodzie fachowym. Większa część członków tego społeczeństwa składa się z rzemieślników, proletaryat ma tu także swoje miejsce. Różnic stanowych nie ma wcale, w „assocyacyi“ téj ma wartość jedynie prawo i szlachectwo pracy. Stowarzyszenie nie przywiązuje się do żadnego miejsca w szczególności, członkowie jego mogą równie dobrze przesiedlić się do Ameryki lub zamieszkać nieuprawne przestrzenie starego świata, jak zostać na dawnych siedliskach, byleby tylko jednakowemi środkami cel zamierzony urzeczywistniali. W gospodarstwie przemaga wielka posiadłość, ażeby jednak każda jednostka mogła siły swoje rozwinąć i pracę zużytkować, „komitet centralny“ wskazuje każdemu członkowi sposób postępowania. Wszystkim zaleca się jak największe baczenie na czas. Kółka rodzinne powinny czuwać nad ścisłą karnością i obyczajnością, a jeżeli władza ich nie wystarcza, to staje im ku pomocy zwierzchność, rodzaj policyi wydalającéj ze Związku nieposłusznych, dopóki nie nauczą się porządku i posłuszeństwa. Zwierzchność nie przesiaduje na jedném miejscu, owszem, na wzór dawnych cesarzów niemieckich, znajduje się w ciągłéj wędrówce, ażeby utrzymać tożsamość w rzeczach głównych a w podrzędnych zostawić każdemu właściwą swobodę. Dopóki to będzie możliwém, unikać należy powstania stolicy. Wojsk stałych

w Związku nie ma; wszyscy obywatele mają być uzdolnieni do obrony.

Goethe wierzył w urzeczywistnienie swoich fantastycznych marzeń, które, jak widzimy, są odbiciem idei humanitarnych XVIII stulecia i własnych usposobień poety, który i w tém idealném państwie nie zrzekł się ideału oświeconego despotyzmu, choć nie w jednéj, ale w kilku osobach. Nauka Roussa o wszechwładztwie ludu miała dla Goethego teoretyczne tylko znaczenie, a chociaż widział ją przeprowadzaną praktycznie w rewolucyi francuskiéj, nie przypuścił atoli ani na chwilę, żeby ona i w Niemczech w rzeczywistości zastosować się dała. Samorządu nie pojmował i dlatego chociaż z moralnych względów zostawiał jednostce zupełną swobodę doskonalenia się i uważał to za rzecz możliwą; zacieśniał jednak sfery tego doskonalenia się do życia prywatnego i nie pomyślał, że ona z konieczności rozszerzyć się musi i objąć w sobie wszystkie stosunki życia publicznego.

II.

Badania przyrodnicze.—Ogólny charakter usposobienia naukowego poety: jego pojęcie świata.—Idea konieczności i wolnéj woli; jak ją rozwiązał Goethe. Niedostateczność tego rozwiązania. — „Córka naturalna" — „Powinowactwa z wyboru." — Charaktery i obrazy natury.

Z widowni wielkich wypadków politycznych, jakie zawichrzyły Europę w pierwszych 15 latach naszego stulecia, uciekał Goethe i schronił się do swego gabinetu, ażeby tam zastanawiać się nad zjawiskami przyrody lub rozmyślać nad dziejami przeszłości. 8 stycznia 1807 roku wkrótce po bitwie pod Jena, pisał Knebel do Jean Paul'a: „Goethe przysłał mi parę butelek wina, które w samę porę przybyły do człowieka wysuszonego przez Francuzów do ostatniéj kropli. On sam przez cały ten czas zajmował się swoją optyką; a my tu pod jego kierunkiem studyujemy *osteologią, do czego nadarza się chwila stosowna, gdyż wszystkie pola obfitują w preparaty.* Jest nas kilku i nie tracimy odwagi; nie czujemy nieszczęścia, raczej wesołość!" Spółczucie swoje, którego poeta nie mógł udzielić żyjącym ciałom wojowników niemieckich, ofiarował on, jak powiada Rudolf Gottschall, *ich kościom.*

Goethe oddawna już poświęcał czas studyom przyrodniczym. Widzieliśmy jak w Strasburgu pilnie uczęszczał na wykłady medycyny, jak następnie z żoną swoją Krystyną Vulpius badał życie ro-

ślin i jak w jenajskim uniwersytecie pracował. Pierwsze pisma treści przyrodniczéj sięgają jeszcze roku 1774, kiedy zwrócił uwagę na kość międzyszczękową u człowieka; dalej nastąpiły rozprawy treści botanicznéj (1790), fizycznéj (1791 i 1792), anatomicznéj (1795). Oceniono już dziś dostatecznie wartość naukowych odkryć Goethego; uznano, że jego spostrzeżenia anatomiczne zarówno co do roślin jak i co do zwierząt, tudzież pomysły geologiczne co do okresu lodowego, zawierały zarodek najnowszych poglądów na te kwestye; że przeciwnie walka jego z optyką newtonowską nie miała umiejętnéj podstawy a jego teorya barw krytyki wytrzymać nie może. I w naszéj literaturze istnieją już cenne pod tym względem uwagi, najprzód w przekładzie dzieła Lewesa (1) bardzo kompetentnego, w kwestyach przyrodniczych sędziego; a potém w osobnéj rozprawie dr. Stępniewskiego; nie potrzebuję więc wdawać się tu w szczegóły skądinąd znane i poprzestanę na ogólnéj charakterestyce badań naukowych poety.

Główną zasadą Goethego w badaniach naukowych było ograniczenie ich do zakresu rzeczy „przystępnych“ (des Zugänglichen) według jego własnego wyrażenia. Uznaje więc on zgóry „rzeczy nieprzystępne“ (das Unzugängliche), nie tylko jako połowę, lecz owszem jako *większość* zjawisk przyrody. Te rzeczy nieprzystępne, które nazywa także „wielką tajemnicą,“ zajmują w jego pojęciu tak dominującą pozycyą, że się nawet do rzeczy przystępnych rozciągają i cień tajemniczości na nie rzucają. Stąd wyprowadza poeta niemożność pojęcia całości wszechświata przez jednostkę i niewłaściwość wnioskowania z rzeczy znanych o nieznanych. Porównywa on siebie do żeglarza, który okrążając jakąś część ziemi na okręcie i wysiadając tu i owdzie na brzegi niepowinien z tego co widzi tylko zdaleka, wnioskować stanowczo o naturze wnętrza kraju. Dlatego téż o przyszłości nie może rozprawiać, ale marzyć jedynie; dlatego nie cierpi żadnego systematu i nie dba o zupełność spostrzeżeń swoich. Wierzy on temu tylko, co widzi własnemi oczyma, a cudzych spostrzeżeń nie uznaje, dopóki ich sam nie sprawdzi. Sprawdzać atoli chce tylko zdrowemi oczyma i własnemi palcami bez pomocy lunet, mikroskopów i teleskopów. Jest on tedy istotnym a znakomitym dyletantem w nauce. Nie spodziewa się ani na chwilę zbadać tajemnice przyrody tak dokładnie, żeby resztę mógł odgadnąć; on słyszy tylko pojedyńcze dźwięki nieznanéj mowy, z któréj tu i owdzie jedynie jakieś zdanie rozumié. Według jego przekonania

---

(1) Dzieje żywota utworów Goethego, 1860, str. 237—283.

wszystkie zjawiska zostają ze sobą w związku, którego niepodobna wykazać nawet po najszczegółowszéj i najzręczniejszéj obserwacyi pojedyńczych, oddzielnych części. W tém znaczeniu rozumiéć należy jego aksyomat, że przyroda nie ma „ani jądra ani łupiny", t. j. ani wewnętrznéj ani zewnętrznéj strony, ani rzeczy koniecznych ani podrzędnych; lecz że każda część obok innych za równie ważną poczytywaną być winna.

To osobiste zapatrywanie się uważał za tak nieodbitą ingredyencyą swojéj naukowéj działalności, że je za symptom ogólnego swego życia osądził a w późnym już wieku nie wprzód uwierzył w odkrycia meteorologiczne Howarda, aż się wywiedział listownie o jego usposobieniu i dziejach jego życia.

Jak dalece taki pogląd na rzeczy za „starożytny" (antyczny) uważać musimy, łatwo będzie zrozumiéć, jeżeli zwrócimy uwagę na stanowisko człowieka do przyrody podług poglądów, jakie się w naszych czasach wyrobiły. Dawniéj poczytywano człowieka za pana całego stworzenia i za jego cel ostateczny, a wszystkie inne zjawiska i przedmioty natury za środki i za sługi. Przeciwko temu zaprotestowała najprzód astronomia, kiedy Kopernik wykazał, że ziemia bynajmniéj nie jest centrem wszechświata, ale drobnym tylko jego pyłkiem. Potém geologia odkryła długotrwałe okresy, w których dokonywały się ogromne na ziemi przemiany, zanim człowiek powstał i mógł o nich wiedziéć. Okazało się, że kamienie, rośliny i zwierzęta są w równéj mierze panami powierzchni ziemi, jak i ludzie, że one według nieznanéj, „konstytucyi" istnieją obok siebie, są równouprawnione, rozmawiają ze sobą nieznaną człowiekowi mową i nic o nim jako o panu swoim nie wiedzą.

Goethe wychował się naturalnie jeszcze pod wpływem starego poglądu na stanowisko człowieka; ale jego własne badania osteologiczne wykazały mu, że zasadniczéj różnicy materyalnéj pomiędzy ludźmi a zwierzętami nie ma wcale, że zatém dawny władca musi opuścić tron swój, który istniał tylko w jego własnéj wyobraźni. To też uznaje on nad ludzkością, a zatém i nad sobą jakąś władzę losową, która pozorną wolność ludzi niemożliwą czyni. Własne jego doświadczenia, nieprzerwane zastanawianie się nad sobą musiały mu tego dowieść, chociażby innym wierzyć nie chciał. Z zadziwieniem zauważył on w sobie oddawna peryodyczny powrót zjawisk moralnych, zarówno dobrych jak złych, przekonywał się codziennie coraz bardziéj, o ile wolna wola w obec wpływu „gwiazd" bezsilną bywa, i odkrywał coraz to nowe więzy, których końce gubiły się we mgle, ale których ucisk zbyt dotkliwie czuł sam na sobie. Zdawałoby się, że Goethe uczyni tu krok stanowczy, ale on go nie robi.

Chętnie patrzy na drogę, na którą go popycha ciągle wzrastająca potęga nauk przyrodzonych, lecz tylko do pewnego punktu daje się po niéj prowadzić. Obok całéj swojéj uległości dla rozkazów natury, Goethe dziwnie samowolnie w życiu prywatném względem niéj się zachowywał.

Goethe nigdy nie zeszedł z prastarego arystokratycznego stanowiska, cokolwiek mówiła przeciwko temu umiejętność, on nie przestał uważać ludzkości za centrum stworzenia, dla którego istnieje wszystko, co jest. Nigdy mu nie przyszło na myśl szukać dowodów, usprawiedliwiających taki pogląd; miał go i na tém koniec. Tu właśnie chwytamy go na gorącym uczynku przeciwko głównemu wymaganiu umiejętności, żądającemu dokładnego zbadania rzeczy. Tu przedewszystkiém możnaby Goethego nazwać „Grekiem,“ który nie traci poczucia swego szlachectwa nawet w obec filozofii; nie chcąc zostać niewolnikiem pod żadnym warunkiem.

Goethego nie krępowały żadne zobowiązania, mógł więc swobodnie zdania swoje rozwijać. Nie pracował w żadnym uniwersytecie, gdzieby musiał zważać na swoich kolegów lub uczniów, nie był członkiem żadnéj akademii, coby nań może wkładało obowiązek jakiéjś reprezentacyjnéj wsztrzemięźliwości, słowem, zależał sam od siebie. Nikt nie miał prawa interpelować go, albo téż gwałtem zwracać głowę jego w tę lub owę stronę, ażeby widzieć musiał to co tam właśnie leżało. Goethe uważał więc siebie za centrum zjawisk a za miarę rzeczy ogłaszał to, co poznać można ludzkiém okiem *nieuzbrojoném*.

To subjektywne stanowisko wpłynęło na wyrobienie pojęć jego o wolności i konieczności. Rozwój rodu ludzkiego poczytywał on za część ogólnego postępu całéj przyrody, a los jednostki za falę wielkiéj rzeki, któréj wznoszenie się i opadanie podlegać ma prawom nieprzystępnym dla naszego poznania. O istocie rzeczy zatém nic nie wié, bada jedynie oddzielne wypadki, sądząc, że jakąkolwiek drogą dojdzie się przecież do prawa, rządzącego temi wypadkami. Doszedł on wreszcie do takiego prawa pod koniec życia, po śmierci swego mecenasa Karola Augusta, kiedy w liście składał hołd synowi jego. W sposób tajemniczy i „orficzny“, jak Gervinus nazwał ostatni okres działalności Goethego, wypowiada on tu formułę, określającą konieczność w naturze. „Świat rozumny,“ powiada, „uważać trzeba za wielkie nieśmiertelne indywiduum, które w sposób niepowstrzymany wykonywa rzeczy konieczne i przez to nad rzeczami nawet przypadkowemi panem się staje.“ Idea ta obejmuje zarówno świat fizyczny jak i moralny. Co do świata fizycznego to prawo konieczności znaczy, że twórcza przyroda ustanowiła

sobie niejako stały budżet, którego granic nigdy nie przekracza tak że gdzie tworom swoim daje po jednéj stronie *plus*, tam po drugiéj z konieczności *minus* odpowiadać musi. A co do świata moralnego to uznaje pewne nieodłączne następstwa poprzedzających czynności i stanów, następstwa te nie pojawiają się w oznaczonych formach, ale muszą się pojawić koniecznie. I tu również najmniejsza czynność ludzka ulega temu samemu prawu, które reguluje czyny mas największych: wszędzie musi nastąpić kompensata zjawisk, odpowiadająca „oszczędności natury.“

Poglądu tego, który ani ścisłością, ani zbyt wielką jasnością się nie odznacza, nie można nazwać kompromisem wolności i konieczności, nie można go również poczytywać za sformułowanie dziś znanego prawa przyczynowości; jest on raczéj fatalizmem wstecz zwróconym, jak go Hermann Grimm określa.

W poezyi pierwszy raz spotykamy się z tym poglądem w „Córce naturalnéj.“

W sztuce téj nie szło Goethemu o odtworzenie jakichś silnie uwydatnionych indywidualności, ani o przedstawienie jakiegoś zajmującego wątku; lecz wyłącznie o skreślenie skutków, wypływających nieodwołalnie z pewnych usposobień duchowych. Postaci tego dramatu nie mają nawet nazwisk indywidualnych; występują one tylko jako pojęcia gatunkowe, jako *król*, *książę*, *sędzia* itd. a zatém jako przedstawiciele napół historycznych, napół ogólnie ludzkich odłamów społeczeństwa, napół wolni, napół niewolni, a ciągle posuwający się ku nieuniknionym katastrofom. W Eugenii, bohatérce tragedyi, wystawia dziewicę, któréj los miał rozstrzygnąć, czy ma nadal zostać córką znakomitego książęcego domu, czy téż pierwszym lepszym ułamkiem licznéj a jednostajnéj masy. W chwili stanowczéj okazuje się, że Eugenia jest sobie dobrą, ale ciekawą i próżną dziewczyną; tym sposobem sama niejako na siebie wyrok losu ściąga. Te sceny atoli, w których się jéj sprawa rozstrzyga, rozwijają się z tak zimną, z tak nieubłaganą koniecznością, jak gdyby szło o ruch wahadła w bezpowietrznéj przestrzeni, o obserwacyą najdrobniejszych jego poruszeń.

Goethe miał zamiar utworzyć trylogią, któréj jedną częścią jest właśnie „Córka naturalna“ i w trylogii téj przedstawić poetycznie skutki rewolucyi francuskiéj; lecz do wykonania jéj nie przyszło, gdyż publiczność najzupełniéj nie zrozumiała celów i dążeń swego poety. Ideę więc swoję o losach ludzkich postanowił w innéj upoetyzować formie—i stworzył „Powinowactw z wyboru“ (die Wahlverwandschaften).

Goethe wybrał formę powieści, chociaż w gruncie rzeczy napisał tragedyą, w której główną rolę grają motywa moralne. Istotnie zarówno zawiązanie jak i rozwiązanie węzła wątku, zarówno rysunek charakterów jak i budowa kompozycyi są mistrzowską kopią tragedyi starożytnéj.

Część pierwsza przedstawia zawiązanie węzła. Poeta całą swą umiejętność w to włożył, ażeby wśród rzeczywistości jak najnowożytniejszéj stworzyć takie przeciwieństwo tragiczne, któreby miało w sobie demoniczną potęgę losu niczém niepokonanego. Edward i Karolina żyli z sobą dotychczas dosyć szczęśliwie, chociaż łączyła ich raczéj wzajemna życzliwość niż miłość głęboka. Wtém do ich spokojnego domu przybywają kapitan i Otylia. Poeta przepysznie zarysowuje sielankę życia ludzi wysoko położonych, wysoko wykształconych i powabnych wielce. Szczęście wśród tego grona serdecznych przyjaciół wygląda tak uroczo a tak spokojnie, jak ten zielony rozległy park, którego urządzenie artystyczne jest ich troską jedyną i zajęciem najmilszém. Wkrótce atoli oddzielają się pierwiastki obce sobie, a jednoczą się—przyjazne; powoli, w sposób zaledwie dostrzeżony kiełkuje i rośnie ziarno namiętnego powikłania prowadzącego Edwarda ku Ottylii a Karolinę ku kapitanowi. My przeczuwamy, co ma nastąpić; ale oni sami oddają się bezwiednie uśmiechającemu się im szczęściu nowych a miłych sercu wzruszeń, które pozornie opierają się na najczystszéj jedynie przyjaźni. Nagle stajemy w obec faktu spełnionego. Szybko i z nieporównaną siłą dramatyczną postępuje akcya ku swemu punktowi kulminacyjnemu. Namaszczeni moraliści gorszą się przedstawieniem nocnych odwiedzin Edwarda u Karoliny, które zachodzące słońce jakby zbrodnię jaką oświetliło; ale kto rozważa organizm wewnętrzny dzieła sztuki, temu przedstawienie tych odwiedzin wydać się musi nieodbitą koniecznością artystyczną. Sprzeczność pomiędzy faktyczném małżeństwem Edwarda i Karoliny a bezgraniczną rozłąką ich uczuć odbija się tu jaskrawo i stanowczo. A wrażenie to, wstrząsające do głębi, potęguje się jeszcze opowiadaniem, które bezpośrednio następując wykazuje aż do oczywistości, jak gorąco i serdecznie Otylia odpowiada na miłość Edwarda, a kapitan na miłość Karoliny. To co dotychczas tliło się tylko, wybucha teraz jasnym płomieniem. Przedstawiały się dwa środki spokojnego, chociaż bolesnego rozwiązania: albo stanowczy rozbrat pomiędzy Edwardem i Karoliną, albo surowe, poważne przezwyciężenie namiętności. Obu środków chwytają się nasi bohatérowie. Na rozbrat, tj. rozwód poprostu, nastaje Edward jawnie i otwarcie, a Ottylia milcząco; na utrzymanie małżeństwa, na spełnienie obowiązku surowéj rezygnacyi nastaje Karolina a z nią

kapitan. Tragiczną jednak walkę, wynikającą z tych sprzecznych dążności, wystawił poeta jako nierozwiązalną. Potęgi życiowe, walczące z sobą, zjawiają się w romansie jego nie jako równouprawnione, *lecz* jako równie nakazujące i równie niepokonane. Z jednéj strony staje prawo moralne, mówiące o bezwarunkowéj nierozwiązalności małżeństwa; poeta uważa je za obowiązujące jak najściśléj, za wyrok losu niezmienny i niepokonany. Z drugiéj znów strony występuje bezwzględna i na nic nieoglądająca się siła przyrodzona namiętności; poeta nie wahał się nawet domieszać do miłości Edwarda i Ottylii zagadkowéj potęgi tajemnego wewnętrznego powinowactwa, wrodzonego magicznego związku, ażeby spotęgować naturalny a zatém niepokonany pierwiastek pasyi głębokiéj. Tak więc walczą z sobą dwie konieczności: i jedna i druga jest niepokonaną, bezwzględną i nieuniknioną; cóż więc innego pozostaje prócz zagłady? Przy końcu części pierwszéj znajdujemy się w najwyższym punkcie tragicznego przeciwieństwa. Kapitan się oddalił z silném postanowieniem pokonania namiętności; Karolina, nosząc w łonie owoc owych Edwardowych odwiedzin, w téj właśnie okoliczności uwielbia zrządzenie niebios, które dla zjednoczenia nanowo małżonków użyły téj chwili, kiedy ich szczęście zniknąć już miało. Edward zrozpaczony idzie na wojnę, ażeby wystawieniem się na niebezpieczeństwo zewnętrzne wrócić sobie równowagę wewnętrzną. Ottylia coraz bardziéj zagłębia się w sobie: spodziewać się szczęścia nie mogła a życzyć go sobie nie była powinna.

Część druga zawiera przedstawienie katastrofy. Z początku doznajemy takiego wrażenia, jak gdyby poeta chiał odwlec ostateczne rozwiązanie. Edward i kapitan bawią gdzieś w dali; Karolina i Ottylia pędzą życie smutnie spokojne. Akcya pozornie zatrzymuje się; wszystkie atoli a bardzo różnorodne wydarzenia epizodyczne tak subtelnie są obrachowane, że przygotowują nas właśnie do decydujących wypadków. Rozmowy kobiét z budowniczym o przyozdobieniu artystyczném kaplic grobowych, nagła śmierć starego kapłana przy chrzcie dziecka napełniają duszę rozrzewnieniem i przewidywaniem, niepewnością nacechowaném. Niedorzeczne próby pojednania, przez Mittlera podjęte, dowodzą, że zawikłanie stało się zbyt subtelném i zbyt namiętném, ażeby można było mówić nie tylko o jakiéjś zgodzie, lecz nawet o zrozumieniu zwykłéj filisterskiéj moralności. Ottylia wznosi się do coraz wyższych i jaśniejszych wyżyn tak, że odtąd staje się postacią główną. W przeciwstawieniu do hałaśliwéj osobistości Lucyany, która zewnętrznością celuje, jéj skromne i głęboko w sobie zamknięte życie wewnętrzne tém powabniejszém i promienistszém się staje. Nieśmiała, ukryta a czci pełna

sympatya i budowniczego i dawnego jej nauczyciela dowodzi, jak potężny urok wywierała Ottylia na szlachetne i rozumne natury męskie, a przecież odpłacićby jéj wzajemnością nie mogła, chociażby nawet zdolną się okazała do wyrzeczenia się Edwarda. W skutek odwiedzin Anglika i jego towarzysza, bezpośrednio przed wybuchem katastrofy uwydatnia się raz jeszcze tajemnicza Ottylii natura: kiedy przechodzi koło ukrytego pokładu węgla, dostaje bólu głowy; kiedy trzyma w ręku wahadło, to ono wirowego ruchu nabiera, chociaż w ręce Karoliny nieruchomém zostaje. Jeżeli katastrofa miała się spełnić w ten sposób, jak ją poeta pomyślał, to należało właśnie pokazać, iż istota Ottylii znajduje się ustawicznie w stanie magnetyzacyi, oddziaływającéj na całe otoczenie, że wszystkie jéj uczucia i czyny są wynikiem konieczności nieubłaganéj. To sprawia, że rozwiązanie przeciwieństw tragicznych bardziéj jeszcze niż ich zawiązanie posiada wybitne cechy tragiki starożytnéj. Jest to szczegółem, subtelnie u tragików greckich podpatrzonym, że wybuch katastrofy rozpoczyna się od losu dziecka, które było owocem małżeńskiego związku Edwarda i Karoliny a zarazem strasznèm świadectwem ich duchowego cudzołóstwa, miało bowiem rysy Ottylii i Kapitana. W narodzinach tego dziecka widziała Karolina rękojmię przyszłego pojednania się z mężem, a teraz kiedy je utraciła skutkiem nieszczęśliwéj nieprzezorności Ottylii, któréj przyczyną znowu była namiętna niecierpliwość Edwarda, teraz w śmierci tego dziecka spostrzega wskazówkę losu nakazującą jéj zgodzić się ostatecznie na rozwód, któremu tak długo się sprzeciwiała... A tymczasem los, tak jak w tragedyach greckich, idzie swoją drogą nie dbając o krótkowzrokie myśli i życzenia ludzkie i zamieniając mniemane źródło szczęścia na zatrute bagnisko niszczącego ciosu. Z mistrzostwem prawdziwém przedstawił poeta ten przełom ostateczny. Przygnębiona boleścią z powodu śmierci dziecka Ottylia popadła w sen i leżała na ziemi z głową, na kolanach Karoliny opartą. Ale nie był to sen istotny; była to owa somnambuliczna odrętwiałość, w którą popadła już raz w dzieciństwie, kiedy jéj matka umarła. Tak więc Ottylia słyszała wszystko, co Karolina mówiła do kapitana, słyszała jéj poddanie się losowi, jéj wyrzeczenie się Edwarda, a nie mogła się ruszyć, nie mogła przemówić. Obudziła się wreszcie. Co zaszło w jej duszy, było dla niéj jakoby światłem bezpośredniego objawienia przyrody: z powabem serdecznym a z uroczystą powagą przemówiła do Karoliny: „Zeszłam z drogi swojéj, przekroczyłam prawa moje; wzdrygam się na myśl o sobie saméj; w śnie napół śmiertelnym zarysowałam już sobie drogę nową. Do Edwarda nigdy należéć nie będę. Bóg otworzył mi oczy w sposób strasz-

liwy; ujrzałam, jakiego wykroczenia się dopuściłam. Muszę je odpokutować i niech nikt nie myśli odwieść mnie od mego postanowienia!“

I zakończenie również, niewolne od cudowności, zrozumieć możemy jedynie z punktu widzenia tragedyi starożytnéj. Owa straszna tragiczna walka, która dotychczas pomiędzy dwie strony się rozdzielała, stała się obecnie wewnętrznym tragicznym bojem saméj Ottylii. Zostaje ona teraz pod naciskiem dwu jednakowo potężnych potęg losowych: w głębi jéj serca poczucie konieczności rezygnacyi zupełnéj nie osłabiło się bynajmniéj, lecz jednocześnie działa w niém także ta sama demoniczna przyrodzona siła, którą za wykroczenie moralne poczytuje. Napróżno szuka spokoju zdala od widowni smutnych wypadków; napróżno oddaje się systematycznéj pracy wychowawczéj, zrządzenie losu sprowadza Edwarda do miejsca jéj pobytu. Instynktowo czyni ona ślub wiecznego milczenia, ale równie instynktowo, pod parciem konieczności wraca z nim znowu do Karoliny. Ottylia przedsiębierze rzecz okropną; szuka śmierci powstrzymując się od jadła i napoju, ale urzeczywistniając ten zamiar z niezłomną siłą woli, nie może przecież przenieść na sobie, by ile możności nie być jak najbliżéj Edwarda... Katastrofa nie mogła spełnić się w sposób bardziéj wzruszający, niż się dokonała rzeczywiście. Potęga woli Ottylii kruszy się właśnie w chwili, kiedy Mittler powstaje gwałtownie w jéj obecności przeciwko tym, którzy nie mają uszanowania dla sakramentu małżeństwa. A jednocześnie siła pociągu naturalnego, wiążącego ze sobą Edwarda i Ottylią, nie mogła potężniéj się objawić jak przez to, że działa nawet po śmierci Ottylii. „Przyrzecz mi żyć“ mówi ona do Edwarda w ostatniéj chwili zgonu; ale to niepodobna; coś ciągnie go do niéj, pożera go boleść i rozpacz: to téż wkrótce spoczął na zawsze w téjże, co Ottylia mogile.

Ostatecznie rysy podobieństwa „Powinowactw z wyboru“ do tragedyj greckich i w tém jeszcze się uwydatniają, że po winie, losem spowodowanéj, następuje ekspiacya i przebłaganie potęg losowych. Ottylia śmiercią swoją zgładziła winę *nie swoję* i stała się świętą, na któréj grobie znajdują uspokojenie i pociechę ci wszyscy, co żyją w smutku i troskach. Poeta przedstawiając tę cudowną stronę opowiadania swego umiał to zrobić tak subtelnie, że nie przekroczył delikatnéj granicy, oddzielającéj cudowność jako fakt niby rzeczywisty od pobożnéj wiary ludzi pobożnych w skutki wpływu Otylii na złagodzenie cierpień ludzkich, mimo to jednak nie wahał się wskazać pogodzenia wszystkich przeciwieństw w pozaświecie. Ostatnie

słowa powieści mówią o cichym spokoju kochanków spoczywających obok siebie i o nadziei radośnego kiedyś przebudzenia.

Pod względem wykonania artystycznego wpływy antyczne nie pozostały bez skutku, tak że „Powinowactwa z wyboru“ mają pewne podobieństwo do „Córki naturalnéj.“ Postaciom romansu brak indywidualności wybitnéj, nie są one interesujące w zwykłém znaczeniu tego wyrazu, przedstawiają się one tak ogólnikowo jak figury tragedyi greckiéj: są typami. Nie widać w nich téj na pozór wewnętrzniejszéj prawdy, jaką nas zachwycają postaci Werthera lub Wilhelma Meistra (w początku). Nawet przyrodę przedstawił Goethe w ogólnych liniach tylko. Kiedy w Wertherze np. wydaje się, jak gdybyśmy znali każde drzewo, o którém tam mowa, to przeciwnie w „Powinowactwach z wyboru“ nigdy nie dostajemy istotnego wyobrażenia parku, o urządzeniu którego tyle razy czytamy: są to ogólnikowe opisy, a nie malowidła. Staw, w którym dziecko się topi, nigdy nie pojawia się w wyobraźni jasno i dobitnie, gdy tymczasem w listach Goethego kilka słów nieraz wystarcza, ażebyśmy wybornie pochwycili obrazki natury przez nie przedstawione. Tą razą obrazy przyrody miały w sobie coś z natury kulis, nie stanowią one organicznéj całości z postaciami powieści, ale stoją na ostatnim planie.

W „Powinowactwach z wyboru“ starał się Goethe poetycznie zdramatyzować stosunek swój do pani von Stein i miłość swoję dla Minny Herzlieb, wychowanicy księgarza Frommanna, Karolina—to pani von Stein, Edward—to jéj mąż, Ottylia—to Minna Herzlieb przyjmująca zarazem na siebie stanowisko Goethego w obec długoletniéj serdecznéj przyjaciółki. Jak Goethe wniósłszy do rodziny Steinów potężny czynnik duchowy, otrzymał w niéj taką przewagę, że rozstanie się z nim niemożliwém się wydawało, tak samo Ottylia w skutek swéj przewagi duchowéj zajmuje podobne stanowisko między Edwardem a Karoliną. W stosunku do pani von Stein uznał poeta po wielu latach winę swoję w tém, że tak długo trwał w stanie, który mu się teraz grzesznym wydawał.

Kiedy romans wyszedł z druku (1810 r.), oburzano się na poetę za to, że on zdawał się bronić myśli rozwodu i upiększać cudzołóstwo, przeciwnie krytyka najnowsza gani go za to, że zasadę nienaruszalności małżeństwa posuwa aż do uznania potrzeby straszliwéj molochowéj ofiary. Tamtym nie było do smaku, że poeta wystawił Edwarda i Ottylią jako męczenników a na ich skroniach aureolę ubłogosławienia położył, ci zaś pytają poprostu, dlaczego właśnie uczynił ich męczennikami, kiedy moralność wymagała, ażeby małżeństwo Edwarda i Karoliny, duchowo oddawna już rozwią-

zane, dostało również rozwód faktyczny. Ażeby tym i podobnym zarzutom odjąć siłę, obrońcy tego utworu starają się albo fatalistyczny pogląd w nim zawarty uznać za rzecz podrzędną i niewpływającą na całość, albo téż tak go przedstawić, żeby go należało uważać za mistrzowskie zjednoczenie dwu przeciwnych idei: konieczności natury i wolności woli. Usiłowania te jednak za nieudatne poczytać musimy. Pogląd swój Goethe wypowiada z naciskiem i nie tylko wypowiada, owszem urzeczywistnia go w akcyi, o nim więc jako o fantastycznéj arabesce nie może być mowy. A co do pogodzenia idei konieczności z ideą wolności woli, to trzeba zauważyć, że trudno nam wierzyć zarówno w bezwarunkową nierozwiązalność małżeństwa, jako w potęgę losową, ani też w fatalistyczne zaczarowanie natury, będące tu drugą losową potęgą. Trudno nam w to uwierzyć w tak fantastycznéj zwłaszcza obsłonie: idea przyczynowości nie jest przecież ideą fatalistyczną. To téż tragika „Powinowactw z wyboru" nie wydaje się nam nieodwołalnie konieczną, nieodwołalnie musową, jak ją poeta przedstawiać pragnął, ale tylko dowolnie wymyśloną, dowcipnie i sztucznie wykoncypowaną, stąd i wrażenie całości nie może działać na czytelnika uspokajająco i błogo.

III.

Powstanie Fausta.—Podania o czarnoksiężniku.—Dwa pomysły Fausta: pierwotny i późniejszy.—Okres burzy i wrzenia jako podścielisko pomysłu pierwotnego.—Refleksya jako czynnik główny pomysłu późniejszego.—Wpływ Fausta i jego znaczenie.—Faust streszcza w sobie całkowity rozwój ducha poety.

Pomijam późniejsze utwory Goethego: jego pamiętnik („Dichtung und Wahrheit"), jego zbiór poezyj wschodnio-zachodnich („Der west-östliche Divan"), który w połączeniu z poematami Byrona wywołał w całéj literaturze europejskiéj dziwny zwrot do podziwiania i naśladowania myśli, uczuć, obyczajów i literatury dalekiego wschodu; pomijam jego wiersze dydaktyczne i rozprawy o sztuce, ażeby się zastanowić na dziełem odźwierciadlającém w sobie najwierniéj i najlepiéj zarówno życie największego geniuszu niemieckiego jak i ducha nowszych czasów. Rzeczywiście pomysł Fausta rozwijał się wśród narodu niemieckiego przez całe dwa wieki, zanim się w najruchliwszéj epoce nowéj literatury niemieckiéj przeniósł do głowy Goethego. A zanim pomysł ten w zupełności dojrzał, zanim zamienił się w rzeczywistość artystyczną upłynęło

lat blisko sześćdziesiąt, których jedna połowa do poprzedniego a druga do obecnego stulecia należy.

Wątek poetyczny nie fabrykuje się sztucznie; rozwija się on jak życie samo i ulega podobnym prawom rozwoju jak formy ciał organicznych. W wyobraźni ludzkiéj odziedzicza się ten wątek z pokolenia na pokolenie, odmienia i przekształca postać swoję stosownie do usposobienia epoki, a wreszcie dochodzi do doskonałości, kiedy z biegiem czasu stosowna chwila nadejdzie. Wątkiem takim jest treść podań o czarnoksiężniku. Istniał on już oddawna na wschodzie, gdzie magia, zgodnie z pojęciami religijnemi, ubóstwiającemi zjawiska przyrody, uchodziła za mądrość dodatnią, najwyższą; istniał w Grecyi, gdzie się narodziły podania o Pytagorasie jako cudotwórcy. Przeszedłszy następnie pod wpływ chrystyanizmu, został przekształcony w ten sposób, że zamiast charakteru boskiego, jaki miał na wschodzie, otrzymał charakter szatański; czarnoksiężnik chcąc odrazu posiąść wszystką mądrość i rozkosze wszystkie bez żadnego trudu i zachodu, musi duszę swoję dyabłu zapisać. W wiekach średnich przeciwko magii dyabelskiéj stawia kościół magią boską, która nawet w razie ostatecznym ratuje jeszcze potępieńca, jeżeli on (albo ktoś inny za niego) wzywa jéj pomocy, jak to widzimy w historyi typowego czarnoksiężnika wieków średnich *Merlina*, albo téż w podaniu naszém o Twardowskim. Następuje renesans i reformacya; powstaje podanie o Fauście, łączy ono dwa sprzeczne ze sobą rysy: potępia magią bezwarunkowo, strąca ją na dno przepaści piekielnych a jednocześnie wynosi ją na szczyt potęgi ducha ludzkiego i ludzkiéj działalności. Pierwszy rys jest wynikiem chrześciańskiéj wiary ludowéj, a drugi pochodzi z badań nad starożytnością, z renesansu, który więcéj niż każda inna epoka doświadczył, posiadał i podziwiał siłę ludzkiéj woli, osobiste czarnoksięstwo człowieka. Oba te rysy jednoczą się w tém oto pojęciu, że bezbożny czarnoksiężnik w buncie swoim przeciwko Bogu występuje jak tytan, jak drugi Prometeusz.

Jest kilka przeróbek podania o Fauście; największe bogactwo żywéj akcyi i motywów tragicznych posiada przeróbka frankfurcka. Równocześnie podanie to przechodzi do Anglii i pobudza Krzysztofa Marlowa do wystawienia przygód Fausta na scenie (1590). Potém w Niemczech ulubioną grą jasełkową był „Doktór Johann Faust,“ który się bardzo długo utrzymywał na jarmarcznych scenach i który w duszy Goethego pierwszą myśl o wielkim poemacie obudził. Tenże temat obrał sobie wreszcie Lessing, lecz go nie wykonał, kilka tylko fragmentów pozostawiwszy.

Nadeszła nakoniec chwila stanowcza i wątek, który tylko zmianom już podległ, miał się w wielkich artystycznych ukazać kształtach. Okres burzy i wrzenia w Niemczech miał wiele podobieństwa do epoki renesansu: tytaniczność, siła była hasłem młodych geniuszów sięgających po wawrzyny, Goethe stał na szczycie młodzieńczéj twórczości swojéj, urodził się Faust. Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że w głównych zarysach, t. j. mniéj więcéj tak jak wyszedł r. 1790 pod napisem „Fragment“ powstał on istotnie w roku 1774 i 1775. Mowa tu naturalnie tylko o *pierwszéj* części Fausta. Gdybyśmy chcieli odtworzyć sobie tego pierwotnego Fausta, to musielibyśmy z dzisiejszéj pierwszéj jego części odrzucić: 1) dedykacyą, przygrywkę w teatrze, prolog w niebie; 2) drugi monolog Fausta, śpiew wielkanocny, sceny przed bramą miejską, trzeci monolog w w pokoju, zaklęcie i pierwsze zjawienie się Mefistofelesa, dwie rozmowy między Faustem a Mefistofelesem i 3) dokończenie tragicznéj historyi Małgosi, t. j. noc walpurgową, powrót i scenę w więzieniu.

Pierwotny ten Faust rozpoczyna się od rozsławionego po świecie całym monologu w komnacie gotyckiéj. W pierwszych już jego słowach odbija się wspomnienie ludowego podania i gry jasełkowéj, zewnętrzne nawet urządzenie sceny jest toż samo co i w sztuce ludowéj. W Fauście odnajdujemy rysy rodzinne odziedziczone po przodkach: popęd do wiedzy, oburzenie na bezowocną uczoność książkową, oddanie się magii z powodu niezaspokojonego pragnienia wiedzy i życia. Mimowolnie atoli do tego typu z podania ludowego przymieszało się uczucie, obce nawet Faustowi Lessinga i występujące tu po raz pierwszy. To uczucie właśnie przemieniło czarnoksiężnika ludowego na Goethowego Fausta. Jest to uczucie siły właściwe okresowi burzy i wrzenia. Z gorącéj piersi Roussa wyszła była nowa ewangelia, wyszła wiara w naturę, wiara, która na cały świat ówczesny wywarła wpływ prawdziwie magiczny, o jakim wyobrażenia nawet dzisiaj nie mamy. Burza rokoszu przeciwko nienaturalności wszystkich stosunków ówczesnych rozogniła umysł i wyobraźnię młodego pokolenia, a największy geniusz z tego pokolenia błyskawiczném słowem rozbijał zgrzybiały formalizm i oczyszczał powietrze atmosfery duchowéj. Faust z pomiędzy wszystkich utworów owego okresu burzy i wrzenia jest poematem najpotężniejszym, najwspanialszym i najognistszym. Hasłem jego: siła i natura! siła przeciwko uczonemu niedołęztwu, natura przeciw wyszukanym, formułkowym i niedorzecznym więzom życia. Człowiek pełen ognia i siły, szukający ochłody w nauce i szukający napróżno; przywalony pyłem książkowym a pragnący zadość uczynić

poruszeniom młodego serca i gorącéj namiętności: spostrzega niedorzeczność i marność dotychczasowéj szperaniny, otrząsa się z kurzu książkowego i wzdycha do natury, tęskni za życiem. Nauka zamiast zbliżyć do przyrody, coraz daléj go od niéj odsuwała a w dodatku kazała mu grać rolę wstrętną, bo nauczać drugich tego, co sam za niedorzeczność poczytywał. Opanowała go rozpacz ostatnia, która już o niczém nie wątpi i żadnych skrupułów nie ma, która wraz z obawą odrzuciła wszelką nadzieję tak, że pozostało tylko poczucie zupełnéj próżni życiowéj, niezapełnionéj niczém, ani bogactwem, ani znaczeniem w świecie, ani czcią i poważaniem. Ten Faust nie wyciąga ramion ku piekłu, ale ku *naturze*, do któréj chciałby powrócić jak syn marnotrawny do domu rodzicielskiego. Ta tęsknota za naturą nie ma w sobie nic dyabelskiego, owszem jest czysto ludzkiém uczuciém. Pierwotny Faust Goethego zachwyca się wspaniałością nocy księżycowéj i pięknością natury żywéj, nie cierpi szkieletów, dymu i stęchlizny, wyrywa się w świat daleki—z ciasnego swego mieszkania. Magia jego nie ma nic spólnego z piekłem, jest ona czarodziejską siłą geniuszu, potęgą głębokiego poczucia natury bezpośredniego jéj objawienia. Na chwilę wprawdzie zdaje się, jakoby czarnoksięstwo w duchu ludowym oddziaływało na niego: porywa księgę Nostradama, z chciwością wpatruje się w znak makrokosmu, z zachwytem widzi w nim obraz boskiego wszechbytu;—ale właśnie wśród tego entuzyastycznego rozważania makrokosmu przychodzi mu do głowy refleksya, że to przecież obraz tylko a nie rzeczywistość. Odrzuca więc księgę, chce sam świat poznać i użyć; gwiazdy są zadaleko od niego, wzywa więc *ducha ziemi*. Nie piekła tedy i jego duchów przywołuje na pomoc, ale *ziemi* i jéj opiekuna, jéj przedstawiciela; a powołuje go nie zą pośrednictwem jakiegoś książkowego zaklęcia, lecz za pośrednictwem potęgi ducha własnego. Tak jak Faust, przemawia prorok, chcący nową wiarę rozpowszechnić, bohatér i statysta, pragnący zdobywać lub przekształcać państwa, myśliciel i artysta, noszący we wnętrzu swojém dzieło, które świat ma zachwycić. Oni wszyscy dążą do tegoż samego celu i zapomocą tych samych środków; oni wszyscy mówią: „Czuję, że serce moje całkowicie tobie jest oddane; musisz, ach musisz mi się ukazać, choćbym zjawienie to życiem miał przepłacić!“ Taka wola podbija światy. Na zaklęcie Fausta pojawia się *duch ziemi*, pociągnięty potężném żądaniem *syna ziemi*. Uczony książkowy widząc nagle w celi swojéj pełnię życia światowego nie może znieść jéj widoku, ale tylko na chwilę. Obudza się w nim poczucie siły, które wywołuje dumne słowo, że on jest równym duchowi ziemi. Wtedy duch ten daje mu poznać w kilku potężnych zary-

sach, jaki przedział pomiędzy niemi istnieje. Pomiędzy stołem napełnionym książkami a burzliwém życiem czynów na arenie dziejowéj; pomiędzy pojedyńczym człowiekiem będącym drobniuchną cząstką wszechświata, a pełnią życia całości; pomiędzy życzeniem a jego spełnieniem, pomiędzy celem upragnionym a osiągniętym leży przepaść głęboka. Faust czuje tylko potęgę życzenia swego, widzi cel przed sobą tak blisko, że go się rękami niemal dotyka; ale duch ziemi widzi niemoc upojonéj fantazyi, która nie zna życia ani jego potęg; dlatego téż mówi Faustowi: „ty jesteś podobny do ducha, którego pojmuję ale nie do mnie"—i znika.

Tu był jeden kontrast, następuje teraz drugi. W obec genialnego myśliciela staje uosobiona w famulusie uczoność martwa, zadowolona z siebie, pogrążona w starych szpargałach, uważająca poznanie za równoznaczne z wyuczaniem się, z połknięciem tego „co przed nami wielki jaki mąż pomyślał." Faust przeciwko jego pedanteryi stawia *uczucie*, siłę, genialność.

Zarówno w rozmowie z duchem ziemi, jak w téj rozmowie z famulusem szło o uwydatnienie głównego pomysłu, którym było przeciwstawienie natury—nienaturalności, uczucia—nauce pedantycznéj, książkowéj, siły twórczéj—rutynie tradycyjnéj. Z tém przeciwstawieniem łączyło się zarazem potężne powołanie ludzi do życia całą piersią, do wydobywania z siebie wszystkich sił, ażeby je rozwinąć do potęgi najwyższéj, niczém nieograniczonéj i niczém nieskrępowanéj. W tém właśnie spoczywa tragiczność losu Fausta; w poczuciu nadmiaru sił chce on przekroczyć szranki ludzkiego rozumu i możności ludzkiéj; chce doświadczyć szczęścia i bólu ziemskiego, chce zogniskować w swéj piersi wszystkie cierpienia i wszystkie rozkosze ludzkości całéj. Faust puszcza się tedy na wędrówkę po świecie, a duch ziemi przysyła mu za towarzysza jednego z owych ziemskich demonów, dowcipnych i złośliwych, któremi podania północne zaludniają świat ten, a którzy, nie posiadając spółczucia dla nikogo, znają wszystkie kręte ścieżki i wszystkie słabostki, żądze i złudzenia ludzkie. Jako przewodnicy na drodze do przepaści prowadzącéj, przyjmują oni i odgrywają role dyabłów, ale dyabłami nie są. Takim demonem ziemskim jest w pierwotnym planie Goethego Mefistofeles, który naucza Fausta o potrzebie miary w życiu i o ograniczoności rozumu ludzkiego, ktory widzi pewną jego zgubę w pogardzie i lekceważeniu badań umiejętnych, a jednak pcha go po pochyłości żądzy, nie dając mu ani chwili do wytchnienia. Wprawdzie w wielu scenach poeta Mefistofelesa nazywa dyabłem poprostu; ale przyjrzawszy się dokładniéj wszystkim odnośnym wyrażeniom, spostrzedz można, że wyraz ten wzięty tu został w zna-

czeniu potocznéj rozmowy o duchu sprzeciwieństwa, złośliwości nielitościwéj i wyzyskiwania słabych stron ludzkich. Duch ziemi wysłuchał prośby Fausta i spełnił jego życzenia; teraz może on już rzucić się w fale życia i pogrążyć się w nich całkowicie. Następują przepyszne sceny miłośne z Małgosią, które bliższego wyjaśnienia nie potrzebują. Kto je choć raz odczytał, pozostaną mu one w pamięci na zawsze jak wspomnienia młodości.

Taki był pierwotny plan Fausta; jak się miał zaokrąglić, nie wiadomo; być może, iż sam poeta pisząc sceny urywane, jak się fantazyi jego nasuwały, nie wiedział nic o zakończeniu, ponieważ nie wiedział nic o swojéj własnéj przyszłości. Pomysł Fausta ściśle się splótł z jego własném życiem i rozwijał się w miarę rozwijania się tego życia. Goethe tworząc w okresie burzy i wrzenia wypowiedział głośno i wspaniale to wszystko, co było w sercach młodzieży spółczesnéj, ale ukończyć rozpoczętego dzieła nie mógł, bo własne jego losy wkrótce potém zupełnie inną poszły drogą, aniżeli przypuszczalny los jego bohatéra, który dotychczas wiernym jego był sobowtórem. Gdyby nie był ogłosił „Fragmentu“ (w 1790); kto wié, czyby kiedykolwiek późniéj pomyślał o jego wykończeniu. Tymczasem Fragment istniał, dopominano się o jego artystyczne ukształtowanie w pewną całość; sam Goethe, mający tak wysokie pojęcie o skończoności formy, czuł tego potrzebę; Schiller poddawał mu myśli, idee, któreby mogły stać się żywiołem twórczym dalszego ciągu i zakończenia. Poeta wziął się do pracy nanowo, czasami zdawało mu się, że pochwycił wątek dawniejszy na prawdę, ale w gruncie rzeczy wątek zmienił się wielce. Żył już wśród zupełnie innych stosunków; młodzieńcza burzliwość i tytaniczność minęła bezpowrotnie, poeta zagłębił się w dziełach starożytnych Greków, znienawidził gotycyzm i bajki ludowe, trzeba było wyszukać jakiéjś *idei*, którąby odpowiadała ówczesnemu jego poglądowi na życie. Nowa ta idea wytrysnęła z odmiennego usposobienia poety i zostawała w sprzeczności z dawną, a potrzeba je było jakoś połączyć: stąd powstała niejednostajność kompozycyi a nawet niezgodne ze sobą pojęcie osób i znaczenie scen niektórych. Tak przekształcony Faust wyszedł w r. 1808 jako część pierwsza, a dokończony został dopiéro w r. 1831.

Faust występuje teraz jako przedstawiciel zupełnie uprawnionéj w człowieku wyższym żądzy wiedzy. Może on błądzić, może upaść nawet, ale nigdy nie straci swojéj nieśmiertelnéj, wiecznie trwałéj cechy, cechy samodzielności. Popędów jego nic zniszczyć, nic skalać nie może. Jest to zasadnicza idea nowéj kompozycyi. Jeśli te wysokie dążności Fausta obniżą się i zniszczą, jeżeli wspania-

ły polot jego ducha ulegnie w walce z niskiemi i brudnemi namiętnościami, to on zostanie zgubiony, a zło zwycięży. Ażeby taka kolizya mogła nastąpić, potrzeba było zetknąć Fausta z duchem pokusy i zrobić zakład z szatanem. Zakład to próba życiowa. Faust zginąć może w jednym tylko razie: jeżeli zgubi sam siebie; jeżeli przestanie walczyć; jeżeli zmarnuje swe siły na użycie świata; jeżeli choć na chwilę zapragnie zatrzymać się przy jakimś przedmiocie użycia; jeżeli słowem zamiast ciągłego dążenia do czegoś wyższego, zapanuje w duszy jego przyjemność zadowolnienia z samego siebie. Ponieważ przedmiotem tego zakładu jest sam Faust, to jego rozwiązanie nie może być wątpliwém. Albo chwila, zadawalniająca go nie nadejdzie nigdy, a wtedy wygra zakład podług samego brzmienia umowy; albo téż ta chwila upojenia nadejdzie, jak nadejść musi koniecznie spełnienie celu, do którego się dążyło nieustannie pomimo wszelkie trudności; a wtedy Faust pozornie przegrywa, w gruncie nic na przegranéj nie traci. To co go teraz może zadowolnić, to nie są rozrywki i rozkosze światowe, ale takie ubłogosławione a własną pracą zdobyte istnienie, że ono szatana o rozpacz przyprawić musi. Użyciem jego będzie teraz owoc jego pracy, będzie spojrzenie na wielki zakres błogosławionéj jego działalności, która szeroki pas lądu wydarła morzu, uprawiła i na świat ludzki zamieniła, gdzie przyszłe pokolenia pracować i walczyć będą podług wzoru przezeń danego. Uszczęśliwia go teraz ten zasiew jego ręki, który zbierze przyszłość, uszczęśliwia go przeczucie żniwa, mającego nadejść kiedyś! Tak wypełniony cel życia, tak stracony zakład jest upodobaniem bogów a nie tryumfem czarta, choćby nie wiem ile miał cyrografów. Faust jako starzec wiekowy, zapominając siebie we własném dziele na schyłku dni swoich, wygłasza to w słowach ostatnich: „Tak, téj myśli oddałem się całkowicie; to jest ostateczny wynik mądrości: ten tylko wysługuje sobie zarówno wolność jak życie, *kto je codziennie zdobywać musi*. I tak, otoczeni niebezpieczeństwem, przepędzają tu dzielnie lata swe dzieci, mężowie i starcy. Pragnąłbym widzieć rojowisko wolnego ludu na wolnéj ziemi. I w téj chwili musiałbym powiedzieć: *Ach zatrzymaj się! jesteś tak piękna:* Ślad dni moich na téj ziemi nie może zniknąć po przez wieki całe. *W przeczuciu tak wielkiego szczęścia, rozkoszuję się teraz chwilą najwspanialszą!*“ Jako owoc usiłowań swoich wywalczył sobie nieśmiertelność: aniołowie unoszą do góry nieśmiertelnego Fausta, śpiewając tryumfalnie: „Szlachetny członek świata duchów wybawion ode złego: kto nigdy nie ustaje w pracy dla osiągnięcia celu, tego my odkupić możemy:“

Gerettet ist das edle Glied
Der Geisterwelt vom Bösen:
Wer immer strebend sich bemüht,
Den können wir erlösen!

Ta idea, stanowiąca o planie i wykonaniu całego dzieła, wypowiada się najprzód w prologu. Występuje tu Bóg i szatan, jak w księdze Hioba. Bóg nie wątpi o ostatecznym rezultacie duchowego rozwoju Fausta, wiedząc najpewniéj, że mąż mający szlachetne dążenia musi ostatecznie wejść na drogę dobrą, chociażby go namiętności długo po manowcach wodziły. Mimo to pozwala szatanowi wieść go na pokuszenia i robi z nim zakład. Zakład to ważny, bo zarówno Bóg jak i szatan uważają Fausta za przedstawiciela, za typ *ludzkości*. Jeżeli tak wzniosłe dążenie jak Fausta rozwieje się w nicość, to w świecie ludzkim w ogóle nie może być nic wspaniałego, to świat ten będzie marną fraszką, a dla ludzi nie przedstawi się nigdy jakieś wyniesienie się nad proch ziemski, ale ciągłe spadanie. Szatan jest tu duchem przeczącym, który boski porządek świata radby zniszczyć, a sił swoich chciałby spróbować na tak potężnym mędrcu jak Faust, gdyż powszednia gawiedź ludzka nie pociąga do siebie tego arystokraty z piekła. Bóg pewny zwycięstwa pozwala szatanowi doświadczać męża, którego nazywa *sługą* swoim.

Faust przechodzi więc najprzód przez czyściec namiętności, doświadcza tego, co życie dać może, bada i błądzi, ale błędy jego są podobne do błędów wielkiego mistrza, wielkiego myśliciela, wielkiego artysty, są one stopniami rozwoju, prowadzącemi do coraz większéj doskonałości. Proces tego udoskonalenia jest przedmiotem drugiéj części Fausta. Udoskonalenie to odbywa się bez wpływu niebios i to stanowi różnicę zasadniczą pomiędzy Dantem a Goethem, pomiędzy poetą średniowiecznym a poetą nowożytnym, że u tego samo życie na téj ziemi jest czyścem i że stopnie rozwoju natury ludzkiéj są zarazem stopniami udoskonalenia. Kiedy Goethe wydał poraz pierwszy „Helenę“ (1827, jest to trzeci akt drugiéj części Fausta), jednocześnie dał w czasopiśmie „Ueber Kunst und Alterthum“ objaśnienie co do planu swego nowego Fausta. „Dziwi mię,“ powiada, „że ci, co przedsiębrali uzupełnienie mojego *Fragmentu*, nie wpadli na myśl bardzo naturalną, iż w opracowaniu części drugiéj należało wyjść z dotychczasowéj mizernéj sfery i przeprowadzić takiego męża jak Faust do regionów wyższych po przez wspanialsze stosunki.“ Każdy akt części drugiéj przedstawia się jako szczebel

udoskonalenia: najprzód występuje doświadczenie na cesarskim dworze, gdzie Faust widzi życie w wielkich masach, upadek państwa, nieszczęścia publiczne i ich przyczyny, daléj idzie wzniesienie się Fausta w krainę ideałów (odwiedziny „matek“), zaklęcie Heleny, wędrówka po przez świat cieniów starożytnych, klasyczna noc walpurgowa, zaślubiny z Heleną, wreszcie zagłębienie się w zagadnienia świata rzeczywistego, udoskonalenie praktyczne, praca dla przyszłych pokoleń, niepragnąca sławy, ale czynu („Niczém jest sława, wszystkiém czyn!“). Stoi on wówczas na wyżynie, z której lekceważąco patrzy na użycie, mówiąc, że „używanie czyni pospolitym“ („Geniessen macht gemein“). Tu się rozpoczyna ostatni stopień udoskonalenia: w stworzeniu świata pracy, w przygotowaniu żniwa dla przyszłości.

Taki jest pogląd na układ i znaczenie Fausta, wypowiedziany przez najnowszego krytyka tego poematu Kuno Fischera (1). Nie oddziela on, jak widzimy, części drugiéj od pierwszéj, lecz w téj właśnie części pierwszéj widzi dwa przeciwne sobie pierwiastki, dwa pomysły różne z dwu odrębnych epok pochodzące, z których jeden był wynikiem burzliwéj i tytanicznéj młodości poety, a drugi tkanką późniejszą, wynikłą z refleksyi, a mającą tę zaletę, że mogła być znacznie rozciągnięta i użyta do zaokrąglenia poematu, będącego ułamkiem tylko a nie całością skończoną. Ten drugi pomysł, jako owoc refleksyi a nie życiowego doświadczenia, nie był już tak plastycznym, tak barwnym i tak dzielnym jak pierwszy, co więcéj nie nadawał się nawet do plastycznego obrobienia i został ujęty w formę symboliczną, która z konieczności musiała obniżyć poetyczną wartość części drugiéj, a niekiedy uczynić ją mistycznie tajemniczą.

Pogląd ten, który Kuno Fischer szeroko rozprowadza i szczegółowo udowadnia, wydaje mi się w ogóle nadzwyczaj trafnym, chociaż w szczegółach nie zawsze umotywowanym, winienem jednak ostrzedz czytelników, że nie jest jedynym. Faust wywołał w Niemczech obszerną literaturę, a każdy niemal z wykładaczy poddaje mu swoję własną myśl, swoje zapatrywania, tak dalece, że nawet w ostatnich czasach najznakomitsi krytycy pozostają z sobą w niezgodzie. Lewes wyznaje po prostu, że drugiéj części Fausta nie rozumié. Grimm unosi się nad obu częściami, jako nad przepyszną,

---

(1) Goethe's Faust. Ueber die Enstehung und Composition des Gedichts. W „Deutsche Rundschau,“ piśmie wydawaném przez Juliusza Rodenberga, rok 1877, w zeszycie październikowym i listopadowym.

jednolitą całością. Hettner rozważa ją od pierwszéj oddzielnie a jakkolwiek wchodząc w myśl poety, poczytuje ją za dalszy ciąg, za rozwinięcie idei zawartéj w części pierwszéj, to przecież ostatecznego rozwiązania nie uważa za usprawiedliwione. W tym względzie wypowiada zdanie, które wprost przeczy zdaniu Kuno Fischera, a ponieważ w tym właśnie szczególe staję osobiście po stronie Hettnera, muszę tu przytoczyć jego rozumowanie. Ponieważ Faust według (późniejszego) planu poety miał reprezentować ideę ludzkości, musiał pozostać fragmentem, gdyż idea ta jest wieczna i nieskończona. Im świadomiéj i wyraźniéj osobistość Fausta w rozwoju poematu przemieniła się i rozszerzyła do znaczenia typu ludzkości, tém przykrzéj działa na nas w piątym akcie części drugiéj powrót jego do szranek bytu jednostkowego, jego troski o zdrowie swoje, jego ślepota, jego smutna i bezsilna starość, prowadząca go prosto do grobu. Odkupienie, które ludzkość zdobyć sobie musi sama przez postęp bezustanny, udoskonalenie się i oczyszczenie; jeżeli je do jednostki zastosujemy to się nam ono przedstawi w postaci dogmatu jako cudowne ocalenie za pomocą łaski. A Mefistofeles zamiast być pokonanym przez doskonalącą się ustawicznie ideę ludzkości, traci swoje prawa do duszy Fausta dlatego tylko, że ujrzawszy aniołów dał się uwieść lubieżnéj chętce podziwiania ich piękności i szydzenia z nich, a przez to zaniechał odpowiedniéj chwili wzięcia Fausta w swoje posiadanie. W roku 1780 kiedy artysta Müller namalował walkę Anioła Michała z szatanem o zwłoki Mojżesza, Goethe nazwał ją niedorzeczną bajką żydowską, która nie ma w sobie ani pierwiastku boskiego, ani ludzkiego, teraz popadł sam w błąd podobny.

Hettner nie przeczy bynajmniéj zasadniczéj idei, jaką Goethe w drugiéj części Fausta przeprowadzić zamierzył, owszem uznaje całą doniosłość tego faktu, że Faust pokonał w sobie tytaniczne zapędy, niezważające na szranki rozumu ludzkiego i możności ludzkiéj, że otrząsnął się z nadaremnych szperań, że zwyciężywszy namiętności zamyślał o urzeczywistnieniu możliwych ideałów ludzkości, utrzymuje tylko, że idea ta pozostała ideą tylko, a nie artystycznym obrazem. Zamiast konsekwentnie przeprowadzonéj akcyi znajduje on w drugiéj części Fausta szereg luźnych obrazków, połączonych z sobą sztucznem i wyszukanem rozumowaniem, a zamiast kształtów plastycznych dyszących życiem, niedorzeczną i dowolną przemianę starych podań mitologicznych na obrazowe formy, mające wyrażać pewne określone pojęcia i stające się w skutek tego chwiejnemi i niejasnemi alegoryami. W pierwszych czterech aktach Faust schodzi do podrzędnego stanowiska widza, który sam nic

prawie nie działa, lecz tylko przypatruje się temu, co na wielkiéj scenie świata się odgrywa; osobistość jego, która w pierwszéj części tak silnie się uwydatniała, ginie tu niemal zupełnie a jéj miejsce zajmuje nieosobowy bohatér—idea ludzkości. To też „Faust“ przestaje być tragedyą a staje się poetycznie obrobioną filozofią dziejów.

Kiedy wyszedł „Fragment“ w r. 1790 nikt nań nie zwrócił nawet uwagi, świat zajęty był wielkiemi wypadkami rewolucyi francuskiéj i nie mógł myśléć o najwspanialszych nawet poematach, ale kiedy w r. 1808 ukazała się część pierwsza taką, jaką my dzisiaj znamy, to powstał taki entuzyazm dla tego dzieła nie tylko w Niemczech, ale w całéj niemal Europie (1), że nic podobnego nie pa-

---

(1) U nas potrzeba było bardzo długiego czasu, zanim oceniono należycie Fausta. Kiedy on się ukazał, nie było jeszcze u nas *przesyconych* nauką, bo uprawa umiejętności w ogóle na zbyt niskim stopniu w porównaniu z przodującemi w oświacie krajami znajdowała się, ażeby wstręt i niechęć z jéj nadmiaru wyniknąć mogła. Ten mędrzec, który wystudyował już wszystkie nauki i poznawszy ich marność przeniósł nad nie użycie świata i miłostki z Małgosią, nie był typem w Polsce zrozumiałym, gdyż tu życie czynne, nieraz lekkomyślne, daleko wcześniéj się rozpoczynało niż zapoznanie się z głębiami umiejętności. Dodajmy do tego rozpowszechniony i nadzwyczaj silnie w klasach ukształconych ugruntowany smak do literatury francuskiéj, a zrozumiemy, że Faust nie mógł być u nas przedmiotem nie tylko podziwu, ale nawet czytania. Jeśli sobie uprzytomnimy w umyśle ówczesny stan naszéj inteligencyi i naszego estetycznego wykształcenia, to nie zadziwi nas bynajmniéj jeżeli w 10 lat po wyjściu Fausta w jedném z najpoważniejszych naszych czasopism ówczesnych, w „Pamiętniku Warszawskim,“ redagowanym przez człowieka z dokładném wykształceniem uniwersyteckiém i znajomością literatury niemieckiéj, wyczytamy stanowcze potępienie Fausta. Autor nieznany mi z nazwiska zastrzegłszy z góry, że „z literatury niemieckiéj cudzoziemiec nie przejmie zapewne *dobrego smaku*, bo dzieła najzawołańszych nawet tego narodu pisarzów *obrażają i mniéj wykwintne* czucie,“ przytacza z *encyklopedyi* niemieckiéj uwielbiające zdania o Fauście, który miał być utworem tak znakomitym, że żaden naród nie ma nic, coby obok niego mógł postawić, i dodaje od siebie „Nietylko recenzent ale i wielu innych Polaków, znających dobrze język niemiecki, a nawet i wielu Niemców Fausta za *najniesmaczniejszą* poczytują tragedyą, o któréj mówi autor słowami Fausta, że w niéj słyszy chór stu tysięcy głupców..... Następnie przytacza treść tragedyi a robi to tak naiwnie, że nie wahamy się tu tego *curiosum* przytoczyć: „Pokrótce,“ powiada autor, „wymienimy niektóre sceny albo raczéj osoby, o aktach nie ma tu i wzmianki, bo genialność niemiecka nie przyjmuje żadnych prawideł ani co do miejsca, ani co do czasu. Rzecz poczyna się od preludium na teatrze, dyalogowaném między dyrektorem teatru, poetą i osobami wesołemi. Następuje prolog w niebie, gdzie archaniołowie i czart z panem Bogiem *rozmawiają się*. Poczyna się sama tragedya. Faust w swoim pokoju *piszący* (!) w nocy rozmawia z duchem, aniołowie śpiewają, spacer przed bramą miejską: tam rozmawiają studenci, rzemieślniczki, dziewczęta, mieszczanie, żebracy. Faust ze swym służącym, chłopi tańcują, Faust z pudlem (który ważną i *nielatwą* gra tam rolę), duchy, czart (ten wciąż już aż do końca sztuki towarzyszy Faustowi). Uczniowie szkolni. Czeladź podpiła. Następuje w kuchni czarowniczéj rozmowa

miętano od czasu ukazania się Werthera. Wszyscy spostrzegli w Fauście uosobienie walki ducha nowożytnego z przestarzałemi formami w życiu i w umiejętności, wszyscy podziwiali jego tytaniczną potęgę i śmiałość w uczuciach, myślach i wyrażeniach, wszyscy spółczuli jego genialności i samodzielności. Przyłączył się do spotęgowania tego wrażenia wpływ metafizyki niemieckiéj, która również wypowiedziała stanowczą walkę wszystkim starym poglądom, a pogardzając doświadczeniem i zmudném grzebaniem w ziemi i w księgach, powołała umysły do stwarzania wszechświata z głębi ducha własnego. Utwór odpowiadał wybornie wszystkim dążeniom czasu, był ich poetycznym manifestem: na tém polega ogromne jego historyczne znaczenie i jego wysokie stanowisko w dziejach literatury powszechnéj.

Wiemy, że Goethe nie pisał prawie nigdy nic takiego, czegoby sam nie przeżył, tak iż utwory jego są to cząstkowo wyznania tajemnic jego życia. Jeżeli tak jest co do innych dzieł, to témbardziéj co do Fausta. Faust jest spowiedzią powszechną z życia całego. Przypatrzmy się dokładniéj głównym jego figurom a otrzymamy dzieje żywota poety, w skróceniu wprawdzie, ale zarazem w blasku poetycznym.

---

czarta i Fausta z czarownicą, *z kotem, z kotką i innemi zwierzętami*..... Daléj scena na ulicy z panienką z kościoła idącą, którą Faust chce uwieść i aby swego dopiął zamiaru zabija jéj brata. Nabożeństwo w kościele, gdzie wśród śpiewu *Dies irae, dies illa zły duch do owéj panny mówi.* Scena na Łyséj górze, gdzie między innemi rozmowa z *światłem polowém błędném* i t. d. Kończy się tragedya na scenie Fausta z uwiedzioną przez niego panną, która w więzieniu jęczy, wyrzuca mu, że dla niego matkę zabiła i dziecię utopiła: nie chce z nim teraz uciekać.“ Po takiém genialném streszczeniu, które istotnie wygląda jak sprawozdanie z niedorzecznéj ramoty, autor dodaje „Z osób wchodzących łatwo się dorozumieć i *tonu mowy i przyzwoitych wyrazów* np. co Faust mówi: Du Spottgeburt von Dreck und Feuer, albo Meine Mutter, die Hure.... Nie jest wprawdzie i recenzent za ową najwyższą przyzwoitością krytyków francuskich, dla których upodobania wszelkie rysy człowieczeństwa nikną, a sama tylko osoba towarzyska przedstawia się; sądzi przecież, iż są pewne granice ogólnéj przystojności, które w pismach dla publiczności przeznaczonych zachowane być powinny. Rycina 22 do Fausta należąca, sprosnością swoją nie ustępuje najwszeteczniejszym dziełom francuskim, miejscem druku *à Caprée* oznaczonym. Taka to jest tragedya oraz księga mądrości, jako żaden inny naród poszczycić się nie może! Bo któż obejmie myśl i tendencyą autora? Nie jeden przeto czytelnik, niedozwalający zasypywać sobie piaskiem oczu w zapale, posądzi p. Goethego o wykonanie w Fauście tego, co Mefistofelesowi w usta włożył, że doskonała sprzeczność zostaje równie tajemniczą dla mądrego jak i dla głupca, że człowiek słysząc *słowa jedynie* sądzi zazwyczaj, *iż przez nie cóśkolwiek przecie rozumieć należy.*“ Nie myślę z tego wystąpienia nieznanego autora robić wniosku, że wszyscy ówcześni literaci podzielali zdanie jego o Fauście w zupełności; mam nawet dowód, iż w roku następnym wystąpił ktoś (prawdopodobnie Bro-

Zacznijmy od Małgosi. Goethe odjeżdżając ze Strasburga miał wielki ciężar na sumieniu: zostawiał biedną Fryderykę na pastwę namiętności, którą sam w niéj rozdmuchał. Czuł on, że po tém uwiedzeniu duchowém dziewczyna na zawsze wdową pozostanie: wdarł się on do jéj duszy niewinnéj, wzbudził w niéj niepokój i nadzieję szczęścia na wieki, a potém powiedział jéj do widzenia, jak gdyby się przypadkowo na drodze mijali. Stosunek ten w swobodnie twórczéj wyobraźni poety rozwinął się zupełnie aż do ostatecznych konsekwencyj, jakie w rzeczywistości możliwe były, chociaż się nie spełniły. W dziele sztuki musiało istnieć uwiedzenie prawdziwe i wszystkie wynikające z niego skutki, a zatém i dzieciobójstwo. W ten sposób powstała jedna z najpiękniejszych postaci kobiécych, jakie literatura powszechna posiada, a powstała z jednego odlewu; żaden dodatek późniejszy jéj nie oszpecił, nie zmienił nawet, gdyż ostatnia scena w części drugiéj, gdzie Gretchen w gronie aniołów jako pokutnica występuje, mogła być już w głowie poety przy pierwszym pomyśle utworu; mistyczne bowiem poglądy nie były i wtedy obce Goethemu.

Inaczéj rzecz się ma z Mefistofelesem. Ponieważ sam poeta wskazał Mercka jako pierwowzór téj postaci, krytycy poprzestają

---

dziński) w obronie Fausta, w obronie bardzo słabéj, przyznającéj wielkie błędy w układzie jego i odsyłającéj ją „do średnich wieków;“ ale sam fakt umieszczenia uwag owych w „Pamiętniku“ świadczy o bardzo skromném wyobrażeniu, jakie w 1818 miano u nas o Goethem. Fakt ten nabierze większego jeszcze znaczenia, jeżeli zważymy, że równocześnie jeden z najświatlejszych umysłów, Jan Śniadecki, piorunował na romantyków niemieckich powodowany głównie, jak się zdaje, czarodziejską obsłonką Fausta, którego może nawet nie czytał, ale który mu się fatalnie musiał przedstawić po poznaniu zdania o nim w „Pamiętniku“.... Dopiéro kiedy nowa poezya polska nauczyła publiczność głębiéj spoglądać w serce i fantazyą człowieka, kiedy Mickiewicz Dziadami spopularyzował formę mityczną i stanowisko duchom w poezyi naszéj zapewnić się starał, kiedy następni liczni jego naśladowcy, a między innymi Garczyński w poemacie „Wacława dzieje“ przyzwyczaili czytelników zarówno do głębszych myśli, do szukania pod formą ukrytéj treści, do symbolicznego pojmowania artystycznych szczegółów, jak i do luźnéj, fragmentarycznéj, przesiąkłéj cudownością formy, dopiéro wtedy, pomimo, że przesycenie się nauką nie zrobiło wielkich postępów, zaczęto widziéć w Fauście coś więcéj nad nieprzyzwoite wyrażenia i rozmowy z kotem, kotką i innemi zwierzętami.... Powierzchowny, gospodarski pogląd na Fausta ustąpił miejsca zachwytom, częstokroć niepytającym wcale o motywa, tłómaczeniom, których dokonano dwa w całości (części pierwszéj) a kilka we fragmentach, i naśladowaniom..... nieudatnym. Zauważyć tu wszakże potrzeba, że Polak pierwszy wprowadził Fausta na pokoje możnych tego świata. Antoni książę Radziwiłł, spokrewniony z rodziną królewską w Prusiech, amator muzyki, entuzyasta względem utworu Goethego dał go pierwszy poznać pruskim książętom w *ośm* lat po ukazaniu się w druku; a ci powzięli śmiałą myśl wystawienia Fausta na scenie prywa-

zazwyczaj na skonstatowaniu tego faktu; Hermann Grimm atoli sięga głębiéj. Według niego wszystkie doświadczenia, jakie poeta na drodze życia swego robił, wszystkie stosunki i wszystkie myśli zarówno jego samego jak przyjaciół i świata całego, poddawał on zimnéj, nieubłaganéj a ostréj krytyce Mefistofelesa, który się stał jego sobowtórem. Towarzyszył mu on na każdém zebraniu, czytał z nim razem książki, a ponieważ poeta potrafił zawsze dostroić się do właściwego tonu, jego téż sobowtór coraz wszechstronniejszym się stawał. Pierwotnie Herder i Merck złożyli się na utworzenie postaci Mefistofelesa. Wiemy już, jaki był charakter obu tych osobistości. Herder był pierwszym człowiekiem, który wywarł niezmierny wpływ na młodzieńczy umysł Goethego, a wywarł go przez to głównie, że nadzwyczaj mało on się troszczył i że posiadał tę demoniczną własność pociągania ku sobie ludzi, zyskiwania ich najzupełniejszéj ufności i wykazywania im jak na dłoni całéj zmienności stosunków ludzkich. Herder umiał brzęknąć złotem najpiękniejszych myśli, napełniać niém swe garści, kazać podziwiać blask jego w promieniach słońca, a potém odrzucić je od siebie precz jak węgiel bezużyteczny. Goethe poznał wtedy straszliwą potęgę chłodnéj, bezinteresownéj, ale i bezwzględnéj krytyki. Któż mógłby uwolnić się od wpływu człowieka, o którym się wié, że on zna nas na wylot, widzi dobre i złe nasze strony, ale nie myśli o wyzyskiwaniu ich na swoję korzyść. W téj okoliczności widzimy wyjaśnienie faktu, że Faust natychmiast uznaje wyższość Mefistofelesa i cyrograf podpisuje; nie dla obiecanych rozkoszy bynajmniéj, ale z poczucia bezwarunkowéj niższości w obec jego duchowéj przewagi. Mefistofeles natomiast niczego więcéj nie żąda, nad uznanie téj przewagi; we wszystkich zaś stosunkach ludzkich poddaje się woli Fausta. Faust jest panem,

---

tnéj. Od końca roku 1816 odbywały się próby czytane; musiano wiele miejsc wygładzić i różnego rodzaju liśćmi figowemi poprzykrywać, ażeby je „przystępnemi dla dworu“ (courfähig) uczynić. Nakoniec w dzień urodzin księżnéj Radziwiłłowéj 24 Maja 1820 przedstawiono Fausta: Mefistofelesa grał książę Karol Meklemburski; król z książętami krwi i całym dworem był obecny. Wkrótce potém powtórzono przedstawienie w zamku Monbijou. Radziwiłł skomponował muzykę do ustępów, które jéj wymagały. Zasługę jego wybornie ocenił kompozytor Zelter, przyjaciel Goethego. „Gdyby nawet“, powiada, „kompozycya Radziwiłła nie miała żadnéj wartości, potrzebaby mu przecież było przyznać tę ogromną zasługę, że poemat *pozostający dotychczas w najgęstszych cieniach*, na światło wydobył. Ja przynajmniéj nie znam nikogo innego, któryby posiadał dosyć *serca* i *niewinności*, ażeby takim ludziom proponować takie potrawy, przy których oni po niemiecku dopiéro się uczą.“ Tak wysoko oceniają zasługę naszego rodaka sami Niemcy. (Zob. cytowany wyżéj artykuł Kuno Fischera w Deutsche Rundschau, 1877, Październik, str. 96).

Mefistofeles niewolnikiem; Faust używa, Mefistofeles dostarcza mu środków do tego użycia, ale zastrzega sobie prawo przekonania go następnie w sposób dobitny, że wszystko, co robił, nie było warte zachodu, że wszystko, co się wielkiem i małém, dobrém i złém nazywa, są to rzeczy identyczne, a suma tego wszystkiego równa się zeru. Herder naturalnie nie zachodził tak daleko, ale nasunął Goethemu myśl, że można na drodze krytyki dojść do takiego punktu. Jak Małgosia zawierała w całości to, co z niéj stać się mogło, tak Mefistofeles wystawia to, do czego może nauki Herdera doprowadziłyby poetę.

Dopiéro kiedy Herder przygotował pierwiastki składowe osoby Mefistofelesa, spotkał się Goethe z Merckiem, który mu dostarczył postaci. Teraz dopiero Mefistofeles dostał indywidualność, mowę i nacechował się odznaczającą go bezgraniczną trywialnością. Merck nie posiadał dosyć pozytywnéj treści, ażeby mógł patrzéć na rzeczy z tak wysoka jak Mefistofeles. Krytyka jego burzyła, ale nigdy nic nie budowała; był to duch, który przeczył i nic więcéj robić nie mógł, gdyż brakowało mu siły twórczéj. Mefistofeles przeciwnie w krytyce przeczącéj mieści zarazem treść pozytywną, i gdybyśmy go sobie wystawili jako studenta przy egzaminie, to on nie tylkoby kpił sobie z egzaminatorów, ale nadto pokazałby im, że lepiéj wszystko od nich rozumié i że zna całą literaturę i wszystkie teorye nawylot z praktyki. Nie wchodziło w plan Goethego nadać taki charakter swemu duchowi przeczenia; ale tu postać Mefistofelesa przerosła zamiar pierwotny i wzniosła się do wyżyn.

Potém natura ta wzbogaciła się jeszcze innemi żywiołami. Stawał się on coraz subtelniejszym i bardziéj eleganckim; trywialna natura Mercka ścierała się z niego, a światowe wykształcenie, pańskość, wdzięk towarzyski coraz wyraźniejsze zostawiały na nim ślady. Mefistofeles w drugiéj części Fausta, to karykatura wysokiego urzędnika, obdarzonego dowcipem, który zwichnąwszy sobie karyerę przeszedł w stan spoczynku i nielitościwie poddaje wszystkie stosunki dowcipnéj satyrze. Do tego przyczyniło się znakomicie stanowisko polityczne Goethego. Wiemy już, jak reakcyjnie zachowywał się poeta niemiecki w obec liberalnych dążeń swego czasu, jak stanowczym był przeciwnikiem rządu reprezentacyjnego i swobody drukowanego słowa; w gruncie jednak, tj. w teoryi był Goethe liberalny i jakkolwiek publicznie nigdy przeciw prądowi reakcyjnemu ani jednego słowa nie powiedział, nie mógł przecież przytłumić w sobie ducha krytyki i nie widzieć paliatywnych jedynie skutków ówczesnego gospodarstwa politycznego, z po za którego wyglądała już rewolucya. Do téj roli podwójnéj wybornie się nadawał Mefisto-

feles. Zachowanie się jego, jako adjutanta Faustowego na dworze cesarskim, podaje w niewinnéj napozór formie krytykę tych spraw, na jakie Goethe własnemi patrzył oczyma. Poeta wyraża się wprawdzie ogólnikowo, ale ci co znają dokładnie ówczesne stosunki twierdzą, że każde słowo było ciosem głębokim. Tych jego wierszy nie spotkałby żaden zarzut ze strony dotkniętych niemi, a jednak umié on chłostać przez usta Mefistofelesa porządek istniejący z machiawelistyczną srogością.

Faust wreszcie to sam Goethe. Poeta posiadał od wczesnéj młodości dar obserwowania siebie samego jako przedmiotu istniejącego osobno: w duszy jego było niejako dwu ludzi: jeden, co działał, drugi, co się nad działaniem tém zastanawiał. W Strasburgu poczuł już zapewne Goethe pewne rozdwojenie w sobie: przystępując do egzaminu na stopień naukowy, poznał niedostateczność swego przygotowania a zarazem braki wiedzy swoich egzaminatorów; miał rozpocząć zawód prawny, a nie czuł do niego najmniejszego pociągu i zdatności. Gdziekolwiek się zwrócił, napotykał nieprzejednane sprzeczności. Z jednéj strony otaczały go zwykłe prawidłowe stosuki: zamożna, porządna rodzina, mieszczańska pozycya nie do pogardzenia, dobre wychowanie, przyzwoite na przyszłość widoki, wykształcenie fachowe i ogólne. Z drugiéj atoli strony pomimo licznych znajomości czuł się osamotnionym i opuszczonym, czuł się niezdolnym do długiéj a trwałéj przyjaźni; znał powierzchowność swoich wiadomości, a jednak ani jednéj książki nie było, o któréjby nie pomyślał, nie przeczytawszy ani jednéj strony, żeby ją daleko lepiéj niż autor napisać potrafił. Przeciwieństwa te wydawały mu się niestartą właściwością jego natury: zło odnosiło w nim zwycięstwo nad dobrém; chodziło więc o to, czy zło jest czémś pozytywném czy też tylko widmem, znikającém przy świetle. Nauka Spinozy o złém jako o negacyi dobrego przypadła mu przedewszystkiém do jego usposobienia,—i tak miał gotowe zagadnienie, które w Fauście przedstawił. Goethe powiedział raz o sobie, że czuł się zdolnym do popełnienia wszelkich wykroczeń i wszelkich występków (z wyjątkiem zazdrości), to właśnie miało się w Fauście uplastycznić. Potém w Wetzlarze i Frankfurcie Goethe używa życia młodego z całym zapałem i całą pogardą dla istniejących formuł światowych: był wtedy uwielbianym geniuszem, widok jego wzbudzał entuzyazm i rokował tytaniczne nadzieje; wokoło siebie wśród towarzyszy słyszał hasła, wołające o powrót do natury, o przełamanie nudnych konwenansów, o strącenie z piedestału starych zakurzonych powag; to drugi niezmiernie ważny pierwiastek w skład Fausta wchodzący. Faust, wyrażający całego Goethego, jest postacią pierwszorzędną

w całéj galeryi jego charakterów męskich, które wyrażają go tylko częściowo. Werther, Tasso, Edward, Ferdynand nie mają w sobie cech ludzkiego organizmu: nie oddychają, nie jedzą, nie piją w naszych oczach; mają oni zanadto delikatną skórę i bardzo miękkie mięśnie, Goethe przecież takim nie był; on mógł znosić głód i pragnienie, wystawiać się na wszelkiego rodzaju niewygody, był grubiańskim; kiedy tego było potrzeba, trawił wybornie i zachowywał się we wszystkich stosunkach jak prawdziwy mężczyzna. Tymczasem tamte postaci mają coś z księżycowéj bladości; Faust dopiéro przedstawia go takim, jakim był w rzeczy saméj; to téż przy każdéj z tamtych potrzeba się domyślać czegoś z Fausta; Faust zaś nie potrzebuje takiego dopełnienia; jest samym sobą, jest osobą skończoną, samodzielną.

Późniejsze życie Goethego było raczéj refleksyjne niż czynne; zbiérał w niém poeta plon obfity doświadczeń, ale działał tylko w zakresie twórczości, przypatrywał się olbrzymim wypadkom, dokonywającym na widowni europejskiéj, ale nie brał w nich żadnego udziału. Dlatego téż i Faust przestaje być postacią czynną, żywą, ruchliwą, namiętną, tytaniczną; przedstawia się nam natomiast w roli obserwatora, zapalającego się tylko do idei piękna i studyującego nauki. Wprawdzie poeta poddaje mu ideę czynu, ideę uszczęśliwiania ludzi, ale nie przedstawia nam czynności swego bohatéra, tylko jéj rezultaty.

Faust szedł trop w trop za rozwojem Goethego i stał się dla niego w końcu przedstawicielem całéj jego twórczości poetycznéj. To téż jeżeli utwór ten nie posiada całości artystycznéj, ma bezwątpienia całość biograficzną i streszcza w sobie fazy życia poety od rozbudzenia się w nim poczucia siły, aż do ostatnich wyników nauki i doświadczenia, do jakich doszedł w ciągu długiego swego pobytu na ziemi.

IV.

Śmierć Goethego.—Przeciwnicy jego i entuzyaści.—Potęga geniuszu w obec stosunków codziennych.—Zasadnicza własność siły twórczéj Goethego i jéj skutki.—Goethe jest najwyższym przedstawicielem poezyi nowożytnéj.

W kilka miesięcy po dokończeniu Fausta umarł Goethe, 22 Marca 1832, w ośmdziesiątym trzecim roku życia. Eckermann, ostatni z jego poufałych przyjaciół, opowiada, co następuje: „Nazajutrz po śmierci Goethego straszna opanowała mię tęsknota, chcia-

łem raz jeszcze zobaczyć ziemską jego powłokę. Wierny jego sługa otworzył mi pokój, w którym go złożono. Wyciągnięty na grzbiecie, spoczywał on jak śpiący, w rysach jego wspaniałéj, szlachetnéj twarzy widać było spokój głęboki i siłę. Potężne czoło zdawało się być jeszcze myśli siedliskiem. Ciało leżało nagie, owinięte w białe prześcieradło. Sługa rozwinął je: opanowało mię zdumienie nad boską wspaniałością członków: pierś nadzwyczaj silna, szeroka i wypukła, ramiona i uda pełne i łagodnie muszkularne; nogi wytworne, najczystszą formą odznaczone, na całém ciele najmniejszego śladu tłuszczu lub wychudzenia i rozkładu. Przedemną leżał człowiek skończony w wielkiéj piękności swojéj, a zachwyt jakiego stąd doznałem kazał mi zapomnieć na chwilę, że duch nieśmiertelny zwłoki te opuścił. Położyłem rękę na jego sercu i zwróciłem się ku wyjściu, ażeby łzom powstrzymywanym swobodnego biegu dozwolić.“

Ta siła i piękność ciała po śmierci były symbolem jedynie wiecznotrwałéj wartości dzieł największego z geniuszów poetycznych świata nowożytnego. Nie zbywało wprawdzie Goethemu na zawistnych i przeciwnikach, na szydercach i potępiających; owszem z rozmaitych stron, z różnych stanowisk i powodów doświadczył on krytyki nieubłaganéj, sprowadzającéj działalność jego do zera lub do wartości ujemnéj. Nicolai, przedstawiciel zdrowego ale trywialnego i płaskiego rozsądku, Novalis, zwolennik romantycznéj nadzwyczajności, jeszcze za życia poety napadali nań gwałtownie i zawzięcie. A po zgonie Menzel ze stanowiska patryotycznego, Boerne z punktu widzenia radykalizmu politycznego, Hengstenberg z wyżyn ortodoksyi odmówili mu wszelkich praw do znaczenia w dziedzinie wielkiéj narodowéj poezyi. Heine nazwał go „dziadem artystycznym“ (Kunstgreis); inni nadawali mu miano „papieża sztuki“ (Kunstpabst). Za życia Goethe nie wdawał się w polemikę, nie chciał tworzyć „partyi“ dla celów chwilowych; broń jego nieśmiertelna zbyt drogą mu była, ażeby jéj miał używać przeciw śmiertelnikom. Goethe działał powoli i nieznacznie jak przyroda, wyniósł się on wyżéj ponad miłość i wstręt. Jan Paul nazwał go Olimpijczykiem, którego tron nad światem się wznosi, któremu nikt nic dać nie może, który sam sobie wystarcza zupełnie. Głosy niechętnych niknęły w potężnym chórze uwielbienia. Apoteoza dzieł Goethego, odrzucająca wszelką miarę krytyczną a starająca się jedynie wyjaśnić ich bezwarunkową doskonałość, cechuje studya takich pisarzy jak: Düntzer, Hotho, Goeschel, Hinrichs, Roetscher, Schubarth, Rosenkranz i wielu a wielu innych. Co więcéj, nawet zwolennicy Proudhona, socyaliści zdeklarowani, jak Karol Grün, uważali autora „Powinowactw z wy-

boru“ i „Lat wędrówki Wilhelma Meistra“ za swego wielkiego poprzednika z tego mianowicie względu, że Goethe występował częstokroć wrogo przeciwko istniejącym stosunkom prawa prywatnego, jeżeli te przeszkadzały harmonijnemu rozwojowi jednostki. Każde pokolenie odkrywa w poecie nowe jakieś strony, dotychczas niezaakcentowane, widzi w nim inne szczegóły, nie ma prawie tygodnia, w którymby coś nowego o Goethem nie wydrukowano. A to zajęcie jest tak szczere i tak głębokie, że wedle Hermanna Grimma cała dotychczasowa, a już olbrzymia literatura, Goethego dotycząca, stanowi dopiéro początek działalności, która w niedojrzaną przyszłość przeciągać się będzie. I jak od dwu tysięcy lat z górą istnieje umiejętność, która się nazywa *Homer*, jak od kilku set lat istnieje umiejętność, któréj nazwa: *Dante*, jak od lat stu kilkudziesięciu *Szekspir* dał miano nowéj nauce, tak téż będzie umiejętność zwana *Goethe*. Mogą się o nim zdania przetwarzać i zmieniać, mogą utwory jego odpowiadać lub nieodpowiadać chwilowo panującym usposobieniom, nie strąci go to jednak z wyżyn, które w krainie literatury wszechświatowéj dzisiaj już zajmuje. Za życia swego wpłynął on po dwakroć na myśli i uczucia świata ucywilizowanego: raz przez swojego Werthera, drugi raz przez Fausta, a ten drugi raz stokroć potężniejszém odbił się echem aniżeli pierwszy. Przed ukazaniem się Fausta, po śmierci Schillera, uważano twórczość poetyczną Goethego za skończoną, w poecie widziano tylko radcę tajnego o chłodném usposobieniu i podbródku podwójnym. Minęły ogniste czasy młodości: stosunki i ludzie nie porywają go za sobą, owszem zmuszają do stanowiska biernego, nie zajmuje go to, co mu dawniéj najdroższém było. Raz w Düsseldorfie wśród starych przyjaciół, kiedy chciał coś odczytać towarzystwu i kiedy mu podano Ifigenią, poeta odsuwa książkę na bok, nie chcąc poruszać struny dawno przebrzmiałych uczuć. Obok niego podrosło nowe pokolenie pełne zapału, żądne czynu, któremu ciążyła powaga starego dyktatora. Wtedy-to ukazał się Faust. Nikt nie spodziéwał się po Goethem czegoś tak wielkiego. Poeta staje w nowém stuleciu jak olbrzym, młodzież do siebie pociąga, choć o nią nie dba, starszych na nowo zwraca ku sobie. Teraz dopiéro bierze w posiadanie całą umysłowość niemiecką, dotychczas bowiem istnieli jeszcze w Niemczech znakomici mężowie, dla których wyraz Goethe był czczém brzmieniem tylko, baron von Stein np. twórca idei jedności niemieckiéj nie znał do swego czasu pism jego i poznał go dopiéro wówczas, kiedy Fausta odczytał.

Tajemnica tego olbrzymiego wpływu odkryje się nam łatwo, jeżeli zważymy, że Goethe olbrzymim obdarzony geniuszem śledził

nieustannie ruch umysłów i postęp nauki. W naszych czasach nie było wielostronniejszego nadeń poety: oprócz umiejętności matematycznych, wszystkie inne zajmowały go w stopniu najwyższym, a niektóre, jak wiemy, wzbogacał swojemi odkryciami; znał wiele języków i nie przestał się ich uczyć do późnéj starości. Nie był to pogrążony w marzeniach wieszcz ani pisarz skrobiący po papiérze przy drzwiach zamkniętych, twórczość jego poetycka nie zabiérała mu czasu od spraw ogólnych, któremi jako minister interesować się musiał w najdrobniejszych nawet szczegółach. Miał on czas na wszystko: na załatwianie interesów urzędowych, na doglądanie górnictwa, na urządzenie uniwersytetu jenajskiego, na przyjmowanie odwiedzin oficyalnych i poetycznych, na przejażdżki, na dyrekcyą teatru wejmarskiego, pisanie wierszy okolicznościowych, wyprawianie festynów i tworzenie postaci samoistnych, nieśmiertelnych.

Goethe posiadał zdolność przebywania jednocześnie w dwu światach: zewnętrznym i wewnętrznym, które umié jak najściśléj z sobą zespolić a zarazem i rozdzielić; poddaje się wpływom otoczenia, a przecież zachowuje najzupełniejszą samodzielność, czerpie z życia pełnemi garściami materyały do swoich utworów, a przecież przetwarza je tak, że potrzeba dokładnéj znajomości stosunków, ażeby ich pierwiastki składowe w rzeczywistości odnaléść. Wrażliwość olbrzymia, dar spostrzegawczy wielki, wyobraźnia ruchliwa i płodna, rozum jasny i głęboki, umiejący pojąć i ocenić zarówno trywialne jak wzniosłe, zarówno codzienne jak nadzwyczajne, zarówno rozsądkowe tylko jak i mistyczne objawy; poczucie artystyczne posunięte do téj subtelności i doskonałości, jakiéj żaden z nowszych poetów nie posiadał: oto czynniki, które się złożyły na unieśmiertelnienie Götza, Werthera, Ifigenii, Egmonta a przedewszystkiém Fausta, Hermanna i Doroty; oto czynniki, które postawiły Goethego na szczycie poezyi nowożytnéj.

Z zasadniczego rysu jego twórczości, że to tylko przemieniało się na potężną kreacyą poetyczną, czego w życiu osobiście doświadczył; z rysu, który poezyi Goethego nadał cechy żywotności wiecznéj i przedmiotowości nieporównanéj, wynikły również granice jego umysłu. Granice te uznać musimy pomimo protestu bezwarunkowych wielbicieli Goethego, którzy żadnego, literalnie żadnego braku widziéć w nim nie chcą. Wychowany i wykształcony w rozkawałkowanych Niemczech, mierzył on wszystkie stosunki miarą prawa prywatnego i nie wyrobił sobie pojęcia o prawie publiczném, jak go czasy nowożytne pojmują, nie umiał téż ocenić znaczenia i doniosłości ruchu mas w przeciwstawieniu do działalności

wielkich jednostek i nie potrafił dobyć z swéj piersi głębokich tonów narodowych. W zakresie życia indywidualnego twórczość jego porusza się swobodnie, potężnie i z wdziękiem; w przedstawieniu interesów ogólnych posługiwać się musi artystycznie martwą symboliką. Bądź co bądź umysł jego jako poety ogarnął więcéj przedmiotów niż którykolwiek inny; zrozumiał naturę we wszystkich jéj objawach jak żaden inny i umiał ją przedstawić w indywidualnych kształtach z taką świeżością i siłą, że się one nigdy w wyobraźni naszéj nie zatrą.

Piotr Chmielowski.

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA.

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

W trzy dni potém Giraldi siedział w gabinecie swoim i przy ostatnich blaskach jesiennego, pogodnego słońca przeglądał listy, które w ciągu dnia tego przyszły pod jego adresem. Znalazł między niemi odpowiedź księdza z Tivoli, owego opiekuna Antonia, do którego napisał był zaraz po poznaniu młodego człowieka.

Giraldi szybko przebiegłszy oczyma pismo, głęboko się zamyślił.

— Hm, szepnął, stary lis nie chce się dać złapać. Że zrozumiał o co mi chodzi, to nie podlega żadnéj wątpliwości. Powiada mi, że prawdopodobnie Antonio nie jest synem mniemanych rodziców swoich, ale że trudno mi będzie dowieść ojcowstwa mego; że niepodobieństwem jest nawet, by chłopak ów był moim synem, którego tak dawno straciłem, tak starannie poszukiwałem i szukam dotąd i za wynalezienie którego poświęciłbym wszystko.

Tak, wszystko; ale naturalnie, że nie myślę nadaremnie trwonić pomiędzy. Pierwsza próba już mi się nie udała. Najprzód, za nic nie chciała go widzieć, potém najmniejszego nie upatrywała podobieństwa, utrzymując, że jest to zwykły typ Campagnolów, jakich

wszędzie pełno. Piękność jego nawet nie znalazła u niéj łaski; nie ma w niéj wyrazu, mówiła—silna tylko zmysłowa natura i nic więcéj. Zdania tego trzyma się z uporem, jakiego nigdy w niczém nie pokazywała dotąd; czyżby w istocie instynkt macierzyński nie dawał się zwieść? Ba; czegóż zręczność nie dokaże! Za gwałtownie brałem się do rzeczy, nic więcéj; trzeba będzie grać teraz rolę zrezygnowanego, a może przez zwykły kaprys kokiécy sama wróci do téj myśli. A co tam, François?

— Dama w czerni, proszę pana!

— Mówiłem ci raz na zawsze, byś ją tamtym korytarzem prowadził. Teraz proś tę panią, ale wyprowadzisz ją drugiemi drzwiami.

Giraldi nie powstał na powitanie wchodzącéj kobiéty, ręką tylko wskazał jéj krzesło przy biurku swém.

— Czekałem na panią. Jakże stoją rzeczy?

— Tak, jak pierwszego dnia.

— To źle.

— Nie wiem, czy to źle czy dobrze; wiem tylko, że mię to nudzi, a ja nie znoszę nudy! Przyszłam właśnie powiedzieć panu, że dosyć już mam tego wszystkiego.

— Mówiąc to, oparła głowę na poduszce fotelu, ze znudzoną miną podrzucając suknię końcem bucików.

— Ba! rzekł Włoch, ile potrzebujesz pani pieniędzy?

— Nic nie potrzebuję, odpowiedziała; kiedyś mi pan to zaproponował mówiłam zaraz—że zrobię, to dlatego, że mi żal Werbena, do którego zawsze mam słabość i że chcę.

— Kochanę dziecię, przerwał jéj Giraldi śmiejąc się, wiem, że masz osobiste do tego pobudki, ja płacę ci tylko extra. Ale dla czegóż w takim razie chcesz zaniechać sprawy!

— Bo mię nudzi!

— Co nudzi? wytłómacz się!

— Co tam tłómaczyć—dość, że nudzi i basta! Cóż dziwnego, że chciałam dogodzić człowiekowi, którego kocham i dopomódz do pozyskania téj, którą on kocha. A że przytém trzeba było odegrać małą komedyjkę tem lepiéj, bo zabawniéj. Miałam służyć za model przez dwa dni i nic więcéj. Ale trzebaż było powiedzieć nakoniec: tak i tak, to on mię przysłał, i czeka na ciebie!

— Wczoraj jeszcze pozwoliłem ci nadmienić o tém.

— Co tam nadmieniać, zawołała Bertalda, dzisiaj powiedziałam jéj wszystko wyraźnie.

Giraldi zerwał się z krzesła,—natychmiast jednak uspokoił się; jak to wszystko? kochane dziecię, zapytał.

— A no, że nie jestem modelem i że przychodziłam z powodu Werbena.

— Przysłana przez Giraldie'go.

— Ale cóż znowu! Jak gdybym dawała się przysłać komu, jeżeli sama nie chcę tego.

— A zatém z własnéj woli?—tém lepiéj! I jakże to przyjęła?

Bertalda wybuchła śmiechem. Boże, to prawdziwa była komedya! Sama nie wiedziała, co ma począć, paść przedemną na kolana, czy podeptać mię nogami. To z załamanemi rękami stawała przedemną i płakała tak, jak nigdy jeszcze nikogo płaczącego nie widziałam; to z podniesionemi ramionami biegała po pokoju jak szalona. Raz mię nazywała świętą pokutnicą, to znowu zepsutą do szczętu. I tak trwało godzinę całą. Jutro mam znowu iść do niéj. Ale wiem, że komedya rozpocznie się nanowo, i dlatego uprzedzam pana, że nie chcę więcéj mieszać się do niczego.

— Masz słuszność; nie idź ani jutro ani pojutrze—potém ona sama przyjdzie do ciebie. Naturalnie, jeżeli nie odpowiesz na list, który zaraz nazajutrz napisze do ciebie; udasz niby obrażoną, że się niepoznano na twém dobrém sercu itd. Jeżeli to zrobisz, pozostaniemy przyjaciółmi, a nie—to wierzaj mi, że niedobrze jest mieć Giraldi'ego za wroga!

Bertalda powstała, oparła się na fotelu, na którém siedział Włoch, i pochyliwszy się, spojrzała mu wprost w oczy.

— Gdybym wiedziała, co ci na tém zależy! rzekła.

— I cóż byłoby wówczas?

— Wiedziałabym, co mam począć. Dla siebie niczego się nie boję cóż mógłbyś mi zrobić? ale chodzi mnie o biédnego Ottomara, nie chcę, by mu się co złego stało.

— Dobre dziewczę! odrzekł Giraldi; przysięgam ci, że najlepszymi jesteśmy przyjaciołmi; że nie ma on przedemną żadnych tajemnic, mówi mi nawet o długach swoich. Nie jedna już może setka talarów, które dostał za moją pomocą, przeszła do twojéj kieszeni—zawdzięcza to wekslowi, jaki ma z mojéj łaski. Mogę ci to pokazać czarno na białém, jeżeli mi nie wierzysz. Cóż powiesz na to?

— Nic, odrzekła Bertalda. I okrążywszy fotel, stanęła naprzeciw mówiącego. Wspaniały stryj z ciebie, rzekła niespodzianie siadając mu na kolanach.—Wart jesteś całusa, kończyła gładząc ciemną brodą jego—na, masz!

— Objęła go za szyję i namiętnie ucałowała raz i drugi. Giraldi stracił na chwilę przytomność umysłu tak, że nie słyszał jak zapukano do gabinetu. Dopiéro kiedy François wszedł do pokoju,

Bertalda krzyknęła i zerwała się, a Giraldi gwałtownie zawołał czego chcesz?

— Pan Antonio, rzekł François, prosi usilnie.

— Dobrze! Wyprowadź panią, ja sam mu otworzę. Do widzenia z panią.

I postąpił szybko ku drzwiom przedpokoju.

Tymczasem Antonio, czekając podedrzwiami, usłyszał poprzedni krzyk Bertaldy, a wciąż mając na myśli Ferdynandę tylko, wyobrazil sobie, że to jéj głos i natychmiast wszedł do pokoju, zanim Bertalda go opuściła. W pośpiechu bowiem i zmieszaniu wychodząc, długim kwefem zaczepiła o portyerę drzwi, które służący otwiérał przed nią, a zanim z jego pomocą uwolniła go, upłynęło minut parę, podczas których Antonio poznał w niéj tajemniczą nieznajomę, która od dni kilku przychodziła do pracowni Ferdynandy, którą on brał za posłanniczkę nienawistnego mu rywala. A więc, nie od niego, ale stąd przychodziła. A dla czegóż teraz, za jego przybyciem, uchodzi tak tajemniczo? Czy to przed nim co ukrywają? czy może Signor sam mu o tém powié! W takim razie będzie mu ufał jak dotąd—a jeżeli nie, wówczas nie uwierzy ani jednemu słowu jego!

Giraldi tymczasem przyszedł do siebie. Przypuszczał on, że Antonio może podpatrzéć bytność Bertaldy u Ferdynandy i dlatego zalecił jéj największą ostrożność. Chodziło mu jednak głównie o to, by młody człowiek nie wiedział o stosunku jego z Bertaldą. Teraz, pomimo niespodzianego wejścia jego, nie sądził jeszcze, by tajemnica zdradzoną została; w komnacie bowiem panował już zmrok prawie; a zwróciwszy całą swą uwagę na te drzwi, któremi wchodził Antonio, nie spostrzegł wcale tego, co się przy drugich działo. Dlatego spokojnym już głosem powitał go uprzejmie. Antonio podaną sobie rękę do ust przycisnął.

Im mniéj mu wierzę, tem pokorniejszym być powinienem, pomyślał sobie.

— I jakże, kochany chłopcze,—czy widziałeś ją wreszcie, czy mówiłeś z nią?

— Widziałem tylko zdaleka. Mówić nie odważyłem się. Powiadają, że z nikim nie mówi i nikt do jéj pracowni, nie wchodzi tylko.....

— Jéj ojciec zapewne?

— Nie, jakaś dama cała w czerni i zakwefiona przychodzi na godzinę codziennie po południu. W pracowni przypuszczają, że to model.

Serce Antonia biło mocno, oczekując odpowiedzi.

— Dama w czerni i mocno zakwefiona,—powtórzył Giraldi, jak gdyby głęboko się namyślając. Miałżeby to być model w istocie? nie—to coś podejrzanego bardzo. Musimy się dowiedzieć.

— Kłamie!—Antonio zadrżał. Przed człowiekiem tym zdradził tajemnicę swoję; zbrodniczy swój zamiar, swoje plany zemsty, wszystko, wszystko przed nim wyjawił, jak przed księdzem na spowiedzi, a on kłamie!

— Starałem się dowiedzieć, Signor, odpowiedział, ale napróżno! Przychodzi i odchodzi w takiéj porze, kiedy w pracowni pełno jest ludzi, i nie mogę sam wyjść, nie obudzając podejrzenia. Wczoraj wszakże pod jakimś pozorem wybiegłem za nią, alem się spóźnił—wsiadła do powozu, który czekał na nią nieopodal domu i znikła.

— Trzeba jednak koniecznie wykryć tę tajemnicę. O któréj godzinie przybywa?

— Między 4—5.

— Dobrze! jutro sam będę czatował na nią; nie ujdzie mi, tego możesz być pewny! No, a cóż tam słyszałeś ciekawego między mistrzem a kapitanem? Czy nie wspominali imienia, o które mi chodzi?

— Nie, Signor, przeciwnie! Od czasu jak młoda panna wyjechała, to jest od dni trzech, stali się niezmiernie ostrożni tak, że ledwie jakieś słowo kiedy niekiedy pochwycić można z ich rozmowy. Ale za to mam list, który mistrz odebrał dzisiaj i odczytał kilkanaście razy; pokazywał go także kapitanowi.

— Niebezpiecznie było brać tak ciekawy dokument.

— Mistrz rzucił go jak zwykle do biurka. Wychodząc, zamknął je wprawdzie, ale stary ten grat umiem otwiérać bez klucza nawet. Dziś jeszcze włożę list na miejsce.

— Od kogóż jest? Daj mi go!

Wziąwszy od Antonia list, Giraldi przystąpił do okna i pomimo padającego zmroku szybko przeczytał go; ostatnie dwie stronice szczególną uwagę jego zwróciły—odczytał je nawet po raz drugi. Poczém zapalił świecę i nic nie mówiąc zaczął obie te stronice przepisywać. Skończywszy, oddał list. Tak! teraz odłóż to na miejsce i przynoś mi wszystkie listy, kreślone tém pismem. Wielką mi przez to oddasz usługę i prawdziwą pozyskasz wdzięczność.

— To co robię, robię dla pana samego, odrzekł Antonio, nie myślę o żadnéj nagrodzie. Jedyna nagroda, któréjbym pożądał, téj dać mi nie możesz.

— Tak sądzisz? odpowiedział Giraldi. Skądże wiesz, co mogę a czego nie mogę? I dla czego nie ufasz sobie? Jesteś piękny i młody,

silny i odważny, i czegóż taki mężczyzna nie może dokazać w obec kobiéty? Dla czegóż nie potrafiłbyś dokonać tego, co ów niezgrabny niemiecki kapitan? On pozyskał miłość pięknéj dziewczyny, na którą ludzie jego stanu nie odważają się oczu podnieść. Dla czegóż nie masz ufać gwiaździe twojéj, co z biédnego, obdartego pastuszka zrobiła tém, czém dzisiaj jesteś. Ufaj sobie samemu, natura obdarzyła cię tak pięknem ciałem i takiemi przymiotami duszy, że niepodobna przypuścić, byś nie dokonał tego, czego pragniesz—niepodobna uwierzyć nawet, żeś tak niskiego, jak sam mniemasz, pochodzenia. Ja nie wierzę temu, tajemnica jakaś musi ciążyć nad twojém urodzeniem—tajemnicy téj trzeba dojść staram się o to, bądź spokojny, i musi tak być, jak przeczuwam—a wówczas:

I tak, zręczny intrygant z kolei poruszał wszystkie struny namiętnego serca młodzieńca—prawdziwie po mistrzowsku grał na nich. Sączył jad zazdrości, podbudzał ambicyą, zachęcał, groził, obiecywał. Antonio wyszedł zwyciężony: ambitne nadzieje i pragnienie miłości ukołysały nieufność i obawę, uległ wpływowi człowieka, którego się obawiał prawie, a potęgę i rozum podziwiał.

Po wyjściu jego, Giraldi zadzwonił na Franceska.

— Mówiłem ci, byś nikogo nie wpuszczał,—bez wyjątku.

— Pan zawsze przyjmował tego pana, i on tak nalegał.

— Ten raz daruję ci, ale gdyby się raz jeszcze powtórzyło coś podobnego, utracisz służbę natychmiast. Możesz odejść!

— Zobaczysz Carlo, że i dzisiaj Ottomar nie przyjdzie, mówiła Ludwika Wallbach do siostry męża swego.

— Je le plains, je le blâme, mais....

I nie dokończywszy frazesu, Carla leciutko przesunęła palcami po klawiszach fortepianu, przed którym siedziała.

— Elsa także nie była tu oddawna.

— Tem gorzéj dla niéj, odrzekła Carla.

— Umywam sobie ręce od tego wszystkiego, dokończyła Ludwika, powoli wstając i wchodząc do salonu, gdzie wszedł ktoś ze znajomych.

Carla także podniosła się; ale usłyszawszy, że przybyłym gościem była kobiéta i to niewielkiego znaczenia, pozostała na miejscu i zamyśliła się.

— Nie ma on ani połowy tego rozumu co tamten, wyraźnie czasem nie pojmuje, co mówią; sądzę nawet, że jest un peu bête

ale kocha mię. Dla czegóż mam się trzymać człowieka, który nie troszczy się o mnie?

Drzwi, znajdujące się po za Carlą, otworzyły się w téj chwili, i hrabia Golm wszedł do pokoju.

— Witam panią!

— Niechże pan siada, tu, koło mnie. Mam coś do powiedzenia panu. Wiesz pan, kochany hrabio, że jesteś niebezpiecznym człowiekiem.

— Jakto? zapytał Golm—muskając wąsy.

— Musi tak być, kiedy Ludwika przed chwilą jeszcze sążnistém uraczyła mię kazaniem z łaski pana.

— Ale cóż ja robię złego? Wszyscy ubóstwiają panią, dla czegóżby mnie nie wolno było?

— Dla czego?—dla czego?—dla tego, że pan....

Carla podniosła oczy. Hrabia z zachwytem patrzał w niebieskie jéj źrenice, których spojrzenie zawsze go upajało.

— Dlatego, żem zapóźno przyszedł, wyszeptał namiętnie.

— Nie powinno się nigdy zapóźno przychodzić, kochany hrabio; jest to największy błąd, na wojnie, w polityce, wszędzie. Musisz cierpieć za ten błąd, voilà tout.

Znowu musnęła paluszkami po klawiszach, przegrywając piosenkę jakąś. Hrabia zamyślony patrzał przed siebie. Bierze to na seryo, pomyślała; muszę go rozweselić.

— Dla czegóż nie mielibyśmy być przyjaciołmi? spytała, wyciągając do niego rękę. Hrabia wycisnął na niéj długi, ognisty pocałunek.

— Bądźmy przyjaciołmi! Przyjaźń dusz czystych jest tak słodkiém uczuciem. Ale świat nie jest czysty, on się nie zadawalnia rzeczywistą cnotą, jeszcze trzeba i pozorów cnoty téj. A więc dla świata, dla pozoru, ożeń się pan.

— I pani mi to radzisz?

— Właśnie ja. Takim sposobem niezupełnie przynajmniéj utracę pana. Więcéj nie mogę żądać i nie żądam.

— Dziwna, że zupełnie to samo.

— Słyszałeś pan od pana Giraldi'ego, dokończyła Carla, widząc, że Golm zamilkł. Możesz pan mówić spokojnie, nie obraża mię to wcale. Giraldi jest najmędrszym z ludzi, przed którym niepodobna mieć tajemnic, chociażby się chciało—a ja nie chcę. Pan także nie powinieneś ich mieć przed nim. On bardzo panu sprzyja, wierzaj mi pan i ufaj.

— Wierzę i ufałbym bezwarunkowo, gdyby związek, o którym mowa nie zakrawał na interes. Wiesz pani, że kupiłem dzisiaj

dobra Warnow, nigdy zaś nie byłbym w stanie zrobić tego, gdyby nie dano mi poznać, że przynajmniéj połowę sumy kupna dostanę w formie posagu.

— Fi donc, przerwała Carla.

— Na miłość boską—niechże mię pani zechce zrozumiéć. Naturalnie, że myśl tę podać mógł tylko p. Giraldi, który jest mandataryuszem baronowéj.

— Daj mi pan pokój, nie chcę słyszéć nic więcéj. Idź pan lepiéj do salonu, baronowa Kniebrech nie darowałaby panu, gdybyś nie przyszedł ucałować jej ręki.

— Dodajże mi pani odwagi do tego!

— Jakim sposobem?

Hrabia nie odpowiedział na to, ale chwycił obie jéj ręce i namiętnemi okrył pocałunkami. I wyszedł z pokoju, okazując wzruszenie po części sztuczne, a po części prawdziwe.

— Miły z niego głupiec! szepnęła Carla, patrząc za nim. Zaledwie hrabia znikł w jednych drzwiach, w drugich ukazał się Giraldi.

— A, pan Giraldi;—w porę jak zawsze. Nie byłeś pan jeszcze w salonie? to dobrze! Porozmawiajmy trochę. Sam na sam z panem jest bardzo miłą rzeczą.

— I nie tak niebezpieczną jak to, co miało tu miejsce przed chwilą, rzekł Giraldi, siadając na małéj sofce, stojącéj w głębi pokoju. Mówiłaś z nim pani?

— Tylko co właśnie.

— I cóż odpowiedział?

— Na tyle jest mądry, że pyta siebie, jaki interes możesz mieć pan w tém, by związek jego z Elsą doszedł do skutku.

— Tak? hrabia pyta, jaki mam interes w tém! A więc zgadzam się na to, że gdyby nie on, to sprzedaż Warnowa przeciągnęłaby się jeszcze, bo jenerał nie zezwalał na nią wcale, a brat pani nie chciał, by je sprzedano gründerom i żądał pośredniczącéj osoby. Daléj, przystaję na to, że hrabia był nie tylko najdogodniejszym, ale i najkorzystniejszym dla nas kupcem. W zamian za te korzyści nasze hrabia miał inne, daleko większe. I wierzaj mi pani, że on sam wié o tém dobrze, udaje tylko nieświadomego, i zaraz powiem pani dla czego. Po pierwsze, dobrze jest nie wiedzieć, kto nam coś dobrego robi—w danym razie można bez wyrzutów sumienia być niewdzięcznym; powtóre, kocha panią, i dopókiś niezamężna, nie traci nadziei; potrzecie nie ma żadnéj pewności, że panna Elsa przyjmie rękę jego, i do téj niepewności ma bardzo słuszne powody.

— Znowu napomykasz pan o mniemanéj skłonności Elsy do pięknego kapitana, ale co do tego, kochany Giraldi, pozwól, że ci wierzyć nie będę.

— A jeżeli dam pani na to niezbite dowody? Patrz pani, oto kopia listu jéj przyjaciółki, owéj panny Strummin, która niespodzianie się tutaj poznajomiła z rzeźbiarzem Andersem i jeszcze niespodzianiéj zaręczyła z nim. Mała ta osóbka nie ma żadnych tajemnic przed narzeczonym swoim i oryginalnym stylem zawiadamia go o gorącéj miłości, jaką jéj przyjaciółka pała ku jego przyjacielowi.

— Ależ to bardzo ciekawe! zawołała Carla, i niesłychanie interesujące dla hrabiego.

— Zapewne, ale zanim mu powiemy o tém, trzeba żebyśmy byli pewni jednéj rzeczy.

— To jest?

— Że pani nie wolisz rączką swą uszczęśliwić hrabiego Golma zamiast Ottomara Werbena. Bo widzi pani, dowiedziawszy się o skłonności Elsy, hrabia porzuci myśl starania się o jéj rękę; dla nas zaś wszystkich najdogodniéj byłoby, żeby się on z nią ożenił. Jeżeli pani go chcesz dla siebie, a zdaje się że tak jest, to i na to znajdzie się rada, na miejscu pani jednak nie spieszyłbym się z tém wcale.

— Ale jakimże sposobem, kiedy wszystko już teraz nagli nas do tego związku? Moja rodzina, jenerał, wszyscy są za nim, nawet towarzystwo nasze wyczekuje go i zgorszy się niesłychanie, jeżeli w początkach Marca ślub nasz nie nastąpi.

— Sposoby znajdą się, bądź pani spokojna, możemy się teraz porozumiéć z sobą i ułożyć plan nasz. W połowie Lutego pani uczujesz się znużona gwarem miasta i przed nową erą życia swego zapotrzebujesz odpoczynku i spokoju, który na wsi tylko znaléść można. W tymże czasie baronowa wyjeżdża do Warnowa i bardzo będzie rada towarzystwu narzeczonéj synowca swego. W tym celu właśnie wymówiłem u hrabiego przy sprzedaży czasową używalność zamku i parku. Na usilną prośbę pani, panna Elsa towarzyszyć będzie ciotce swéj. Hrabia Golm w tymże czasie, mający ważne do załatwienia interesa, mianowicie co do budowy portu, i zmuszony do pobytu na wsi, będzie dokładał wszelkich starań, by uprzyjemnić życie pań. Brat pani i ja będziemy przyjeżdżali do Warnowa od czasu do czasu. Wiosna i bliskość morza niejednę rozrywkę dostarczą paniom; a skłonność kochanéj Elsy do pięknego kapitana dojdzie może także do rozkwitu. Ten, na którego padł jéj wybór, od dni kilku zajął posadę naczelnika locmanów i mieszka w Wis-

sowie, a zatém tak niedaleko od Warnowa, jak i hrabia Golm. Jakże się pani mój plan podoba?

— Zachwycający! Ale czy możebny?

— To już mnie proszę zostawić. Daj mi pani tylko swe piękne rączki na znak, że mię popierać będziesz.

— Muszę przerwać wasze sam na sam, rzekł Wallbach, wchodząc do gabinetu. Wszyscy już jesteśmy, możemy siadać do stołu. Carlo, Ludwika prosi cię do salonu.

Wiész pan, co za dziwne nowiny, szepnął Wallbach, gdy zostali sami z Giraldi'm. Hrabia Golm zapłacił pół miliona. Lübbener nie może wyjść z podziwienia. Powtóre, koncesya, na którą, jak sądziliśmy, długo jeszcze czekać będziemy musieli, jutro już ma być ogłoszona w gazecie urzędowéj. Ale najdziwniejsza nowina, tak dziwna, że może mi pan nie uwierzysz nawet, chociaż upewniam pana, że mam ją z najlepszego źródła, otóż, w spisie awansowanych w wojsku, który jutro także ma być ogłoszony, osoba jenerała została pominiętą, to znaczy, że będzie musiał podać się do dymisyi.

— Dziwna rzecz, rzekł Giraldi.

— Rozumiałbym krok taki, mówił daléj Wallbach mocno wzburzony, gdyby to koniecznie potrzebne było dla sprawy naszéj, ale kiedy już mamy koncesyą, to uważam.

— Za niepotrzebne okrucieństwo, dokończył Giraldi.

— Nieprawdaż? a w ślad za tém pójdzie i drugie jeszcze: Ottomar nie pojedzie do Petersburga.

— Ależ to byłoby śmieszném nawet, nie tylko okrutném.

— Nie znasz pan stosunków naszych. W takich rzeczach trzymają się u nas ścisłéj konsekwencyi.

Giraldi nie miał czasu odpowiedzieć na to, gdyż wezwano panów do stołu.

Przed wyjazdem swoim z Berlina dla objęcia posady, którą mu wyznaczono w Wissowie, Reinhold postanowił być raz jeszcze u jenerała i zrobić jakiś krok stanowczy, któryby go wyprowadził z tego stanu niepewności, w jakim pozostawał, i pozwolił wiedzieć nareszcie, czy miłość jego ku Elsie mogła mieć nadzieję jakąś w przyszłości.

Nie wiedząc jeszcze ani o nadanéj koncesyi na koléj, ani o upokorzeniu, które spotkało jenerała, przybył do jego domu właśnie w sam dzień katastrofy. Pomieszane i zaniepokojone twarze starych sług uderzyły go zaraz na wstępie. Od Augusta jednak dowiedział

się tyle tylko, że ciotka Sydonia zasłabła niespodzianie, że jenerała w domu nie było, ale że panna Elsa będzie zapewne mogła widzieć się z nim.

Reinhold, boleśnie dotknięty tym zbiegiem okoliczności, mechanicznie prawie szedł za Augustem do salonu.

Po chwili weszła Elsa i podając mu rękę: przychodzisz pan z pożegnaniem, rzekła, wiém to od Mieting.

— Tak jest; ale powiédz mi, pani, co się tu u państwa stało, czy nieszczęście jakie?

Mówił to, trzymając jeszcze jéj rękę i wzruszony, zaniepokojony patrzał ze współczuciem na bladą twarzyczkę Elsy.

— Ojciec łajałby mię, gdyby słyszał, że nazywam nieszczęściem to, czém się on szczyci, jak powiada. A jednak, któż wié jak zniesie cios, który go dotknął?

Hamując wzruszenie, ręką ukazała Reinholdowi krzesło i sama siadając rzekła spokojniejszym już głosem:

— Pominięto ojca w służbowym awansie, który mu się należał. Wiész pan, co to znaczy: udał się właśnie do ministra osobiście, prosząc go o dymisyą.

— Wielki Boże! zawołał Reinhold, człowiek takich zdolności i zasług takich, czy być może?

Po ustach Elsy przemknął gorzki uśmiech; oczy zaszkliły się łzami, widocznie cierpiała bardzo.

— I to ja, ja sam przyczyniłem się do tego nieszczęścia! mówił daléj. Ojciec pani wspominał mi, jak ciężką jest walka, którą prowadzi, jak stanowisko jego zachwianém jest, i jak najmniejsza okoliczność może go zmusić do wystąpienia ze służby.

Elsa potrzęsła głową. Nie, to nie to, rzekła. Ojciec postanowił był podać się do dymisyi, gdyby koncesya udzieloną została. Ale, że nie czekano jego własnéj w tém woli, tylko zmuszono go prawie do tego, to go oburza, to dumę jego rani.

Z zaczerwienionych oczu dziewczęcia łzy się polały; szybko je otarła i, przezwyciężywszy wzburzenie, mówiła daléj. Nie powinno to pana tak dotykać, spełniłeś pan swój obowiązek, tak jak i ojciec spełnił go. Jedyna to pociecha w położeniu, na które zgodzić się musimy chcąc nie chcąc.

— Zapewne, ale smutne to słyszéć i z takich ust jeszcze.

— Czy dlatego, że jestem kobiétą odpowiedziała Elsa. Ja sądzę że myślą tą powinny się właśnie przejąć kobiéty, co tak często stoją bezsilne w obec stosunków życiowych. Dziś, kiedy mi ojciec powiedział o Ottomarze.

— Czyż tego przynajmniéj nie można było oszczędzić pani?

— Sądzę, że nie. Sądzę, że ojciec dobrze zrobił, kiedy dziś rano, jak przed przyjacielem, jakże dumną i wdzięczną mu za to jestem, zwierzył się przedemną ze wszystkiego. I nie mogę się rozstać z myślą, że dla nas wszystkich lepiéj byłoby, gdybym się była dowiedziała o tém, jeżeli nie z samego początku, to przynajmniéj w ów dzień straszliwy. Kobiéca tylko ręka zdołałaby była rozwikłać splątane wówczas nici. Cóżbym nie dała za stracone chwile! Wiém, że potrafiłabym była przemówić do serca Ottomara i do kuzynki pańskiéj. Biédna Ferdynanda! cóż ona cierpiéć musiała? co cierpi teraz! A nieszczęśliwy Ottomar mój! Mniéj on winien, niż się panu zdaje. Teraz już wiész pan, dla czego unikał nie tylko pana, ale i najdawniejszych przyjaciół swoich, mnie nawet. Walka z przesądami i towarzyskiemi względami trudną jest zawsze, ale dla niego trudniejszą jeszcze była; jeżeli uległ w niéj, przyczyniły się do tego dziwne stosunki rodziny naszéj. Nie mogę go uniewinnić zupełnie, gwałtowny i namiętny jest to prawda. Otrzymawszy list Ferdynandy, wybiegł z domu jak szalony, nikt z nas nie domyślał się nawet, co zrobić z sobą zamierza, a on po chwili wrócił już jako narzeczony Carli. A jednak potępić go zupełnie niepodobna!

— Trudno mi potępić kogokolwiek, odrzekł Reinhold. W sercu człowieka takie są głębiny! Nigdy nie potępiałem brata pani— przeciwnie, zrobiłem dla niego wówczas wszystko, co tylko było w mocy mojéj. Ryzykowałem nawet dlatego drogą mi bardzo przyjaźń stryja mego, i zdaje mi się, że straciłem ją. Napróżno jednak, nie mogłem przeszkodzić temu, co dla kuzynki mojéj śmiertelnym było ciosem, a co mniéj więcéj nas wszystkich bez wyjątku dotknęło.

— Serdecznie dziękuję panu za brata. Dziękuję i za siebie także, boś mię pan uspokoił. Od rana dzisiaj wciąż zapytywałam siebie, co téż pan myślisz o tém? Teraz lżéj mi; między nami przynajmniéj, wszystko pozostanie tak, jak było dotąd.

— Tak, pani, myśli? tak, na seryo?

Z ust Elsy znikł uśmiech, powoli cofnęła rękę, którą mu była podała; rumieniec okrył jéj policzki, ale na chwilę tylko, zbladła znowu, więcéj jeszcze niż wprzódy nawet.

— Miałażbym się omylić? wyjąkała.

— Daruje mi, pani, otwartość moję. Brata pani i moję kuzynkę zgubiło to właśnie, że nie byli dosyć szczerymi, ani względem siebie samych, ani względem jeden drugiego, ani względem przyjaciół swoich; nie umieli stać silnie przy swoich przekonaniach, przy miłości swojéj. Co do mnie, nie chcę mieć nic podobnego do

wyrzucenia sobie, chcę mieć czyste sumienie pod tym względem także, chociażby nawet serce przecierpiéć miało. Czy mogę wypowiedziéć, co czuję, i czy pani odpowié mi, tak jak jéj serce mówi?

— Odpowiem, rzekła z cicha.

— Przyszedłem tutaj w zamiarze pożegnania ojca pani. Chciałem mu podziękować za dobroć jego i zaufanie, którém mię zaszczycał. Przypuszczałem oraz, że powié mi, iż się spodziéwa widywać mię u siebie i nadal. Na to miałem zamiar wyznać mu otwarcie, że zmuszony jestem wyrzec się téj przyjemności dla bardzo ważnéj przyczyny. Okoliczności bowiem zbliżyły nas do siebie na tyle, że mogłem poznać sposób myślenia i uczucia ojca pani; co większa, wtajemniczony zostałem w familijne sprawy tak dalece, że wiém, iż z własnéj woli nie zgodziłby się na to, bym się starał o rękę jego córki, którą kocham.

Elsa nie odpowiedziała nic, nie poruszyła się nawet.

— Którą pokochałem, mówił daléj Reinhold drżącym głosem, od pierwszego spójrzenia, mogę powiedziéć, któréj obraz nie opuszczał mię dotąd ani na chwilę, i jak gwiazda północna jasno przyświecał w zwątpieniu i smutku. Miłość ta jest życiem mojém i wraz z życiem tylko zginąć może. Tobym powiedział ojcu pani.

— A potém przyszedłbyś pan do mnie?

— Tak, rzekł, przyszedłbym do pani.

Rumieniec okrył twarz Elsy, oczy śmiało i silnie patrzyły w mówiącego, promień szczęścia z za łez przeglądał, a drżący głos zdradzał tłumioną radość.

— A ja odpowiedziałabym, że miłość pana czyni mię niewypowiedzianie szczęśliwą i że całém sercem kocham cię i kochać będę!

Ręce ich i usta spotkały się w długim uścisku. On całował oczy jéj, czoło, usta, ona oparła głowę na ramieniu jego. Mój Boże! jakże się to stało, jak stać mogło?! Dziś rano jeszcze, przed chwilą nawet, kiedym tu wchodziła, patrz! chciałam ci to oddać, mój skarb! chciałam się wyrzec wszelkiego szczęścia! A teraz, teraz mogę go zatrzymać, nieprawdaż? I uczyć się od niego, jak mam szukać mego pana, jak ta igiełka! Nauczyłam się tego od niéj.

Ucałowała kompas i daléj mówiła:

— A teraz, najdroższy, kiedy wiész już, że cię kocham i wierną ci będę zawsze i wszędzie i pójdę za tobą na koniec świata, jak tylko mię zawołasz; nie wołaj teraz i zostaw mię przy ojcu, dla któ-

rego w tych dniach smutku pociechą i podporą jestem; zostaw mię przy ciotce Waleryi, która mię potrzebuje. Przewiduję nie jedno nieszczęście jeszcze, wiém, że nie jedno zło stałoby się, gdyby mię tu nie było. Może być, że i ja nie pomogę na to, ale przynajmniéj spełnię powinność moję.

Dawny uśmiech wesela znowu igrał w oczach i na ustach.

— Musimy tylko mieć cierpliwość i kochać się, o, kochać bardzo, a wszystko będzie dobrze, nieprawdaż?

— Kto posiada miłość twoję, odrzekł Reinhold, ten się obawiać może tego tylko, by jéj nie utracił.

Tegoż dnia jeszcze Reinhold i Justus przechadzali się po ganku dworca kolei. Reinhold miał już bilet kupiony, oczekując więc na odejście pociągu, przyjaciele mieli jeszcze pół godziny czasu na rozmowę.

— Czy zatrzymasz się w Sundinie?

— Tyle tylko, ile koniecznie trzeba będzie. Zobaczę się z prezydentem i przedstawię się naczelnikom moim i radzie budowniczéj, wezmę także potrzebną instrukcyą.

— Prezydent jest podobno tutaj od dni kilku, powiadają, że ma zostać prezesem rady administracyjnéj nowéj kolei, zrobiono mu jakoby bardzo świetne propozycye.

— Tak mówią gazety, ale ja nie wierzę temu. Taki człowiek jak prezydent nie może dopomagać szachrajstwu.... Zresztą, gdyby tu był, wezwałby mię z pewnością do siebie.

— I tak, pojutrze staniesz już na miejscu. Co za szczęśliwy człowiek z ciebie!

Justus westchnął; Reinhold spójrzał na przyjaciela, który z posępnym wyrazem twarzy szedł obok niego i wesołym wybuchnął śmiechem.

— Dobrze ci śmiać się, a mnie o mało co dyabli nie biorą. Nie chciałem ci psuć humoru i dlatego nic nie mówiłem, ale dusi mię to, i wolę powiedzieć ci to teraz, aniżeli potém pisać. Będziesz tam blisko i może zrobisz to dla mnie, że pojedziesz do nich i wyrzniesz surową prawdę w oczy temu staremu kutwie.

— Tak? cóż się stało?

— Wiesz już, jak było. Mieting pisała do mnie, że stało się tak, jak przewidywała. Matka stanęła zaraz po jéj stronie, ojciec zaś wyprawił najprzód okropną scenę, a w godzinę potém przystał na wszystko, z tém wszakże zastrzeżeniem, jeżeli rozbijacz kamie-

ni, jak mię łaskawie nazywa, w stanie będzie przyzwoicie utrzymać córkę jego, bo on biédny, zrujnowany, ani złamanego szeląga dać jéj nie może. Dobrze, zgadzam się na zrujnowanego teścia, i on przyjmuje mię. Ale wszystko to wiész już przecie, powtarzam dla tego tylko, by ci wykazać całą chytrość tego faryzeusza.

Justus zatrzymał się pod latarniami i wyjął z kieszeni list.

— Patrz, co mi pisze teraz znowu: „Szanowny panie!“ Pierwszym razem byłem „wielce szanowny.“ Otrzymałem właśnie w téj chwili telegraficzną drogą wiadomość, że położenie moje majątkowe zupełnie się zmieniło. Z tego powodu, przed córką moją otwiéra się przyszłość daleko świetniejsza od tego wszystkiego, co w najlepszym razie mógłbyś pan jéj ofiarować. Jako sumienny człowiek i troskliwy ojciec, proszę go o parę tygodni czasu do namysłu, zanim położenie nasze nie wyjaśni się. Zostaję z wysokim szacunkiem Otto Strummin, właściciel dóbr, poseł na sejmie, wice-prezydent i t. d. i t. d.“ dość już tego, nie mogę czytać dalćj. I zgniótłszy list, z gniewem wcisnął go do kieszeni.

— Czyż nie mam słuszności, Reinholdzie? Czyż twoje położenie nie stokroć lepsze od mego? Ty masz przynajmniéj do czynienia z człowiekiem honoru, który dotrzyma słowa, jeżeli je raz da, a da z pewnością! Ja zaś na kogo mam rachować? Na niego? To tak, jak gdybym chciał budować na piasku. Żebym przynajmniéj mógł wiedzieć, czego chce ten właściciel dóbr. Mnie się zdaje, że cała ta historya telegramów i t. d. czystym jest wymysłem jego własnéj głowy; chce się mię pozbyć, nic więcéj.

— Że chce się pozbyć ciebie, to rzecz pewna, ale nie zdaje mi się by to, co mówi, miało być prostym wymysłem. Ja sądzę, że dla téj lub owéj przyczyny, najprawdopodobniéj dlatego, by się nie dzielić z nim pierwszą, bogatą zdobyczą, utrzymywano go w zupełnéj nieświadomości co do koncesyi. W złych będąc interesach, rad był pozbyć się troski o los córki i obiecał ją był tobie. Teraz zawiadomiono go o koncesyi, może Bóg wié jakiemi złudzono obietnicami; wyobraża więc sobie, że własne jego znaczenie podniosło się, i że powinien uchronić córkę od niestosownego już teraz związku. Ale się nie bój, nie ty, lecz on buduje na piasku. Wkrótce może sam przyjedzie do ciebie i powié szanowny panie, okropnie się oszukałem, bierz moję córkę!

— A to byłoby pyszne! rzekł Justus uśmiechając się pomimo woli, ale nie wierzę temu.

— Justus, Justus, co ci się stało, gdzie się podziała dawna ufność twa i swoboda umysłu?

— Dobrze ci tak mówić, gdzie się podziała? Ja sam nie wiém, co się ze mną stało. O, ta miłość, ta miłość! Zawsze się jéj obawiałem, zawsze przeczuwałem, że będzie nieszczęściem mojém, tak jak jest nieszczęściem każdego artysty. Nic robić nie mogę, nie pamiętam już kiedy pracowałem, ja, co dotąd żyć bez pracy nie mogłem. Z Ferdynandą to samo; dzisiaj zaglądałem do jéj pracowni—biedaczka—stracona zupełnie, i ona i talent jéj! Stryj Ernest, jak gdyby za mało miał jeszcze do roboty, dał się obrać posłem miasta, na rok przyszły wejdzie do izby deputowanych i upoi się pracą; zawsze to lepiéj niż winem. Ale biédna, biédna Ferdynanda!

W czasie téj rozmowy ganek powoli zapełniał się podróżnymi, zwykły ruch powstał koło wagonów: wynoszono rzeczy, wybierano sobie miejsca, zajmowano je. Reinhold trafił do pustego coupé.

— Do widzenia, mój drogi, mówił, żegnając Justusa, pozdrów w mojém imieniu Cilli i p. Kreiselsa. I dzięki ci raz jeszcze za przyjaźń twoję!

— Ani słowa więcéj, albo—okropnie sentymentalny dziś jestem! O to miłość, ta niegodziwa.

Koniec frazesu utonął w uścisku, jakim pożegnał ostatecznie Reinholda. Nasunął kapelusz na oczy i szybko się oddalił.

— Dobry człowiek! mówił do siebie Reinhold, patrząc za nim. Rzecz dziwna; to co mnie wróciło odwagę i pewność siebie, to odebrało mu spokój i dobry humor. A jednak przeszkody, które go spotykają, są niczém—dziecinną zabawką w obec tego, co ja mam przed sobą.

Dano sygnał do odjazdu. Bieg myśli Reinholda przerwało otwarcie drzwiczek wagonu i wejście podróżnego, w którym natychmiast poznał prezydenta.

— Dobry wieczór panu, panie prezydencie!

— Ach, to pan! Witam, witam—gdzież to pan jedzie?

— Stosownie do rozkazu pańskiego jadę do Sundinu, dla przedstawienia się tam panu, odrzekł Reinhold, zdziwiony trochę pytaniem.

— A tak, prawda! zawołał prezydent. Przebacz mi pan moje głupie pytanie; tak jestem zmęczony, że aż mi się miesza w głowie. Przepraszam pana, raz jeszcze przepraszam, i to mówiąc, wyciągnął rękę do Reinholda.

— Rozumiem to bardzo dobrze, panie prezydencie, i wiém, że o ważniejszych rzeczach i o ważniejszych ludziach musisz pan myśléć.

— Prawda! ważniejsze rzeczy! rzekł prezydent, straszne rzeczy! a ludzie? o, ci ludzie, ci ludzie! Usiądź pan naprzeciw mnie, tak, lepiéj będzie rozmawiać i przyjemnie popatrzéć nareszcie na uczciwą twarz.

Prezydent wyglądał blado; z twarzy jego znikł ów rys spokojnéj ironii i kostycznego humoru, co się tak podobał Reinholdowi przy pierwszém ich spotkaniu.

— W Berlinie bawiłem dni cztery, rzekł prezydent; starałbym się był widziéć z panem, ale przyznam się panu, że przez ten czas unikałem nawet porządnych ludzi. Wiesz pan co mię sprowadziło do Berlina?

— Gazety, panie prezydencie.

— Tak, tak dzięki gazetom, nic się już teraz ukryć nie potrafi. Wszystko być musi jasno i wyraźnie rozpowiedziane. I gdybyż przynajmniéj mówiono w nich prawdę! Czegóż na mój karb nie pisano w nich! Najprzód, że chodziło mi niesłychanie o przyjście kolei do skutku; żem wciąż namawiał ministra do nadania koncesyi; ja! com od samego początku wszelkiemi siłami opiérał się temu i przestrzegał ministra! Potém, kiedy to nie szło, chwycono się innéj drogi: byłem przeciwnikiem, zaciekłym przeciwnikiem, ale— przekonano mię – ba! nietylko przekonano, ale nawet przekupiono! Temu uwierzono natychmiast, to było tak naturalne! Urzędnik mający tylko parę tysięcy talarów dochodu i sześcioro dzieci, jakżeby się mógł oprzéć pokusie! Hańba i wstyd, że uwierzono temu, i to jest właśnie najsmutniejsze, że wiara w uczciwość urzędników naszych zachwianą została—i to jest początek końca, którego się obawiam i którego dożyćbym nie chciał.

— Czy nie zbyt czarno zapatrujesz się pan na rzeczy, które może wyjątkowo tylko stały się?

— Może być, może być! rzekł prezydent; ale niestety, nie jeden już przykład dowiódł, że wszyscy urzędnicy nawet nie mieli siły oprzéć się pokusie.

Zamilkł na chwilę, a potém mówił daléj, więcéj jeszcze niż wprzódy wzburzony: gdybyż przynajmniéj w sferach urzędowych miano taktu na tyle, by owę tak szkodliwą, a tak upowszechnioną już w masach tendencyą do nieufności nie podsycano! Ale—np., słyszałeś pan o jenerale? Znasz go pan niewiele wprawdzie, ale.....

— Owszem, poznałem go bliżéj.

— I cóż powiesz pan na to? zawołał prezydent. Między ministrem a jenerałem były nieporozumienia—należało je usunąć. Trudno a nawet niepodobna jest służyć z człowiekiem, który innego jest niż my sposobu myślenia; jeden z nich musi ustąpić i to natural-

nie ten, co jest podwładny. Ależ nie w takiéj chwili, nie teraz, kiedy musiało to wyjść tylko na korzyść gründerów, którym i tak już nadspodzianie się powiodło. I cóż dziwnego, że akcye ich pójdą w górę! I jak jeszcze! Papier, co wysadził jenerała, musi być ciężki! We wszystkich gazetach trąbić będą o tém, a chociaż wszystko to jest kłamstwem, i stanowisko jenerała oddawna było do niezniesienia, większość będzie sądziła z pozoru, a pozór jest przeciwko nam!

— I gdybyż to tylko jeszcze! To gorzéj, że pozorem samym żyć nawet zaczynamy—złudnym, nic niewartym pozorem. Weźmy naprzykład owę koléj: cała sprawa jest tylko pozorem. Pozorem powody, dla których jéj żądano; pozorem kaucya, na podstawie któréj nadano koncesyą: wiém, że nie przyniesie ona ani kilku tysięcy talarów nawet. Pozorem, bezwstydnym pozorem są owe kapitały, które stosownie do przepisu podpisały jakoby pewne i dobre firmy—ani Golm, ani inni nie dadzą i jednego talara na to. I tak daléj. A co do owego pysznego portu, który ma uwieńczyć dzieło, wiesz pan sam lepiéj niż ja, co o tém trzymać.

Prezydent powstał i przystąpił do okna, w którém coraz rzadziéj i coraz szybciéj migotały światełka miasta. Potém wrócił na miejsce swe i pochylając się ku Reinholdowi rzekł:

— Pamiętasz pan owę rozmowę, cośmy ją mieli w Golmbergu. Jak często myślałem teraz o niéj. Pańska powódź,—mam nadzieję, że nigdy nie nadejdzie,—ale gdyby nadeszła, uważałbym ją za symbol tego, co nam grozi, za przestrogę niebios, co ma nas ocucić z zuchwałego upojenia naszego, obudzić z życia sennego, gnuśnego, będącego właściwie tylko pianą życia,—co ma zerwać z oczu naszych łudzący pozór, byśmy, jak powiada nasz Fichte, ujrzeli „to, co jest." Ah, gdzież jest ręka, którаby napisała „mowę do niemieckiego narodu" dzisiejszego, jakżebym błogosławił tę rękę!

— Filozofowie nasi, rozmiłowawszy się w nicości, prawią brednie; wolę chcą doprowadzić ad absurdum; chcą złamać i zniweczyć radość i ochotę do życia, która jest przecie matką wszystkich cnót. Poeci nasi od Francuzów się uczą, jak daleko posunąć można nieprzystojność i lekkomyślność, nie naruszając form przyzwoitości. Literaci—rzemieślnicy grzebią się w gruzach stuleci i chcą w nas wmówić, że kłęby kurzu, które pod ich ręką powstają, są to żywe postaci z ciała i krwi. Kompozytorowie nasi wprowadzają bezwstydne zuchwalstwo i rozpustę wieku do muzyki, która tak w wyższych jak w niższych warstwach społeczeństwa zagłusza moralno-estetyczne poczucie, albo rozpala aż do szału zepsutą krew. Tak nie

może pozostać nadal—naród cały nie może wciąż tańczyć koło złotego cielca i składać ofiary Molochowi; musi on albo utonąć w grzechach, albo zbudować sobie arkę zbawienia z cnót ludzkich i obywatelskich. Dałby Bóg, żeby naród miał siłę do tego ostatniego! Przychodzą na mnie takie chwile, w których i o tém już wątpię nawet.

Światełka miastowe oddawna poznikały, ale na czarném niebie ukazały się tysiączne światełka niezliczonych gwiazd.

Reinhold podniósł oczy. Jakże często w burzliwą, zimową noc, stojąc na pokładzie statku, z niepokojem i tęsknotą zwracał wzrok ku niebu, dopóki się nie ukazało na niém choć jedno światełko,—wówczas odzyskiwał odwagę. A teraz, kiedy już nie jedna, ale wszystkie gwiazdy przyświecały mu—i największa, najpiękniejsza z nich wszystkich, gwiazda miłości jego, teraz miałbyż wątpić? Nigdy,—przenigdy! A jeżeli i nadejdzie powódź, znajdzie go przygotowanym, znajdzie go na miejscu.

(c. d. n.)

LEOPOLD KRONENBERG.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Uczucie obowiązku każe nam złożyć na grobie zmarłego męża wielkich zasług, z którym nas od dawna bliskie stosunki łączyły, ten wianek wspomnień, chociaż chwila, w któréj w pełni ocenić go będziemy mogli, nie przyszła jeszcze.

Wolelibyśmy dziś zamilczéć, gdyby jutro do nas należało, gdyby to, co dziś żywém jest i przytomném, jutro się nie zaciérało, jak wątła pamięć wszystkich ludzkich czynów. To co piszemy niech więc będzie kartką materyałów dla przyszłego biografa, któréj główną cenę stanowi, że z życia wprost jest wziętą lub z najwiarogodniejszych źródeł.

Powtarzano to wielekroć, ale nie może być zbytecznem przypomniéć ten pewnik, że w losach człowieka jak w doli narodów nic nie jest dziełem przypadku; że każdy jest twórcą własnych przeznaczeń i stanowisko, jakie uzyskał na świecie, w społeczeństwie, winien głównie woli, energii, charakterowi swemu i zdolnościom danym od natury, spotęgowanym pracą.

Zdało nam się najwłaściwszém od tego niezaprzeczonego aforyzmu rozpocząć nasze wspomnienie o człowieku, który na karcie dziejów lat ostatnich rozwoju społeczeństwa naszego znakomite, odrębne, sobie właściwe zajmuje stanowisko.

Ludzie, krótko widzący, lub wzrok mający skoszony namiętnością, uprzedzeniami, mogą przypisywać ślepemu szczęściu co było dziełem rozwagi i trudu, woli niezłomnego, jasnego pojęcia potrzeb czasu; sumienny sędzia nad życiem zamkniętém, pełném, które samo o sobie złożyło świadectwo i przyniosło owoce, musi wydać wyrok oparty na czynach niewątpliwego znaczenia.

Jak wszyscy ci, którzy szczęśliwie dobiegli mety wyznaczonéj, ś. p. Leopold Kronenberg musiał obudzić zazdrość bezsilnych współzawodników, niechęć potrąconego po drodze tłumu; lecz głosy te, które on sam lekceważył, nie mogą wchodzić w rachunek. Mogiła, która się za nim zawcześnie zamknęła, dziś tém szczerzéj i otwarciéj daje ocenić znakomitą tę osobistość, któréj los dozwolił zwycięsko rozwinąć wszystkie zdolności swoje i spełnić prawie wszystkie myśli pożyteczne i zacne, jakie się w duszy zrodziły.

Żywot zmarłego, którego opłakujemy, nie jest jednym z tych, które w połowie zawodu zostały przerwane; szczęśliwy zbieg okoliczności, niezmierna wytrwałość, dały mu wykonać co zamierzał, pokonać co na drodze stało, przed sądem pośmiertnym stanąć nie z myślami, ale z czynami spełnionemi.

Przedewszystkiém był to człowiek czynu, co u nas rzadsze niż gdzieindziéj. Na ludziach myśli i słowa nie zbywa nam; ale myśl i słowo rozwiewają się bezsilne, bo nam zbywa na charakterach i woli; tu myśl była w harmonii z działalnością i dlatego obfite wydała owoce.

Skreślmy najprzód pobieżnie życiorys zmarłego, nim bliżéj nad nim się zastanowimy.

Ś. p. Leopold Kronenberg urodził się w Warszawie, w miesiącu Marcu r. 1812, z rodziny dosyć dostatniéj, aby mu wychowanie staranne dać mogła. Skończywszy nauki gimnazyalne w szkole Pijarów na Żoliborzu, uczęszczał późniéj do lyceum warszawskiego.

Rok 1831 przerwał dalsze wykształcenie się w kraju i zmusił, dla ukończenia przygotowawczych do zawodu handlowego studyów, udać się do Hamburga. Tu, aby się usposobić praktycznie, począł najprzód pracować w domu Edge et Karr. Powróciwszy do Warszawy, wspólnie z Markusem Rosenem założył kantor wekslu, z którego wystąpiwszy na własną rękę rozpoczął interesa.

Ci, którzy znali naówczas młodego Kronenberga, powiadają, że obiecywał już do czego miał dorosnąć w przyszłości. Umysł to był

niezmiernie żywy, pojęcie bystre, duch śmiały i przedsiębierczy, wola niezłomna. Mimowoli wpływowi jego starsi nawet ulegali.

Zwracał szczególniéj uwagę otwartém i bezwzględném występowaniem przeciw wadom i pretensyonalnym śmiesznościom, którym nigdy nie pobłażał. Usposobienie to zachował do zgonu. Śmiałość ta jednała mu szacunek przyjaciół, a w gronie poufałych żartobliwie przezywano go bocianem, usiłującym świat oczyszczać.

W r. 1839 administracya dochodów tabacznych królestwa polskiego, która dotąd zostawała w rękach Maurycego Koniara, przeszła w ręce współki, w któréj Kronenberg wziął udział; administratorem ekonomicznym był naówczas Aleksandrowicz.

W niespełna rok, około 1840 r., wspólnicy ulegli wyższości umysłowéj i praktycznemu zmysłowi, przypuszczonego do interesu Kronenberga;—administracya przeszła w jego ręce. Były to początki niezmiernie czynnego zawodu, które podstawy do dalszych prac dostarczyć miały.

W życiu prywatném młody Kronenberg na ówczas jak i późniéj, dla siebie był nader mało wymagającym. Mieszkał wtedy przy ulicy Ś. Jerskiéj w domu Ossowskiego, w którym téż administracya się mieściła. Zajmował kilka pokoików w oficynie. Pracował z bezprzykładną wytrwałością, oprócz interesów, zajmując się nauką języków, w których się chciał wydoskonalić.

Nadmiar zajęć różnorodnych, prawie bez wypoczynku, już na ówczas nabawiał go bólów głowy, których i późniéj doświadczał często; ale natura była żelazna, a na jéj posługach wola nieugięta.

Co niedziela po obiedzie zbiérali się u niego na pogadankę przyjaciele i znajomi. Umiał ich wybiérać Kronenberg. Zdolności niepospolite już nań nie jedno zwracały oko. Pomiędzy innymi, bystry znawca ludzi, minister Turkułł, był mu bardzo przyjaznym, upatrując już w nim te przymioty, które się późniéj tak dzielnie rozwinąć miały. Stanowisko osobiste Kronenberga, na ówczas jeszcze bardzo skromne, wcale na zawiązanie bliższych stosunków wpływać nie mogło. Oprócz Turkułła zbliżył się wtedy już młody finansista do hrabiego Aleksandra i Ksawerego Branickich, z którymi i późniéj przyjaźń go łączyła, a najbardziéj do Leona hrab. Łubieńskiego, który najlepiéj pono ocenić go umiał i przeczuł jakie w przyszłości zajmie stanowisko. On i Aleksander Tys naczelny prokurator byli jednymi z najpierwszych co Kronenberga zrozumieli i oszacowali, co poszli z nim razem, usiłując do nowego życia powołać społeczeństwo, trochę zdezorganizowane, więcéj jeszcze odrętwiałe a zupełnie niepewne w jakim kierunku iść miało.

Działalność Łubieńskiego i Kronenberga społeczna, na pozór, ograniczała się w bardzo szczupłych szrankach; szło o połączenie żywiołów rozpierzchłych i rozbratanych, o pobudzenie do wspólnéj pracy, do któréj najprzód zbliżenie się i lepsze poznanie przygotowywać miało. Pole działania stosunkami ówczesnemi ściśle było opasane.

W tym samym kierunku, ale z myślą i celem innym, bezskutecznie dosyć krzątał się hr. U., współzawodnicząc z nimi i wpływ usiłując uzyskać; daleko szczęśliwiéj potrafili dopiąć choć w części zamierzonego celu połączeni z sobą reprezentanci dwóch warstw społeczeństwa, hr. Łubieński i Kronenberg.

Pod ich wpływem dokonała się w r. 1856 reorganizacya resursy kupieckiéj, rzecz na oko małéj wagi, w istocie znaczenia wielkiego. Leon Łubieński był tego przekonania, iż szeregom, które reprezentował, zyskiwał sprzymierzeńców, Kronenberg mógł toż samo właściwiéj jeszcze powiedzieć o sobie.

Jeśli z jednéj strony były pozorne ustępstwa, z drugiéj szły istotne ofiary. Myśl Kronenberga główna, która życiu jego całemu przyświecała, już dlań na ówczas była jasną: pragnął *połączyć siły rozbite do wspólnéj pracy dla dobra kraju.*

Niejednokrotnie w ciągu tych wspomnień przyjdzie nam powtórzyć ten cel jedyny, trwały, do którego zdążały wszystkie jego usiłowania. W miarę jak się na drodze urzeczywistnienia swéj myśli posuwał, krąg i plan pierwotny rozszerzał się stopniowo i schodził aż do tych warstw społeczności, które samoistnego życia dotąd nie miały.

Leon Łubieński zarówno z nim rozumiał, że każda społeczność z natury swéj ma warstwy i pokłady różne, formacye różnych wieków i sił różnych, które zniszczyć całkowicie byłoby ze szkodą organizmu; że tam tylko życie normalne rozwijać się może, gdzie żywioły te, zamiast wyczerpywać się w walce zabójczéj, do wspólnéj pracy się zaprzęgną. Oba oni widzieli jasno: ile sił u nas marniało bezczynnie, i jak wiele kraj na tém tracił. Interes społeczny szedł tu w parze ze sprawą gospodarstwa krajowego.

W r. 1845 Kronenberg zaślubił pannę Różę Leo, córkę powszechnie szanowanego doktora. Przez ten związek, dom jego kawalerski zmienił się na rodzinny, zawiązały się stosunki nowe, otwiérało się szersze pole do działania. Z powodu ożenienia się zniewolo-

ny przejść na religią chrześciańską, przyjął wyznanie ewangelicko-reformowane (kalwina), jako najbliższe jego przekonaniu....

Po ożenieniu swém nie zmienił Kronenberg odrazu trybu życia; wprowadził młodą żonę do kawalerskiego mieszkania swojego, złożonego z trzech pokojów. Jeden z nich, parawanem przegrodzony, był na sypialnię i salonik; drugi służył za bawialny i stołowy; w trzecim mieściło się jego biuro prywatne. Wszystko to umeblowane było po prostu, bez pretensyi, sprzętami używanemi, nabytemi po zmarłym bracie Stanisławie. Na stajni było parę koni i faetonik.

W następnym roku dopiéro nabył dawne siedlisko administracyi tabacznéj, dom Koniarów przy ulicy Długiéj, i urządził go wykwintniéj nieco.

Potrzeba szerszego pomieszczenia była tém większą, że dom Kronenbergów stał, można powiedzieć, otworem dla wszystkich, codziennie. Gościnność ta była potrzebą i wymaganiem położenia. Chcąc uzyskać wpływ na społeczeństwo, należało z niém być w nieprzerwanym związku. Co wieczoru schodzili się tu znajomi, przyjaciele, goście mnodzy. Z największą swobodą tocząca się rozmowa o najrozmaitszych przedmiotach często się do późnéj przeciągała nocy.

Oprócz dawnych przyjaciół, towarzyszów, finansistów i ludzi pracy powszedniéj, inteligencya ówczesna, literaci, żywioł duchowy wielce ruchliwy, więcéj może obiecujący niż miał dotrzymać, obficie bywał reprezentowany. Wolski, Waleryan Zakrzewski, Ćwierciakiewicz, Michał Gliszczyński i inni, przybywali tu tém chętniéj, że gospodarz chętnie przychodził w pomoc młodym pracownikom z uprzejmością, która nigdy ich miłości własnéj nie obrażała. Kronenberg czytywał dużo książek najrozmaitszéj treści, nawet belletrystycznych. Z Francuzów ulubieńcem jego był Charles de Bernard, z niemieckich pisarzy przenosił nad innych Jean Paul'a i Boernego. Listy z Paryża ostatniego były niemal katechizmem jego politycznym. Pod względem wyobrażeń religijnych chwalił Zschokkego „Alamontade.“ Wczytywał się często w Senekę. Z postaci historycznych miłował i czcił szczególniéj Sokratesa, jako ideał mędrca. Ta miłość dlań podała myśl do napisania żywota Sokratesa. Powierzył to Kronenberg Michałowi Gliszczyńskiemu i kazał drukować dość mało znaczącą kompilacyą jego kosztem własnym.

W tych pierwszych krokach na polu pracy społecznéj widzimy już całego człowieka, który się nie zamyka w ciasnéj sferze, ale działalność swą usiłuje jak najbardziéj rozszerzyć. Na ówczesném polu finansowém z oburzeniem widział Kronenberg parę firm, które stawały na przeszkodzie przedsięwzięciom z innéj strony zamierza-

nym, nie usprawiedliwiając téj dyktatury niczém innćm oprócz własnego interesu.

Kronenberg, stosunkowo *homo novus*, z tą arystokracyą finansową zmuszony był stanąć do trudnego zrazu współzawodnictwa, zważając na stanowisko już zdobyte przez nią i wysokie protekcye, jakie sobie pozyskać umiała. Zadanie było wagi wielkiéj. Nie szło w niém tyle o własne korzyści, co o urzeczywistnienie téj idei, aby powoływać do pracy wspólnéj wszelkie siły kapitału, inteligencyi, pracy. Dom bankowy, zamierzony przez Kronenberga, z powodu wypadków r. 1848, dopiéro w r. 1851 mógł przyjść do skutku. Dla zawiązania stosunków Kronenberg udał się zagranicę i potrafił szczęśliwie dokonać co zamierzał. Czém był ten dom bankowy dla kraju, dowiodły najlepiéj fakty, w r. 1857—58, w czasie wielkiego przesilenia finansowego, gdy Kronenberg sam jeden niemal podtrzymywał kredytem swoim zagrożone upadkiem domy kupieckie. Inne firmy wszystkim niemal odmawiały kredytu; u Kronenberga ludzie uczciwi i pracowici znajdowali zawsze pomoc i poparcie.

W tych latach nabył nieboszczyk pierwszy majątek ziemski, Brzezie, i powziął myśl skonsolidowania części nabytego już mienia, przez kupowanie ziemskich własności. Cel był podwójny, bo wzorowe gospodarstwo, jakie mógł i chciał zaprowadzać, za wzór i zachętę drugim służyło. Majętności ziemskie, nieprzynoszące stosunkowo znacznych dochodów, wymagające nakładów wielkich, nie były dlań żadną spekulacyą, ale nowém polem do działania.

Mówić będziemy jeszcze obszerniéj o działalności jego w rozmaitych kierunkach, zawsze mającéj na celu rozwój sił krajowych; tu się nam mały szczegół charakterystyczny wciska pod pióro. Maluje on i kraj i człowieka. Ciągle myśląc o zużytkowaniu własnych sił naszych, we wszelkich sferach, wpadł Kronenberg na myśl przebudowania i upiększenia nabytego domu i ogrodu przy ulicy Marszałkowskiéj, przez krajowych artystów.

Myśl była piękna i zacna, ale zawczesna, niestety! Kronenberg przypłacił ją nietylko kieszenią, ale zawodem nader boleśnym. Przerobienie domu pochłonęło wiele pieniędzy, a ostatecznie niezbędném się stało owe przerobienie dać przerabiać, o ile się dało, Marconiemu. Podobnegoż losu doznało przyozdobienie ogrodu, który miały ożywić posągi Sobieskiego, Śniadeckich, Mickiewicza. Roboty Mejnerta, które sobie wszyscy, co bywali na Marszałkowskiéj ulicy, przypomną, niezmiernie kosztowne, pod względem artystycznym stoją niżéj wszelkiéj krytyki; są po prostu obrzydliwe. Niewiele lepiéj powiodło się z zamówionym u Stattlera marmurowym po-

sągiem Mickiewicza. Tak najlepsze chęci, poparcia sztuki krajowéj, rozbiły się o brak artystów, których później dopiéro mieliśmy pozyskać (1).

Wszystko to o czém wspominaliśmy wyżéj, kreśląc rys prywatnego życia nieboszczyka, stanowiło zaledwie drobną cząstkę prac, jakie podejmował, zawsze z tą myślą, aby niemi innych téż do trudu powołać.

W r. 1858 powzięto myśl zakładania domów rolniczych; Kronenberg kredytem swym dał im najsilniejsze poparcie. Pole rozszerzało się nieustannie. W tym samym czasie czując ważność wpływu prasy peryodycznéj, ze znacznemi ofiarami nabył Gazetę Codzienną, nowe w nią wlewając życie. Od pierwszéj chwili istnienia jéj, należał Kronenberg do założycieli i podtrzymujących Bibljotekę Warszawską, która część bytu swojego i szczęśliwe przejście niejednéj krytycznéj chwili, jemu zawdzięcza.

O Gazecie powiemy niżéj jeszcze.

Czynność, prawie gorączkowa, pochłaniała go nieustannie. Po zwinięciu administracyi tabacznéj, wybudował własną fabrykę, jednę z większych w Europie. W r. 1864 otrzymał koncesyą na drogę żelazną warszawsko-terespolską. Obrany wice-prezesem drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj i warszawsko-bydgoskiéj, wiemy jak wiele się przyczynił do ulepszenia, do uregulowania zarządu ich obu.

W r. 1869 stworzył Bank dyskontowy w Petersburgu, dla ułatwienia stosunków z Cesarstwem; przewodniczył ustanowieniu warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Nie było prawie instytucyi nowéj, do któréjby myśli nie podał, ręki nie przyłożył, któréjby się nie stał duszą i sprężyną. Warszawskie Towarzystwo wzajemnego kredytu, Bank handlowy tak świetnie się rozwijający, droga żelazna nadwiślańska, są dziełem jego. Zliczyć trudno te pra-

---

(1) Kilka lat temu piszący miał sobie poleconém przez nieboszczyka zamówienie u Matejki wielkiego obrazu historycznego, wystawiać mającego Sejm, na którym posłowie zdeptali kodeks projektowany przez Zamoyskiego. Prof. Matejko nie życzył sobie po Sejmie, który już malował, powtarzać podobnego przedmiotu, ofiarował coś innego. Kronenberg obstawał przy swojém. Później godził się już Matejko na malowanie żądanego przedmiotu, ale do umowy nie przyszło. Ofiarował za obraz Kr. rs. 12.000. Musimy dodać, że na ówczas o zamążpójściu córki mowy jeszcze nie było.

P. A.

ce tak mnogie, olbrzymie, rozgałęzione. Zapiszmy jeszcze przeważny udział, jaki miał w stowarzyszeniu fabryk cukru, w towarzystwie dla exploatacyi węgla krajowego i płodów górniczych, wreszcie nową i nader pożyteczną dla handlu i przemysłu organizacyą Giełdy warszawskiéj, któréj zatwierdzenie po długoletnich staraniach u władz rządowych wyjednać potrafił.

Naostatek jego staraniem i kosztem powstała Szkoła handlowa w Warszawie, i z jego pomocą rozwinęły się szkoły techniczne przy kolejach, warszawsko-wiedeńskiéj i warszawsko-terespolskiéj.

Oto są bliższe szczegóły o Szkole handlowéj, która krajowi po nim pozostała jako trwała pamiątka.

Pierwotną myślą założyciela było obdarzyć kraj Akademią lub Szkolą wyższą, przeznaczoną do kształcenia młodzieży przysposabiającéj się do zawodu kupieckiego. Przez długi czas pracował nad urzeczywistnieniem swojego planu, starając się usunąć wszelkie trudności, odnoszące się do wyjednania przyzwolenia rządowego i utwierdzenia programu nauk. D. 30 Czerwca r. 1875 wydane zostało upoważnienie otwarcia prywatnéj szkoły handlowéj; zamianowany dyrektorem jéj P. Stan. Przystański; funduszów dostarczyć zobowiązał się założyciel. Stosunki wzajemne fundatora z zawiadującym Szkołą określone zostały w prywatnéj umowie, zabezpieczającéj byt temu zakładowi naukowemu. Szkoła handlowa jako instytucya prywatna poddaną została bezpośredniemu nad nią zwierzchnictwu Inspektora szkół miasta Warszawy. Obejmuje ona klasę przygotowawczą i dwa kursa specyalne handlowe. Do pierwszéj (przygotowawczéj) przyjmowaną być może młodzież, która ukończyła, co najmniéj kurs nauk w progimnazyach wykładany. Uczniowie, przedstawiający dowody ukończenia szóstéj lub siódméj klasy, albo całego kursu gimnazyalnego, przyjmowani są wprost na pierwszy kurs specyalny handlowy. Według zatwierdzonego planu nauk, oprócz nauki czterech języków, rosyjskiego, polskiego, niemieckiego i francuskiego, w klasie przygotowawczéj wykłada się: geografia handlowa, historya powszechna, matematyka, arytmetyka kupiecka, historya naturalna, fizyka, kaligrafia.

W klasach specyalnych, oprócz nauki czterech języków wymienionych, dalszy ciąg geografii handlowéj ze statystyką, historyi powszechnéj z historyą handlu, matematyki, fizyki, historyi naturalnéj. Nadto wiadomości z gospodarstwa społecznego, zasady prawa cywilnego, prawo handlowe, chemia z technologią, towaroznawstwo, arytmetyka handlowa, buchalterya, korespondencya handlowa w językach rosyjskim, polskim i niemieckim. Plan nauk powyższy obowiązującym jest dla każdego ucznia stałego. Chcąc jednak ułatwić

młodzieży pracującéj już w zakładach przemysłowych lub domach bankierskich nabycia wiadomości z nauk specyalno-handlowych, szkoła ta dopuszcza wolnych słuchaczy do korzystania z pewnych wykładów przez nich wybranych. Uczniowie klasy przygotowawczéj wnoszą w ratach półrocznych opłatę na rok wynoszącą rubli pięćdziesiąt, w klasach zaś specyalnych rubli siedmdziesiąt i pięć. Niezamożni a pilni uczniowie, z woli założyciela uwalniają się od opłaty całkowicie, i średnio corocznie korzystało z téj ulgi około dwudziestu pięciu uczniów. W ogóle wpływ z opłat od młodzieży uczęszczającéj do szkoły w połowie nawet nie pokrywał kosztów jéj utrzymania.

Oprócz zawiadującego szkołą, pomocnika jego i sekretarza, kontrolera, do wykładu nauk w szkole handlowéj wezwano osób dwadzieścia z rozmaitych zakładów naukowych rządowych, instytucyj prywatnych, towarzystw kredytowych itp. Wybór tych osób odbywał się za wspólném porozumieniem się Zawiadującego szkołą i ś. p. Założyciela. (1).

Zdaje się, że nie potrzebujemy podnosić zasługi Kronenberga, ani wielkości ofiary, która się nie ograniczała pieniężnym datkiem, ale zamykała w sobie czuwanie nad instytucyą i wprowadzenie jéj w życie związane z trudnościami nieuniknionemi przy każdéj takiéj fundacyi zupełnie nowéj, dla któréj wszystko stworzyć i obmyśléć potrzeba.

W większéj części swych prac ofiarnych, których wiele pozostanie nieznanych światu, Kronenberg za warunek kładł, aby imię jego i udział pozostał ukrytym. Tak na szpital dziecinny dane 25.000 rubli, złożone były z wyraźném zastrzeżeniem, iż nazwisko ofiarodawcy wymienioném nie będzie.

Profesor Łuczkiewicz dopiéro po zgonie Kronenberga ogłosił w dziennikach, że na wpisy dla niezamożnych studentów uniwersytetu miał fundusz nieograniczony.

Piszący téż dodać się czuje obowiązanym, że niejeden raz przez ręce jego znaczne płynęły ofiary dla potrzebującéj wsparcia

---

(1) Koszta utrzymywania Szkoły Handlowej z dwu lat ubiegłych przedstawlają się w sposób następujący:

		Rok 187⁵/₆		Rok 187⁶/₇
— Pierwsze urządzenie Szkoły, sprawienie sprzętów, ławek itp.	rs.	2.428 k. 91		
— Utrzymanie, płaca profesorów itp.	„	14.085 k. 84	—	16.154 k. 95.
Razem	rs.	16.514 k. 75	—	16.154 k. 95.
Z opłat od uczniów wpłynęło	rs.	7.650 k. —	—	9.037 k. 50.
Dopłacił Założyciel szkoły	rs.	8.864 k. 75	—	7.117 k. 45.

młodzieży, zawsze z równą skromnością i szczodrobliwością dokonywane.

W „Gazecie Handlowéj,“ czytamy co następuje: „Do przedpokoju Kronenberga wszedł raz człowiek już niemłody, dawniéj mający dostatnie utrzymanie i, nie przedstawiając mu się wcale, zapytał: czy prawda, że Kronenberg potrzebuje stangreta.

— Dlaczego pan pytasz o to? odpowiedział Kronenberg, poznając w przybyszu człowieka, który niegdyś inne zajmował stanowisko. Chciałbym przyjąć ten obowiązek u pana Prezesa, rzekł zapytany, nie czując się zdolnym do innéj pracy.

Wzruszony smutną ostatecznością, do któréj biédny człowiek był przywiedziony, Kronenberg rozpytał go o szczegóły, tyczące się jego położenia, i dał mu tysiąc rubli na rozwinięcie skromnego interesu, jaki mu się nastręczał, późniéj jeszcze udzielając rodzinie znaczne zasiłki.“

„Przykładów takich,“ dodaje Gazeta Handlowa, „zdołalibyśmy zebrać nie mało, choć nieboszczyk, co go charakteryzuje, taił się z darami, nie szukał rozgłosu i nie gonił za popularnością filantropa, częstokroć tém głośniejszą im tańszą.“

Odmalować charakter człowieka, który czynami swemi i życiem już się sam jasno zdaje przedstawiać, nie jest jednak łatwém zadaniem. Są w nim odcienia, są rysy właściwe, które indywidualność stanowiły, a bliższym tylko dostrzedz się dawały.

Natura wyposażyła go bogato, nic z jéj darów nie zostało zatraconego. Bystrego pojęcia, pamięci wielkiéj, obdarzony energią niezwyczajną, siłą woli żelazną, Kronenberg był jednym z najpracowitszych ludzi w świecie. Niekiedy pojąć było trudno jak tym najrozmaitszym zajęciom mógł podołać, jak siły umysłowe i fizyczne starczyły mu na wszystko. W potrzebie nie było dlań różnicy między nocą a dniem; tam gdzie inny upadłby pod ciężarem, on wychodził z walki uśmiechnięty i rzeźwy. Siła ducha trzymała ciało, dopóki powłoki téj nie zużyła do szczętu.

Nadzwyczaj gorącego temperamentu, umiał go poskramiać, trzymać na wodzy. Zdarzało się jednak, że doprowadzony do ostateczności, wybuchnął. Niekiedy skomplikowane sprawy, jakie nań spadały, których byliśmy nieraz świadkami, wymagały cierpliwości prawie nadludzkiéj, przeciągając się do nieskończoności; Kronenberg stawił im czoło, umiejąc zmódz nietylko przeciwników, ale samego siebie.

Myśl powziętą raz, gdy ją pojął jasno, gdy możliwość wykonania jéj uznał, gdy do niéj rękę przyłożył, doprowadzał do urzeczywistnienia z wolą nieugiętą. Żadna na ówczas ofiara nie była dlań za wielką, nie cofał się przed żadną zaporą, szedł do celu szturmem, wyłomem, nagromadzając na jeden punkt wszystkie siły, dopóki nie zwyciężył. Raz pierwszy impuls nadawszy sprawie, gdy siła rzutu już ją popchnęła, mierzył dopiéro ofiary ze skutkami i zaczynał obrachunek ściślejszy.

Nadzwyczaj bystre wejrzenie dozwalało mu obliczyć z góry wszystkie możliwe szanse każdego interesu. Rzadką bardzo była dlań niespodzianka, i ta tylko tam go spotkać mogła, gdzie rachuba na człowieku i charakterze się opiérała. Na ludziach zawiódł się nieraz.

Jak wszyscy ludzie silnéj woli, których główna myśl jakaś zaprząta, Kronenberg w gruncie serca dobry i szlachetny, często się musiał wydać szorstkim i twardym. Nie miał czasu na prawienie słodyczy i czcze zalecanie się ludziom; idąc prostą drogą musiał nieraz potrącić co na niéj stało; jasne mając pojęcie istotnych życia warunków, nieraz zmuszonym był wywieść ze złudzeń tych, co z niemi przychodzili, i gorzką prawdę powiedziéć. Lecz trzeba było znać go zbliska i patrzéć na jego czynności, aby ocenić szlachetną jego troskliwość o los tych co go otaczali, dobroczynność rozumną i hojną, serce ludzkie dla najmniejszych z ludzi zależących od niego.

Wymagał wiele od drugich, bo nie mniéj wymagającym był od samego siebie, ale każdą pracę uczciwą, gorliwą, sumienną, umiał ocenić. Niezliczeni są ci, którym on los zapewnił.

Pojmował to dobrze Kronenberg, że los jednostek niezależnie od ogólnego dobrego bytu zapewnionym, ani usprawiedliwionym być nie może. Każda jego myśl przybiérała natychmiast jak najogólniejsze zastosowanie, wiązała się z ekonomicznemi stosunkami kraju i ogółu. Można śmiało powiedziéć, że nic nie przedsiębrał dla samego siebie. Słuszne wynagrodzenie inicyatywy i pracy nie mogło mu być obojętném, ale z każdego, tak zwanego interesu, który on przedsiębrał, korzystał ogół nie mniéj jak jego twórca. Egoistyczne wyzyskiwanie stosunków miejscowych było mu wstrętliwém.

Przez czas jakiś, mając w ręku monopol, gdy tylko mógł się go wyrzec, pierwszy i najgłośniéj przeciwko zasadzie jego nieprawéj, szkodliwéj się oświadczał. Kronenbergowi zawdzięcza kraj nasz w znacznéj mierze, iż ochronionym został od szarlatańskich przedsięwzięć, w epoce, w któréj naokoło nas przedsięwzięcia takie wy-

rastały jak grzyby po deszczu. Przeciwko wszelkim tego rodzaju projektom i zamysłom oświadczał się Kronenberg jak najenergiczniéj, przeciwdziałał wszystkiemi siłami,—i zawsze niemal udawało mu się zniweczyć je w samym zarodzie.

Zarzucano mu nieraz, że pragnął wszystko ogarnąć, nad wszystkiém panować! Zarzut to zazdrości bezsilnéj, co najmniéj śmieszny. Czując w sobie siły, będąc otoczony niedorastającym go tłumem, który ani jego zdolności, ani woli, ani myśli nie miał, musiał się dobijać dyktatury, bez któréj niceby nie doprowadził do skutku, dzieląc się siłą z niedołężnymi, coby jéj użyć nie umieli, albo zmarnowali.

Najlepszym dowodem tego jak pojmował obowiązki swe względem kraju, jest to, że mając olbrzymie środki działania, których mógł łatwo użyć na zewnątrz, nigdy się nie pokusił o interesa mogące tylko zyskiem osobistym pociągać.

Wszystkie jego czynności ograniczały się tym zakresem, który go otaczał, którego on czuł się cząstką.... Owszem z po za granic ściągał środki działania w tym obrębie, na którym dokonał reform niezmiernéj wagi.

To, co się zowie w ogóle interesem, co się płytko widzącym przedstawia jako sprawa spekulacyi, ma strony mniéj widoczne a nie mniejszego znaczenia, strony duchowe, wpływ moralny, który ocenić należy. Każdy taki interes wymaga ludzi. Dobyć ich, wyrobić, usposobić, nauczyć porządku i karności, jest przysługą oddaną społeczeństwu—nieocenioną. Jeśli gdzie, to u nas zszeregowanie takich sił marnujących się, luźnych; zmuszenie do pracy, zaprzężenie do wytrwałości, było dziełem wielkiém. Kronenberg je dokonał, częstokroć doznając zawodów, zmuszony przebierać, usuwać, karcić; ale ostatecznie kształcąc ludzi praktycznie do pracy, tworząc niemal nową klasę pracowników, która mu winną jest, że weszła na tę drogę poczciwego trudu.

Wszelkie przedsiębierstwo jego obsługiwane było przez tych ludzi, często wziętych bez wykształcenia, zmuszonych je nabywać pod surową kontrolą człowieka, którego bystre oko śledziło każdy ruch, odgadywało usposobienie i myśl niemal.

Jako przedsiębierca wielki i obywatel, Kronenberg położył zasługi niezmierne, których zawiść może mu dziś nie chcieć przyznać, ale sprawiedliwa przyszłość podniesie je i oceni.

Jako prywatny człowiek, nie mniéj wielkiemi odznaczał się przymiotami; ojciec rodziny najlepszy, pełen delikatności w obejściu się pomimo żywości wielkiéj, dla domowników przystępny

i dobroczynny, miał wszystkie upodobania wykształconego człowieka, miłość piękna i sztuki, poczucie wagi i wdzięku słowa, jego wpływu i znaczenia w rozwoju społeczeństwa.

Sprawy prasy i literatury nie były mu obojętne, dopomagał chętnie do wyklucia się i objawienia zdrowéj myśli, a potrzebując działać na społeczność, zrozumiał łatwo, iż dziennikarstwo było jednym z najdzielniejszych środków powolnego wpływania na nią. W téj myśli, nie bez znacznych ofiar, nabył Gazetę Codzienną, któréj redakcya zbliżyła nas do niego. Mogliśmy na ówczas najlepiéj poznać cele jego i plany.

Nie potrzebujemy przypominać ile przeszłość nasza, po któréj i wielkie odziedziczyliśmy skarby, zostawiła nam też fusów i mętów, które rozwijanie się normalne życia społecznego hamowały. Staliśmy na ówczas na jakiemś stanowisku bez podstawy, bez związku z otaczającym nas światem; stanowisku idealném, w upojeniu, w marzeniach, a ostatecznie z założonemi, albo raczéj załamanemi rękami. W samém łonie społeczeństwa składowe jego pierwiastki wirowały bez związku z sobą, w walce próżnéj, bez znaczenia w chwili obecnéj, zrodzone w innych bytu warunkach.

Mówilismy już, że Kronenberga myślą główną było, przejednać wszystkich i połączyć do jednéj wspólnéj pracy około dobra ogólnego. Leżały pola odłogiem, ludzie, jeśli się tak godzi wyrazić, do góry brzuchem; tonęliśmy w marzeniach nie mogących się ziścić, gdy tym czasem żyzna rola pustoszała, a przedłużone owo próżnowanie extatyczne groziło nieochybną ruiną. Szanując to co w przeszłości poszanowania było godném, nie dopuszczając żadnego gwałtownego radykalizmu, Kronenberg chciał wytrzeźwienia się narodu i zaprzężenia go do pracy. To był jedyny cel pisma jego.

W wielu razach myśl tę objawił nam jasno i dobitnie, domagając się nadania gazecie kierunku praktycznego, obudzającego do trudu na wszystkich otwartych nam drogach. Chciał budzić siły uśpione wszędzie, gdziekolwiek były, oświecać lud, moralizować izraelitów i wyrwać ich z fanatycznéj odrębności, szlachtę wprządz do pożytecznéj zabiegliwości i pracy, zmuszając także do opuszczenia wyłącznego, odosobnionego, jéj saméj szkodliwego zastania.

Że go na ówczas nie zrozumiano, że się nań oburzano, przypisując mu cele wcale różne, małe a drobne, nie ma w tém nic dziwnego. On sam był na to przygotowany i znosił z pogodném czołem co nań miotano. Mieliśmy i my udział w ofierze, co poświadcza cały tom listów bezimiennych i odgróżek, któryśmy zachowali jako pamiątkę tych czasów.

Niecierpliwiła Kronenberga nieraz ślepota ludzi; ale znał ich nadto, aby się mógł nagłego zwrotu spodziéwać, a wiedział, że wszelkie dzieło reformy, aby skuteczném było i trwałém, wytrwałém najprzód być musi. Przekonanym był zresztą, że ludzie raz otrzeźwieni zrozumieją go i sprawiedliwość mu oddadzą.

Gdzieindziéj może skreślim kiedyś historyą dziennika, dla którego właściciel największych ofiar nie szczędził; ofiar, jakie się materyalnie przynajmniéj, nigdy powrócić nie miały. Częstokroć odcinek, mający pewną siłę atrakcyjną, opłacany bywał na wagę zagraniczną, wagę złota (Lud. Wołowski, Klaczko i t. p.).

Całe życie Kronenberga było pasmem walk nieustannych; można go nazwać żołnierzem postępu, rycerzem pracy. W boju musiał się téż stać nieraz dla przeciwników ostrym; hartu nie stracił nigdy. Widzieliśmy go w najtrudniejszych, zrozpaczonych niemal okolicznościach, nietracącego ducha ani ochoty do dalszéj pracy. Gdy jedna droga okazała się straconą, nie zrażało go to od natychmiastowego prawie szukania drugiéj.

Nie rozwodził się z żalami próżnemi jak ludzie słabi; co przepadło umiał odboleć prędko, nie tracąc najdroższego czasu i zwracając się wnet na pola nowe. Tak samo postępował z ludźmi.

Widzieliśmy go doznającego najboleśniejszych zawodów od tych, których dobrodziejstwy obsypał, a którzy mu się osłupiającą wypłacili niewdzięcznością. Oburzenie było krótkie; zbywał ich pogardą zasłużoną; ludzie ci przestawali dlań istnieć, szukał innych.

Nie zrażało go tak ani niepowodzenie ze zbiegu okoliczności wynikłe, ani zawód doznany od ludzi; niezachwiany szedł daléj. Dlatego widzimy go dokonywającego prac olbrzymich, często zarazem kilku; przenoszącego się z miejsca na miejsce bez znużenia; zmieniającego place boju, narzędzia, środki, zawsze panem sytuacyi i zwycięzcą. W stosunkach z ludźmi znany z nieposzlakowanéj rzetelności, miał téż u nich wiarę nieograniczoną. Kredyt bezbrzeżny, środki do działania potężne. Miano ufność nietylko w charakterze człowieka, ale w rozumie i zdolnościach. Potęgi finansowe, największe, często przerachować się mogą i z najlepszą wiarą zgotować sobie upadek, drugich pociągając za sobą. Kronenberga znano z tego, iż złudzeniom był nieprzystępny i widział jaśniéj niż drudzy. Ufano mu téż powszechnie.

Jako człowiek mógł się omylić i mylił szczególniéj w rachubie na ludziach; ale ilekroć trafił się zawód podobny, pierwszy najotwarciéj przyznawał się do błędu. Nie próbując nawet przeczyć, starał się go wnet naprawić. Z zimną krwią wyznawał często: popełniłem omyłkę.

Nie było nadeń człowieka obojętniejszego na pochlebstwa i pochwały, wymagał posłuchu rozumnego od zależnych od siebie, ale nie zaparcia się i poniżenia. Dla tych ludzi, którzy się dość wśliznąć i wkupić chcieli upodleniem, miał zimną grzeczność, którą ich zbywał.

Wszystkim tym władzom i zdolnościom przodował rozum przenikliwy, pojęcie bystre i wielostronne. W kwestyach ekonomicznych, zasady nauką nabyte miał niezłomne.

Szedł za niemi z tą wolą, która stanowiła najdzielniejszą sprężynę, wolą prawdziwie żelazną. Wszelkie zboczenie z drogi wytkniętéj więcéj go niż walka kosztowało.

W walce odżywał, krzepił się, był w swoim żywiole. Widzieliśmy go w pewnéj sprawie (1859) kilkanaście dni bez ustanku walczącego z przeciwnikami, częstokroć do czwartéj z rana, a o ósméj stojącego już u biurka z piórem w ręku. Na ówczas staranie o zdrowie tracił z oczów, odżywiał się i krzepił sztucznie, żył w stanie gorączkowym, szafował sobą bez litości, i téj rozrzutności życia przypisać trzeba, że organizm silny bardzo przedwcześnie został zniszczony.

Wyczerpać się w końcu musiało to bogate źródło życia, poświęconego pracy niezmiernéj. Zmarł z rezygnacyą i spokojem człowieka, który spełnił więcéj niż obowiązki swoje....

Przyszłość go oceni. Pokój prochom zacnego i zasłużonego męża!

J. I. Kraszewski.

WPŁYW BILANSU HANDLOWEGO

NA STOSUNKI FINANSOWE I EKONOMICZNE ROSSYI.

Gwałtowny upadek waluty na rynkach zagranicznych, wywołujący silne podrożenie wszystkich przedmiotów, stanowiących potrzebę codziennego życia, i pewne zawikłania w stosunkach handlowych z zachodnią Europą, staje się najważniejszą niemal kwestyą ekonomiczną chwili obecnéj dla Cesarstwa Rosyjskiego a zarazem i dla naszego kraju. Chociaż ten stan widocznéj uciążliwości handlowych stosunków najsilniéj się przejawił w ciągu tylko co skończonéj wojny wschodniéj, jednak wojna ta nie była i nie jest wyłącznym powodem saméj kwestyi. W skutek wojny dotkliwiéj ona ciążyć zaczęła, rozwinęła się bardziéj widocznie, ale była już faktem dokonanym przed wojną, faktem, mającym źródło w stosunkach moralnych i ekonomicznych społeczeństwa.

Wojna i obecny stan niepewności musi się przecież kiedyś zakończyć; jeśliby więc zło było wyłącznym jéj skutkiem, a nie leżało w ustroju moralno-społecznym, kwestya naprawy byłaby bardzo łatwą: szłoby tylko o spłacenie około miliarda antycypacyj wynikłych z nadzwyczajnego stanu politycznego, do czego środki rządowo-finansowe przy pewnéj oszczędności i niejakiém naprężeniu najzupełniéj mogłyby wystarczyć. Inaczéj rzecz się przedstawi, jeśli zło, które się wyrodziło bez wojny i samo przez się exystowało bez zewnętrznych pobudek, wypadłoby leczyć wyłącznie finansowemi, państwowemi środkami. Przewidywanie trudności a może i niepodobieństwa wyleczenia choroby tém wyłączném i specyalném lekarstwem naprowadza na myśl zastanowienia się: o ile sama społeczność i jakiemi środkami, do wyrugowania ze swego orga-

nizmu téj chronicznéj choroby, może i powinna się przyczynić. Mówimy naturalnie nie o spłaceniu długów, ale o przywróceniu wartości nominalnéj papiérowych piéniędzy, a co za tém idzie i o możliwości metalowego obiegu—co jest niezbędnym warunkiem, a razem i dowodem dobrego i zdrowego bytu ekonomicznego społeczeństwa.

Dziennikarstwo rosyjskie nie tylko przed wojną obecną, ale już i podczas jéj przebiegu niejednokrotnie i jakby peryodycznie wraca choć do pobieżnego roztrząsania téj kwestyi, a przynajmniéj przy każdéj okoliczności o nią potrąca.

Większa część zdań, z któremiśmy się spotykali, daje się streścić w następnych poglądach: zły kurs i sam przymusowy obieg papiérowych piéniędzy nie tyle jest skutkiem złego bilansu handlowego o ile raczéj wadliwego systemu finansowego; zmiana systemu względem papiérowych piéniędzy, to jest przywrócenie im całkowitéj metalicznéj gwarancyi, czyli możność bezwarunkowéj wymiany na zapotrzebowanie, przywróci normalny obieg piéniężny i uniemożebni dotychczasowe stagnacye i przesilenia handlowe lub pieniężne, które peryodycznie kraj nawiedzają.

Zkąd wziąć owego metalu na przywrócenie wymiany? na to łatwą znajdują odpowiedź: oto zaciągnąć zagraniczną pożyczkę. I rzeczywiście lekarstwo byłoby jedyne, jeśliby skutki jego mogły być trwałe. Państwo, mające przeszło 80 mil. ludności i około 2 miliardów długu, mogłoby bez wielkiego trudu zwiększyć ten dług jeszcze o kilkaset milionów, jeśliby to zwiększenie miało, w zamian przybywającego ciężaru zamiany długu bezprocentowego na procentowy, przywrócić błogi stan ekonomiczny.

W twierdzeniach tych jednak, chociaż nie wyłącznie, lecz przeważnie wygłaszanych, leży fałsz teoretyczny, który nietrudno wykazać i który nie mniéj łatwo daje się udowodnić na podstawie praktycznéj—to jest na podstawie cyfr nie fikcyjnych, lecz realnych urzędowych. W tym celu pozwalamy sobie skreślić chociaż pobieżny rys finansowych i ekonomicznych zwrotów w ciągu ostatnich lat trzydziestu (1).

---

(1) Dla uniknienia częstych odsyłaczów musimy zaznaczyć: że cyfry urzędowe do przytoczonych niżéj obrachunków czerpaliśmy z następujących źródeł: a) Wykaz finansow. stanu pań. Rosyjskiego Pana Helcyna w kalendarzu Ungra na r. 1878. b) „Wsieobszczyj kalendar" na r. 1878. S. Petersb. wyd. Hoppego. c) „Finansowoje Obozrenije" dziennik ministerium skarbu z końca r. 1867. d) „Prawitelstwiennyj wiestnik" e) „Ekonomiczeskoje sostojanje Rossii. P. Blocha—w piśmie mies. „Wiestnik Jewropy" Wrzesień, Październik i Grudzień 1877 r. i f) Tęgoborski „Etudes sur les forces productives de la Russie.

I.

Asygnaty, wynalazek Law'a, na którym zrazu tyle nadziei wzbogacenia państw pokładano, nadużywany prawie powszechnie od samego początku swego istnienia, pokazał dowodnie, że żadne bogactwo sztucznie bez pracy nie może być wytworzone. System ten, którego szczególniéj nadużyto we Francyi przed i w czasie rewolucyi, sprowadził zupełną deprecyacyą asygnat i największy zamęt w stosunkach finansowych. W Rossyi używano go z większém umiarkowaniem, nie wywołał więc zrazu podobnych skutków. Z początku kurs asygnat trzymał się dobrze i, tylko skutkiem wojen zagranicznych, gdy z ich powodu ilość papiérowych znaków zaczęła się zwiększać, kurs ich stosunkowo znacznym ulegał zmianom i był w czterech odstępach czasu następujący:

W r.	1802	przy	ilości	230.5	mil.	rub.	78%
„	1814	—	—	798	—	—	32 „
„	1816	—	—	851.5	—	—	26 „
„	1820	—	—	685	—	—	26 „

Nareszcie kurs asygnat ostatecznie został ustalonym, gdy rząd nakazał je przyjmować do kas rządowych po oznaczonym kursie 27½ kop. sr. za 1 rubla. Oczywiście takie zastosowanie wypłaty do kursu bieżącego pozwoliło rządowi dług zaciągnięty w ciężkich czasach wojen i najść nieprzyjacielskich podzielić z obywatelami kraju i ciężar państwowy zredukować prawie do jednéj czwartéj części. Wówczas jednak była to rzecz możliwa, kwestya asygnat była zupełnie wewnętrzną, zagranica ich nie posiadała a może i nie znała nawet; amortyzacya więc długu bieżącego, nie potrącając interesów zagranicznych, mogła się obejść bez protestacyi z czyjéjkolwiek bądź strony. Ustalenia kursu asygnat w wypłatach na rzecz rządu i tém samém przełożenie takowych wypłat na srebro dało ulgi czyli zysku 427 milionów rubli srebrem.

Po wycofaniu zupełném z obiegu starych asygnat, zara zono potrzebie lekkich zamiennych znaków, wypuszczeniem tak zwanych biletów depozytowych, które w całości miały być zabezpieczone metalem w skarbcu Petro-Pawłowskiéj cytadeli (w Petersburgu), i były bezwarunkowo wymieniane na złoto lub srebro: następnie jednak, gdy okoliczności zmuszały do korzystania z dogodnéj formy długu bieżącego, wycofano takowe z obiegu, zamieniając je na bile-

ty kredytowe, które w owéj formie jeszcze niedawno istniały, z prawem wymiany tychże do wysokości rubli srebrem sto na jednę osobę dziennie.

Bilety te przed wojną krymską nie przeciążały bynajmniéj pieniężnego rynku, owszem były poszukiwane dla uniknienia ciężkiéj wypłaty w srebrze, którego była obfitość i którym chętniéj niż papiérami płacono. Najważniejszą jednak korzyścią owoczesnego stanu było to, że owych banknotów do krymskiéj wojny wcale zagranicą nie znano, i że owszem wywożenie ich z kraju surowo było wzbronioném.

Zagranicę mało w owe czasy jeżdżono, z powodu bardzo utrudnionych pasportów zagranicznych, zbytkowych produktów, z powodu prostoty obyczaju, w większéj części krajów cesarstwa, oprócz stolicy, bardzo mało używano. Bilans handlowy z tego powodu prawdopodobnie był w równowadze, to jest wartość wyniesionych towarów pokrywała wartość importowanych, (1) a zagraniczne potrzeby państwa, tj. opłatę procentów od długów państwowych, pokrywało wysyłane przez rząd w nieodbitéj ilości złoto zagranicę, którego produkcya syberyjska przewyższała tego rodzaju potrzebę.

W r. 1848 wstrzymano wymianę banknotów na srebro z powodu zamieszek w Europie oraz wojny Węgierskiéj i ztąd nienormalnych handlowych i finansowych stosunków, oraz zabroniono wywozić złoto zagranicę osobom prywatnym; dla podtrzymania jednak zaufania do banknotów i zaradzenia potrzebie metalu, sprzedano na giełdzie złota za 1.406.000 rub. sr.; 1 Grudnia 1849 r. usunięto czasowe przymusowe środki i przywrócono prawo wolnego handlu metalem; w tymże roku wysłano do Londynu 250 pudów złota. Kursa wekslowe między 1843—1853 r. wahały się pomiędzy 95—99,8%.

Od roku 1832—1852 z powodu zwiększających się wydatków, przy ograniczonych i jakby ustalonych dochodach, musiały się ustalić deficyty. Dochody były głównie oparte na monopolu wódczanym w guberniach wielko-rosyjskich i wschodnich oraz na podatku pogłównym z klas nieuprzywilejowanych, a zatém bardzo nie elastyczne. Deficyty w ciągu wzmiankowanych lat 20 wyniosły 571.680.000 rub. sr. Pokrywały się one bezwątpienia w części zagranicznemi pożyczkami, w części przewyżką banknotów nad zapas

(1) Od 1850 do 1853 r. bilans handlu był zupełnie wyrównany i stanowił 88 mil. rs. rocznie.

metaliczny, lub procentowemi biletami podskarbstwa państwa, tak zwanemi seryami biletów 50 rublowych, a w znacznéj części pożyczkami od rządowych Banków Państwa.

Przy braku wszelkich prywatnych instytucyj kredytowych, banki rządowe w zupełności zapełniały tę próżnię i zaradzały wszelkim potrzebom kraju. Były one bezwątpienia solidne; jednak podstawy, na których były oparte, mogły narażać je na niemałe kłopoty, szczególnie przy finansowych wstrząśnieniach.

Przyjmując obowiązkowo wszelkie prywatne wkłady bez żadnego ograniczenia, z obowiązkiem płacenia 4 procentów prowizyi i, w razie nie odebrania jéj, doliczania takowéj do kapitału z oprocentowaniem doliczki na rok następny, banki te wypożyczały kapitały pod zastaw nieruchomości fabrycznych oraz dusz mężkich w poddaństwo zapisanych (w guberniach zachodnich pożyczki te wynosiły do 70 rs. na duszę) z terminową wypłatą stosownie do warunków pożyczki w ciągu 15—28 i 33 lat, z prowizyą 5 od sta, oprócz amortyzacyi. Był więc zysk czysty z przewyżki procentów; jednakże wszystkie kapitały lokowane w Bankach były wymagalne à vista, bez wszelkiego wypowiedzenia; lokowane zaś przez Banki były uwięzione w długoterminowych pożyczkach. W razie więc nagłego zapotrzebowania kapitałów Banki mogłyby się znaléść w ambarasie; takie jednak pokładano w nich zaufanie, że zawsze były nawet przeciążone wkładami, często nie miały co z niemi robić, z powodu ograniczonych obrotów: a nie mogły, bez wyraźnéj straty, trzymać pieniędzy nieprocentujących, bo same musiały opłacać procenta. Banki więc były jakby z konieczności finansowéj jedném ze źródeł dla pożyczek rządowych, z opłatą należnego im procentu. Od 1835—1852 r. pożyczki takie w Bankach miały wynosić rs. 199 milionów.

Mówimy w liczbie mnogiéj Banki rządowe, albowiem było ich trzy: właściwie każdy do osobnego posługujący celu, wszystkie jednak zarówno na jednaki procent i na jednych zasadach natychmiastowéj wymagalności przyjmowały prywatne układy bez żadnego ograniczenia. Banki te były następne: 1) Bank handlowy (komerczeski Bank) miał na celu potrzeby handlujących i wyłącznie takowe zaopatrywał w kredyt. 2) Bank pożyczkowy państwa (Gosudarstwiennyj Zajomnyj Bank) miał głównie na celu dawanie pożyczek na nieruchomości i 3) Kasa Zachowawcza S. Petersburskiéj Rady Opiekuńczéj (Sochrannaja Kazna S. Pietierburskaho Opiekunskaho sowieta). Kassa ta, mając w swéj opiece fundusze zakładów dobroczynnych, przyjmując pieniądze na równi z innemi Bankami, wydawała również i przeważnie pożyczki na dobra ziemskie, czyli

na dusze, i to nie tylko sama, lecz i wszystkie jéj filie, których miała tyle, ile było gubernij w Cesarstwie. Filie te, pod nazwą „Urzędy powszechnego opatrzenia (Prykazy obszczestwiennaho pryzrenija)", miały pod swym zarządem szpitale i zakłady dobroczynne gubernialne i posiadały prawie wszystkie atrybucye kasy głównéj.

Banki te miały jeszcze szczególne przywileje, które przyczyniały się do chętnego lokowania w nich kapitałów, a mianowicie: że wnioski osób prywatnych (imienne) nie mogły być przez Rząd do wypłaty wymagane, komu innemu przeznaczane, brane czasowo w kształcie pożyczek, użyte na potrzeby państwa, ani téż konfiskowane za jakiebądź przestępstwa (art. 239, tom XI zbioru praw wyd. 1857 r.) Też same przywileje miała kasa zachowawcza, oprócz wzmianki o pożyczkach rządowych, i z dodaniem warunku, że kapitały w niéj lokowane wolne są od wszelkich poszukiwań procesowych i mogą być wypłacane trzecim osobom nie inaczéj jak za przyzwoleniem właściciela.

Przy nagromadzeniu kapitałów nieczynnych w kasie zachowawczéj, brak powyższego zastrzeżenia co do pożyczek rządowych zapewne wywołał prawo 2 Października (1838 r. 11579), z którego powstał artykuł 130 tomu XI, orzekający że kasa zachowawcza wydaje pożyczki pod zobowiązania ministrów i innych osób zwierzchniczych, nie inaczéj jednak jak tylko na zasadzie oddzielnych najwyższych ukazów, w których i warunki każdéj pożyczki mają być określone.

Przy téjże kasie były ustanowione oddzielne instytucye: a) kasa wdów (1); b) Lombard i c) Kasa Oszczędności.

Gdy skutkiem wojny krymskiéj deficyty z lat czterech, to jest od roku 1853 do 1856 włącznie, urosły do summy 702.018.000 rs. wtedy, oprócz danych pożyczek 5% z dnia 8 Czerwca 1854 r. i dnia 26 Listopada 1855 roku na 100.000.000 rubli oprócz wypuszczenia biletów skarbowych (seryi) na 30.000.000 rubli, biletów kredytowych na 390.867.000, zapożyczono się jeszcze w bankach, tak że w roku 1857, którego deficyt wynosił jeszcze 38.443.000 rs., dług państwa instytucyom bankowym wzrósł do 553 mil. rub. Pożyczki te, jako wewnętrzne i przytém 4 procentowe, mogły być uważane za bardzo dogodne dla skarbu państwa; jednak ciągły napływ kapitałów

(1) Kasa wdów zachowywała lokowane przez mężów kapitały na utrzymanie wdów po ich śmierci, z obowiązkiem wypłacania tymże wdowom procentów.

do Banków musiał być bardzo znacznym, a korzystne oprocentowanie tychże bardzo trudném, kiedy ministerium przedsięwzięło reformę, zmniejszając od 1 Stycznia 1858 r. procent bankowy, wypłacany prywatnym deponentom na 3 od sta. Zmniejszało to i skarbowi jako dłużnikowi banków ciężar uiszczanych procentów. Usposobienie i nastrój kapitałów był jednak tak spokojny i konserwatywny, że przy 3% stopie pozostawało jeszcze w Bankach na lokacyi 967 milion. rubli srebr.; zmniejszono więc jeszcze stopę procentu do 2 od sta. Przypominamy sobie, że wtedy właśnie jeden z najbogatszych kapitalistów na Litwie powiedział żartobliwie: „miotłami wypędzają kapitały z Banków, lecz i tak ich wypędzić nie mogą“.

Zbytnie jednak zniżenie stopy procentowéj z czasem odniosło skutek; wypowiadanie kapitałów ciągle się wzmagało, tém bardziéj, że obok niemożliwéj dla najspokojniejszych kapitałów stopy procentowéj, odkrywała się bardziéj obiecująca lokacya, a nawet jak sobie wyobrażano możliwa spekulacya na akcyach wielkiego Towarzystwa rosyjskich dróg żelaznych.

Jaki cel miała administracya skarbowa przy téj manipulacyi: czy rzeczywiście wypędzenie nadmiaru tylko kapitałów przeciążających Banki, czy zmianę wadliwego systemu lokacyi z prawem każdoczasowego zapotrzebowania i liczeniem procentu od procentów nie pobranych w terminie, trudno powiedziéć, bez wątpienia i jedno i drugie miano na względzie, gdy ustanowiono 13 Marca 1859 r. czteroprocentowe bez przerwy procentujące bilety (a fonds perdus) „w celu przedstawienia deponentom Bankowym lepszéj lokacyi kapitału“, z przeprowadzeniem na takowe bilety funduszów instytutowych. Bezwątpienia kierowano się przekonaniem, że kapitały zredukowane do 2% dochodu rzucą się chciwie na dawną ulubioną stopę procentu. Jednak czy to skutkiem konserwatyzmu i dawnych nawyknień, czy skutkiem nadziei na lepsze warunki innych lokacyj, a może bardziéj skutkiem nieodbieralności wieczyście lokowanego kapitału, wzmiankowane 4% bez przerwy procentujące bilety potrafiły przyciągnąć tylko 154.138.801 rub. tak, że w roku 1860 zostawało jeszcze na 2% lokacyi na dawnych warunkach 338.572.000 rub. A że skarb państwa winien był instytucyom bankowym 553 mil. rubli, przy powyższém więc unieruchomieniu 154 milionów, potrzeba jeszcze było skonsolidować około 400 mil. rubli. Konsolidacya ta musiała więc w celu przyciągnięcia kapitałów przedstawić lepsze warunki; cel został osiągniętym, lecz kosztem straty skarbu na procentach w stosunku do pierwotnéj stopy.

Wypuszczono więc 4% metaliczne bilety na summę 60 milionów rubli, co przy zmiennym kursie waluty papiérowéj mogło pod-

nosić procent blizko na 5 od sta; zaciągnięto 27 Maja 1860 roku $4\frac{1}{2}$ % pożyczkę zagraniczną „dla zwrócenia skarbowi państwa użytych przezeń kapitałów na zapomogi instytucyom bankowym, skutkiem większego zażądania z nich wkładów“ 6.500.000 funtów sterlingów czyli 49.965.000 rub., licząc po cenie $31\frac{7}{32}$ pensa za rubel srebrem, i prócz tego wypuszczono bilety 5% Banku państwa. Na jaką summę wypuszczono wówczas tych ostatnich, nie mamy pod ręką urzędowych danych; z bilansu jednak Banku państwa ogłoszonego po dzień 12 Grudnia 1877 r. widzimy, że w rachunku likwidacyi dawnych bankowych instytucyj, w passivach Banku państwa pomimo kilkunastoletniéj amortyzacii tychże biletów figuruje jeszcze suma 202.882.000 rubli srebrem.

Reszta kapitałów, zapewne niewymagalnych, pozostała w małéj części na dotychczasowéj lokacyi w Banku, w większéj zaś figuruje w Bilansie bankowym (patrz: bilans na dzień 12 Grudnia 1877 roku) jako dług skarbu państwa do rachunku likwidacyj dawnych bankowych instytutów. W ten sposób owa likwidacya przedstawia się w następnym zbiorowym rachunku:

4% bilety á fonds perdus	rsr.	154.138.801
Wieczyste wkłady bez terminowego wewnętrznego długu (31 Maja 1860 r.)	„	288.377
4% metaliki	„	60.000.000
5% Bilety Banku Państwa (jeszcze na dzień 12 Grud. 1877 r.) wypuszcz. na rzecz likwidacyj dawnych bankowych instytutów . . .	„	202.882.000
Dług skarbu państwa do rachunku likwidacyj dawnych bankowych instytutów	„	102.271.764
Kapitały dawnéj lokacyi pozostałe w Banku państwa (podł. bilansu na dz. 12 Grud. 1877 r. .	„	13.736.877
Pożyczka zewnętrzna dla ułatwienia likwidacyi na 6.500.000 fun. ster. jak wyżéj . . .	„	49.965.500
Co stanowi razem . . .	rsr.	583.283.319

Cyfra, jak widzimy, zbliżona do sumy, którą, jakeśmy wyżéj wspomnieli, skarb Państwa pozostał dłużnym dawnym instytutom bankowym w roku 1857 (553 mil. rub.).

Cel więc konsolidacyi owego długu został dopiętym, pod względem jednak procentów przyniósł skarbowi stratę około 1 od sta na rok.

Z likwidacyą starych bankowych instytutów prawdopodobnie rachować można za skończony bezpośredni wpływ krymskiéj wojny na stan finansów państwa. Otóż gdy w roku 1856, po 4-ch latach

téj wojny, deficyty, jak wspomnieliśmy wyżéj, wynosiły 702 mil. rs. po ukończeniu wspomnionéj likwidacyi z końcem 1860 r. wynosiły już one 802,592.000 (to jest za 8 letni peryod 1853—1860 r. włącznie). Naturalnym skutkiem tych deficytów musiało być powiększenie konsolidowanego długu państwa.

Otóż przed wojną krymską niespłacone jeszcze całkowicie długi wynosiły w nominalnéj ich pierwotnéj wartości (1).

Długi zagraniczne, konsolidowane jak powiedzieliśmy w ich pierwotnéj nominalnéj wartości	rsr.	359.314.406 (2)
Banknotów za potrącen. fundusz metal.	„	192.500.000
Długu w dawnych bankowych instytut.	„	199.000.000
Bilety skarbowe (Serye)	„	210.000.000 (3)
Razem . . .	rsr.	960.814.406

Ciężar zatém procentów wynosił około 38 mil. rub. a z tego wypłat metalowych jako od długu zaciągniętego zagranicą najwyżéj 18 mil. rub.; w peryodzie 1853—1860 włącznie przybyło:

a) długów konsolidowan. zagraniczn:				
5-a i 6-a 5% pożyczki . .	rsr.	100.000.000		
3% pożyczka 1859 roku w funtach sterling. na	„	55.809.000		
4½ % pożycz. 1860 r. w funt. sterlingach na	„	49.565.500	rsr.	205.774.500
b) długów krajowych:				
4% renta	„	154.138.801		
Wieczyste wkłady bezterminowego długu 1860 r.	„	288.377		
4% metaliki	„	60.000.000	„	214.427.178
Pozostaje na banknoty (dług bez procentu). .			„	382.390.322
Razem . . .			rsr.	802.592.000

---

(1) Mamy przed sobą urzędowe cyfry długów państwa w pierwotnéj ich wartości, to jest w sumach w jakich były zaciągnięte i w sumach skutkiem nadpłaty na dzień 1 Stycznia 1876 r. Otóż, rozpatrując te długi częściowo, bierzemy pierwotne cyfry dlatego 1), że wyliczać na każdy peryod liczby pozostałego długu za potrąceniem nadpłaty niepodobna, nie mając warunków amortyzacyi każdego długu. 2) te cyfry pierwotne dają możność obliczenia przybliżonych opłat na każdy peryod, o którym robi się wzmianka.

(2) Funty sterlingi przekładane na ruble po cenie 31⁷⁄₃₂ pensa za rubla, guldeny holenderskie po 158¼ cent. za rubla srebrn.

(3) Na 1 Stycznia 1876 r. cały dług w obligach skarbowych jest wykazany na 216.000.000 rs. O ile wiemy, po krymskiéj wojnie przed r. 1860 wypuszczono tych obligów na 6 milionów rubli. Ile póżniéj wypuszczono tychże nie mamy wiadomości, zali-

Jakowa cyfra równa się wyżéj wykazanym deficytom za peryod 1853—1860 r. włącznie.

Ciężar procent. od tych długów wynosił przeszło	16 mil. rub.
a z dołączeniem płaconych przed wojną . . .	38 „ „
Ogół procentów wyniesie około . .	54 mil. rub.
Z powyższych 16 mil. procent. po wojnie na metaliczne wypłaty przypada około	10 mil. rub.
a z dołączeniem wypłat metalicznych przed wojną obliczony wyżéj na	18 „ „
Ogół metaliczn: wypłat wynosił .	28 mil. rub.

II.

Po długiéj stagnacyi i po silném następnie wstrząśnieniu z powodu uciążliwéj walki z koalicyą Europejską, obudził się w Rossyi ruch umysłowy, a za nim dążność do postępu w kwestyach społecznych i ekonomicznych.

Początek tego ruchu był wprawdzie ujemny pod względem ekonomicznym; był to ruch zagranicznych pielgrzymek, który się objawił po części skutkiem ułatwionych komunikacyj, lecz najbardziéj skutkiem ułatwień pasportowych. Poprzednio bowiem w Cesarstwie za roczny pasport na podróż zagraniczną potrzeba było opłacić 100 rub. a na wypadek choroby, która musiała być udowodnioną bardzo urzędową legalizacyą, r. 25, jakowe opłaty zredukowane zostały do 10 rub. na rok.

Liczba wyjeżdżających, począwszy od 17.542 w roku 1856, corocznie wzrastała stopniowo do roku 1860, w którym dosięgła cyfry 275.582. W roku 1861 spadła na 89.125, bez wątpienia w skutek ogłoszonéj 19 Lutego reformy włościańskiéj, dającéj posiadaczom ziemskim niemało do roboty w domu.

Stosunki włościan do właścicieli ziemskich opiérały się za czasów poddaństwa w Rossyi na bardzo prostéj zasadzie, a mianowicie połowa produkcyjnéj pracy włościanina należała do pana. Na téj zasadzie każdy robotnik płci obojéj obowiązany był odsłużyć panu 3 dni w tygodniu (1). Pan miał prawo zakontraktować go na ro-

czamy więc resztę 210 mil. rub. jako dług ciążący na skarbie do wojny krymskiéj. Jeśli zatém ztąd wypada jaka pomyłka nie będzie ona służyć na niekorzyść finansowego zarządu obecnego panowania.

(1) Stosunek ten ustalony został w drodze prawodawczéj za panowania Cesarza Pawła I.

boty po za obrębem majątku, biorac na swoję korzyść połowę zarobionych pieniędzy, z drugiéj zaś potrzebną część obrócić na opłatę podatków rządowych (pogłównego).

Ziemia wydzieloną téż była na dusze, czyli właściwie na „tiagło“, t. j. małżeństwo do roboty zdolne, na parę robotników męskiego i żeńskiego. Ziemia włościańska stanowiła w ogóle ziemię gromadzką, która, stosownie do zmieniających się „tiagoł“, była rozdzielana co kilka lat na nowo.

W gubernjach zachodnich, przyłączonych od dawnéj Rzeczypospolitéj, stosunek włościan do panów pozostał na dawnych zasadach z wydziałem gruntu na każdą osadę i z obowiązkiem odbywania powinności od ilości wydzielonego gruntu podług dawnych zwyczajów (właściwie inwentarzy fundowych) od 3 do 6 dni w tygodniu, z dodaniem letniéj powinności (gwałtów) średnio około 8 dni rocznie na każdego dorosłego robotnika. W niektórych miejscach osadnicy płacili czynsze. W roku 1846 jednocześnie z prestacyą powinności włościańskich w Królestwie Polskiém, zarządzoną była podobnaż i w gubernjach zachodnich; przedstawiono do władzy tak zwane inwentarze, które po rozpatrzeniu i obrachunku robocizny odpowiednio do wartości wydzielonych gruntów i innych dogodności były zatwierdzone przez władzę. Wyjątek w tym względzie stanowiły gubernje Witebska i Mohilewska, gdzie przy dawnym wydziale gruntu na osady, ustanowiono pańszczyznę podług praw rosyjskich, to jest po 3 dni z duszy.

Pomimo dosyć widoczną uciążliwość powinności włościańskich w gubernjach Cesarstwa, gdzie takowe były odbywane z duszy, w wielu bardzo miejscowościach środkowéj Rossyi, stan włościan był bardzo zamożny, a mianowicie wszędzie tam, gdzie się rozwinął domowy przemysł włościański, tak zwana „kustarnaja promyszlennost“, nie mniej jak handel, do którego włościanie rosyjscy wielki okazywali popęd, oraz przewóz towarów odbywany furmankami na ogromnych przestrzeniach, przed wybudowaniem kolei żelaznych (Jzwoznyj promysieł).

Przemysł i handel bardzo silnie się rozwinął w okolicach ludniejszych, mniej odległych od znaczniejszych miast lub od rzek spławnych, a szczególnie tam, gdzie urodzajność ziemi i klimat niewiele przedstawiały korzyści z rolnego gospodarstwa, jak np. w Gubernjach Kostromskiéj i Jarosławskiéj. Do bardziéj znanych tego rodzaju gatunków przemysłu można zaliczyć: przędzę lnianą i konopną, nie mniéj jak wyrób płócien, żaglowego, flamskiego i rawentuchów, szczególniéj w gubernjach Kostromskiéj, Jarosławskiéj i Wołogodzkiéj; wyrób owczyn i kożuchów w gubernii Włodzimierskiéj,

(okolice Muromy); wyrób tandetnego obówia zwyczajnego i futrzanego, wojłoków, wyroby stolarskie a szczególniéj zabawki dziecinne, slósarstwo, nożownictwo i wyroby mosiężne (okucia drzwi i okien, samowary) oraz wyrób rysunków religijnéj i historycznéj treści z wojen 1812 roku i tureckich wypraw; produkt ten ostatni jako jaskrawa polichromja, bez żadnéj znajomości rysunku, przy nadzwyczajnéj taniości, pod nazwaniem „łubocznyja kartiny“, rozchodził się w ogromnéj ilości.

Szczególniéj przędziwo i tkacki przemysł miał ogromne znaczenie: przed rokiem 1850 podług Tęgoborskiego (Etudes sur les forces productives de la Russie) przędza lniana produkowana w ilości 5.625.000 pudów.

Zajmowała . .	2.812.000 prządek
do tego . . .	425.000 tkaczów
Razem. .	3.237.000 ludzi

zat rudnionych było tym przemysłem.

Dodając do tego roboty przygotowawcze około przysposobienia lnu do przędzenia, a zarazem przemysł pomocniczy, jak wyrób kołowrotków, wrzecion, warsztatów tkackich i t. d., przemysł ten zajmował w ogóle do *czterech* milionów mieszkańców wiejskich, doliczając zaś $1/5$ ludzi na wyrób produktów konopnych, wypadnie *pięć* milionów ludności dorosłéj wiejskiéj zajętéj produkcyjnie jednym tylko przemysłem.

To téż w takich miejscowościach, gdzie zagrodowy przemysł lub handel był rozwinięty, włościanie odznaczali się dobrobytem, pewną ogładą i chętnie przechodzili na czynsze, których norma nie zależała od produkcyjnéj wartości, posiadanéj przez nich ziemi, ale raczéj od zamożności posiadaczy i chęci ich wyzwolenia się od uciążliwéj pańszczyzny. Taki stan przeważnie egzystował w gubernjach środkowych.

W prowincyach położonych ku południowi i południo-wschodowi, gdzie przemysł się nie rozwinął a ziemia urodzajna (po większéj części czarnoziem) do rolnictwa ciągnęła, włościanie prawie wyłącznie pozostawali na pańszczyznie, przy obfitości zaś i taniości zboża, chociaż niegłodni nie odznaczali się ani ogładą, ani dobrobytem.

Taniość nadzwyczajna zboża w latach urodzaju, przy braku zaś ułatwionych komunikacyj niemożność prawie spieniężenia produktów rolnych, u wielu bardzo poważnych nawet myślicieli (Haxthausen, Tęgoborski i inni) wywoływały przekonanie, że w razie usamowolnienia włościan, większa własność nie będzie bezwa-

runkowo zdolną do jakiéjkolwiek produkcyi, skoro dochód z niéj ani w przybliżeniu nie pokrywał kosztów robocizny, która przy pańszczyznie nie była cenioną, lecz używała się w ten sposób, byle jakiś, choćby najmniejszy, lecz możliwy dochód przynosić mogła. Sądzono zatém, że usamowolnienie, obalając na raz wszelką wielką produkcyą rolną, która jedna dostarczała najważniejszego materyału do handlu wywozowego, stanie się niemożliwém bez gwałtownego ekonomicznego wstrząśnienia w kraju.

Jednakże myśl zniesienia poddaństwa, pomimo wszelkich trudności, jakieby ta reforma w wykonaniu swém przedstawiać mogła, stała się myślą przewodnią samego monarchy i znalazła najpierwiéj odgłos w okolicach kraju, gdzie ceny zboża tak z przyczyny mniejszéj urodzajności, jak równie i z powodu bliskości granicy Europejskiej, nie podlegały tak silnym fluktuacyom i niepomiernemu obniżeniu, jak to bywało w urodzajnych i odległych prowincyach. Przebieg téj rzeczy wart przypomnienia.

W r. 1857 rozporządzenie wyższéj władzy powołało w zachodnich gubernjach komitety inwentarzowe, od r. 1846 ustanowione, wspólnie z delegacyami od szlachty, do rozpatrzenia i zastosowania w powinnościach inwentarzowych ulg, któreby najlepiéj wpłynąć mogły na poprawienie stanu włościan, dodając do tego, że się w projektach tych niczém ścieśniać nie należy.

W początkach myślano zapewne o reformie częściowéj, o ujednostajnieniu powinności inwentarzowych, o zredukowaniu takowych do dni 4 w tygodniu z osady w ogóle majątków, jeśli gdzie powinność przechodziła tę normę, i o wprowadzeniu opłaty za letnie dni robocze odbywane z duszy (tak zwane gwałty). Szukając najdogodniejszéj drogi do przeprowadzenia tak ogromnych rzeczy, myślano zacząć od zamiany powinności naturalnych na powinność pieniężną, czyli od oczynszowania.

Reforma, rozpoczęta na drodze poprawy inwentarzy w jednéj tylko części kraju jako próba (w widie opyta), zdawała się zapowiadać przebieg stopniowy, ale zarazem bardzo powolny i mogący spowodować najważniejszą z niedogodności, a mianowicie przy rozbudzonych nadziejach, pewien moralny niepokój w najliczniejszéj klasie ludności krajowéj, bez prędkiego tych nadziei urzeczywistnienia. Najuciążliwszy stan takiego stosunku, który i bez tego przy rozbudzającym się duchu opozycyjnym u włościan spadał naturalnie na właścicieli, był bez wątpienia jednym z bodźców do zdecydowania się na krok stanowczy.

Szlachta gubernii Wileńskiéj, Kowieńskiéj i Grodzieńskiéj wystąpiła więc z adresem, prosząc o przystąpienie, zamiast do reform

cząstkowych, do reformy ostatecznéj usamowolnienia włościan, któraby raz na zawsze przerwała trudny już ekonomiczny i moralny stosunek.

Miłościwe przyjęcie i aprobata tego kroku szlachty z gubernij zachodnich, wyrażone w odnośnym Najwyższym Reskrypcie, skierowały stanowczo opinią szlachty w tym kierunku: za temi gubernjami poszły najprzód gubernie Petersburgska, Moskiewska, Kijowska i t. d., poczém posypały się adresy i wszystkich innych gubernij cesarstwa.

Tym sposobem reforma przyjętą została w zasadzie; następowało zatém najtrudniejsze zadanie wypracowania ekonomicznych podstaw do rozwiązania tak trudnego i zawiłego stosunku. Zwołano w gubernjach komitety z właścicieli ziemskich, które miały podawać projekta przystosowania wielkiéj reformy do warunków miejscowych. Projekty te okazały się naturalnie niezmiernie rozmaitemi; dla doprowadzenia ich do jednostajności i ułożenia jednego projektu na całe państwo zwołano do Petersburga: Komisye redakcyjne pod prezydencyą generała Rostowcowa, a po jego śmierci Hr. Panina. Po dwuletniéj blisko pracy, komisye te wygotowały projekt ustawy, który po rozpatrzeniu jéj w Radzie Państwa Najwyżéj zatwierdzony i ogłoszony został w dniu 19 Lutego 1861 roku.

Właściwie były to dwie ustawy oddzielne, jedna dla gubernij wielko-rosyjskich, druga dla zachodnich. Pierwsza z nich rozwiązywała kwestyą stanowczo. Rosya została podzieloną na miejscowości stosownie do gęstości zaludnienia i jakości gruntów; w każdéj miejscowości ustanowiono normę wydziału ilości ziemi na duszę i cenę téjże ziemi, w razie przejścia włościan na czynsze, do czego służyło im prawo po upływie dwóch lat od dnia ogłoszenia ustawy.

Ustawa dla gubernij zachodnich nie rozstrzygała bezpośrednio ekonomicznych stosunków; przyjmując za podstawę do obliczenia czynszów wartość inwentarzowéj, odbywanéj przez włościan pańszczyzny, nie uważała takowego czynszu za ostateczny, lecz po upływie dwóch lat przejściowych miał on być poddanym rewizyi tak zwanych sprawdzających czyli rewizyjnych komisyj.

Punkt ten ustawy po roku 1863 dał możność komisyom rewizyjnym przez rząd ustanowionym, zredukować te czynsze do minimum, co wprawdzie zmniejszyło znacznie majątki właścicieli ziemskich, zapewniło jednak z drugiéj strony nadzwyczajne ułatwienie wykupu włościanom i dało możność tymże zdobycia odrazu znacznego dobrobytu.

Jakkolwiek pierwiastkowo wykup grał tylko jakby dodatkową rolę w ustawie i pozostawiony był dobrowolnéj umowie stron zain-

teresowanych, jednak, siłą logicznéj dążności do zupełnego rozwiązania kwestyi, stał się on wyłączną jéj podstawą, tém bardziéj, gdy rząd przychodził w pomoc, przyjmując na siebie w przeważnéj części likwidacyą długu włościańskiego i wydając za nich wykupione papiéry do wysokości $^4/_5$ należnéj od nich właścicielowi sumy.

W gubernjach wielko-rosyjskich do wykupienia gruntów przystąpili odrazu włościanie czynszowi, przeważnie z okolic odznaczających się przemysłem; w wielu okolicach rolniczych przejście na czynsze spotykało trudności ze strony samych włościan, którzy nie mieli do tego odwagi; więksi zaś właściciele przy wysokich stosunkowo cenach, wypadających za grunta włościańskie, okazali silną dążność do przeprowadzenia wykupowéj operacyi, która rozwiązując od razu wszelkie stosunki, bo nie zostawiając nawet żadnych służebności, zapewniała im znaczny i dobrze procentujący kapitał, obok tego zaś rodził się już w praktyce zwyczaj oddawania włościanom gospodarstw dworskich za połowę urodzaju odbiéranego w naturze, do czego włościanie zaczęli okazywać wielki pochop.

Téj dążności właścicieli do przeprowadzenia wykupu rząd przyszedł w pomoc, dając im prawo nawet pańszczyznianych chłopów przeprowadzać na wykup, za ustępstwem na ich korzyść $^1/_5$ części sumy wykupowéj, którą na mocy ustawy samiby musieli bez pomocy rządowéj uiścić.

W przewidywaniu mniejszéj wypłatności włościan nieoswojonych z czynszem i nieraz z samego położenia mogących znaléść trudność w dostaniu piéniędzy przy braku zarobków, dla usunięcia finansowych trudności przy amortyzacyi mniéj pewnych kapitałów, ustanowiono dla tego rodzaju wykupu nowy kształt nieamortyzujących się obowiązkowo papiérów, pod imieniem wykupowéj renty, którą w miarę możności i potrzeby rząd mógłby amortyzować za pomocą skupu.

W gubernjach zachodnich polityczne wypadki popchnęły kwestyą włościańską na drogę prędkiego i łatwego rozwiązania. Po obcięciu czynszów przez komisye, przeprowadzono obowiązkowy wykup, którego stopniowa likwidacya przy małoznaczących opłatach nie przedstawia wyzwolonym prawie żadnéj trudności. W gubernjach wielko-rosyjskich zaś, tam gdzie nie kwitnie przemysł i lud wiejski małe ma pole do zarobkowania, zaległości w wypłatach włościańskich bywają bardzo znaczne i egzekucya ich z wielkiemi połączona trudnościami.

Jeżeli i dziś jeszcze, po 17 latach, operacya wykupowa przedstawia trudności ekonomiczne i stanowi nie małoznaczący ciężar dla rządu, który przyjął na siebie odpowiedzialność przed posiadacza-

mi wykupowych papiérów, to kwestya ta w początkach swego rozwoju nie tylko przedstawiałaby trudności, ale mogłaby nawet wywołać pewien trudny do zwalczenia ekonomiczny zastój w kraju, jeśliby nie przybył właśnie w najtrudniejszym czasie w pomoc inny czynnik ekonomiczny, który wprawił w ruch i rzucił masę kapitałów na rynki rosyjskie i ożywił chwilowo społeczność zagrożoną czasową przynajmniéj stagnacyą, w najważniejszéj produkcyjnéj gałęzi, w gospodarstwie wiejskiém; gospodarstwo to bowiem przynajmniéj chwilowo mogło być zachwiane zmianą raptowną w jego dotychczasowych podstawach z ustaniem pańszczyzny a z nią i przymusowego dla stron obu zajęcia rolnictwem; powiadamy przymusowego dla stron obu, gdyż i właściciele dla spieniężenia pańszczyzny musieli należną im robociznę do jedynéj produkcyi rolnéj skierowywać, choćby produkcya ta nie odpowiadała pieniężnéj wartości użytéj na nią pracy.

Właściciele musieli utrzymać gospodarstwa przy nowych trudnych warunkach; włościanie musieli zdobywać ogromne środki pieniężne dla uiszczenia rat wykupowych, do czego pod wpływem przymusowéj pracy większa ich część nie była nawykła.

III.

Ekonomicznym czynnikiem, o którym wspomnieliśmy przed chwilą, a który ułatwił stan przejściowy spowodowany w gospodarstwie krajowém przez reformę włościańską, było pobudowanie w cesarstwie Rosyjskiém około 18.000 wiorst kolei żelaznych.

Znaczenie finansowe téj wielkiéj operacyi wykazał i opracował p. Jan Bloch jako specyalista w znajomości warunków budowy i exploatacyi kolei żelaznych. Ciekawe cyfry dotyczące téj kwestyi bierzemy z artykułu p. Blocha: „Ekonomiczny stan Rossyi“, zamieszczonego w miesięczniku rosyjskim „Wiestnik Jewropy“ za Wrzesień, Październik i Grudzień roku 1877.

Według obliczeń p. Blocha kapitał nakładowy rosyjskich kolei żelaznych przedstawia znakomitą cyfrę . . .	1.544 mil. rub.
Za potrąceniem procentów i straty na realizacyi papierów kolejowych	441 „ „
Pozostaje jako kapitał budowy	1.103 mil. rub.
Z téj sumy wydano:	
Na prace techniczne, administracyą i zarobki przedsiębierców	217 „ „

Na wszelką pracę niższego rzędu	481	mil. rub.
Na materyały budowy	405	„ „
Razem jak wyżéj	1.103	mil. rub.
Z tych sum wydano w kraju	765,8	mil. rub.
Za granicą na kupno materyału	337,2	„ „
	1.103	mil. rub.

Do tego trzeba dołączyć wydatki na exploatacyą, które od początku budowania kolei wyniosły 674,3 mil. rub.

Z tych ostatnich wydano:

Na pracę wyższego rzędu i administracyą . .	194,9	mil. rub.
Na pracę niższego rzędu	194,9	„ „
Na materyały miejscowéj produkcyi	203,6	„ „
„ „ zagraniczne	80,9	„ „
Razem .	674,3	mil. rub.
Potrącając z tego wydatki zagraniczne . . .	80,9	„ „
Rozeszło się w kraju	593,4	mil. rub.
Dołączając sumy wydane jak wyżéj w kraju na budowę kolei	765,8	„ „
Ogólna suma pozostała w kraju stanowi . . .	1359,2	mil. rub.
Z jakowych sum sama tylko praca niższego rzędu wynosiła przy budowie	481	„ „
przy exploatacyi	194,9	„ „
Razem .	675,9	mil. rub.

które przeszły do rąk uboższych i pracujących fizycznie klas ludności; pracownikom tego rzędu rocznie w przecięciu podczas budowy podług rachunku p. Blocha było zajętych 84.000 z zarobkiem po 297 rs.

Zarobek klas inteligentnych z tychże źródeł wynosił przeszło 400 mil. rub.

Wiadomo, że kapitałów na budowę kolei żelaznych rosyjskich, po największéj części dostarczyła zagranica, chociaż w początkach przy budowie kolei żelaznéj Warszawsko-Petersburgskiéj bez wątpienia grały pewną rolę i krajowe kapitały, które, świéżo wygnane z dawnych bankowych instytucyj, szukały spekulacyjnéj lokaty. P. Bloch na zasadzie niektórych kombinacyj robi przypuszczenie, że w kraju pozostaje połowa akcyj kolejowych i jedna czwarta obligacyj.

Jakkolwiek ten rachunek bardzo problematyczny, zawsze go jednak można przyjąć za pomocniczy w obliczeniach repastycyi dochodów kolejowych między krajem i zagranicą jak poniżéj zobaczymy bez żadnéj ujmy w obrazie ekonomicznego stanu Rosyi, gdyż prędzéj mniéj, niż więcéj, kolejowego długu jako lokowanego w kraju można przypuszczać.

Tak wielki napływ kapitałów obcych do kraju, który w ciągu lat siedmiu po wojnie był zmuszonym przysporzyć sobie ciężarów publicznych przeszło na 800 mil. rub. i stał przez to w obec bardzo trudnego ekonomicznego przełomu, podziałał naturalnie bardzo orzeźwiająco. Szczególniéj łatwość zarobków przy robotach niższego rzędu mogła ośmielić włościan i ułatwić im sposoby przejścia z naturalnych powinności na piénię̇żne.

Trudno wymagać od ludzi ciemnych i w stanie przejściowym zostających, ażeby nie znając jeszcze dobrobytu i dźwigając ciężary powinności, czy to czynszowych, czy to z wykupu pochodzących, z mniéj znacznych swoich zarobków zbiérali jeszcze oszczędności. Na to trzeba szczególnego ekonomicznego wykształcenia i długoletniéj praktyki swobody i samopomocy, któréj brakło zostającym dotąd pod opieką wyzwoleńcom; owszem prędzéj trzeba w nich było przypuszczać pewien szał świéżo zdobytéj swobody; w praktyce jednak żadnych znacznych nadużyć w tym względzie prawie nie było, co dowodzi pewnéj dojrzałości rosyjskiego ludu. To téż na pewno można przypuszczać, że z owych 675 mil. rub. stanowiących zarobek ludowy, mała tylko część przeszła na kapitał produkcyjny jako oszczędność, w najznaczniejszéj zaś części jak i p. B. przypuszcza, piéniądze te użyte były na polepszenie warunków domowego życia włościan, najbardziéj zaś na zmniejszenie niedoborów wykupowych i podatkowych i na bieżące z tego tytułu obowiązki.

W takim nawet razie przysługa przedsiębierstwa kolejowego oddała znakomite usługi, dostarczeniem możności nowowyzwolonym wypełnienia ich zobowiązań.

Co do drugiéj kategoryi zarobków, która stała się udziałem klasy inteligentnéj i wynosiła, jakeśmy widzieli, przeszło 400 mil. rs., to ta powinna była właściwie pozostać nierozproszoną i sformować przyrost narodowego kapitału.

Można jednak z wielkiém prawdopodobieństwem przypuszczać, że tylko część stosunkowo mała tych zarobków została zaoszczędzoną. Niespodziany i raptowny napływ bogactw działa upajająco, szczególniéj na ludzi, dla których czynnik tego napływu jest nowością. Ruch i dostatek w czasie budowania kolei wprowadzał w błąd nieobeznanych ze znaczeniem tego rodzaju komunikacyj, utrzy-

mywał ich w złudzeniu, że i wybudowana już kolej będzie ciągłym potokiem nowego bogactwa.

Patrzaliśmy na taki stan gorączkowy jednego z miast prowincyonalnych litewskich, przeciętego na krzyż dwoma liniami kolei. Mieszkania i domy dochodziły tam do cen bajecznych, budowano nowe, przepłacano stare; element napływowy przy budowie żył rozkosznie i używał zbytkownie, dostarczając miejscowym handlarzom ogromnych zarobków; uwierzono w nastanie złotego wieku.

Z ukończeniem kolei nastąpiło rozczarowanie. Po przypływie nastąpił odpływ; mnóstwo hoteli, co jak grzyby wyrosły, stało pustkami, domów było za wiele i mieszkania zostały niezajęte, wszystko upadło w cenie. Koleje nic nie dały prócz ułatwienia przewozu, który mógł być pożytecznym tylko w miarę miejscowéj produkcyi, a ta i przedtém środków komunikacyi wodnéj nie była pozbawioną. Słaby ruch pasażerski i handel tranzytowy nie wywierały na okolicę żadnego wpływu, nałogi i używania w znacznéj części pozostały, podsycane jeszcze łatwym transportem zagranicznych zbytkownych rzeczy, zasmakowanie w których usunęło dawną niewybredność i prostotę obyczaju.

Tym sposobem napływ raptowny pieniędzy, dla społeczeństwa nieprzywykłego do nich, miał swe ujemne strony i włożył na toż społeczeństwo ogromny ciężar wypłacania procentów za pożyczone i unieruchomione kapitały.

Kapitały uwięzione w pobudowanych kolejach stanowić będą kiedyś wielkie źródło państwowego bogactwa, gdy w szeregu lat zostaną zamortyzowane; amortyzacya ta jednak i płacone procenty ciężą dzisiaj nie tylko na społeczeństwie i jego produkcyi, ale zarazem i na finansach państwa, w postaci gwarancyi procentów, których same koleje (prócz nie wielkiéj bardzo ich liczby) nie mogą dostarczyć, niektóre jako budowane po części w celach strategicznych, inne zaś do czasu aż się nie rozwinie przemysł i produkcya, odpowiadające środkom przewozowym.

Rząd wprawdzie czynione przez siebie dopłaty zabezpiecza na przyszłych dochodach tychże kolei, ale perspektywa odbioru tych należności bardzo daleka, tymczasem zaś Towarzystwa kolejowe z końcem roku 1875 z rozmaitych tytułów winny były rządowi znaczną sumę 239,5 mil. rs. a w tej liczbie z saméj tylko gwarancyi procentów 174.2 mil. rub.

Na r. 1876-y gwarantowane procenty wynoszą:

w metalu 46,1 mil. rub.
w papierach 1,7 „ „ 47,8 mil rub.

Niegwarantowan: w metalu 8,9
w papiérach 4,0 mil. rub. 12,9 mil. rub.

Razem 60,7 mil. rub.

Z jakowych w obu kategoryach metalowa wypłata
wynosi 55 mil. rub.
w roku zaś 1875 wynosiła 50.1 „ „

Naturalnie, że te zobowiązania rosną każdorocznie, o ile, chociaż znacznie w mniejszych rozmiarach, jeszcze się prowadzi budowa dalszych linij.

Jakkolwiek znaczną część swoich zobowiązań koleje żelazne wypełniają same, jednakże dopłata ze strony rządu część znakomitą stanowi, wynosząc 42½ %.

Za ostatnie, razem z bieżącym rokiem, dwa lata, dopłata podług urzędowych źródeł łącznie ze spłatą obligacyi kolei Mikołajewskiéj stanowiła:

Za rok 1877	32.662.356 rs.
Preliminowano na rok 1878	37.910.909 „
czyli więcéj o	5.248.553 rs.

Pomoc i dobrodziejstwo wielkiego kredytu, choćby na rzeczy najpotrzebniejsze i prawdziwą stanowiące korzyść, musi się wielkiemi opłacać ofiarami.

Tém uciążliwsze przytém były warunki budowy kolei, im mniéj kraj posiadał środków własnych do zadosyć uczynienia potrzebom téj budowy. Widzieliśmy, że cyfra wydana przy budowie na ten przedmiot zagranicą, obliczona przez p. Blocha

na 337,2 mil. rub.
Z tytułu zaś exploatacyi na 80,9 „ „

Razem 418,1 mil. rub.

wydanych po za granicami państwa.

Cała ta suma wydana w kraju, oprócz skonsolidowania się w przynależytościach kolei, wsiąkłaby w masę ogólnego krajowego kapitału, powiększając o tyleż sumę krajowego bogactwa. Wydana zagranicą, weszła tylko w pojedyńczéj postaci kolejowych przynależytości; a więc zwiększając ciężar długu zagranicznego obciążyła w dodatku bilans handlowy (1).

---

(1) Rzecz sama z siebie tak prosta wprowadziła, jak nam się zdaje, w błąd tak wytrawnego finansistę jakim jest p. Bloch. We wspomnionym wyżéj artykule „Stan ekonomiczny Rosyi“ autor powiada: „Przy rozważaniu naszego ekonomicznego i finanso-

Skutek rozszerzenia sieci kolei żelaznych widocznym jest w silnym wzroście wywozowego handlu, który z cyfry 212 mil. rub. w r. 1866 podskoczył na 381 mil. rub. w r. 1875. Przywóz jednak jeszcze w silniejszym powiększył się stopniu; albowiem ze 195 mil. rub. w roku 1866, urósł na 531 mil. rub. w r. 1875.

W handlu zagranicznym wywóz przewyższał przywóz w roku 1866-m 17 mil., w 1870—24 mil. i w 1871—1 mil. rub. We wszystkich innych latach przywóz przewyższał wywóz, najwięcéj zaś w r. 1872 na 108 mil. rub. i w r. 1875 na 150 mil. rub. w ogóle przez lat 10.

	przywóz stanowił	3.630 mil. rub.
	wywóz „	3.161 „ „
	Przywóz przewyższał wywóz o	469 mil. rub.
Przyjmując	przywóz na potrzeby kolei w ciągu lat 10 na sumę	210 mil. rub. (1)
Pozostaje przewyżka przywozu na	inne cele oraz zbytkowne użycie .	259 mil. rub.

Z powyższéj cyfry przywozu kolejowych przynależytości w ciągu lat 10 wypada na rok 21 mil. rub., chociaż można przypuścić, że ku końcowi peryodu liczba budowanych kolei zmniejszyła się znacznie, przyjmując jednak owę przeciętną cyfrę i na rok ostatni rozpatrywanego peryodu ze 150 mil. rubli decesu handlowego w r. 1875, po odciągnięciu owego kolejowego przywozu w sumie 21 mil. rub.,

---

wego położenia, wskazują na nasze obdłużenie dla pobudowania kolei żelaznych, i na niekorzystny dla państwa stosunek przywozu i wywozu, nie zwracając uwagi na okoliczność, że znakomita część przywozu do nas przedmiotów przeznaczonych do budowy kolei, opłacona z pożyczonych dla budowy tychże kapitałów, skutkiem czego jedna i ta sama suma wykazywaną bywa podwójnie. W ten sposób położenie nasze wystawiane bywa w gorszém świetle niż jest w rzeczywistości, przez co sprowadza się uszczerbek dla naszego państwowego kredytu.“ Nam się zdaje, że zupełnie niezależnie od tego zkąd pochodzą kapitały na budowę kolei, fakt sprowadzania przedmiotów kolejowych z zagranicy jest ekonomicznie niekorzystnym w obec możliwości krajowéj produkcyi. Sprowadzenie to *w każdym razie* obciąża bilans handlowy bezsprzecznie, stosunek tylko staje się dwa razy gorszym, skoro na tę potrzebę musiano użyć obcych kapitałów, które przybrawszy postać długu nie mogły być prócz tego produkcyjnie użyte w krajowym przemyśle i tém samém przyczynić się do powiększenia ilości krajowego bogactwa.

(1) Cyfrę 210 milionów wyprowadziliśmy przez rachunek prawdopodobieństwa' a mianowicie: według obliczeń p. Blocha z ogólnego kapitału budowy rosyjskich kolei, 765,8 mil. pozostało w kraju, zaś 337,2 wyszło zagranicę; a że z budowy kolei w ciągu lat 10-u od 1866—1875 r. p. Bloch podaje odpowiednią cyfrę pierwszéj kategoryi na 478,5 mil., przeto w tymże stosunku na drugą kategoryą wypadnie 210,7 mil. rs.

pozostanie 129 mil. rub. na inne cele oraz użycie i zbytek. Dążność ta handlu rosyjskiego jeśliby utrzymała się nadal, niekorzystne bardzo dla ekonomicznego stanu państwa musiałaby wróżyć rezultaty.

Jeśli łatwy napływ obcych oszczędności, w téj postaci papiérowéj w jakiéj się u nas pojawił, dał taki popęd do używania, to deszcz ten kalifornijski, jeśliby się pojawił we własnéj szacie, w postaci zagranicznego złota, jeszcze bardziéj olśniewające wywołałby skutki, i fala ta z tém większą łatwością znalazłaby prędki i gorączkowy odpływ.

Zarząd finansowy, bardziéj przewidujący od publiczności, nieposiadającéj organów wyświetlających położenie, nie uwodził się chwilową łatwością i objął regulowanie przypływu pożyczanych zagranicą kapitałów pod własny i bezpośredni kierunek.

Nie będziemy śledzili za krytycznym poglądem pana Blocha na wszystkie szczegóły operacyi Zarządu finansowego i Banku państwa, co do zasilania funduszu metalicznego, podtrzymywania kursów wexlowych i t. p. manipulacyj; rzecz to pouczająca dla specyalistów, których to stanowi zadanie: dla nas potrzebny tylko sumaryczny pogląd na ostateczne skutki.

Praktyczna to rzecz była, jak nam się zdaje, powstrzymać deszcz kalifornijski i nie próbować rzeczy nie możliwéj, przy obecnym ekonomicznym stanie, przywrócenia metalicznego kursu. Wpływy więc metalowych kolejowych pożyczek obracane były tylko w miarę koniecznéj potrzeby na budowę kolei, o ile tego wymagały zagraniczne obstalunki. Administracya finansowa, dając swoje własne środki przedsiębiercom, na zasilenie których poszła znaczna część dwóch loteryjnych pożyczek z 1864 i 1866 roku, unikała również deprecyowania papiérów kolejowych przez zbyt raptowny ich napływ na rynki zagraniczne. Środki metaliczne z tych pożyczek służyły zarazem rządowi do uiszczania zagranicznych zobowiązań, które ciągle i gwałtownie wzrastały, jak z tytułu wyrastania długu państwowego, tak i z powodu samychże kolejowych zobowiązań. Tym sposobem wywóz złota na te zobowiązania potrzebny oraz na pokrycie handlowych deficytów w ciągu lat 10 utrzymał się na bardzo niskiéj stosunkowo stopie, a nawet nieraz przywóz tego metalu przenosił wywóz, jak było w latach 1867—68—72 i 73, z których w roku 1868 przewyżka ta wyniosła nawet 35 mil. rs.

Obligacye kolejowe, które w początkach stały 74 za sto, notowane były po 105%. Fundusz metaliczny Banku Państwa, który w roku 1864 wynosił 68,5 mil. rub., do 1 Stycznia 1876 r. urósł do 231,2 mil. rub.

Stan ten, wynikający ze sztucznego niejako środka, a mianowicie z napływu obcych kapitałów na budowę kolei, musiał pierwéj lub później się zmienić i stanąć na stopie odpowiedniéj do własnych sił produkcyjnych kraju, skoro budowanie kolei drugorzędnych, z powodu małéj ich wydajności, obciążając zbytecznie skarb państwa ciężarem gwarancyi, stałoby się niemożliwém; to téż w ostatnich latach zajmującego nas peryodu, roczny wyrób kolei stawał się coraz mniejszym; kiedy bowiem w peryodzie od 1868—1871 roku budowano ich od 1775—2626 wiorst rocznie, ilość ta w roku 1872 zeszła do 510 wiorst, jeszcze raz wzrosła w latach 1873 i 74-m, lecz odtąd stale się zmniejszała. Otóż ten przypływ obcych kapitałów, jak widać, powstrzymał się w r. 1875, kiedy rząd dla zyskania na taniości kredytu obniżył do 4½ zaofiarowanie procentu na obligacye kolejowe, pozostałe jeszcze w rozporządzeniu finansowego zarządu; realizacya zaś ta w dalszym ciągu została utrudnioną przez polityczne komplikacye.

Przejście tym sposobem z obcych zapożyczonych środków na własne, samo przez się stanowiąc niemałą trudność do zwalczenia utrudniło się jeszcze z powodu zawieruchy politycznéj. Do potrzeby uiszczania się z przyjętych zobowiązań w obec zagranicy, przybyła i wewnętrzna stagnacya, z jednéj strony jako reakcya nadużytego może prywatnego wewnętrznego kredytu, czego symptomatem może służyć afera moskiewskiego banku handlowego ze Strousbergiem, z drugiéj zaś skutkiem nadzwyczajnego zmniejszenia spożycia krajowych fabrykatów. Zmniejszenie to znowu wypływało z dwóch różnorodnych przyczyn 1-o z nadzwyczajnego napływu zagranicznéj tandety i wszelkiego gatunku tanich rupieci; 2-o ze zmniejszonego ilościowo spożycia, skoro najliczniejsze klasy ludności w państwie nie mogły się wspiérać sztucznym i obfitym zarobkiem, jakiego dostarczały im przedtém budujące się koleje.

Być może, że skutkiem tychże zarobków i obfitszego ztąd odbytu wyrobów, rozwinęła się nadmiernie spekulacya zakładania na wielką skalę fabryk; fabryki te podkopały w znacznym stopniu przemysł zagrodowy, podrywając dobrobyt ludności wiejskiéj, a nadmierna ich produkcya, za powrotem na naturalne ekonomiczne o własnych siłach stanowisko, nie znajdowała dostatecznego i łatwego odbytu.

Że tak było w istocie, dowodzi tego okoliczność, że najznakomitsze fabryki królestwa, oddawna egzystujące, a niepowstałe wśród czasowych popędów spekulacyi, jak np. fabryka sukcesorów Fidlera w Opatówku i wiele innych podobnegoż znaczenia, w roku

1876 musiały skutkiem zupełnéj stagnacyi i braku odbytu odprawić około ⅓ ilości robotników.

Taki stan rzeczy, lecz w większym jeszcze stopniu, dotknął a nawet podkopał niektóre fabryki rosyjskie, szczególniéj świeżego autoramentu. Mamy tylko wiadomość w tym względzie z jednego okręgu sądowego moskiewskiego, z któréj się pokazuje, że ilość upadłości od roku 1874 o sześć razy zwiększyła się w pasywach.

Według wykazów moskiewskiego handlowego sądu ogólna suma pasywów upadłości w moskiewskim okręgu sądowym wynosiła:

W r. 1874	5.313.000 rs.	na 68	upadłości.
1875	10.900.000 „	„ 56	„
1876	31.495.000 „	„ 113	„

Wzrastający kryzys dotykał już grubsze i bardziéj solidne przedsiębierstwa. Właściwy fabryczny przemysł dotknięty był upadłościami w następnym stosunku:

W r. 1874	na	2.399.000 rs.
1875	„	2.308.000 „
1876	„	17.961.000 „

Oprócz tego wiele upadłości zakończyło się bez konkursu i administracyi, cząstkowemi dobrowolnemi ustępstwami, co w Rosyi jest we zwyczaju; upadłości takie naturalnie do powyższego rachunku nie wchodzą.

Zobaczmy teraz zkąd wynikają trudności zewnętrznego ekonomicznego stosunku i jakie są metaliczne potrzeby państwa i kraju dla zadosyć uczynienia przyjętym zobowiązaniom.

Ostatni rachunek długów państwowych doprowadziliśmy wyżéj do roku 1860, to jest do końca likwidacyi dawnych bankowych instytucyj; teraz przejrzyjmy rachunek od owéj epoki do ostatnich zajmujących nas czasów.

W ciągu téj epoki przybyły następujące długi:

a. zagraniczne.

7-a 5% pożyczka w funt. ster. za	115.305.000 r.	
1-a 5% Angielsko-Hol. z funt. st.	14.895.868 „	
z guldenów Holend.	30.289.415 „	
2-a Angiel.-Hol. pożycz. z f. sterl.	25.694.566 „	
z guldenów hol.	19.814.849 „	205.999.698 rs.

b. wewnętrzne.

5% Bilety Banku państ. z r. 63⁰	10.000.000 r.
2 pożyczki premiowe 64⁰ i 66 r.	200.000.000 „
5% Bil. Banku Państ. z r. 69	15.000.000 „

Od rozmaitych zakład. i osob. 8.727.569 „

Dług minister. wojny . . . 443.930 „ 234.171.499 rs.

Razem 440.171.197 rs.

Ciężar procentów od tych długów wynosi około 21 mil. rs.

a z dołączeniem procentów od dawnych długów 54 „ „

W ogóle wypada 75 „ „

Z powyższego przyrostu na 21 mil rs. wykazanego przypada jako od długów zagranicznych wypłaty metalowéj około . . . . 10 mil rs.

A z dołączeniem dawnych wypłat téjże kategoryi . . 28 „ „

Ogół metalowych wypłat stanowi 38 mil. rs.

Cyfry procentowe przy podziale długów państwa na trzy epoki, wyliczone w przybliżeniu, zgadzają się prawie z rzeczywistym preliminowaniem wypłat procentowych na rok 1877, które wynoszą podług źródeł urzędowych:

Procenty i amortyzacye od długów zagranicznych	38.024.695 rs.	75.602.515 r.
Proc. od wewnętrz. termin. dług	31.174.163 „	
„ bezterminowych	6.239.595 „	
Przedte . amort. proc. papierów	164.062 „	
Dopłaty za koleje żelazne	25.583.422 „	32.662.356 r.
Za obligacye kolei Mikołajews.	7.078.934 „	
Razem	108.264.871 rs.	

Mamy już ogłoszone preliminarya budżetu na r. 1878. Chociaż przewyżka dochodów na ten rok spodziéwana wynosi 546.927 rs., budżet jednak z powodu zwiększonych wydatków zamknięty deficytem wynoszącym . . . . 27.495.708 rs.

Pozycya na proc. i umorzenie dług. wynosi 95.765.810 „

a że w r. 1877 wynosiła . . . . 75.602.515 „

Przeto zwyżka téj kategoryi stanowi. . . 20.163.295 „

Wypłaty za obligacye i kupony dróg żelaznych dochodzą do 37.910.909 rs., co stanowi przewyżkę w miarę poprzedniego roku 5.248.553 rs.

Gdy jednak cyfry przy zupełném zamknięciu wydatków wojennych mogą się jeszcze zmienić—ostateczne więc nasze wywody ograniczymy peryodem do rozpoczęcia wojny—tém bardziéj, że za ten peryod tylko mamy już widoczne rezultaty handlowego bilansu.

Ażeby więc obliczyć jakie na rok 1877 przypadały od rządu i kraju metaliczne wypłaty, potrzeba jeszcze dorachować procenty, które same zarządy kolei żelaznych muszą wypłacić zagranicznym kapitalistom oraz deficyt handlu zagranicznego z poprzedniego roku.

P. Bloch oblicza ilość procentów wypłacanych w ogóle przez przedsiębierstwa kolei łącznie z gwarancyą rządową, redukując takowe na papiérowe ruble według kursu 116 kop. za 1 rub. srebrem na 65.760.000 rs.

Odrzucając tę redukcyą do naszego rachunku niepotrzebną i obliczając procenty według ich nominalnéj wartości jak metaliczne tak i papierowe (część przedsiębierstw kolejowych opartą jest na kredytowéj walucie), wartość ta wynosi 60.700.000 rs. Tenże p. Bloch, jak już nadmieniliśmy, oblicza, że połowa akcyj i jedna czwarta obligacyj mogą zostawać w lokacie krajowéj. Przypuszczając prawdopodobny stosunek kapitału akcyj do obligacyj w ogólnéj sumie kolejowego kapitału na 30% pierwszych i 70% drugich, wypadnie, że zagranica pobiéra dochód od 15% akcyj i 53% obligacyj, czyli od 68% całego kolejowego kapitału, w stosunku powyższéj sumy procentów (60.700.000 rs.) będzie stanowić 41.276.000 rs., które w ogóle muszą być wypłacone zagranicznym kapitalistom, czyli że do rządowéj dopłaty kolejowéj

w ilości	25.583.422	rs.
Zarządy kolejowe dopłacą zagranicy	15.692 578	„
Łącznie jak wyżéj	41.276.000	„

Do tego bilans handlowy z roku 1876 tak się przedstawia

Przywóz stanowił	477.581.561	rs.
Wywóz zaś wynosił	400.700.449	„
A więc deficyt handlowy czyli należność dopłaty w gotowiznie	76.881.112	rs.

Teraz łatwo zestawić całość metalicznych zobowiązań kraju na rok 1877.

Procenty od długów zagraniczn. . . .	38.024.695	rs.
Dopłata rządowa za koleje żelazne . .	25.583.422	„
Za obligacye kolei Mikołajewskiéj . .	7.078.934	„

Wypłata procentów przez zarządy kolejowe zagraniczn. kapitalistom	15.692.578	„
Deficyt handlow. bilansu z r. 1876. . .	76 881.112	„
Razem	163.260.741	„

To też w roku 1876 przewyżka wywozu nad przywóz drogich metali wynosiła już 97.828.773 rs.

Potrzeba ta w roku 76 mogła być większą od obliczonéj na r. 1877, albowiem deficyt handlowy poprzedniego roku 1875 większy był znacznie, a mianowicie stanowił nie 76 mil., jak wyżéj, lecz 150 mil rs.; jeśli więc wywóz metalu cytowany dopiéro nie pokrył téj potrzeby, mogła się ona dopełnić wykupem zagranicą hypotecznych papiérów, a resztą i przejściem tamże jakiéjś części rosyjskiéj papiérowéj waluty, któréj obfitości zagranicą nikt zapewnie nie zaprzeczy.

Możnaby powyższemu rachunkowi zarzucać, że wszystkie wypłaty od zagranicznych pożyczek zalicza na korzyść zagranicy, kiedy część tychże pożyczek musi się znajdować u krajowych kapitalistów, a w metalicznéj kasie Banku Państwa z pewnością się znajduje takowych na 32 mil. rub. podług urzędowych wykazów. Na to jednak możemy odpowiedziéć, że oprócz konsolidów państwowych są w kraju inne papiéry procentowe, a szczególniéj hipoteczne, które znajdują chętny pokup za granicą, np. Listy Zastawne Tow. Kredyt. Ziems. w Król. Polskiém, których kurs nawet zależy od giełdy Berlińskiéj. Listy Likwidacyjne królestwa, różne zastawne miejskie, hipoteczne papiéry gubernij nadbaltyckich a szczególniéj Listy Zastawne metaliczne Rossyjskiego Wzajemnego Kredytu Ziemskiego. Otóż znaczna część tych papiérów, a szczególniéj może ostatnich należy do zagranicznych kapitalistów, i procenty za nie dostają się do nich tylko za pomocą transfertów zewnętrznych, na które ostatecznie potrzebne są metalowe piéniądze. Gdy pomimo to nie przyjmując téj ważnéj kategoryi w rachunek całą ilość hipotecznych papiérów zostawiamy na korzyść wewnętrznych kapitałów, w takim razie już bez żadnéj omyłki wszystkie papiéry zagranicznych rządowych pożyczek mamy prawo zaliczać na rzecz zagranicznych.

Porównajmy teraz metaliczne zobowiązania trzech epok powyżéj cytowanych:

Przed wojną krymską wynosiły one do	16 mil.	rub.
Przy wyrównanym budżecie handlowym wartość wydobywanych w Syberyi szlachetnych metali w r. 1848 podług Tęgoborskiego wynosiła.	22.5 „	„

A więc ostatnia ilość, po pokryciu zagranicznéj potrzeby, dawała w reszcie . . . . 6.5 mil. rub. metalów na wewnętrzne potrzeby kraju.

To téż w kraju i nie skąpo było metalowych pieniędzy tak, że wypłaty w asygnatach były pożądane. Były wprawdzie ciągłe deficyty w budżetach, kraj nie posiadał z powodu poddaństwa dostatecznéj elastyczności podatkowéj i produkcyjnéj, a więc jedyny środek naprawy leżał w oszczędności skarbowéj. Lecz przy takich łatwych jeszcze stosunkach finasowych, żeby zamiast krymskiéj wojny przyszła pokojowa włościańska reforma i wielkie przedsiębierstwo kolejowe, kraj by z większą łatwością przeniósł stan przejściowy i łatwiéjby przyszedł do ekonomicznéj niezależności.

Po krymskiéj wojnie i likwidacyi banków w r. 1860, przypuszczając równowagę w bilansie handlowym, potrzeby metaliczne wynosiły jak wyżéj . . . . 28 mil. rub.

Wydajność kopalni w téj epoce nie musiała być większą niż w poprzedniéj, albowiem od 1866—1871 r. średnia wydajność nie przenosi 23 mil. rocznie, przyjmując zatém nawet tę ostatnią cyfrę . . . . . . 23 „ „

Już jest brak środków metaliczn. na 5 mil. rub.

Cyfra to zresztą dla wielkiego państwa jeszcze mało znacząca.

W obecnéj epoce zobowiązania te wyżéj zacytowane, a wynoszące 163 mil. rub., jeśli odrzucić deficyt handlowy jako nie niemożliwy do usunięcia, wyniosłyby jeszcze . . . . 87 mil. rub.

Wydajność kopalni syberyjskich za czas od 1871—1876 r. wynosi średnio rocznie około . . . 27.5 mil rub.

Zatém brakuje . . 59.5 mil. rub.

Potrzeba jednak nadmienić, że brak ten zwiększy się jeszcze o cały wydatek podróżujących zagranicą, których w ostatnich pięciu latach przeciętnie na rok przypada ogromna liczba 500.000 osób.

Że z téj liczby jest znaczna część handlujących, którzy wyjeżdżają na krótko i mniéj stosunkowo wydają, a więc licząc tylko przeciętnie na osobę po rs. 200, wydatek z tego tytułu stanowiłby ogromną cyfrę 100.000.000 rubli prawdziwie srebrnych.

Jeśliby ta cyfra była rzeczywistą (zbyt wielka chyba nie jest), to wypłaty zagraniczne, oprócz możliwego deficytu handlowego, stanowiłyby przeszło 180 mil. rub. Żeby nawet stratę z tytułu podróżników jeszcze nawet niżéj obliczyć, to zawsze zostanie faktem niezaprzeczonym, że deficyt krajowy w stosunkach z zagranicą, czyli wywóz gotowizny, jest przerażającym, i że ostatecznie mógłby on

wywołać brak wszelkich środków obiegowych, szczególniéj jeśli zwrócimy uwagę na wskazany już a nieunikniony na teraz przyrost długów państwowych.

A jednak musi się znaléść środek zaradczy; gdzie go ma szukać społeczność? Odpowiedź jedyna, nie w nowych pożyczkach (nie mówimy wcale o tych, które być mogą nieodbitemi na cele wojenne), lecz w oszczędności i pracy, w przewyżce wartości produkcyi nad konsumpcyą i w zaofiarowaniu téj przewyżki swoim kredytorom; jedném słowem, w niczém inném, jak tylko w *Bilansie handlowym*.

IV.

Znaczna część publicystów rosyjskich trzyma się systemu szkoły tak zwanéj manchesterskiéj, t. j. zwolenników wolnego handlu (Freotreder), występując przy każdéj zręczności w jego obronie i przeciw wszelkiéj opiece i ochronie krajowego przemysłu.

Publicysta np. „Wiestnika Jewropy" w przeglądzie spraw bieżących za miesiąc Grudzień 1877 r., zastanawiając się nad biadającém sprawozdaniem moskiewskiego oddziału Rady handlowéj i przemysłowéj, nie bez pewnego odcienia ironii powiada: „Nie należy przyjmować skarg podobnych bez dokładnéj krytyki, szczególniéj kiedy są objawiane w celu wywołania środków ochronnych, dla podtrzymania wewnętrznéj produkcyi i idących za tém *dobroczynnych skutków przywrócenia równowagi* handlowéj i poprawy wekslowego kursu.... Jeśli główny powód przesilenia leży w ustaniu chwilowych wielkich zarobków i w zmniejszeniu przez to dobrobytu ludu, tém bardziéj nie byłoby właściwém obciążać pracujące klasy nowym podatkiem, to jest powiększeniem ceł przywozowych".

Lecz takie obawy mogą być tylko skutkiem przesadnego pojęcia o doniosłości protekcyjnego systemu. Systemat ten właściwie powinien być nazwany ochronnym, mając na względzie ekonomiczne, nie fiskalne cele. A 1-o nie powinien obciążać zbytecznie żadnych produktów, niemogących być wytworzonemi w kraju a stanowiących przedmiot upowszechnionéj, a szczególniéj hygienicznéj pożytecznéj konsumpcyi, do téj kategoryj należą: kawa, herbata, śledzie i wszelkie tak zwane kolonialne towary. 2-o co do przedmiotów już produkowanych lub téż mogących się z pożytkiem produkować w kraju, których produkcyi rozwój byłby pożądanym, nie powinien on pod żadnym względem dochodzić do normy prohibicyjnéj, to jest takiéj, którąby bezwarunkowo uczyniła niemożebnym

dowóz podobnych, choćby najbardziéj udoskonalonych obcych wyrobów.

Norma taka, zagradzając drogę wszelkiéj konkurencyi, oddawałaby tylko monopol w ręce krajowych fabrykantów, tak pod względem gatunku wyrobów, jak równie i pod względem ich ceny. Oględny opiekuńczy systemat był rekomendowany przez ludzi, którzy dokładnie zbadali produkcyjne siły wielkiego państwa, a w téj liczbie szczególniéj się odznacza wielce zasłużony w tym względzie ekonomista, pan Ludwik Tęgoborski.

Lecz prócz tych rzeczy potrzebnych lub pożytecznych, jest jeszcze liczna kategorya innych wyrobów, mianowicie przedmioty użycia zbytkownego. Nie zaliczamy do téj kategoryi żadnych przedmiotów z dziedziny sztuk pięknych. Jakkolwiek na nieszczęście i ta dziedzina zalicza się jeszcze w kraju mniéj rozwiniętym do kategoryi zbytkownéj i dostępnéj tylko dla niewielu wybranych, ale dlatego właśnie potrzeba zostawić dla niéj jak najszerzéj otwarte wrota, bo z dziełami sztuki wchodzą w społeczność największéj wagi przymioty, zamiłowanie piękna i prawdy, rozwój idealnéj strony ducha ludzkiego, tak potrzebny w obec materyalistycznych dążności wieku.

Do kategoryi więc zbytków radzibyśmy zaliczyć przedmioty używane dla wystawy, popisu lub z pychy, dające niby prawo wynoszenia się nad innych, a z prawdziwém pięknem nic niemające wspólnego. Na téj to kategoryi, jako stanowiącéj przedmiot użycia ludzi bogatych, lub mających do bogactwa pretensyą, każdy rząd pod względem ceł może kierować się kombinacyami czysto fiskalnéj natury, biorąc znaczny podatek od tych, którzy mogą takowy opłacić, a utrudniając nabycie rzeczy niepotrzebnych tym, którzy je ze szkodą własną pragną używać.

Publicysta „Wiestnika Jewropy,“ biorąc w protekcyą klasę żyjącą z zarobków, pragnie im ułatwić nabywanie zagranicznych towarów; lecz dla téj klasy dostępna tylko najlichsza zagraniczna tandeta, która może być zastąpiona mniéj upstrzonemi, ale solidniejszemi wyrobami miejscowéj produkcyi. Prostota obyczajów przy pracy i oszczędności stanowi zadatek dobrobytu i bogactwa narodowego. Chłop Żmujdzki, odziany z całą familią w wyroby wyłącznie domowe, (1) bez porównania szczęśliwszy jest od proleta-

(1) Oprócz sukna samodziału dla mężów i braci wyrabiają Żmujdzini najrozmaitsze materye do ubrania żeńskiego, wełniane i półwełniane, w rozmaite kolorowe kraty pasy, a nawet chustki do okrycia wcale ładne i trwałe.

ryusza odzianego i upstrzonego w wyroby fabryczne. Lepiéj jest, gdy ubogi pracownik dostaje za pewną opłatę mniejszą ilość pewnego przedmiotu przy egzystującéj pewności, że go stale będzie dostawał, skoro wydane przez niego piéniądze znowu do rąk jego będą mogły przez zarobek powrócić, niźli kiedy przy taniości początkowéj nabycia, środki onego, odpływając bezpowrotnie zagranicę, wywołują kryzys, stagnacyą i brak wszelkiego obrotu i zarobków. Płacić choćby drożéj za swoje, jest to pamiętać o jutrze i jakby odkładać małe oszczędności dla kraju.

Szkoła manchesterska powstała w kraju, który niczego, oprócz surowych produktów, od innych narodów nie potrzebuje, sam zaś obdarza świat cały oddawna uwydoskonalonym i silnie wrosłym jeszcze pod ochroną niegdyś protekcyi przemysłem.

Od niedawna właściwie w Anglii powstało panowanie téj szkoły. Jeszcze w latach czterdziestych bieżącego stulecia, najsilniejsza protekcya panowała niepodzielnie w tym kraju; nie tylko bowiem tyczyła się ona produkcyi fabrycznéj, ale zarazem i produkcyi rolnéj, względem któréj panował już nie protekcyjny, ale raczéj prohibicyjny w całéj rozciągłości tego wyrazu systemat.

Zasady wolnego handlu wytworzyły się w Anglii nie na teoretyczném, lecz na czysto praktyczném polu. Gospodarstwo wiejskie stało już silnie podniesione pod ochroną protekcyi do najwyższéj prawie doskonałości; przemysł zaś fabryczny, również wydoskonalony, zdobywając sobie coraz to nowe rynki, ku czemu głównie kierowała się zawsze polityka angielska, rozrastał się niepomiernie, i liczne masy fabrycznéj ludności potrzebowały łatwiejszych środków wyżywienia niż te, które im kraj własny mógł dostarczyć, tém bardziéj, że produkcya rolna zaczęła się silnie chylić ku wytwarzaniu produktów mięsnych.

Ztąd wśród silnéj agitacyi w tym kierunku powstał znakomity bill zbożowy za ministeryum Torysów, pod prezydencyą Sir Roberta Peel'a, skutkiem którego Anglia stała się najpierwszym rynkiem zbożowym Europy, Egiptu a nawet Ameryki. Tymczasem i przemysł fabryczny, wyrosły pod ochroną protekcyi, poczuł się dość silnym, nie tylko do wytrzymania konkurencyi z innemi krajami, lecz nawet do pokonania ich w téj walce. Agitacya w tym kierunku najsilniéj zarządzoną była w latach 1848—49.

Kierunek jednak tych dążności miał zupełnie inne źródło niżeli bill zbożowy. Freetrederom nie chodziło o to, żeby zciągnąć do Anglii potrzebne towary, jak to miało miejsce pod względem zboża. Byli oni aż nadto pewni wyłącznego panowania nad rynkami odle-

głego wschodu, które przedtém protekcya oddała im bezwarunkowo. Manewr ten miał na celu zdobycie nowych targowisk, któreby się dla nich odkryły, przy uzyskaniu zupełnego zniesienia, lub znacznego zmniejszenia ceł, na zasadzie wzajemności, w tych krajach, które posiadając przemysł w zarodku dałyby się złapać na wędkę i tém płód swój jeszcze niewykształcony zniszczyć w zarodku.

Należy jeszcze zwrócić i na to uwagę, że Anglia postąpiła sobie jak ów bogacz dorobkowy, który, długo i skrzętnie oszczędzając, zaczął nareszcie używać. I rzeczywiście, wolny handel powiększył w Anglii użycie rzeczy pięknych i zbytkowych, o ile w téj kategoryi Frankowie prześcigają wyspiarzy. Do takiego użycia Anglicy mają nie tylko prawo, lecz i niejako obowiązek, gdyż się stali prawie wyłącznymi panami rynków pieniężnych całego świata, pokornie składającego im podatki; są oni bowiem w największéj części posiadaczami rent wszystkich państw znaczniejszych, a przynajmniéj najznaczniéj obdłużonych, mianowicie: Rossyi, Włoch, Turcyi, Egiptu, Niemiec i Ameryki. Biorąc dochód gotowy bez pracy, jako zasługę dawnéj oszczędności i pracy, panis bene merentium, mogą i potrzebują używać. Do tego przychodzą ogromne dochody frachtowe, za przewóz towarów całego świata na flocie kupieckiéj, przewyższającéj zjednoczone floty państw innych, oraz komisowe za ułatwianie finansowych interesów również całego świata, gdy wszystkie najważniejsze pożyczki państwowe bez pomocy i głównego udziału Anglii obyć się nie mogą. Dla nich więc wolny handel jest źródłem największéj pomyślności, gdyż idzie na wyłączną ich korzyść. Ich położenie jest już tak dalece uprzywilejowaném, że deficyt bilansu handlowego, który u biédniejszych narodów jest klęską, u nich jest dowodem pomyślności; Anglia ma prawo więcéj używać niż produkuje.

Obywatele ubogich i nierozwiniętych przemysłowo krajów, którzy wtórują wyspiarskim zachciankom, a głównie zachciankom najbardziéj egoistycznego w każdym względzie stronnictwa, ulegają wpływom, które dosadny książę Bismarck z wysokości parlamentarnéj trybuny mniéj delikatnie z francuzka określił mianem *dupirung*.

Niedogodności deficytów handlowego bilansu w społeczeństwach ubogich, wyrażające się zniżaniem środków obiegowych, najłatwiéj odczuwać i spostrzegać się dają w krajach niewielkich.

Rząd oględny małego kongresowego królestwa, po roku 1815-m obowiązany utrzymywać bez deficytów swoje drobne finanse i przysporzać je w kraju bardzo ograniczonych środków obrotowych, usilnie

pracował nad rozwinięciem krajowego przemysłu, zawsze pod osłoną pewnego protekcyjnego systemu, szczególniéj za administracyi finansowéj księcia Lubeckiego nie szczędził dla przemysłowców zapomóg rządowych ze skarbu a późniéj, przy pomocy Banku Polskiego, łożył na zakładanie wszelkich fabryk i przemysłowych zakładów. Pod tą opieką i zachętą rozwinął się znakomicie przemysł górniczy i mnóstwo fabryk wyrobów wełnianych, lnianych i bawełnianych, które do dziś dnia w znacznéj części jeszcze egzystują. W peryodzie od 1826—1830 roku średni wywóz sukien z królestwa do cesarstwa przedstawiał 2.105.000 rs. rocznie (Tęgoborski). Mały ten kraik tak dobrze stał ekonomicznie, że nie znał nigdy deficytów budżetowych, a banknoty Polskiego Banku stały na giełdach ościennych na równi ze złotem.

Dobrobyt ogólny podnosił się ciągle, komunikacye wewnętrzne ulepszały się stopniowo budowaniem nie małéj stosunkowo ilości dróg bitych.

Lecz i wielkie mocarstwa, po wielkich wstrząśnieniach, widząc zachwianie ekonomicznych stosunków, wyrażające się ucieczką gotówki, udają się i po dziś dzień do środków protekcyjnéj reakcyi, jak to widzimy w państwie niemieckiém i stanach zjednoczonych Ameryki północnéj. To ostatnie państwo, podług przypuszczeń budżetowych robionych z góry, zamierzało sobie w lat kilka po wojnie o secesyą przywrócić normalny obieg pieniężny, lecz projekty musiały ustąpić przed twardą rzeczywistością.

W czasie klęsk długotrwałéj i rujnującéj wojny domowéj, gdy siły państwa wyłącznie skierowane były w jednę stronę, a znaczna część kraju niegdyś produkcyjnego zamieniona w pustynię, obcy przemysł zaczął panować na rynkach amerykańskich. Bilans handlowy zamiast zasilać pieniężny rynek tak go osłabiał, że zdawał się na długo zapewniać panowanie greenbacków (assygnaty amerykańskie). Wszelkie usiłowania rządu do przywrócenia kursu metalicznego były bezskuteczne; musiano się udać do systemu ceł protekcyjnych, które zaczęły pomału równowagę we fluktuacyach pieniężnego rynku wprowadzać.

Wielkie niemieckie cesarstwo, zdobywszy miliardy kontrybucyi, uczuło się znacznie biedniejszém, skoro dawniéj skromni i pracowici Niemcy zaczęli upajać się wielkością, zbytkować w życiu, i z uniesieniem przyjmować zasady bezwarunkowéj wolności handlu. Wtedy Francya swym wykwintnym przemysłem z tryumfem zabiérała napowrót miliardy, i Niemcy zaczęli wołać o cła ochron-

ne któreby podtrzymały ich mniéj doskonały a znacznie zachwiany przemysł i w tém szukają ocalenia.

W ekonomicznym stanie państwa Rosyjskiego, rok 1877 przedstawia szczególne i wyjątkowe pod względem handlu zewnętrznego zjawisko. Bilans handlowy tego roku złożył się nadzwyczajnie i niespodziewanie korzystnym. Dwie na to działały przyczyny: Ustanowienie opłaty cła w złocie i upadek kursu rosyjskich pieniędzy.

Pierwszy z tych środków nie może być uważany za finansowy. Nie mógł on powiększyć dochodu z ceł przywozowych, w obec dającego się przewidzieć zmniejszenia ilości przywożonych towarów; z drugiéj strony miał tę niedogodność, że sztucznie jakby deprecyował państwowe banknoty; musi więc być uważanym za środek wyłącznie ochronny, protekcyjny. Lecz ten środek sam przez się nie działał jeszcze tak silnie, gdyby mu upadek kursów wekslowych nie przyszedł w pomoc.

Upadek ten wspólnie z cłem w złocie, zagradzając drogę przywozowi towarów zagranicznych, spowodował silną tendencyą do wywozu krajowych produktów. Mamy przed sobą tabelę wywozu i przywozu towarów w Rossyi za dziesięć miesięcy roku 1877, to jest od 1 Stycznia do 1 Listopada, podaną w „Finansowom Obozrenii" z miesiąca Grudnia roku przeszłego. Szkoda tylko, że tabela ta pokazując ilość towarów nie podaje ich pieniężnéj wartości. Zacytujemy tylko niektóre znaczniejsze pozycye.

I tak wywóz zboża zwiększył się w stosunku do roku poprzedniego blisko na 5 milionów czetwierti; wywóz spirytusu—na 42 miliony gradusów; cukru z 33 pudów, wywiezionych w roku poprzednim, urósł do 3 milionów pudów; bydła grubszego zwiększył się więcéj niż na 180 tysięcy sztuk, drobnego zaś—na 400 tysięcy sztuk; wywóz lnu na 4 miliony pudów, a więc podwoił się od roku poprzedzającego; wełny zwiększył się blisko na 300 tysięcy pudów, płótna prostego—na 700 tysięcy arszynów.

Zmniejszenie przywozu przedstawia się w sposób nie mniéj interesujący. Przywóz wina zredukował się do ¼ części czyli zmniejszył się więcéj niż na 500 tysięcy pudów; wina szampańskiego zeszedł do ⅛ zeszłoroczněj proporcyi, zmniejszając się na 700 tysięcy butelek. Przywóz soli zredukował się do ⅓, zmniejszony o 6 milionów pudów, śledzi—o 1 milion pudów, bawełny więcéj niż o 1 milion pudów, żelaza o ⅓ czyli o milion pudów, jedwabiu o połowę czyli o 8 tysięcy pudów, maszyn o 700 tysięcy pudów przeszło i nakoniec płótna więcéj niż o połowę czyli blisko na 1 milion rs. wartości.

Publicysta petersburgskiéj gazety „Gołos“ w № 34 roku bieżącego, biorąc takiż wykaz handlowy za 9 miesięcy tegoż 1877 r. ocenia go na piéniądze podług kurscetlów giełdy petersburgskiéj i dochodzi do następnych wartości:

W handlu wywozowym	387.639.244	rs.
„ przywozowym	114.237.140	„
Przewyżka wywozu	273.402.104	„

Ogromna to i nigdy dotąd niepraktykowana cyfra. Co do jéj ścisłéj jednak dokładności pozwalamy sobie mieć niejaką wątpliwość.

Nie mając pod ręką kurscetlów główniejszych rynków Europejskich, nie możemy jéj sprawdzić z należytą ścisłością, niektóre jednak ceny podane we wzmiankowanéj gazecie nastręczają wątpliwości: np. 1 stopień spirytusu jest ceniony po 5 kop. (prócz akcyzy). Cena taka, możliwa chyba przy miejscowéj konsumpcyi w Petersburgu, robiłaby wywóz tego produktu niemożliwym. Największy wywóz spirytusu odbywa się na zachodniéj granicy, idzie zaś on wyłącznie do Hamburga jako miejsca wolnego od akcyzy na użytek miejscowych dystylarnij, zkąd oczyszczony wysyła się morzem w rozmaite strony świata.

Otóż ceny hamburgskie po potrąceniu z nich kosztów przewozu zagranicznego nie dawały nigdy więcéj na 1½ kop. sr. za stopień; wiemy to z osobistéj praktyki. Podobnież nastręczają się wątpliwości i co do cen innych produktów, jak np. pakuł lnianych, których cena podana po 3 rs. za pud. Z cen przywozowych może za mało 2 rs. za butelkę szampańskiego.

W każdym jednak razie, żeby nawet ceny podane podlegały dosyć znacznéj redukcyi, rezultat zawsze zostanie tak znakomitym, że pokryje wszystkie zobowiązania zagraniczne ze zwyczajnych stosunków wynikłe (nie licząc obstalunków wojennych jako nadzwyczajnych) a nie mniéj i rozproszone przez owych 500 tysięcy wojażerów zagranicą piéniądze.

Jeżeli z téj liczby podróżników odliczymy połowę jako kupców i ludzi, jadących w interesach rzeczywiście produkcyjnych, zostaje jeszcze znakomita liczba, która rozprasza marnie ogromne zasoby, wyciągane z obiegu krajowego, jakowe zasoby użyte na miejscu mogłyby znakomicie ożywić i zasilić miejscową produkcyą.

Powrót tych panów byłby dla ich kraju pożądanym nie tylko w ekonomicznym, lecz i w moralnym względzie. Ziemskie instytucye cesarstwa, dające szerokie pole do wewnętrznego samorządu,

po chybionych próbach politykowania, zostały przez większość inteligencyi zaniedbane, przechodząc w ręce rutynistów lub ludzi szukających chleba. Gospodarstwo wiejskie większych posiadłości w znacznéj części weszło na drogę nieracyonalną oddawania pól dworskich włościanom za połowę urodzaju, jakowy system prowadzi do zupełnego wycieńczenia ziemi tam, gdzie ona potrzebuje kultury; inteligencya więc, jak zawsze i wszędzie, ma w kraju dosyć roboty.

Pomyślny rezultat bilansu handlowego, któryśmy rozpatrywali przed chwilą, powstrzymując jedynie walutę rosyjską od ostatecznego upadku, miał jeszcze i inne widoczne dla nas skutki, przynajmniéj w obrębie królestwa polskiego. Fabryki, które, jakeśmy wspomnieli, były zmuszone niedawno redukować liczbę robotników, dziś są przeciążone obstalunkami i robotą równie jak i zakłady przemysłowe i rzemieślnicze. Nie tylko znaczne obstalunki do cesarstwa wywołują tę czynność, lecz skutkiem upadku waluty pokazał się fakt niezwyczajny wywozu łokciowych towarów od nas zagranicę. Na stagnacyą i brak ruchu mogą tylko narzekać kupcy handlujący przedmiotami zbytku, jakowe z konieczności nie zważając na trudności piénię̇żne muszą sprowadzać z zagranicy. Wyniosły się też od nas owe budy wiedeńskiéj tandety, które od paru lat zaczęły zalegać Warszawę, wyprowadzając z kraju trudno zdobywany grosz klas biédniejszych i pozbawiając zarobku miejscowy tego rodzaju przemysł.

Czy jednak ten jednorazowy rezultat nadzwyczajnych wypadków jest trwałym i pozostanie jako zadatek lepszéj pod tym względem przyszłości? Napewno tego twierdzić nie można. Z podniesieniem się kursu piéniędzy bez wątpienia przywóz się wzmoże, wywóz też niektórych produktów spowodowany nie tyle ich potrzebowaniem zagranicą, ile koniecznością zrealizowania napływających zagranicę krajowych środków obiegowych, może się znacznie obniżyć, spotykając w wielu razach trudną konkurencyą z produkcyą Ameryki i Australii, które swemi surowemi produktami silnie podrywają dotychczasowe panowanie Rossyi na rynkach zagranicznych; a któż zaręczy, że i owe 700 tysięcy butelek szampańskiego nie pęknie znowu z powodu pomyślnie zakończonéj wojny.

A jednak doświadczenie powinno czegoś nauczyć, powinno dać popęd do utrwalenia przypadkowo osiągniętych rezultatów. Utrwalenie to nie tylko może sprostować błędny kierunek ekonomiczny i powstrzymać go na niebezpiecznéj spadzistości, lecz jeszcze może powołać do życia fakt tak powszechnie pożądany: przywrócenie metalicznego obiegu.

Fakt ten nie jest zupełnie pewny a połączony z wielu trudnościami i zależny od wielu ubocznych okoliczności; jednak gdyby przy ustalonym w ciągu pewnego peryodu, w skutek pomyślnego bilansu handlowego, napływie do kraju gotowizny, za powrotem do niego najprzód papiérowych znaków pokazał się i metal, dla czegóżby nie można przypuszczać, że rząd przy obfitości środków metalowych w kraju, mógłby zgromadzić w bankowym skarbcu odpowiednią ich ilość gotowych do wymiany, któréjby jednak w podobnych błogich okolicznościach, już niktby bez wątpienia nie żądał.

Jeśliby zaś przy dotychczasowych warunkach administracya skarbu za pomocą kredytu, z którego może korzystać, potrafiła nawet taki zasób metalowy zgromadzić przy wolnéj wymianie, moneta owa, z impetem Niagary, uszłaby zagranicę, pozostawiając za sobą próżnię, którąby trzeba było wypełniać nową seryą banknotów. Usłużni sąsiedzi chętni dostarczać wszystko: tandetę i toaletowe finezye, chléb pieczony z naszego zboża (1) i najwykwintniejsze delikatesy, potrafiliby wyłowić ten sztuczny napływ realnych środków obiegowych.

Taki zwrot na pole spokojnéj, ekonomicznéj i społecznéj działalności niezawodnie musiałby oddziałać na zmniejszenie politycznego szowinizmu, który niedawno taką rolę w rosyjskiéj publicystyce odegrał; lecz to nastąpić może wtedy, gdy się wyrobi przekonanie, że siła polityczna leży w piéniądzach, w wyrobionym i zaoszczędzonym kapitale, czego nam dają dowód bogaci wyspiarze, którzy sobie kanał Suezki za pomocą funtów sterlingów zdobyli (2).

Jeśliby, o czém wątpić należy, ten zwrot do pracy oszczędności i dobrowolnego wspierania krajowego przemysłu w opinii publicznéj nie przeważył i w czynie nie nastąpił, w takim razie mógłby się zdarzyć fakt dziwny.... patryotyzm rossyjski, który dzisiaj chciałby wyrosnąć na patryotyzm ogólnie słowiański, zdobywając utracone pla-

---

(1) W czasie odpustów w Częstochowie przekupnie niemieccy z Prus wiozą chleb pieczony od siebie na sprzedaż, a i w Warszawie przed paru laty podobno już się takowy pokazywał.

(2) W jakim stopniu polityka oddziaływa na finanse, finanse zaś są najczulszym barometrem politycznym, ciekawy i naoczny dowód przedstawia nam szereg cyfr wyrażający deficyty państwa rosyjskiego z lat 1832—1852. Każdy ważniejszy niepokój w polityce europejskiéj wywoływał silne podwyższenie deficytu. W roku 1834, wypadki hiszpańskie i bombardowanie Antwerpii,—wzrost deficytu z 9 mil. na 21. W r. 1840 kwestya egipska—przyrost z 14 milion. na 22 i na koniec rok 1848—z 35-iu na 62 miliony rubli.

cówki słowiańskie na dalekim wschodzie, za modrym Dunajem, mógłby tymczasem na zachodzie uchybić zadaniu bronienia odwiecznych siedzib słowiańskich od napływu germanizmu.

Potomkowie mężnego Arminiusza, uzbrojeni nie w armaty i rewolwery, lecz w zbyt obficie dostarczone tęczowe banknoty, zechcą zapewne podnieść upadającą własność ziemską w królestwie polskiém, i tak stać się mogą panami nieruchomości, co najmniéj po Wisłę nie wyłączając Warszawy—a byłoby to naprawdę z ich strony Friedens und Cultur Eroberung.

Julian Łapicki.

KRONIKA NAUKOWA.

Niektóre wpływy światła na życie roślin i zwierząt.

Paweł Bert postanowił widocznie zbadać wpływ najpowszechniejszych czynników przyrody na zjawiska w świecie roślin i zwierząt; obok prac swych, dotyczących działania ciśnienia atmosferycznego, o których krótkie sprawozdanie w poprzednim zeszycie „Ateneum" podaliśmy, zajął się szeregiem poszukiwań nad wpływem światła na istoty organiczne.

Oto niektóre z rezultatów, poprzedzone dla jasności zestawieniem dawniej znanych faktów. Wyjmujemy je z prelekcyi, którą ten uczony wygłosił w Sorbonie.

Wpływ światła na istoty żywe od wieków jest znanym. Wszystkie ludy czciły światło słoneczne jako bóstwo dobroczynne i porównywały je z życiem, przeciwstawiając ciemność jako siostrzycę śmierci. Światło oznaczało w alegoryach dobro, ciemność — zło. I tak jest rzeczywiście. Starożytność, naturalnym zmysłem wiedziona, nie powiemy że przeczuła, lecz po prostu zauważyła, jako fakt nadzwyczaj prosty, iż światło sprzyja życiu normalnemu, gdy ciemność jest mu wrogą. Ale nie tylko samo uczucie wrodzone człowiekowi, bo i fakt bujnego wzrostu roślin w jasności, a żółknienia, wątlenia, wypłoniania w ciemni, utrwalił to pojęcie i nadał mu cechę prawdy, niepodlegającéj wątpliwości.

Nauka nowoczesna utwierdziła to spostrzeżenie i rozjaśniła je odkryciem przyczyn.

Światło ze względu na nas określamy jako przyczynę zewnętrzną zjawisk wzrokowych; samo w sobie, jest ono drganiem eteru.

Drgania te różnéj są szybkości.

Jeśli promień słoneczny lub światła elektrycznego przepuścimy przez pryzmat, to rozbije się na tęczowe kolory. Z jednéj strony będziemy mieli barwę czerwoną, drugą granicę stanowić będzie fioletowa. W pośrodku rozpościérać się będą żółta, zielona i niebieska, z swemi odcieniami przejściowemi.

Najmniéj łamliwe promienie, czerwone, odznaczają się najdłuższemi drganiami; najłamliwsze, fioletowe,—najkrótszemi. Barwy pośrednie mają drgania tém krótsze, im daléj są położone od pola czerwonego, im więcéj są zbliżone ku fioletowemu.

Po za jedną i drugą granicą nic już nie widać. Jest ciemno. Ale czy już tam wcale nie ma drgań? Bynajmniéj.

Termometr, umieszczony w ciemném polu przed barwą czerwoną, posuwa się w górę. Jest tam więc ciepło, są drgania eteru. Poczujemy nawet ręką to ciepło, jeśli je zbierzemy za pomocą soczewki. A jednakże oko nic nie chce wiedzióć o tych drganiach. Są one zbyt długie, a Helmholtz oblicza, że drgania dopiéro wtedy stają się widzialne, gdy długość fali eterycznéj wynosi 800 milionowych milimetra.

Po za polem fioletowém, które nieznacznie znika, stopniowo ciemność nadchodzi. Gdy długość fali zmniejszy się do mniéj więcéj 400 milionowych milimetra, znowu nic nie widać, albo téż bardzo mało. Ale i tam, tak jak i poprzednio, jest arena drgań. Płytka fotograficzna szybko tam czernieje, jakby w jasném świetle, a siarczan chininy, zwalniając drgania, staje się w téj ciemnéj okolicy widzialnym. Co więcéj, niewidzialność tych fal zdaje się być raczéj kwestyą ilości niż jakości, albowiem Mascart przez powiększenie ich natężenia zdołał prawie zdwoić długość widma widzialnego (aż do fal równych mniéj więcéj 200 milionowym milimetra) i wreszcie najświeższe środki pomysłu p. Cornu, jeszcze dalszą część pozwalają oku widzićć. To nowo zdobyte pole było purpurowe lub lewandowo-szare, a zatém nie okazał się żaden nowy kolor, któryby już nie był zawarty w widmie widzialném.

W widmie więc słonecznėm mamy pole drgań, wynoszących okrągło od 2.000 milionowych milimetra (część pozaczerwona) aż do 100 miliowych (pozafioletowa). Zobaczymy następnie jak się zachowają te rozmaite drgania względem innych elementów anatomicznych, oprócz siatkówki oka.

Przedewszystkiém zajmiemy się zbiorem wszystkich drgań powyższych, światłem białém, któreśmy na pojedyńcze części składowe pryzmatem rozłożyli.

W przeszłym jeszcze wieku znakomity Priestley odkrył, a Ingenhouss, Sennebier i inni ostatecznie stwierdzili, że liście roślin, wystawione na światło dzienne, rozkladają kwas węglany, zawarty w powietrzu, że zatrzymują w sobie jego węgiel w stanie ciała stałego a wydzielają tlen. Z węgla budują się ich tkanki; on jest główném rusztowaniem ich organizmu. W nocy czynność ta wstrzymuje się. Obok tego, i dniem i nocą głębsze, niezielone części i organy roślin, jak kwiaty, owoce, korzenie odtwarzają znów z węgla, ustalonego w roślinach, kwas węglany. Jednakże czynność pierwsza, budująca, przeważa znacznie nad drugą, a najwidoczniejszy tego dowód mamy w tém, że z małéj żołędzi powstaje kosztem kwasu węglanego powietrza kolosalny dąb.

Zwierzę, żywiące się roślinami, spala w sobie ich węgiel i znowu kwas węglany powraca przez jego płuca do powietrza. Drzewo palimy w piecach, a z kominów znowu kwas węglany ulatuje. W tym ostatnim razie, przy szybkiém paleniu, objawia się ogień, światło. Drgania słoneczne uwięzione przez liście roślin znowu się odtworzyły.

Jeśli więc światło tak ważne ma znaczenie w życiu rośliny, to nic dziwnego, że wiele roślin już na pierwszy rzut oka inaczéj wygląda w dzień aniżeli w nocy. Najlepszym tego przykładem są rośliny strączkowe i szczawikowe, a przedewszystkiém znany i powszechnie podziwiany czułek, którego jednak historya jest pełna błędów.

W każdém dziele, w każdym artykule, mówiącym o czułku (mimosa pudica) znajdujemy wiadomość, że w nocy zamykają się liście téj rośliny, że ogonki, noszące liście, zniżają się. To prawda. Ale nie prawdą jest, powiada Bert, powszechne mniemanie, że się tak zachowują w ciemności jak po mechaniczném podrażnieniu. Gdy się dotkniemy liścia, ogonki słabną, wątleją, przeciwnie zaś, podczas obniżania się nocnego są sztywne, mocne. Co więcéj, to co opisują pod nazwą peryodu nocnego, nie jest niczém więcéj jak końcem okresu dziennego, podczas którego ogonki coraz bardziéj się nachylają. Przeciwnie około 9 do 10 godziny wieczorem gwałtownie się wznoszą i pomiędzy północą a godziną 2-gą dosięgają *maximum* wzniesienia, są najwięcéj wyprostowane. Potém poczynają się znowu pochylać aż do następnego wieczoru. Widział to Bert podczas obserwacyj, dokonywanych przez 17 dni i nocy lipcowych co dwie godziny.

Wszystko to jest skutkiem światła. Przy silném sztuczném oświetleniu w nocy, czułki zachowywały długo swój stan największego wyprostowania. Za pomocą więc światła można je zatrzymać

w wzniesioném położeniu; przeciwnie zaś, w ciemności utrwala się ich pochylenie, kończące się nawet, po kilku dniach śmiercią rośliny.

Dla czego jednak po północy, a zatém w ciemności przypada peryod maksymalny? Bert poznał przyczynę tego zjawiska. Jeśli czułek, wystawiony przez pewien czas na działanie silnego światła, przeniesiony zostanie nagle do ciemności, zanim zacznie zmnieniać swą postać, to pomimo braku światła będzie się wznosił, tak jakby ciągle pozostawał pod wpływem jasnego światła; widocznie więc wznoszenie się liści czułka jest skutkiem sprawy, która potrzebuje pewnego czasu do rozwinięcia swéj czynności. Wpływ tedy dnia dopiéro w nocy się okazuje, wpływ ciemności w dzień.

Oprócz tych zjawisk snu i czuwania roślin są jeszcze inne, zależne od światła, objawiające się w liściach a niekiedy i w kwiatach. Tu należą ruchy obrotowe około pewnéj osi, obejmowane pod jedną nazwą heliotropizmu; tu należy sporna dotychczas kwestya, czy w ciemności czy téż w świetle następuje silniejszy wzrost roślin w kierunku długości, tu wreszcie należą ruchy ciałek zieleni (chlorofilu) w komórkach.

Wszystkie te objawy zewnętrzne są rezultatem spraw chemicznych, odbywających się w roślinie. Wypada je teraz bliżéj rozpatrzéć. Spraw tych są dwa rodzaje, które w pewnym stopniu współzawodniczą z sobą: jedną z nich jest palenie, utlenianie związków węgla w częściach niezielonych rośliny, drugą odtlenianie, redukcya, w zielonych pod wpływem promieni słonecznych. Jeżeli wpływ słońca, a zatém odtlenianie zostanie usuniętém, w roślinie odbywa się tylko spalanie, które naturalnie nie może powiększać wagi rośliny. Ztąd jasném jest owo efektowne doświadczenie Boussingault'a, które wykazało, że choć w ciemności fasola może wybujać do wysokości 1 metra, jednakże waga jéj suchéj materyi jest mniejsza. Nie potrzeba nawet, powiada Bert, zupełnéj ciemności; widział on fasolę, rosnącą w miejscu jasném, lecz w świetle rozproszoném, która dopiéro wtedy zaczęła powiększać swą wagę, gdy dosięgła 40 lub 50 centymetrów wysokości.

Wiadomo, że kwas węglany jest rozkładany w częściach zielonych przez zieleń (chlorofil), która wyrabia w komórce mączkę, rozkładającą się znów w ciemności. Po przeniesieniu rośliny w ciemne miejsce spostrzegamy po pewnym czasie zżółknienie, które pochodzi ztąd, że skład chlorofilu się zmnienił. Że zieleń nie znikła, mamy na to dowód taki, iż kolor zielony powraca po zwilżeniu komórek odbarwionych roztworem kwasu siarczanego. Podobnież i światło przywraca barwę pierwotną.

Zadajmy sobie teraz pytanie czy fale świetlne wszelkiéj długości biorą udział w wywoływaniu tego wpływu. Czy tylko te są czynne, które dają wrażenia wzrokowe, czy też wszystkie części widma, nie wyjmując ultra-czerwonéj i ultra-fioletowéj?

Aby odpowiedzieć na te pytania, zastosowano dwie metody badań. Według jednéj, rozkładano pryzmatem światło białe i poddawano rośliny działaniu téj lub owéj części widma; według drugiéj, światła barwne otrzymywano za pomocą szkieł kolorowych. Obserwowano głównie zielenienie się liści wypłoniałych oraz heliotropizm.

Z tych doświadczeń okazało się, że promienie ultra-czerwone aż do najcieplejszych, oraz ultra-fioletowe niewidzialne, zielenią zżółkłe rośliny. Nadto, promienie ultra-fioletowe, nawet po za częścią widma, w któréj fluoryzuje chinina i czerni się jodek srebra, wywołują skrzywienie się łodyżki młodéj rośliny wypłoniałéj, która się ku nim kieruje. Nie jest to jednak skutek sympatyi, jak poniżéj zobaczymy.

Rośliny więc ulegają wpływowi tych części widma, na które wzrok nasz wcale nie jest czułym.

Co się tyczy części widma widzialnéj, to różne jéj barwy rozmaicie działają na rośliny.

Najsilniéj zielenią rośliny wypłoniałe, a więc, co po za tém idzie, najbardziéj sprzyjają regeneracyi chlorofilu, promienie żółte. W jednę i drugą od nich stronę działalność ta jest słabszą. Heliotropizm dosięga swego maximum w polu ultra-fioletowém (pomiędzy liniami H i I), drugie maximum przypada w zielonėm (blisko linii E) a minimum jest położone w niebieskiem (obok linii F).

Rozkład kwasu węglanego przez zieleń, który naturalnie, jako najważniejszy i najcharakterystyczniejszy fakt życia roślinnego, najwięcéj był badany, najsilniéj objawia się w żółtéj części widma. Cloëz i Gratiolet ułożyli następujący szereg barw, według tego jak ich działanie słabnie pod tym względem: żółta, czerwona, zielona, niebieska.

Możnaby mniemać, że przyczyną rozmaitego wpływu szeregu tych barw na rośliny wypłoniałe, jest niejednakowe natężenie światła nie zaś jakość ich barwy, t. j. iż nie dlatego w żółtém świetle proces ów jest najsilniejszy, iż ono jest żółte, lecz dlatego, że jest najjaśniejsze i t. d. Ale pomimo wszelkich pozorów słuszności wniosek ten nie jest uzasadnionym. Wstawmy dwie rośliny wypłoniałe w dwa naczynia szklane, na których dnie położyliśmy papiér fotograficzny. Jedno z naczyń otoczmy roztworem dwuchromianu potasu, który zatrzymuje wszystkie promienie niebieskie i fioletowe

drugie zaś ammoniakalnym roztworem tlenniku miedzi, który znowu przepuszcza tylko światło niebieskie i fioletowe. W kilka godzin potém znajdziemy w pierwszém naczyniu roślinę zzieleniałą, a obok niéj papiérek ledwie co zabarwiony, w drugiéj zaś roślina pozostanie żółtą, choć papiér fotograficzny silnie zbrunatniał. Chodzi tu więc o jakość nie zaś o natężenie.

Do rozjaśnienia téj kwestyi przyczyniają się jeszcze następujące nowe doświadczenia Berta.

Poumieszczał on czułki w pewnego rodzaju latarniach o szkłach kolorowych. Jakież było jego zdziwienie, gdy po trzech, czy czterech dniach spostrzegł, iż w latarni zielonéj mimosa straciła czułość i życie jakby pod wpływem zupełnéj ciemności! Toż samo stało się z innemi roślinami należącemi do rozmaitych rodzin, z tą tylko różnicą, że w ogóle późniéj ginęły. A jednak szkła, jako niezabarwione czystą, prostą, zielenią spektralną przepuszczały wszystkie promienie, tylko naturalnie z przewagą czysto zielonych, spektralnych. (Barwa zielona, powstająca z jednoczesnego działania na wzrok, promieni żółtych i niebieskich, nie zabija roślin).

Fakt ten każdego uderza, z tego powodu, że właśnie zieloność jest kolorem roślin. Ale Bertowi zdawało się, iż sprzeczność jest tylko pozorną. Właśnie *dlatego* światło czysto zielone nie sprzyja roślinom. Bert rozumował w ten sposób.

Liście okazują się zielonemi w świetle odbitém i w świetle przechodzącém, czyli że odbijają od siebie i przepuszczają przez swą masę promienie zielone, jako bezużyteczne. Jeśli więc damy roślinom światło, którego spożytkować nie mogą i muszą odbić lub przepuścić, to nic dziwnego, że giną, bo takie światło jest dla nich ciemnością. Rozumowanie to, tém więcéj jest uzasadnione, że Cailletet już dawniéj wykazał, iż pod *dobrém* szkłem zielonem, t. j. czystéj barwy spektralnéj, liście nie rozkładają kwasu węglanego.

Jednakże następne doświadczenia okazały, że fakt ten jest więcéj skomplikowany. Jeśli światło, które przeszło przez liść, rozłożymy za pomocą pryzmatu, to w widmie jego zauważymy linie absorbcyi, których szerokość zależy od grubości liścia. Jedna z tych linij przypada w polu zielonem; widocznie więc jednę część światła zielonego liść zatrzymuje w sobie, obraca na swój użytek. Co więcéj, gdy grubość warstwy absorbującéj jest dość znaczna, ostatnią widzialną częścią widma jest skrajna czerwoność, co zresztą już wprost gołém okiem da się zauważyć, gdyż gruba warstwa liści prześwieca czerwono. Nie przemawia to jednak przeciwko nieużyteczności całéj części czerwonéj widma, gdyż w niéj, pomiędzy liniami B i C, znajduje się linia najenergiczniejszéj absorbcyi chloro-

filu, czyli miejsce promieni najwięcéj liściom potrzebnych, w którém, jak Timiriazew wykazał, przypada maximum rozkładającego wpływu światła na kwas węglany. To téż w latarni czerwonéj, która przepuszczała wszystkie promienie czerwone widma, mimoza żyła jak najlepiéj przez ciąg kilku miesięcy.

Z tych doświadczeń spłynęło jasne światło na zjawisko zamierania roślin pod szkłem zieloném. Bert zbadał starannie za pomocą spektroskopu zielone szkła swéj latarni i przekonał się, że szkła te zatrzymują w polu czerwoném ten właśnie pasek promieni, który jest pochłaniany przez chlorofil. Jakże tedy nie miały ginąć rośliny, jeśli były pozbawione głównego źródła siły żywéj? Bert z tego powodu uważa swe doświadczenie za poparcie wniosku Timiriazewa, odmienność zaś wypadków swoich i Cloëz'a (patrz wyżéj) badań, przypisuje nie złéj obserwacyi, lecz temu, że Cloëz, a ostatnio Prillieux używali szkieł zielonych, które przepuszczały czynne promienie światła czerwonego, te, które tak energicznie chlorofil absorbuje.

Jednakże i inne, bardziéj łamliwe promienie, przechodzące przez szkło zielone, działają także w specyalnych względach na roślinę. I tak czułek, chowany w ciemnéj skrzyni, która z jednéj strony otrzymywała światło czerwone a z drugiéj zielone, przy, o ile można, równém natężeniu światła, pochylał się i rozpościerał swe liście ku zabójczemu szkłu zielonemu a odwracał się od czerwonego, przy którém życie jest możliwém.

W latarniach czerwonych, które przepuszczały tylko światło czerwone i pomarańczowe, w żółtych, niebieskich i fioletowych, które nie absorbowały dokładnie żadnéj części widma, czułki rosły przez czas nieograniczony. Rosły, ale nie były zdrowe i miały wygląd chorobliwy. Najmniéj im szkodziły szkła żółte, bo pod niemi zakwitły nawet. Taki był ogólny wpływ świateł kolorowych, a oprócz tego każda z barw wywierała działanie specyalne. W latarni czerwonéj rośliny wydłużyły się znacznie, węzły ich pooddalały się, łodyżki ścieńczały a listki były bardzo delikatne. Nie można ich jednak nazwać wypłoniałemi, gdyż zachowały prawie w całości barwę zieloną. W niebieskiéj były prawie zupełnie podobne do normalnych, ale daleko słabiéj rosły niż w świetle białém. Z drugiéj strony, pod wpływem jednodniowego działania szkieł niebieskich, ogonki liściowe obwisają, listki rozpościerają się na jednéj płaszczyźnie, gdy tymczasem w latarni czerwonéj ogonki są wzniesione a listki zbliżone ku sobie. Czułek pozostawiony na świetle białém, okazuje stan pośredni pomiędzy temi dwoma krańcowemi.

Dla wytłómaczenia przyczyny tych wszystkich zjawisk, Bert podaje następującą hipotezę. Podnoszenie się głównego ogonka liścia jest w związku z wzrostem energii w nabrzmieniu umieszczonem przy jego podstawie; natężenie zaś w tém nabrzmieniu zależy od przypływu wody, wywoływanego prawdopodobnie przez jakąś materyą osmotyczną, którąby mogła być glukoza. Ta zaś substancya tworzy się, podobnie jak mączka, w dzień a niszczy się w nocy. Promienie żółto-czerwone, przy których roślina najbardziéj się prostuje i wysztywnia, i które wpływają na największą redukcyą kwasu węglanego, sprzyjają téż i tworzeniu się téj substancyi. Przeciwnie zaś niebiesko-fioletowe pomagają do jéj niszczenia, czego wskazówką jest zwątlenie nabrzmień poruszających oraz krzywizna heliotropijna, którą wywołują tak silnie, zmniejszając naprężenie tkanki z téj strony, którą oświetlają.

Zestawiając to wszystko, widzimy, iż każda część widma widzialnego oraz pewna ilość promieni niewidzialnych działa specyalnym, sobie właściwym sposobem na roślinę; że rozmaite ich czynności walczą z sobą w pewnym stopniu, i że zbiór wszystkich promieni widma, to jest światło białe, jest koniecznie potrzebném, aby zdrowie roślin zachować w dobrym stanie.

Przejdziemy teraz do mniéj znanego wpływu światła na zwierzęta.

Bert zaznacza najprzód, iż raczéj mówić wypada o wpływie światła na istoty bezchlorofilowe, gdyż z jednéj strony grzyby i inne rośliny bez zieleni zachowują się pod względem chemicznym podobnie jak zwierzęta, a z drugiéj, wymoczki zabarwione na zielono rozkładają tak samo kwas węglany jak komórki roślinne.

W działaniu światła na zwierzęta musimy odróżnić dwa rodzaje: jeden z nich stanowi widzenie, drugi zaś polega na wpływie drgań eteru na zewnętrzną powierzchnię ciała. W tym drugim zaś dziale odróżnić wypada działania pośrednie i bezpośrednie.

Zajmiemy się najprzód wpływem pośrednim na powierzchnię ciała.

Rybacy dawno już zauważyli, że kolor niektórych ryb zmienia się stosownie do barwy dna. G. Pouchet stwierdził tę starą obserwacyą, przekonawszy się, iż rzeczywiście płaszczki przebywające na dnie białém mają odcień popielaty, a przeniesione na dno czarne przybierają prędzéj lub późniéj wyraźny odcień ciemno-brunatny; i w ogóle, stosownie do mniejszéj lub większéj jasności dna, zastosowują się do jego tonu.

Lecz gdy im wyłupimy oczy, zmiany barw już się nie dokonywają. Działanie więc na barwnik skóry odbywa się za pośrednictwem oka, które przesyła do mózgu wrażenie optyczne, a od tego organu rozchodzi się do skóry jakiś specyalny ruch nerwowy, wpływający na ciałka barwiące skórę.

Podobne zmiany zachodzą i u pewnych skorupiaków i podobnież zależą od wrażeń wzrokowych, gdyż po usunięciu oka modyfikacya barw skóry już nie następuje.

Mamy tu więc jasne dowody działania światła na skórę za pośrednictem przyrządu wzrokowego.

Zmiany barw u Kameleona dają nam wyraźny i uderzający przykład działania bezpośredniego.

Kameleon, jak to Milne Edwards wykazał, posiada dwa barwniki w skórze: jeden powierzchowny stały, drugi głębiéj umieszczony, ruchomy, który się może oddalać lub zbliżać do powierzchni skóry. Pomiędzy ostatniemi ciałkami barwiącemi znajdujemy czarne, czerwone, żółte, a może i zielone; zresztą kolor zielony, jak Pouchet wykazał, może powstać z mieszaniny barwnika żółtego, stałego oraz pewnéj warstwy, która bywa już to białą, już niebieską.

Pomimo to, iż prawdziwemi są dawniejsze podania o zmianie barwy kameleona, jednak, według Berta, należy się pozbyć uprzedzenia, jakoby kameleon przyjmował barwę miejsca, na którém spoczywa, choć mniemaniu temu zawdzięcza kameleon rozgłos u dawniejszych pisarzy.

Gdy zwierzę to jest wystawione na światło słoneczne, barwa jego ciemnieje: z jabłkowo zielonéj staje się butelkowo-zieloną, z drzewnéj—brunatną. Jest to bezpośredni skutek działania światła. Zmiana ta następuje także podczas snu, podczas znieczulenia za pomocą chloroformu, i wreszcie nawet po śmierci. Na grzbiecie kameleona śpiącego w ciemności, Bert położył rodzaj siodełka papiérowego z wyciętemi otworami, a następnie, nie budząc zwierzęcia, zbliżył do niego lampę zwyczajną. Barwa jego, z żółtawo-szaréj, którą zwykle podczas snu w ciemności posiada, stała się ciemnobrunatną, wyjąwszy te części skóry, które były nakryte papiérem. Zachowały one pierwotne zabarwienie.

Które barwy widma najsilniéj pobudzają ruchy ciałek barwnikowych? Bert odpowiada, że najbardziéj łamliwe. Dopiéro co obudzonego kameleona, który się stał w ciemności jabłkowo-zielonym, zasłonił Bert dwoma szkłami: niebieskiém i czerwoném, na które puścił promienie słoneczne. Tylna połowa zwierzęcia, będąca po za szkłem niebieskiém, przyjęła prawie w oka mgnieniu barwę bu-

telkowo zieloną, przednia, otrzymująca światło przez szkło czerwone, dość długo zachowywała swą barwę pierwotną.

Oto mamy wyraźny przykład bezpośredniego działania światła na skórę, bez pośrednictwa aktu widzenia. Nie można jednak powiedzieć, żeby oko żadnego wpływu na te zmiany nie wywierało. Jeśli wyłupimy oko kameleonowi, to bok jego z téj strony, prawie wcale nie zmienia barwy, a w każdym razie zachowuje ona jaśniejszy odcień niż strona przeciwna. Wyłupanie drugiego oka przywraca równowagę.

Szczegółowy rozbiór ruchów ciałek barwnikowych oraz wpływu nerwów, które niemi rządzą, powiada Bert, wykazałby bardzo bliski związek pomiędzy ruchami tych małych ciałek kurczliwych a zwężeniami lub rozszerzeniami najdrobniejszych arteryj naszéj skóry; analogia ta do tego stopnia jest uderzającą, że trudno wierzyć, aby światło nie wywierało bezpośredniego wpływu na krążenie krwi w skórze. Pogląd dawnych lekarzy, którzy zalecali wystawianie nagich dzieci chorobliwych na światło słoneczne, prawdopodobnie nie jest bez podstawy.

Zresztą, co do tego, mamy ważne wskazówki. Palące promienie słońca wywołują niekiedy silne zaczerwienienie, zapalenie skóry (erythema). Toż samo czyni światło elektryczne. Jednakże ciemne promienie ciepła nie wywołują téj przypadłości, albowiem palacze przy machinach parowych i inni robotnicy, wystawieni częstokroć na wielki żar, nie doznają téj choroby. Z drugiéj strony, światło słoneczne, przeszedłszy przez wodę, która mu odbiera ciepło, tak samo czerwieni skórę. Bardzo łamliwe części widma, a mianowicie promienie fioletowe są najenergiczniejsze w działaniu na skórę człowieka podobnie jak na kameleonową. Na skórze dr. Bouchard'a, który na sobie samym czynił odnośne doświadczenia, występowały wypieki po 12 sekundach działania tych promieni, gdy tymczasem promienie czerwone lekko ją tylko zróżowiły; u ludzi zaś, mających skórę bardzo czułą na działanie słońca, powstawały wypieki pod wpływem światła przechodzącego przez papiér niebieski, nie powstawały zaś pod papiérem czerwonym. Podobny, ale mniejszy wpływ, ma słońce na skórę żab, któréj kolor zmienia. Nadto, żaby oślepione, umieszczone w pudle w jednéj połowie ciemném, a w drugiéj jasném, przechodzą po pewnym czasie do części oświetlonéj, choć Bert utrzymywał temperaturę równą w obu połowach.

Widać więc, że światło, a szczególniéj jego więcéj łamliwe promienie, działają bezpośrednio, nie tylko na ciałka barwnikowe kameleona, ale i na krążenie w skórze naszéj, a prawdopodobnie żab i innych zwierząt.

Jednakże nie u wszystkich zwierząt wpływ światła rozszerza się na tak obszerną powierzchnię. U większéj ich liczby działa ono tylko na szczupłą przestrzeń, gdzie bardzo czułe nerwy przejmują drgania eteryczne, skoncentrowane przez aparat załamujący, i w połączeniu z ośrodkami nerwowemi wywołują specyalne wrażenie, nazwane wzrokowém; jednėm słowem, u znacznéj większości zwierząt światło działa tylko na oko.

Przechodzimy więc do wyżéj wspomnianego pierwszego rodzaju działań światła i rozbierzemy kilka faktów ogólniejszego znaczenia.

Przedewszystkiém Bert wspomina o odkrytéj niedawno przez Boll'a purpurze wzrokowéj, o któréj podaliśmy obszerniejszą wiadomość w zeszłorocznym majowym zeszycie „Ateneum." Purpura ta jak wiadomo blednie pod wpływem światła, tak jak papiér fotograficzny czernieje w skutek jego działania, i tym sposobem powstają na siatkówce oka dokładne obrazy przedmiotów zewnętrznych. Gdy oko zostanie olśnione silném światłem, purpura blednie na czas dłuższy, i już oko nie może widziéć obrazów dopóty, dopóki nie nastąpi regeneracya purpury. W rozgłośném tém i rzeczywiście bardzo ważném odkryciu, chciano widziéć wytłómaczenie zjawiska widzenia. Lecz Bert utrzymuje, że znaczenie jego nie jest tak ogólném jak z początku mniemano. Żaby, którym silne światło słoneczne zepsuło purpurę, widziały jeszcze potém doskonale, a tak nazwana „plama żółta" na siatkówce, miejsce przyjmujące w naszém oku wrażenia świetlne, nie posiada wcale substancyi purpurowéj. Fakta te dostatecznie dowodzą, że znaczenie purpury wzrokowéj jest więcéj ograniczone aniżeli z początku sądzono (1).

Bert przywiązuje więcéj wagi do odkrycia Anglika Dewar'a, który wykazał, że po każdorazowém wywołaniu czynności w siatkówce przez światło, rodzi się, jako następstwo bezpośrednie, prąd elektryczny. Prąd ten największe ma natężenie, gdy na oko działa światło żółte widma.

---

(1) W powyżéj cytowanym zeszycie „Ateneum", zdając sprawę z odkrycia purpury wzrokowéj oraz badań Boll'a i Kühne'go, wyraziłem mniéj więcéj to samo, tylko z innego powodu. „Ze względu na stronę teoretyczną kwestyi widzenia, zauważyć należy, iż fotografia na siatkówce nie jest zapewne jedyném zjawiskiem, od którego widzenie jest zależném. Jeśli widzimy przy żółtem, sodowém świetle, przy którém purpura nie blednie, więc muszą w oku zachodzić pewne komplikacye, których wyjaśnienia od odkrywców purpury wzrokowéj oczekujemy" (str. 423).

Teraz zaś powrócimy do drugiéj kwestyi widzenia, i na têm zakończymy streszczenie odczytu Berta.

Zastanawiając się nad kwestyą widzenia z najogólniejszego stanowiska, niezmiernie ciekawą jest rzeczą wiedzieć: czy u wszystkich zwierząt *widzenie* jest takie same jak u człowieka, innemi słowy, czy wszystkie zwierzęta widzą te same promienie światła co my? Bert sądzi, że nikt jeszcze przed nim kwestyi téj nie podnosił.

Do swych doświadczeń uczony fizyolog wybrał małego prawie mikroskopijnego raczka wód słodkich, zwanego w zoologii *Daphnia pulex*. Z powodu małych rozmiarów tego skorupiaka, mógł użyć do doświadczeń znaczną liczbę egzemplarzy, dla otrzymania rezultatów pewnych, niedopuszczających przypadkowości. Przytém Daphnia, jako typ zoologiczny, oraz organizacya jéj oka (1) bardzo odległe zajmują stanowisko względem typu ogólnego i oka człowieka, a wreszcie tak jest czułym ten skorupiak na światło, że okazy zamknięte w ciemności z nadzwyczaj wielką szybkością dążą ku promieniom wpuszczonym do ciemnego naczynia w którémkolwiek miejscu. Daphnia więc posiada wszelkie przymioty wymagane przy badaniu wyżéj orzeczonéj kwestyi.

Skorupiaczki zostały pomieszczone, w liczbie kilkuset egzemplarzy, w naczyniu o ścianach szklanych, równoległych. Stało ono pomiędzy okiem eksperymentatora a silném źródłem światła, które się rozczepiało w pryzmacie, ruchomym około osi pionowéj. Do przepuszczania tylko żądanéj, ograniczonéj części widma, służyła zasłona, mająca bardzo wązką szparę. Gdy ciemność była zupełną, Daphnie spacerowały bez porządku, po wszystkich częściach skrzynki. Bert rzucił najprzód do skrzyni promienie ultra czerwone; pod ich wpływem nic się nie zmieniło. Następnie wpuścił promienie czerwone świecące: natychmiast wszystkie daphnie podążyły do miejsca oświeconego. Potém zasłonił zupełnie szparę; w ciemności zachowywały się raczki obojętnie, tak jak poprzednio; lecz gdy znowu wpadł przez szparę promień światła, np. żółtego, raczki natychmiast ku niemu się zbiegły. Toż samo się działo po wpuszczeniu każdego z pozostałych widzialnych części widma. Jednėm słowem, kiedy Bert widział szparę i raczki ją widziały, i podobnież nie widziały jéj, gdy on jéj nie widział.

---

(1) Oko Daphnii jest złożone z nerwu, barwnika i wielkiéj liczby ciałek stożkowatych łamiących światło, ograniczonych od zewnątrz przezroczystą błonką, która służy za rogówkę.

Ze względu na odległość, która przedziela Daphnię od człowieka, odległość w któréj się mieszczą wyższe od Daphnii zwierzęta, Bert uogólnia swój wniosek i powiada, że aż do ogłoszenia dowodu przeciwnego przyjmuje zaprawdę, iż: *zwierzęta widzą te same i nie widzą tych samych co i my promieni.*

Nie dość na tém. Na skrzynię z Daphniami, trzymanemi przez pewien czas w ciemności, puścił Bert wszystkie barwy widma odrazu. Z obu stron światła pozostawały jeszcze ciemne miejsca. Natychmiast Daphnie podążyły do światła. Zajęły przedewszystkiém pole żółte, następnie zielone, potém pomarańczowo-czerwone, a nakoniec niebieskie i fioletowe; niewiele tylko jednostek pozostało w miejscach ciemnych. Rozproszyły się tak,—porównywa bardzo dosadnie Bert,—jak gromada ludzi, któraby chciała czytać przy świetle olbrzymiego widma: wszyscy usiłowaliby zająć miejsce w świetle żółtem, mniéj silni i zręczni dostaliby się tylko do zielonego itd., a najmniéj szczęśliwi skazaniby zostali na światło fioletowe. Daphnie więc oceniają tak samo jak my względną jasność rozmaitych promieni widma.

Jednakże nie wszystkie zwierzęta niższe są zdolne do tego samego. Naprzykład pająk Krzyżak (Epeira) inaczéj widzi rozmaite barwy widmowe. Młode krzyżaki widziały podobnie jak Daphnie wszystkie barwy, ale okazały się mniéj wrażliwemi na światło czerwone, którém pogardzały dla niebieskiego. Fakt ten dowodzi, że w oczach ich zachodzi to samo co u ludzi chorych na daltonizm (ślepota na barwy, szczególnie czerwoną), że jedném słowem krzyżaki są daltonikami. Zdaje się, że to zjawisko jest bardzo powszechne u zwierząt niższych, gdyż podczas doświadczeń Berta z roślinami, zwierzęta zwane „unikającemi światła“, jak pomrowie, wielonogi itd., znajdowały się w wielkiéj liczbie w oddziałach czarnym i czerwonym.

Zauważyć tu należy przy sposobności, iż wyrażenie „unikające światła“ (lucifugae) nie jest ścisłe. Wszystkie zwierzęta dążą do światła, i wszystkie go unikają, zależnie od jego natężenia. Gdy do ciemnéj skrzyni, mającéj tylko w jedném miejscu maleńkie nieliczne otwory zrobione szpilką, włożymy pomrowie, karaluchy, mączniki, wszystkie zwane unikającemi światła, to jednakże zbiegną się one ku słabemu świtowi wpadającemu przez otworki. Lecz silne światło zapędza je do nory, tak samo jak i nas blask słoneczny zmusza do szukania cienia.

Tak więc stara analogia światła z życiem i dobrém jest zupełnie uzasadnioną.

Człowiek, którego imię tak powinno być popularne jak imię Kopernika, Keplera, Newtona, Lavoisiera, człowiek, który odkrył jedno z najogólniejszych praw natury, uczony, którego myśl potężna na nowe tory popchnęła naukę, skromny lekarz heilbronnski, znany zaledwie małemu kołu ludzi wyżéj wykształconych, Juliusz Robert Mayer, poszedł za Leverrier'em, Secchi'm, Claude Bernard'em, zgasł 20 Marca r. b.

Imię Mayera na wieki będzie związane z teoryą mechaniczną ciepła i prawem niezniszczalności siły.

Poświęcimy słów kilka wielkiemu człowiekowi i wielkiemu jego dziełu.

Juliusz Robert Mayer urodził się w Heilbronn 25 Listopada 1814 r. Był synem aptekarza. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych studyował medycynę w Tubindze, Monachium i Paryżu. W r. 1840 wyjechał z Rotterdamu do Indyj wschodnich jako lekarz okrętowy. Podczas téj podróży wybuchła na okręcie epidemiczna choroba płuc, a wypadek ten dał światu powyższe wielkie odkrycie.

Stało się to mianowicie w ten sposób.

Pacyentom trzeba było puszczać krew, przyczém Mayer zaobserwował, że krew żylna była niezwykle jasnoczerwoną. To go niezmiernie uderzyło. Myśląc nad tém, doszedł do wniosku, że jasność barwy zależała od potrzeby słabszego utlenienia krwi w gorącym klimacie, dla utrzymania stałéj temperatury ciała, — gdyż uważał ciemność krwi za wskazówkę większego utlenienia.

Dalszy bieg procesu myślenia, według Tyndalla był następujący. Lavoisier wykazał, że ciepło organizmu zależy od utleniania pokarmów, ciał węgiel zawierających, zupełnie tak samo jak ciepło naszych pieców. W organizmie więc tak jak i w piecach jedna i ta sama ilość materyału palnego może dać po zupełném spaleniu jednę i tę samę ilość ciepła, a więc organizm pomimo swéj tajemniczości niezdolny jest, podobnie jak piec, do wytwarzania ciepła z niczego.

Daléj, organizm oprócz możności wytwarzania ciepła wewnętrznego, posiada jeszcze zdolność wytwarzania go na zewnątrz. Bijąc młotem w żelazo lub trąc drzewo o drzewo, wywołujemy podniesienie się ich temperatury. Ponieważ organizm nie może wytwarzać ciepła z niczego, ponieważ wszystko ono pochodzić musi ze spalenia materyałów węglowych, więc i to ciepło zewnętrzne musi z tego samego źródła pochodzić, a ilość jego, ilość innemi słowy pracy, jaką produkuje organizm, zależy zupełnie od ilości materyału spalonego. Więc *pomiędzy pracą a ciepłem istnieje stały, niezmienny stosunek ilościowy*.

Ta genialna iskra była zarodkiem całéj teoryi, którą w następnych swych dziełach rozwinął. W pierwszéj swéj rozprawie „Bemerkungen ueber die Kräfte der unbelebten Natur,“ którą opublikował w 1842 r. dla uchronienia się od wszelkich „ewentualności,“ wykłada swe pojęcia w porządku odwrotnym temu, w jakim się w jego umyśle pojawiły, i zacząwszy od fizyki, przechodzi do fizyologii. W wszechświecie, mówił on tam, istnieją dwa systemy przyczynowe, które nawzajem w siebie przejść nie mogą: rozmaite gatunki materyi i rozmaite formy siły. I jedne i drugie mają wspólną własność kardynalną: niezniszczalność. Lavoisier ustalił w nauce pojęcie, że materyi stworzyć ani zniszczyć nie podobna, Mayer zwraca uwagę, że to samo odnosi się do siły. Siły nie można unicestwić, ani téż nie można jéj stworzyć z niczego. Siły mogą przyjmować inne formy, ale nie giną. Jeżeli dwa ciała nieelastyczne padają na siebie i ruch pozornie ustaje, to jednak siła wcale się tu nie niszczy: oba ciała ogrzewają się, a ciepło wytworzone jest równoważne zniszczonemu ruchowi.

Lokomotywy, powiada ze zdumiewającą bystrością umysłu, mogą być porównane z aparatami destylacyjnemi: ciepło z kotła przechodzi jako ruch do pociągu, i znów zamienia się na ciepło przy tarciu kół o osie lub szyny. Daléj oblicza Mayer mechaniczny równoważnik ciepła. W następnych pracach zdaje sobie jasno sprawę ze znaczenia słońca dla ziemi. Paląc węgiel i drzewo pod kotłem machiny parowéj, otrzymujemy pracę mechaniczną. Zkąd to ciepło pochodzi? Z nieprzebranych zapasów słońca. Ziemia zbiera promienie, które do niéj płyną, i tym sposobem utrwala najulotniejszą z sił. Przyrządami, które promieniom słonecznym nadają formę stałą, odpowiednią do przechowywania, są rośliny. Przyjmują one światło słoneczne, zamieniają je w postać napięcia chemicznego. Tworzy się drzewo i węgiel, z których w każdéj chwili można uwolnić promienie słoneczne. Pokłady węgla kamiennego to są pokłady ustalonego ciepła i światła słonecznego.

Jeszcze więcéj rozwinął i jeszcze więcéj świetnych myśli zawarł Mayer w innych swoich dziełach, a to wszystko na zasadzie refleksyi filozoficznéj, przezwyciężając niekiedy błędne swe pojęcia i dochodząc do prawdy. Anglik Joule dopełnia go charakterem swego umysłu i prac doświadczalnych, możliwych przy obfitości środków materyalnych, których Anglia swym uczonym nie szczędzi. Joule podłożył szeroką i pewną podstawę doświadczalną, pod teoryą Mayera, i zdobył prawo obywatelstwa w nauce dla teoryi mechanicznéj ciepła. Im więc dwom zawdzięczamy prawo przemiany sił i ich nieznikomości.

Pierwsza praca Mayera „Bemerkungen über die Kräfte der unbelebten Natur“ była drukowana w „Annalen der Chemie und Pharmacie“ Liebiga w 1842 r. Dla czego nie w piśmie poświęconém fizyce, gdzie było jéj właściwe miejsce? Mayer posłał swoję czterokartkową rozprawę Poggendorff'owi, redaktorowi „Annalen der Physik.“ Ale uczony ten, wierzący tylko doświadczeniu i mający wstręt tak jak i większość naturalistów niedawnéj przeszłości, do badań teoretycznych, szczególniéj rozległego zakresu, nie poznał się na wartości rozprawy i odesłał rękopism autorowi. Liebig go przyjął, bo miał umysł bystrzejszy. Lecz w piśmie poświęconém chemii i farmacyi, żaden fizyk nie szukał odkryć fizycznych, a chemicy, lękając się „wyjścia ze swéj specyalności,“ zapewne także jéj nie czytali. I teraz takich jest nie mało. Tak więc praca Mayera pozostała w ukryciu, dopóki Joule i Helmholtz nie nadali rozleglejszego zakresu badaniom w tym kierunku.

Natężona praca umysłowa, na którą zresztą Mayer miał bardzo mało czasu, pozostającego od pracy lekarza praktykującego, nadwyrężyła dzielny ten umysł, na początku lat pięćdziesiątych. Mayer był chory umysłowo, był obłąkany. Wprawdzie potężna jego organizacya nerwowa przemogła stan anormalny i przywróciła zdrowy rozsądek, ale już bystrości i jasności poglądu odtworzyć nie mogła. Mayer pracował i bywał na zebraniach przyrodniczych, gdzie swe odczyty wygłaszał, ale prace tego peryodu nie mają już ważnego znaczenia. Lecz dość tego, co zrobił będąc w kwiecie sił umysłowych, gdyż to mu już miejsce pomiędzy geniuszami świata zapewnia.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Dnia 6 Maja Bank polski obchodził pięćdziesięcioletnią rocznicę swego założenia. Pięćdziesiąt lat działalności finansowéj byłoby bardzo poważnym peryodem czasu dla każdéj prywatnéj firmy, bo tak długie trwanie świadczyłoby o umiejętności prowadzenia interesu; dla instytucyi rządowéj samo trwanie nie jest jeszcze zasługą, i dlatego wszyscy interesują się tém, jakie korzyści kraj osiągnął z działalności banku. Czyniąc zadość téj tak słusznéj ciekawości, „Ekonomista" rozpoczął szereg artykułów, bardzo treściwych, przedstawiających w dokładnych cyfrach, objaśnionych komentarzem, rozwijanie się wszelkiego rodzaju przedsiębierstw i operacyj finansowych, prowadzonych przez bank polski od czasu jego założenia; „Gazeta Handlowa" podała wiadomość, że jeden z urzędników banku zbiéra materyały do ułożenia dokładnéj jego historyi. Historyi téj czekać będziemy z niecierpliwością, bo ona zawrze w sobie obraz ekonomicznego rozwijania się kraju naszego i wyjaśni: jaką rolę w nim odegrali ludzie, kolejno kierujący jedyną u nas przez tak długie lata instytucyą finansową. Nim się téj historyi doczekamy, pozwolimy sobie zaczerpnąć z „Ekonomisty" kilka cyfr, dla przedstawienia czytelnikom naszym tych różnorodnych operacyj, które się w banku polskim koncentrowały.

Dekret Królewski (17) 29 Stycznia 1828 r. ustanowił Bank Polski, którego celem być miało: „Zaspokojenie długu publicznego, tudzież rozszerzanie handlu, kredytu i przemysłu narodowego." Twórcą banku był ówczesny minister skarbu, książę Franciszek Ksawery

Lubecki, wykonawcą jego myśli i organizatorem banku był Ludwik hr. Jelski, przy pomocy pierwszych dyrektorów, Józefa Lubowidzkiego, Henryka hr. Łubieńskiego, Pawła Głuszyńskiego i Ignacego Bolesty. Pierwotne uposażenie banku oznaczono na 30 mil. złp., dostarczonych bankowi w gotowiznie, z czasem powiększono go o 12 mil. złp. oddanych bankowi w rozmaitych kapitałach, należnych rządowi od osób prywatnych i instytutów, w roku zaś 1841 uposażenie to powiększono jeszcze o 1,7 mil. rsr. również w wartościach do uzyskania; całkowite więc uposażenie banku wynosiło 8 mil. rs. Oprócz tego bank miał prawo emisyi biletów na sumę równą uposażeniu, a w r. 1845 pozwolono mu emisyą powiększyć o 2 mil. rubli, zabezpieczając takową złożonemi w komisyi umorzenia 2.250.000 r. w obligach skarbowych. Wycofanie biletów banku z obiegu rozpoczęto w roku 1870 i ostatecznie ukończono w roku 1875.

Bank przyjmuje depozyta w papiérach publicznych i w gotowiznie na rozmaitych warunkach, od osób prywatnych, władz rządowych, miast, instytutów, i tam lokowane być powinny wszelkie depozyta sądowe. W roku 1830, po dwóch latach egzystencyi, bank przyjął był tych depozytów w pieniądzach i papiérach publicznych na sumę przewyższającą 12 mil. r.; w roku 1877 suma ta przewyższyła 73 mil. r. W ciągu zaś lat 50 bank przyjął w depozyt saméj gotówki 282 m. r. i zwrócił takowéj 261 m. r.

Już w ciągu roku 1828 bank z polecenia komisyi skarbu zaczął kupować na jéj rachunek od osób prywatnych i korporacyj rozmaite pretensye do skarbu, z zaległych wypłat i należności wynikłe; potém pośredniczył przy zaciąganych przez rząd pożyczkach i zajmował się ich spłacaniem, i na ten cel otrzymał od rządu w ciągu swego działania 155 m. r. Od roku 1866 włożono na bank obowiązek umarzania listów likwidacyjnych za oddane włościanom grunta.

Po wycofaniu z obiegu biletów banku, ażeby przyjść w pomoc bankowi, potrzebującemu ciągle gotówki dla swych operacyj, rząd polecił rozmaitym kasom skarbowym wnosić do banku znajdujące się w nich a czasowo niepotrzebne do użycia sumy, zkąd powstał rachunek bieżący skarbu.

W roku 1829 bank umową zawartą z rządem zobowiązał się budować drogi bite, i do roku 1837 zbudował takowych wiorst 965 za sumę 44 m. złp.; dostał na to 14 m. złp., resztujące 30 m. złp. zwrócono mu obligami skarbowemi. Od Grudnia 1830 r. do Maja 1832 r. bank zarządzał mennicą. Z powodu projektu budowania doków w Warszawie, okazało się koniecznym zakupić fabrykę papieru

w Jeziornie, która też była własnością banku od 1830 do 1868 r.; wtedy sprzedano ją p. Reslerowi za 151.000 r. Dekretowane w r. 1824 kopanie kanału Augustowskiego, oddane było do dalszego prowadzenia bankowi w roku 1833. Od roku 1833 do 1843 zarządzał bank górnictwem w całym kraju; w zarządzie tym szczególną działalność rozwinął Henryk hr. Łubieński; na ten przedmiot bank wyłożył 162 m. złp. odebrał zaś 131 m. złp., reszta należności pokrytą była obligami skarbowemi 3-éj seryi.

Pożyczki wydawane osobom prywatnym miały też najro..naitszy charakter: wydawano pożyczki na zastaw papiérów publicznych i kosztowności, na zastaw płodów surowych i wyrobów. Właścicielom ziemskim pożyczano piéniądze na kupno machin rolniczych, na kupowanie koni, blachy cynkowéj, mączki gipsowéj, guana, tektury smołowcowéj. Wszystkie te rodzaje pożyczek zaniechano od roku 1870; obecnie udzielane są tylko na kupno machin rolniczych. Na ten cel od roku 1833 do 1877 użył bank blisko 5 m. r. Do r. 1870 wydawano też pożyczki na dobra ziemskie z zabezpieczeniem hipotecznéin, na co przeznaczonych było 3 m. r.; do tego też terminu wydawał bank pożyczki zakładom przemysłowym hipoteczne, na lat 12, i krótko terminowe, na 9 miesięcy; i na ten cel użyto więcéj niż 7 m. r.

Jednym z największych ułatwień dla publiczności było udzielanie otwartych kredytów, zabezpieczonych w papiérach publicznych, dawniéj udzielano ich tylko handlującym, dzisiaj mogą z tego korzystać wszyscy; takie ułatwienie zastawu, częściowém zwracaniem pożyczonych funduszów, jest wielką dogodnością dla potrzebujących kredytu, a zarazem przyczynia się niemało do podtrzymania kursu, szczególnie krajowych listów zastawnych, nie znaglając nikogo do sprzedawania ich. Rachunek otwartych kredytów tego rodzaju wynosił w roku 1877 więcéj niż 40 m. r., a w ciągu lat 50 swego istnienia bank wydał takich pożyczek 1.002.182.064 r., odebrał zaś 998.798.902.

Od roku 1871 bank otwiéra żądającym tego, rachunek bieżący procentowy, i w ciągu lat siedmiu wpłynęło tą drogą do banku 69 m. r., wypłacono zaś 65 m. r.

Ale najważniejszą, bo najdzielniéj przyczyniającą się do ożywienia handlu i przemysłu operacyą, prowadzoną przez bank, jest skup weksli miejscowych. W roku 1829 skupiono ich na 2½ m. r., w roku zaś 1877 cyfra weksli skupionych wynosiła więcéj niż 37 m. r.

Oprócz tych wszystkich przedsiębierstw i operacyj finansowych bank sam zakładał i urządzał fabryki, lub nabywał od przedsię-

bierców fabryki niedobrze prowadzone, podtrzymywał je i organizował, dla torowania drogi przemysłowi większemu, chociaż na tych przedsiębierstwach często znaczne straty ponosił.

Nie było więc ani jednego kierunku pracy ekonomicznéj, w którym bank nie próbowałby co zrobić można, do czego da się doprowadzić ułatwienie komunikacyj, podniesienie górnictwa, urządzanie fabryk, dostarczanie kredytu rolnictwu, przemysłowi, handlowi i nawet osobom potrzebującym go chwilowo na załatwienie naglących interesów lub potrzeb.

Początkowanie we wszystkich tych przedsiębierstwach, prowadzenie wielu z nich na własne ryzyko banku przez czas dość długi, niewątpliwie przynosi zaszczyt ludziom, którzy bank założyli, i tym, którzy potém nim zarządzali, ale zarazem wskazuje, jakie to trudności ma do zwalczenia organizowanie pracy przemysłowéj, szczególniéj w krajach, gdzie inicyatywa osób prywatnych mniéj silnie się rozwija. Bank był instytucyą rządową, działalność jego zawsze więc brała początek w sferach rządowych i, zamiast ograniczać się do pomagania czynnościom ludzi prywatnych, musiał on wytwarzać, zakładać, urządzać to wszystko, do czego oni brać się sami nie chcieli lub nie umieli, musiał torować drogi dla pracy przemysłowców obecnego pokolenia.

Cóż stało na przeszkodzie rozwijaniu się przemysłu w kraju? Wszak poddaństwo włościan zniesione było jeszcze za czasów ks. warszawskiego; wszak kodeks Napoleona, wprowadzony jednocześnie, wszystkim zarówno zabezpieczał własność i swobodę w sferze działania prawem prywatném zakreślonéj; ale pominąwszy stosunki życia publicznego, o których byłoby zbyt wiele do mówienia, nie było u nas ludzi, którzyby się brali do przemysłu, bo nie było stanu średniego, nie było mieszczaństwa zamożnego i wykształconego.

Takie narzekanie na brak klasy średniéj w narodzie, powtarzane w dniu dzisiejszym, może się komu zdawać doktrynerstwem; może nam kto zarzucić przywiązywanie zbytecznego znaczenia do formułek historycznego rozwoju i postępu wyrobionych na zachodzie Europy, wśród odmiennych warunków życia publicznego i całego społecznego ustroju. Dzisiaj, kiedy nie tylko w obec prawa prywatnego, ale i w obec życia publicznego wszyscy obywatele kraju są sobie równi, kiedy różnice stanów zachowały tylko znaczenie towarzyskie i są tylko jakby echem dawniejszych czasów, zabłąkanym wśród nowożytnych społeczeństw, zabytkiem staroświetczyzny uważanym za przesąd pomiędzy ludźmi wykształconymi, dzisiaj narzekać na brak klasy mieszczańskiéj zdaje się być anachronizmem.

A jednak tak nie jest.

Zapewne, że dzisiaj nie chodzi społeczeństwu o to, aby żyła wśród niego liczna klasa ludzi, która się zowie mieszczaństwem, ale chodzi i zawsze chodzić będzie o to, aby była jak najliczniejsza klasa ludzi zamożnych, wykształconych, oświeconych i pracowitych, którzyby rośli w tém przekonaniu, że los ich i przyszłość cała, od nich samych tylko zależy, którzyby czuli to i wiedzieli, że tyle tylko będą mieli znaczenia pomiędzy ludźmi, o ile sami, własną pracą znaczenie to sobie zapewnić potrafią, że ani związki rodzinne, ani fawory władzy, ani wytworna powierzchowność nie zapewnią im mienia i znaczenia.

Takich to właśnie ludzi wytwarzało mieszczaństwo na zachodzie Europy. Wśród miast opasanych murami, pod opieką i ochroną cechowych urządzeń, wykształcił się tam ten duch mieszczański, nie tak bujny i wzniosły jak natchnienia szlachty, ale cierpliwy, wytrwały, robiący wszystko pod miarą i wagą, zawsze wszystko usiłujący naprzód obliczyć, a nadewszystko pracowity. Kiedy szlachta, np. francuska, wojowała i dworowała, mieszczanie francuscy pracowali po warsztatach, uczyli synów swoich porządku, oszczędności, pracowitości, a jeżeli dochodzili do znaczniejszych funduszów, wysyłali ich na naukę do wyższych zakładów naukowych, w których kształciła się i rozwijała rzecz ważniejsza jeszcze niż przemysł—myśl ludzka. Na dworach monarchów francuskich dzieci szlacheckie uczyły się wykwintnego obyczaju, męstwa w boju i intryg w alkowach; mieszczanie tymczasem uczyli się jak potrzeby ludzkie zaspakajać, jak owładnąć siłami natury, jak czasu i sił swoich nie marnować. Nadszedł téż czas, kiedy szlachta, zrujnowana zbytkiem i nasycona życiem, nie umiała już dalej kierować sprawami publicznemi, a w ślad za tém w przededniu rewolucyi Siêyes wygłosił hasło, „stan średni jest wszystkiém.“ W lat kilkadziesiąt potém St. Simon wypowiadał słynny swój apophlegmat, któremu dzisiaj nikt fałszu nie zada, następnéj treści: jeżeliby nagle zmarło trzydziestu najbogatszych książąt i trzydziestu hrabiów i z nimi jeszcze trzydziestu dygnitarzy, społeczeństwo tegoby nie poczuło, bo na ich miejscu stanęliby zaraz drudzy; ale jeżeliby zmarło nagle trzydziestu wielkich przemysłowców a z nimi trzydziestu najpierwszych matematyków, mechaników i uczonych, naród cały odczułby to silnie, bo sprowadziłoby to zamęt w interesach ludzkich, w przemyśle, w nauce nawet.

Zapewne, że dzisiaj, kiedy nie ma miast murem opasanych, ani korporacyj cechowych w średniowiecznem ich znaczeniu, kiedy rzemiosło rycerskie nie jest wyłączném powołaniem szlachty, a nadewszystko, kiedy nie ma przywilejów, klasa mieszczańska nie może

wytwarzać się, mnożyć i kształcić w takich warunkach, w jakich ją zrodziły wieki średnie a wykształciły i wzbogaciły dwa ostatnie stulecia. Jednakże same cnoty pracowitości, oszczędności, przemyślności i polegania na własnych siłach mogą i muszą rozwijać się w społeczeństwach, a zawsze pozostaną dwa rodzaje przemysłu: wiejski i miejski, dobywanie produktów surowych, obrabianie ich, czyli przekształcanie w taki sposób, aby wszelkim potrzebom ludzkim zadość czynić mogły; i rozwożenie ich po całym świecie, gdzie tylko potrzebowanie się przejawi; zawsze obok tych przemysłów rozwijać się będzie nauka, i myśl ludzka kształcić się nie przestanie.

Praca rolnika i praca przemysłowca lub kupca kształcą i rozwijają dwie odmienne strony natury człowieka, i jedna obok drugiéj istnieć musi; ażeby społeczeństwo stanąć mogło na wyższym stopniu rozwoju, chodzi o to, aby stosunek między niemi odpowiadał realnym potrzebom kraju i narodu. My powtarzamy chętnie, że kraj nasz jest przeważnie rolniczym i cieszymy się z cnót ziemiańskich; zkąd gotowiśmy wnosić, że przemysł dla nas mniéj jest potrzebny. Ale znacznie większa część Europy i Ameryki jest jeszcze przeważnie rolniczą, i wartość produkcyi rolniczéj przewyższa w niéj wartość produkcyi fabrycznéj, tylko stosunek między temi dwoma rodzajami przemysłu zmienia się ciągle w proporcyi do wzrastania ludności.

Kraj tak gęsto zaludniony, jak nasz, nie może zajmować się jedynie rolnictwem, bo nie zabezpieczy tém dobrobytu swéj ludności; może mieć dostatek chleba, ale zabraknie mu wszelkich innych potrzeb. Naród, który sam nie wyrabia dla siebie dostatecznéj ilości nie tylko pożywnego pokarmu, ale odzienia, sprzętów domowych i innych nieodbitych w życiu przyzwoitém, nie może być bogatym, bo mu wszystkiego trudno dostać.

Praca rolnika zależy w wysokim stopniu od stanu atmosfery, od warunków klimatycznych nieulegających woli i kierunkowi człowieka; pozostawia więc go bardzo zależnym od sił natury i przez to uczy go spuszczać się na los szczęścia. Praca przemysłowca o wiele więcéj oswobodzona od wpływów zewnętrznych uczy go dokładniéj obliczać siły i środki, któremi rozporządza i jak najmniéj pozwala mu liczyć na szanse niewiadome, obawiać się ich lub na nich polegać; i dlatego uczy go stosować się zawsze do okoliczności otaczających go a podlegających jego obliczeniu, lub rozumnym przewidywaniom; pominąwszy więc nawet korzyść materyalną jaką ona daje społeczeństwu, samo wytwarzanie większéj liczby ludzi umiejących bacznie obserwować co się koło nich dzieje i rozpoznać jak

można z tego korzystać jest już wielką korzyścią moralną dla narodu.

Życie społeczne wielkich miast Europy dowodnie przekonywa, że praca przy warsztacie, w fabryce lub kantorze, nie wytępia w człowieku ani uczuć, ani wyobraźni, a tylko uczy lepiéj i umiejętniéj nad niemi panować. Kupiec angielski, przemysłowiec francuski, rzemieślnik niemiecki, nie zdają się być gorszymi obywatelami od fermerów i właścicieli ziemskich; a wyrobnik fabryczny lub czeladnik od warsztatu, w niczém nie ustępują robotnikowi wiejskiemu, często nawet więcéj są od niego umysłowo rozwinięci. Jeżeli więc korzyści materyalne i moralne z rozwijania się przemysłu są niewątpliwe, dla czegóż mamy nazywać doktrynerstwem twierdzenie, że koniecznem jest dla kraju zwiększenie się liczby ludzi specyalnie oddających się przemysłowi; a że to oni właśnie stanowią dzisiaj tak zwaną klasę mieszczańską, możemy więc śmiało twierdzić, że mnożenie się mieszczaństwa, wzbogacanie się jego i nabieranie przez to coraz większego wpływu i znaczenia w społeczeństwie jest dla nas rzeczą pożądaną. Cała zaś pięćdziesięcioletnia czynność banku polskiego, który, nie zaniedbując nieść pomoc rolnictwu, tak energicznie przyczyniał się do rozwijania przemysłu i handlu w kraju, niemającym sił odpowiednich do samorzutnego ich postawienia na stopniu odpowiadającym potrzebom, pozwala nam powiedzieć: że bank polski dobrze się zasłużył krajowi.

OMYŁKI DOSTRZEŻONE W TOMIE I.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być:*
546	9 od góry	członkowi	człowiekowi
„	10 „ „	spółcześnie	spółcześni

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

OMYŁKI DOSTRZEŻONE W TOMIE I.

NOWE KSIĄŻKI,

nadesłane do Redakcyi „Ateneum"

w ciągu Maja r. 1878.

1. **Kilka słów w przedmiocie zabezpieczenia losu rzemieślników i robotników** miasta Warszawy—Warszawa, 1878.
2. **Zapiski i dokumenta** do dziejów instrukcyi publicznéj w Polsce, wydał Dr. *Władysław Seredyński.* Kraków, 1878.
3. **Przyczyny i wywód chorobowy** niektórych postaci zwątlenia (atonii) żołądka i jelit oraz leczenie tego cierpienia w Krynicy. *Dr. Bolesław Skórczewski.* Warsz. 1878.
4. **Institut des Sourds-muets et des aveugles de Varsovie.** Varsovie, 1878.
5. **Rys dziejów literatury polskiéj** opracował *Leonard Sowiński.* Tom V-y. Wilno, 1878.
6. **Źródła dziejowe.** Tom X-y. Sprawy Wołoskie za Jagiellonów—Akta i listy—wydał i szkicem historycznym poprzedził *A. Jabłonowski.* Warszawa, 1878.
7. **Mazowiecka szlachta** w poddaństwie proboszczów Płockich, napisał *Władysław Smoleński.* Warszawa, 1878, str. 80.

ATENEUM,

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

W „Ateneum" pomieszczane będą: studya ze wszystkich gałęzi nauk historycznych, społecznych i ścisłych, z dziedziny sztuki i przemysłu; opisy podróży, powieści, poezye i utwory dramatyczne; krytyka dzieł polskich i obcych, bibliografia, przeglądy, korespondencye i rozmaitości.

Prenumerata w Warszawie, w guberniach Cesarstwa i Królestwa, oraz zagranicą we wszystkich krajach związku pocztowego, wynosi:

Rocznie. Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3.

Prenumerować można **głównie**

w REDAKCYI ATENEUM,

Niecała, Nr. 7,

oraz we wszystkich księgarniach krajowych i zagranicznych.

Prenumeratorów z prowincyi uprasza się o nadsyłanie prenumeraty *bezpośrednio*

DO REDAKCYI.

Дозв. Цензурою, Варшава, 20 Мая 1878 г. Druk. K. Kowalewskiego, Królewska 23.